

James Fenimore Cooper

Krzysztof Kolumb

ROZDZIAŁ I

Według opowiadań Cervantesa i Le Sage'a, potwierdzonych poważniejszymi świadectwami historii i nowożytnych podróżników, po wszystkie czasy w Hiszpanii zajazdy były niewygodne, a drogi niebezpieczne. Zdaje się nawet jakoby mieszkańcy Półwyspu Pirenejskiego pod tym względem nie mieli nigdy zakosztować przyjemności cywilizacji; bowiem, jak tylko sięgnąć można pamięcią, podróżni byli w nim zawsze ofiarą złodziei i oberżystów. To samo zło, które dziś istnieje, istniało już w połowie XV wieku, w epoce będącej początkiem poniżej skreślonych wypadków.

W październiku 1469 r. nad Aragonią panował Jan II de Transtamare, przebywając ze swym dworem w Saragossie. Był to jeden z najmądrzych monarchów tego wieku, lecz zubożony przez liczne walki z burzliwymi i niepodległymi Katalończykami. Z trudnością też przychodziło mu utrzymać się na tronie, chociaż rządził krajem obejmującym, oprócz Aragonii i zawisłych od niej Walencji i Katalonii, Sycylię i Wyspy Balearskie. Władca ten rościł sobie prawo do Nawarry, a korona Neapolu jemu byłaby przypadła, gdyby nie testament starszego brata i poprzednika, przeznaczający takową swemu naturalnemu synowi.

Panowanie króla Aragonii było długie i burzliwe, a w epoce wzmiankowanej nieodzowne wydatki, celem podbicia Katalonii, skarbiec jego zupełnie wypróżniły; jakkolwiek w tym właśnie czasie zbliżał się dzień tryumfu dla Jana II, gdyż jego współzawodnik, książę Lotaryngii, umarł w dwa miesiące później. Ale niedozwolono człowiekowi zaglądać w przyszłość; dość że 9 października 1469 r. w chwili gdy armia, zostając bez żołdu, miała się rozwiązać, kasa państwa miała skromną sumę, trzystu sztuk złota.

Wszelako, dla wykonania pewnego zamiaru nader wielkiej ważności, potrzeba było koniecznie znacznego kapitału. Naradzano się przeto, pochlebiano pożyczającym pieniądze, albo ich trwożono, a na dworze panował niezwykły ruch. Na koniec mieszkańcy Saragossy dowiedzieli się, że ich władca ma wyprawić uroczyste poselstwo do swego sąsiada i krewniaka, króla Kastylii.

Krajem tym rządził wówczas Henryk de Transtamare, noszący imię Henryka IV. Był to wnuk w linii męskiej stryja Jana II, a więc dość bliski krewny króla Aragonii. Mimo to potrzeba było przyjaznego poselstwa dla zachowania pokoju między obydwoma krajami; wiadomość też o

zamierzonej wyprawie Aragończycy przyjęli z zadowoleniem raczej niż podziwem. Henryk kastylijski, chociaż panował nad krajami rozleglejszymi i bogatszymi od Aragonii, nie był wolny od trosk i kłopotów. Po rozłączeniu się z pierwszą żoną, pojął Joannę portugalską, której lekkomyślne postęпки wielkie sprawiały zgorszenie; posunięto się nawet też do podawania w wątpliwość prawowitego urodzenia jedynej córki Henryka i zaprzeczenia jej z tego względu prawa do następstwa.

Ojciec Henryka miał także z drugiego małżeństwa dwoje dzieci, Alfonsa i Izabellę, z których ostatnią nazwano później mianem katolickiej.

Objęcie rządów przez Henryka nie obeszło się bez wewnętrznych zatargów. Na trzy lata przed czasem opowiedzianych tu zdarzeń, brat jego Alfons ogłoszony został przez pewne stronnictwo królem i wojna domowa rozsrożyła się w kraju. Śmierć Alfonsa położyła koniec niesnaskom, a pokój, przynajmniej chwilowo, został przywrócony przez traktat, którym Henryk wydziedziczył własną, a raczej Joanny portugalskiej córkę, na korzyść siostry Izabelli.

To ostatnie ustępstwo wymuszone było przez konieczność; naturalnie więc starano się wszelkimi sposobami zniweczyć jego skutki. Między innymi środkami użytymi przez króla, a bardziej przez jego zaufanych (gnuśność bowiem i obojętność Henryka powszechnie była znana), starano się także nakłonić Izabellę do zawarcia ślubów z poddanym lub księciem cudzoziemskim, tak iż w 1469 r. małżeństwo księżniczki było głównym przedmiotem działania dyplomacji hiszpańskiej. W liczbie ubiegających się o jej rękę znajdował się syn króla Aragonii; naturalnie więc mieszkańcy Saragossy, dowiedziawszy się o bliskim wyprowadzeniu poselstwa, domyślali się, że jest ono związane z tym punktem polityki aragońskiej.

Izabella, sławiona z rozumu, skromności, wdzięków i pobożności, była nadto uznaną dziedziczką dosyć ponętnej korony; nie dziw przeto, że miała mnóstwo konkurentów, między którymi znajdowali się Francuzi, Anglicy i Portugalczycy. Zausznicy dworscy, stosownie do własnych widoków, popierali sprawę tego lub owego pretendenta, ale królewska dziedziczka, przedmiot tylu zabiegów, ukrywała starannie skłonność swego serca. Podczas gdy jej brat, panujący król, szukał rozrywki na południu, ona, przyzwyczajona od dawna do samotności, zajmowała się czynnie urządzaniem swych interesów, w sposób jaki sama uznała za najwłaściwszy. Zagrożona kilkakrotnie zamachami na swą osobę, których unikła jedynie szczęśliwym przypadkiem, schroniła się do Valladolid, stolicy królestwa Leon. Henryk tymczasem przesiadywał w pobliżu Grenady; ku tej więc stronie zdążyła ambasada.

Orszak poselski wyszedł z Saragossy przez jedną z bram południowych, pod eskortą wojskową. Wszyscy jego członkowie byli uzbrojeni, bo wówczas, kto posiadał jakie takie mienie, nie mógł się puszczać bez tego środka ostrożności. Za orszakiem postępował długi tabor przyborów złożonych

na mułach i zgraja zbrojnych służalców, dość podobnych na oko do żołnierzy. Tłumy mieszkańców zalegały drogę, którą szła ambasada, już to z życzeniami powodzenia, już tworząc rozliczne przypuszczenia względem jej celu. Lecz ciekawość ma swoje granice, a plotka prędko się zużywa; z zachodem słońca większa część mieszkańców Saragossy zapomniała już o wspaniałym pochodzie. Dwóch tylko żołnierzy, stojących na straży u bramy wschodniej, prowadzącej do prowincji Burgos, jeszcze sobie pod wieczór gaworzyli o tym zdarzeniu.

— Jeśli don Alonzo de Carbajal puszcza się w daleką drogę, będzie musiał bardzo pilnować swego orszaku, bo w całej armii aragońskiej nie ma gorszych żołnierzy, jak ci, którzy z nimi opuścili bramę południową, mimo wystawności ubiorów i buńczucznej miny. Wierz mi, Diego, Walencja by dostarczyła godniejszych ambasady królewskiej wojowników, lecz, jeśli taka jest wola naszego pana, my, prości żołnierze, nie powinniśmy szemrać.

- Mój Roderyku, niejedni już zapewne pomyślał, że pieniądze roztrwonione na to poselstwo lepiej byłoby rozdzielić między nas zuchów, cośmy własną krwią stłumili powstanie w Barcelonie.

- Jedna to zawsze piosenka, braciszku, między dłużnikiem a wierzycielem. Jan II winien ci kilka marawedów, więc ty mu wyrzucasz dukaty, które wydaje na osobiste potrzeby. Ja, stary wiarus, znam się od dawna na sztuce ściągania sobie żołądu, gdy skarb go wypłacić nie może.

- Dobrze to w wojnie cudzoziemskiej, kiedy bić się przychodzi przeciw Maurom na przykład, ale ci Katalończycy, to przecież chrześcijanie i dobrzy ludzie; trudno łupić ich jak niewiernych.

- I owszem, bardzo łatwo, łatwiej jeszcze niż poganina, gdyż ten, spodziewając się napaści, uprzętnie co lepsze, podczas gdy ziomek sam ci otworzy swoje skarby i serce. Ale któż to w tak późnej godzinie wybiera się w drogę?

- Są to ludzie pragnący uchodzić za bogaczy, chociaż niby z tym się kryją; zaręczam ci, Roderyku, że wszystkie te mieszcuchy razem nie mają tyle pieniędzy, by zapłacić sługusa co na noclegu poda im olla podrida .

— Na św. Jakuba, mojego patrona — rzekł stłumionym głosem dowódca zbliżającej się kawalkady, który z jednym tylko towarzyszem wyprzedził nieco swój orszak — ten urwis nie bardzo się myli! Mamy jeszcze na zapłacenie wieczerzy, ale do końca podróży nic nam z pewnością nie zostanie.

Żartobliwe te wyrazy towarzysz dowódcy przyjął posepnym milczeniem; jednocześnie kawalkada zatrzymała się przy bramie. Byli to kupcy, jak świadczyła ich powierzchowność, bo w owym czasie każda klasa społeczeństwa miała jeszcze oddzielne ubranie. Pozwolenie opuszczenia miasta było formalne i strażnik miejski, w kwaśnym widać humorze, że mu przerwano spoczynek, z wolna podnosił rogi. Dwaj żołnierze stanęli na uboczu, obojętnie przypatrując się grupie nowo przybyłych, i tylko wrodzona powaga hiszpańska wstrzymywała ich od głośnych oznak pogardy

względem trzech czy czterech Żydów, znajdujących się między kupcami. Reszta towarzystwa należała widać do wyższej klasy handlujących, bo liczna towarzyszyła im służba. Podczas gdy panowie opłacali mały podatek, przypadający za opuszczenie miasta po zachodzie słońca, jeden ze służących, jadący na zwinnym mule stanął blisko Diega!

— Ho! ho! braciszku, zawołał żołnierz nie mogąc powściągnąć języka; ile dublonów kupcy płacą ci na rok, i siła ci sprawiają tych pięknych kaftanów skórzanych, w których tak ci do twarzy?

Służący, młody jeszcze człowiek, chociaż muskularne ciało i śniada cera świadczyły o twardo przebytych znojach, zadrżał lekko i zapłonął się na te słowa, których wymówieniu towarzyszyło poufale poklepanie w kolano. Lecz żołnierz miał twarz tak dobroduszną, że niepodobna było rozgniewać się jego żartem; wreszcie serdeczny śmiech jego zapobiegł wybuchowi młodzieńca.

- Za mocno uderzasz mnie po nodze, przyjacielu, rzekł łagodnie - jeżeli chcesz przyjąć moją radę, to nie pozwalaj sobie nigdy na takie poufałości, bo niespodzianie mógłbyś się spotkać z kułakiem.

- Na św. Piotra! któż by się poważyl...

Nie miał czasu dokończyć, gdyż orszak w dalszą ruszył drogę, a muł młodego giermka, spięty ostrogą, silnym potrąceniem o mało nie wywrócił Diega, który właśnie rękę przykładal do pałasza.

- Ten młodzian ma odwagę - krzyknął żołnierz po odzyskaniu równowagi; sądziłem przez chwilę, że chce mnie poczęstować pięścią.

- Zawsze z ciebie niezdara, kolego, odrzekł drugi żołnierz; nic by nie było dziwnego, gdyby cię był ukarał za niepotrzebne zuchwalstwo.

Lokaj w usługach Żyda miałby natrzeć na żołnierza królewskiego?

— Może i on był żołnierzem; bo zdaje mi się, że widział jego twarz w miejscu gdzie na próżno szukano by tchórzy.

— To sługa po prostu i do tego młodzik zaledwie wyszły z rąk kobiety.

— Niech i tak będzie, lecz mimo to sądzę, że służył przeciw Maurom i Katalończykom. Wiesz o tym, że nasza szlachta ma zwyczaj wczesnego wysyłania dzieci na wojnę.

— Szlachta? — powtórzył śmiejąc się Diego — do czarta Roderyku, jak można takiego prostaka porównać z synem szlacheckim? Czy myślisz, że to przebrany Guzman albo Mendoza.

— Dziwnym ci się to wyda, a jednak przypominam sobie dokładnie, że go widział na polu walki i słyszał głos jego grzmiący rozkazem. Na św. Jakuba z Campostelli, to rzecz niezawodna. Przybliż się Diego, powiem ci słówko w zaufaniu.

Chociaż nikt nie podsłuchiwał, Roderyk odprowadził na bok kolegę, oglądając się na wszystkie strony, cichym głosem wymówił kilka wyrazów.

— Najświętsza Panno — zawołał Diego, odskakując z podziwu na kilka kroków, mylisz się niezawodnie, Roderyku!

— Wiem co mówię, odpowiedział Roderyk; nie widziałem go tylokrotnie z podniesioną przyłbicą?

— A teraz podróżuje jako giermek przy kupcu, jako sługa żydowski!?

— My, kolego, powinniśmy patrzeć nie widząc i słuchać nie słysząc. Jan II dobrym jest panem, chociaż w tej chwili papiery jego spadły; trzeba zachować poddańczą pokorę.

- Ależ on nie przebaczy mi nigdy tej nieroztropnej poufałości! Nie ośmielę się stanąć przed jego obliczem.

- Ej! wątpię żebyś z nim zasiadł kiedy u stołu królewskiego, a na wojnie on, który zawsze jest na czele, nie będzie pewnie miał ochoty obejrzeć się za tobą.

- Mnie masz więc, że mnie nie pozna?

- W każdym razie, mój chłopcze, nie obawiaj się niczego, bo takim ludziom zwykle ważniejsze sprawy tkwią w głowie.

- Daj Boże, żebyś prawdziwym był prorokiem, inaczej nie będę mógł nigdy pokazać się w szeregu. Gdybym mu był wyświadczył przysługę, to może by o niej zapomniał; ale pamięć obelgi długo się przechowuje.

Tak rozmawiając, dwaj żołnierze oddalili się, a stary nie przestawał zalecać młodemu większej na przyszłość rozwagi.

Tymczasem kawalkada postępowała naprzód, z szybkością wypływającą oczywiście z obawy o złe drogi i z żywej chęci przybycia co rychlej na miejsce. Jadąc noc całą, zatrzymali się wtedy dopiero, gdy światło dzienne wystawiało ich na spojrzenie ciekawych. Wiadomo było, że ajenci Henryka kastylijskiego przebiegają przestrzeń między stolicą Aragonii a Valladolid, gdzie przebywała Izabella. Jednakże podróżni bez przygody stanęli w okręgu Soria, części starej Kastylii. Chociaż zbrojne hufce królewskie czatowały po drodze, powierzchowność podróżnych nie mogła niczym zwrócić uwagi żołnierzy Henryka, obecność zaś tych ostatnich oddalała zwykłych złodziei. Co się tyczy młodzieńca, będącego przedmiotem rozmowy dwóch żołnierzy, ten z uległością towarzyszył panu, zajmując się obowiązkami swojego stanu. Dopiero drugiego dnia wieczorem, gdy orszak opuścił gospodę, gdzie uraczono się olla podridą i kwaśnym winem, wesoły dowódca, zaśmiaawszy się głośno, opuścił swe miejsce na przodzie i zbliżył się do tajemniczego giermka. Lecz ten surowym przyjął go spojrzeniem.

— Mości Nunez — rzekł głosem, który bynajmniej nie zgadzał się z zależnym na pozór stanowiskiem jakie zajmował — dlaczego porzuciłeś swoje miejsce?

— Wybacz, odpowiedział dowódca, tłumiąc śmiech tylko przez uszanowanie dla młodzieńca, ale zdarzyło nam się nieszczęście, które przewyższa wszystko co podają legendy o błędnych rycerzach. Nasz szanowny Ferreras, tak przywykł do złota, od czasu jak się zбогacił handlem zbożowym, płacąc w oberży za wieczerzę, zapomniał sakiewkę. Teraz całe towarzystwo podróżne nie posiada

może i dwudziestu realów.

- Jestże to przedmiot żartu, mości Nunez? - odpowiedział giermek z lekkim uśmiechem, zdradzającym chęć podzielenia wesołości towarzysza. - Bogu dzięki, miasto Osma niedaleko, a tymczasem nie potrzeba nam pieniędzy. Teraz, mój panie, rozkazuję ci, abys powrócił na miejsce i nie wdawał się w niepotrzebną poufałość z podwładnymi. Godnemu Ferreras wyraż moje ubolewanie.

Dowódca porozumiewawczo spojrział na mniemanego giermka, lecz ten odwrócił głowę, jakby sam był w obawie uchybienia swojej roli. Po chwili poprzedni porządek orszaku był przywrócony.

Północ już się zbliżała, podróżni poganiali muły, żeby prędzej stanąć, gdzie zamierzali. Niezadługo ukazało się w oddaleniu miasteczko Osma, należące jeszcze do prowincji Soria, lecz położone niedaleko już granic Burgos.

Zbliżywszy się do bramy, przewodniczący młody kupiec uderzył w nią kilkakrotnie, kijem. Udający sługę opuścił właśnie swe miejsce i wmieszał się między jadących na czele kawalkady, gdy nagle kamień rzucony z murów miasta zawarczał mu koło głowy. Krzyk oburzenia rozległ się w orszaku, tylko tajemniczy młodzieniec nie stracił przytomności, a chociaż mówił podniesionym głosem, jednakże słowa jego nie wyrażały ani gniewu, ani trwogi.

— Cóż to, zawołał, czy tak przyjmujecie spokojnych podróżnych kupców, którzy w nocnej porze szukają gościnności?

— Kupcy, podróżnicy? — odparł głos jakiś wewnątrz, — powiedz raczej ajenci króla Henryka. Coście za jedni? Gadajcie, bo przywitamy was czymś lepszym niż kamieniem.

— Chciej mnie objaśnić, rzekł młodzieniec, nie dając odpowiedzi na zapytanie, kto dowodzi W tym mieście? Czy nie hrabia Trevino?

— On sam, odpowiedziano mu z murów głosem nieco złagodzonem. Lecz jakaż może być styczność między zgrają koczujących kupców a jego ekscelencją. Ty zaś, co mówisz tak śmiało i ostro, musisz być chyba grandem Hiszpanii.

— Jestem Ferdynand de Transtamare, król Sycylii, książę aragoński. Oznajm to swojemu panu, i niech przybywa natychmiast.

To objaśnienie, wyrzeczone głosem człowieka przywykłego do rozkazów, zmieniło nagle stan rzeczy. Kawalkada odmiennym uszykowała się porządkiem. Dwaj kawalerowie, będący na czele, ustąpili pierwszeństwa młodemu królowi, a inni tymczasem, pozrzucawszy przebrania, pokazali się w szatach właściwych. Uważny obserwator byłby zauważył niezawodnie z jaką ulgą kawalerowie, przywykli do walk rycerskich i turniejów, rozstawali się z ponizającą dla siebie rolą.

Wkrótce całe miasteczko było w ruchu, a tłum cisnący się na mury i światło latarń spuszczonech dla obejrzenia przybyszów, zapowiadały zbliżanie się gubernatora.

- Mamże wierzyć temu co słyszę? odezwał się w tej chwili głos hrabiego Trevino, czy rzeczywiście don Ferdynand aragoński zaszczyca mnie odwiedzinami w tak niezwyklej godzinie?

- Rozkaż służbie, aby latarnie obróciła ku mej twarzy, a sam się o tym przekonasz. Wybaczam ci, hrabio, to zwątpienie, jeśli je wynagrodzisz gorliwością.

- To on! - zawołał gubernator - poznaję w tych rysach potomka królów, którego głos tylokrotnie przewodził hufcem Aragonii w wojnach przeciw Maurom. Otworzyć bramy, a trąby niech natychmiast rozgłoszą miastu szczęśliwą nowinę!

Rozkaz ten szybko został wykonany i młody król wjechał do Osmy, otoczony zbrojnym orszakiem i zgrają zdziwionych mieszkańców.

- Najjaśniejszy panie, rzekł Andrzej de Cabrera, młody kawaler, który wprzód był dowódcą, zbliżając się poufale do księcia Ferdynanda, szczęście prawdziwe żeśmy zdążyli do tej bezpiecznej gospody. Don Ferreras zgubił rzeczywiście jedyną naszą sakwę, a w takiej ostateczności trudno by nam było utrzymać się w roli kupców.

— Teraz, gdyśmy wkroczyli do ukochanej Kastylii, polegamy zupełnie na twej gościnności, bo wiadomo nam, że posiadasz dwa drogocenne klejnoty.

— Miłościwy królu, wasza wysokość żartuje sobie ze mnie, i rzeczywiście jedyna to zabawa jaką teraz mogę mu ofiarować. Przywiązanie do sprawy księżniczki Izabelli uczyniło mnie wygnańcem, w tej chwili prosty żołnierz armii aragońskiej bogatszy jest ode mnie. Jakimi mógłbym rozrządzać klejnotami?

— Mówią wiele o dwóch brylantach zdobiących głowę donny Beatrix de Bobadilla, które wiem, że tobie przypadną, bo młoda dziewczica, idąc za popędem serca, chętnie je odstąpi tak przyjemnemu kawalerowi.

— Ach, najjaśniejszy panie, jeśli ta przygoda ma się skończyć tak szczęśliwie, jak została rozpoczęta, tedy najwyższe jego wstawienictwo bardzo mi będzie potrzebne.

Król, swoim zwyczajem, uśmiechnął się łagodnie i miał coś odpowiedzieć, gdy zbliżający się hrabia Trevino przerwał dalszą rozmowę.

Tej nocy Ferdynand aragoński mógł zasnąć spokojnie i głęboko; jednakże ze świtem porzucił łoże, by opuścić miasto. Ruszając z Osmy, mały orszak zupełnie inny miał wygląd niż dnia wczorajszego. Ferdynand, całkiem uzbrojony, dosiadł dzielnego rumaka; eskortował go oddział lekkiej jazdy, pod dowództwem samego hrabiego Trevino, i tym sposobem kawalkada 9 października 1469 r. stanęła w Duenas, miasteczku królestwa Leon, sąsiadującym w Valladolid. Tu niezadowoleni spomiędzy szlachty zaczęli się garnać do księcia, składając mu hołdy przynależne wysokiemu urodzeniu i świetnej jego przyszłości.

Kastylijczycy, zwolennicy zbytku, mieli wtedy sposobność przyjrzenia się surowemu życiu

Ferdynanda. Młody ten książę, chociaż liczył dopiero lat osiemnaście, tak zahartował ciało i ukrzepił członki, że dorównywał siłą najdzielniejszym rycerzom. Najmilszą rozrywką jego były ćwiczenia wojskowe i żaden z kawalerów aragońskich lepiej od niego nie harcował konno, czy to na polu bitwy, czy w walce turniejowej. Skromny przy tym i trzeźwy, jak muzułmanin, zdawał się być stworzonym do spełnienia dzieł wymagających zarówno wielkiej siły fizycznej, jak głębokiej rozważli i nieustannej czujności.

W ciągu czterech czy pięciu następnych dni szlachta kastylijska, otaczająca Ferdynanda, nie wiedziała, czy dziwić się bardziej porywającej jego wymowie, czy dojrzałości sądu, niebędącej wynikiem zimnej rozważli, lecz darem wrodzonym człowieka przeznaczonego do panowania cudzym namiętnościami.

ROZDZIAŁ II

Podczas gdy Jan aragoński starał się wszelkimi środkami, aby syn jego uszedł czujnej uwagi słuźalców króla Kastylii, mieszkańcy Valladolid oczekiwali skutku wyprawy z tą niespokojną obawą, jaka zwykle towarzyszy niebezpiecznym przedsięwzięciom. Pomiędzy tymi, co z niecierpliwością śledzili kroki Jana z Aragonii, znajdowały się osoby, z którymi wypada nam bliżej czytelników zaznajomić.

Chociaż Valladolid w tym czasie daleko jeszcze było do świetności, jakiej dosięgło zostawszy stolicą Karola V, zawsze jednak ten gród starożytny i bogaty posiadał znaczną liczbę wspaniałych pałaców. Jeden z nich był siedzibą Jana de Vivero, znakomitego szlachcica, i w nim to dwie osoby oczekiwały wiadomości z Duenas. Wnętrze tego gmachu łączyło poważną zbytkowność owego czasu z wygodą i wykwinnością, jakie nadać tylko może bezpośredni zarząd kobiecy. W 1469 r. wielki dramat wojenny, trwający od siedmiu wieków, walka chrystianizmu z Koranem, na Półwyspie Pirenejskim zbliżała się ku końcowi. Maurowie, zajmujący długo południowe części królestwa Leonu, zostawili w budowlach ślady barbarzyńskiej wystawności; nawet nazwa miasta Valladolid, przerobiona z Veled-Vlid, świadczyła o pobycie w tych stronach nacji arabskiej.

W głównej sali pałacu Jana de Vivero dwie kobiety żywo z sobą rozmawiały. Obie były młode, i chociaż różnej zupełnie powierzchowności, posiadały niezaprzeczone powaby. Jedna z nich szczególnie, zaledwie dziewiętnastoletnia, lecz w całym już kwiecie młodości, uchodzić mogła za skończoną piękność. Gorąca nawet wyobraźnia krain południowych nie wymarzyłaby większej doskonałości. Jej ręce, nogi, kibić i wszystkie zarysy nacechowane były niezrównanym wdziękiem niewieścim, a postać wysoka i okazała szlachetną nadawała jej powagę. Patrzący na nią nie wiedział czy go czaruje bardziej powab zewnętrzny, czy wyraz nieskażonej duszy odbity na jej

twarży. Chociaż urodzona w Hiszpanii, pochodziła w prostej linii od królów gockich, i z tego zapewne powodu w jej powabnej postaci zlewała się świeżość północna, z porywającą żywością kobiet południa. Cera jej była biała, włos gęsty kasztanowaty, oczy niebieskie, pełne blasku i pojętności. Dla dopełnienia obrazu powiedzmy, że na obliczu wychowanki dworu malowała się szczerą prostotą, rzadko w tej sferze napotykana, a kraszająca wdzięk młodości urokiem prawdy moralnej.

Ubiór księżniczki odznaczał się prostotą, chociaż bogactwem odpowiadał godnie jej wysokiemu dostojeniu. Na szyi, śnieżnej białości, połyskiwał brylantowy krzyż, zawieszony na rzędzie wyborowych pereł; kilka kosztownych pierścieni obciążało raczej, niż zdobiło jej śliczne ręce. Była to Izabella kastylijska, oczekująca w ustroniu rozwiązania swego losu.

Towarzyszką jej była donna Beatrix de Bobadilla, przyjaciółka młodości i wierna do śmierci poddana. Dama ta, starsza nieco od księżniczki, miała ułożenie stanowczo hiszpańskie; jakkolwiek pochodziła ze starej rodziny, dom jej nie wchodził nigdy w związki z cudzoziemcami. Jej czarne, błyszczące oczy zapowiadały szlachetną duszę i silną wolę. Postać jej, przyjemna, ustępowała jednak w doskonałości kształtom królewskiej przyjaciółki. Natura, dzieląc swe dary między młode niewiasty, rozróżniła je odpowiednio stanowiskiem społecznym jakie każda z nich zajmowała, lecz widziane z osobna, obie były zachwycające. Izabella kończyła właśnie ranny strój; siedziała na fotelu, niedbale oparta i pochylona ku przyjaciółce, klęczącej przed nią na podnóżku. Kobiety były same, w rozmowie ich przeto panowała swoboda, wolna zarówno od etykiety kastylijskiej i sztywności hiszpańskiej; toczyła się ona w miarę uczuć naturalnych, nie według ceremoniału dworskiego.

- Beatrix, rzekła księżniczka, proszę Boga, by kierował moją myślą w tak ważnej sprawie, i mam nadzieję, że wybór jaki uczynię pogodzi moje własne dobro, ze szczęściem moich poddanych.

- Nikt o tym nie wątpi, szlachetna pani, odpowiedziała Beatrix de Bobadilla, bo Kastylijczycy tak cię kochają, że nie sprzeciwiłoby się pewnie twym zamiarom, gdybyś nawet wyjść chciała za sułtana tureckiego.

- Powiedz raczej, moja dobra, odparła z uśmiechem Izabella, że sądzisz o innych po sobie. O! te projekty małżeńskie dużo sprawiają mi kłopotu.

- Lecz teraz minął czas próby. Najświętsza Panno, ileż to w mężczyznach musi być zarozumiałości i lekkomyślności, kiedy tacy konkurenci śmieli ubiegać się o rękę mojej pani.

- Jeżeli ze wszystkich wybrałam Ferdynanda aragońskiego - to jedynie z powodu, że związek ten odpowiada najwięcej interesowi Kastylii. Wiesz Beatrix, że Kastylijczycy i Aragończycy z jednego pochodzą rodu i tym samym mówią językiem.

- W imię Boże, kochana pani, nie porównuj czystej mowy kastylijskiej z dialektem mieszkańców

gór!

— Niech i tak będzie; ale łatwiej zawsze wyuczyć po hiszpańsku Aragończyka, niż Galia; a don Ferdynand należy do rodziny Transtamare, jest potomkiem królów Kastylii, i mówią, że młody król sycylijski może się podobać.

— Gdyby tego nie umiał, nie byłby chyba mężczyzną. Któżby z nich nie potrafił ułożyć się, gdy idzie o podbicie serca dziedziczki korony, a jeszcze pięknej jak jutrzienka, dobrej i mądrej, słowem wcielonej doskonałości.

— Moje dziecię, te słowa nie przystoją ani mnie, ani tobie.

— A jednak są one prawdziwym wyrażeniem moich uczuć.

— Wierzę ci, dobra Beatrix, lecz powinniśmy pamiętać o ostatniej spowiedzi i mądrych radach jakie nam wówczas udzielono. Tak lekkomyślne rozmowy nie uchodzą kobietom, które za grzechy swoje potrzebują pobłażania. Co do tego małżeństwa, jeśli je zawrę, to więcej jako księżniczka; niż jako niewiasta, bo wiadomo ci, że nie znamy się nawet z Ferdynandem.

— Prawda to wszystko, szlachetna pani; przyznaję, iż dziewica wysokiego urodzenia, może rozporządzać swą ręką na innych zasadach niż prosta mieszcza, a nawet, że sama jej godność i troskliwe wychowanie, stanowi większą rękojmię szczęścia małżeńskiego, aniżeli gorączkowe przywiązanie. Ale z tym wszystkim bardzo mnie to cieszy, że tak szlachetny i dzielny, według opisu ojca Alonzo, młodzieniec stara się o twe względy, jak również że, zdaniem mych przyjaciół, don Andrzej de Cabrera, chociaż trzpiot wielki, doskonałym będzie mężem dla Beatrix de Bobadilla.

Izabella, która mimo wrodzonej powściągliwości czuła niekiedy potrzebę poufnej rozmowy, uśmiechnęła się z tego wysokoku, i rozgarniając piękną rączką krucze sploty Beatrix, rzuciła na nią macierzyńskie prawie, pełne tliwości spojrzenie.

- Jeżeli wartogłowy powinny się łączyć z sobą, rzekła potem, to przyjaciele twoi mają słuszość. Wymówiwszy te słowa umilkła, a wstyd dziewiczy rozlany po jej twarzy i skryty ogień źrenicy świadczył, że Izabella, w tej chwili przynajmniej, była więcej kobietą jak królową, zajęta wyłącznie szczęściem swych poddanych.

- W miarę jak się zbliża nasze spotkanie, ciągnęła dalej księżniczka, dziwne jakieś ogarnia mnie zmieszanie, i wyznaję ci otwarcie, moja droga, że przymioty ciała i duszy, przypisywane królowi sycylijskiemu, niemały w tym mają udział.

- To dziwne, wtrąciła Beatrix. Ja ze swej strony nie oddałabym dobrowolnie ani jednego powabu przeznaczonego mi małżonka.

- Twoje położenie jest inne, Beatrix, ty znasz markiza de Moya i pewną jesteś jego uwielbienia.

— Św. Jakubie, czy podobna tak sobie nie ufać! Wszak młoda i piękna kobieta odbiera hołdy jako

przynależną sobie daninę.

— Prawda to, moja córko (Izabella, chociaż młodsza, nazywała tak niekiedy przyjaciółkę, a później, zostawszy królową, zawsze ją zaszczycała tym mianem), ale wtedy tylko, gdy owe hołdy są zasłużone. Co do mnie, z niepokojem nieraz zadaję sobie pytanie, jakie będą dla mnie uczucia don Ferdynanda. Uważam go za młodzieńca pełnego szlachetności, męstwa i osobistych przymiotów, i nie wiem czy zdołam odpowiedzieć jego wymaganiom.

— Na Boga! Zarozumiały chyba Aragończyk mógłby coś podobnego pomyśleć! Jeżeli don Ferdynand szlachetnego jest rodu, ty pani, potomek starszej linii domu Transtamare, w niczym mu nie ustępujesz. Jeżeli jest młodym, i ty nią jesteś; jeżeli roztropnym, czyż tobie brak tego przymiotu?

— Powoli, powoli, kochana Beatrix! Powściągnij nieco swoją żywość.

— Skromność twoja, łaskawa pani, pozwala ci oceniać cudze tylko zalety, a zapominasz o swoich ale don Ferdynand sprawiedliwszym będzie w tym względzie. Jest spadkobiercą kilku koron, ale czeka go tu dziedziczka kastylijska, która słodyczą swą i prostotą, podbije z pewnością rycerskie jego serce.

— Nie trwożę się bynajmniej o próżność Ferdynanda, chociaż wiem, że posiada już, lub posiadzie, niejedną koronę, lecz mimo twych uwag życzliwych, nie dowierzam sama sobie. Zdaje mi się, że przyjąłabym obojętnie, a przynajmniej z godnością odpowiednią swojemu urodzeniu, każdego innego księcia, ale drżę gdy pomyślę o spotkaniu z Ferdynandem.

- To raczej don Ferdynand powinien być w obawie, zawołała Beatrix, całując z uszanowaniem rękę Izabelli.

- O nim, kochana przyjaciółko, same tylko doszły mnie pochwały. Lecz darmo się niepokoję, zamiast zasięgnąć zdania pobożnego kapłana, który nie odmówi mi pewnie swej rady. Ojciec Alonzo nas oczekuje, pójdźmy do niego.

Księżniczka z towarzyszką weszły do kaplicy zamkowej, gdzie jej spowiednik Mszę właśnie odprawiał. Tu niespokojność pięknej Izabelli ustąpiła wkrótce przed pociechą obrządków religijnych. W chwili gdy opuszczała kaplicę, posłaniec przybył z wieścią, że król sycylijski stanął szczęśliwie w Duenas i otoczony wiernymi stronnikami, przybędzie wkrótce dla urzeczywistnienia swych nadziei.

Izabella, na nowo tym zmieszana, z trudnością tylko odzyskała zwykłą spokojność umysłu. Poświęciwszy parę godzin modlitwie, obie przyjaciółki powróciły do sali, w której niedawno rozmawiały.

— Czy widziałas don Andrzeja de Cabrera? — zapytała księżniczka, przeciągając ręką po czole, jakby dla zebrania myśli.

Beatrix de Bobadilla zapłonila się, a potem nagłym wybuchła śmiechem.

— Jak na kawalera trzydziestoletniego, który stargał nieco siły w wojnach przeciw Maurom, don Andrzej dość zwinne ma nogi; przyniósł tu bardzo szybko wiadomość o przybyciu króla, przedstawiając zarazem swą przyjemną osobę. Ale znów na człowieka wytrawnego, zbyt wielki z niego gaduła. Podczas gdy pani zajęta byłaś modlitwą, słyszałam mimo woli cudowne jego opowiadanie o podróży don Ferdynanda. Zdaje się, szlachetna pani, że w samą porę przybyli do Duenas, straciwszy ostatnią sakiewkę z pieniędzmi, którą może wiatr uniósł z powodu jej lekkości.

— Spodziewam się, że temu zaradzono. Obecnie wprowadzie żadna z gałęzi domu Transtamare nie może się poszczycić bogactwem, zawsze jednak mamy dosyć i na potrzeby przyjaciół.

— Don Andrzej w tej chwili nie jest ani bogatym, ani ubogim; lecz będąc w Kastylii, gdzie Żyd i lichwiarz każdy zna wartość jego dóbr, z łatwością zaopatrzyć może we wszystko króla sycylijskiego. Powiadano mi, że i hrabia Trevino nie pokazał się skąpym.

— Nie będzie to z jego szkoda, kochana Beatrix. Teraz, drogie dziecko, chciej podać mi papier i pióro, bo mam zawiadomić don Henryka o zamierzonym związku.

- Ależ kochana pani, to się sprzeciwia roztropności, bo zwykle gdy dziewczica, czy szlachetna, czy prostego urodzenia, chce zawrzeć małżeństwo wbrew woli swych krewnych, to najprzód dopełnia zamiaru, a potem dopiero prosi o błogosławieństwo.

- Idź, moje dziecko, powiedziałaś swoje, a teraz przynieś mi czego żądałam. Król nasz nie tylko jest moim panem i opiekunem, ale nadto najbliższym krewnym, którego uważać powinnam za ojca.

- To tym sposobem donna Joanna portugalska byłaby matką mojej pani! Piękna z niej przewodniczka dla skromnej dziewczicy! Nie, droga pani, matką twoją była cnotliwa Izabella, różniąca się zupełnie od lekkomyślnej siostrzenicy.

- Za śmiało mówisz, Beatrix, i zapominasz o moim rozkazie. Chcę pisać do swego brata i króla.

Izabella rzadko z podobną odzywała się surowością: toteż Beatrix zadrżała i lzy puściły jej się z oczu. Nie śmiąc spojrzeć na przyjaciółkę, przyniosła materiał piśmienny i zachowała milczenie.

Izabella zaczęła pisać ów list historyczny, w którym, wyrzekając się wrodzonej nieśmiałości, z książeczą przemawiała powagą.

Przez traktat w Toros de Guisando, unieważniający prawa córki Joanny portugalskiej, a uznający Izabellę następczynią tronu, ta ostatnia obowiązana była nie rozrządzać swą ręką bez wiedzy króla. Księżniczka przeto usprawiedliwiała przed bratem swoje postanowienie, przytaczając, że przeciwnicy jej złamali przyrzeczenie nie mieszania się do sprawy małżeństwa. Wyliczała dalej korzyści polityczne, wynikające z połączenia koron kastylijskiej z aragońską, i prosiła o zezwolenie króla.

List ten, przedłożony Janowi de Vivero oraz innym członkom rady królewskiej, wyprowadzony

został natychmiast przez umyślnego posłańca, po czym zajęto się przygotowaniami do mającego nastąpić spotkania dwojga narzeczonych.

ROZDZIAŁ III

Mimo zrównoważonego charakteru i zwykłej pogody umysłu, której źródłem była stateczność jej zasad moralnych, serce Izabelli silniej zabiło, w chwili gdy ujrzeć miała wreszcie przyszłego małżonka. Etykieta dworska i ważność spraw politycznych, kojarzących się z tym związkiem, wymagała koniecznie kilkudniowych przygotowań, w ciągu których młoda narzeczona najżywszej doznawała niecierpliwości.

Na koniec, wieczorem 15 października 1469 r., wszystkie przeszkody były usunięte; Ferdynand dosiadł konia, i w towarzystwie czterech tylko szlachciców, w liczbie których znajdował się Andrzej de Cabrera, bez żadnej wystawności udał się do pałacu Vivero. Arcybiskup Toledo przedstawiać miał księcia dostojnej narzeczonej.

Izabella, mając przy sobie jedynie Beatrix de Bobadilla, oczekiwała jego przybycia w znajomej już czytelnikom sali. Zdobywszy się na spokój, przyjęła narzeczonego z godnością księżniczki, chociaż z nieśmiałością płci swojej właściwą. Ferdynand aragoński, przygotowany był ujrzeć niewiastę rzadkiej urody, lecz wdzięk anielskiej niemal skromności, rozlany po jej cudnym obliczu, tak silne zrobił na nim wrażenie, że chociaż umiał zwykle ukrywać swe uczucia, stanął u wejścia osłupiały. Potem ocknąwszy się postąpił szybko naprzód, ujął tę drobną rączkę, co wkrótce stać się miała jego własnością i ucałował ją z zapalem.

- Widzę cię więc nareszcie, droga kuzynko, rzekł głosem zachwyconym. Mniemałem iż nie doczekam się tego szczęścia, lecz z łaski św. Jakuba, naszego patrona, życzenia moje mają się ku spełnieniu, i chwila obecna wszystko mi wynagradza.

- Dziękuję waszej królewskiej mości i witam go u siebie, odpowiedziała skromnie Izabella. Przeszkody jakie dotąd przyszło nam pokonać są tylko wstępem ważniejszych przeciwności, z którymi w ciągu życia spotykać się może wypadnie.

Ferdynand podał rękę narzeczonej i poprowadził ją do fotela, a sam chciał zasiąść na taborecie, lecz Izabella, wiedząc, że Kastylijczycy chętnie, gdzie było można, przywłaszczali sobie wyższość nad Aragończykami, nie chciała zająć miejsca, dopóki narzeczonemu nie podano krzesła.

— Młodej osobie, rzekła, za którą jedno tylko przemawia urodzenie, nie przystoi pierwszeństwo przed królem sycylijskim.

— Na Boga, droga kuzynko, nie rządz się etykietą. Wszak wobec Najwyższego znikają ziemskie godności. Chciej mnie uważać za prostego rycerza, pragnącego jedynie złożyć ci swoje hołdy.

Izabella, powodowana owym taktem rozgraniczającym grzeczność od sztywnego ceremoniału, usiadła, i między narzeczonymi ożywiona wszczęła się rozmowa. Instynkt kobiecy podpowiadał jej, że korzystne na swym kuzynie zrobiła wrażenie, a to odkrycie, tak dla niej pochlebne, usposabiało ją do wzajemności.

Obustronne zajęcie widoczne było w tym pierwszym zaraz spotkaniu. Arcybiskup Toledo, znając choć powierzchownie potrzeby serc kochających, usunął się niezadługo z dworzanami do przyległego pokoju. Drzwi wprawdzie pozostały otwarte, lecz zręczny prałat tak umiał wszystkich usadowić, że nie mogli ani widzieć, ani słyszeć rozmawiających w salonie. Co się tyczy Beatrix de Bobadilla, która dla przyzwoitości pozostała przy swej pani, była ona tak dalece zajęta marzeniem o Andrzeju de Cabrera, że królewska para, bez narażania tajemnicy, mogła stanowić przy niej o losie pół Europy.

Nie pozbywając się wrodzonej powściągliwości, co ją do śmierci nieopisanym otaczała powabem, Izabella w ciągu rozmowy coraz większym obdarzała zaufaniem narzeczonego. W miarę jak znajdowała sposobność ukazania w korzystnym świetle swych wiadomości, zebranych usilną pracą, w wieku młodym przez innych najczęściej poświęcanym zabawom, poczęła nabierać otuchy i całkiem prawie odzyskała zwykłą swobodę umysłu.

- Mniemam, rzekł król, że teraz nie ma już powodu ukrywania naszego związku. Wymagano od nas poświęcenia dla spraw krajowych, niechże wolno nam będzie i o własnym pomyśleć szczęściu. Nie jesteśmy sobie obcy, droga Izabello; dziadkowie nasi byli braćmi, a ja od dzieciństwa przywykłem uwielbiać twoją cnotę i naśladować twą pobożność.

- Zobowiązanie moje, kuzynie, nie było lekkomyślne, odpowiedziała księżniczka, rumieniąc się mimo powagi jaką przybrać usiłowała; roztropność zarówno jak życzliwość związek ten nakazuje, a konieczność przyspieszenia go tak jest oczywistą, że wszelkie z mej strony zwłóczenie byłoby dziwactwem. Sądzę, że za dni cztery staniemy u ołtarza; tymczasem zaś przygotujmy się do tak ważnego obrządku dopełnieniem obowiązków religijnych.

- Niech się stanie według twej woli, z uszanowaniem odrzekł don Ferdynand; niewiele już pozostaje do zrobienia, bo pamiętałem o wszystkim.

— Spodziewam się Ferdynandzie, żeś przejrzał dokładnie kontrakt małżeński, i że przyjąłeś chętnie wyrażone w nim warunki.

— Miałem na to dość czasu, droga kuzynko, bo właśnie upływa dziewiąty miesiąc jak go podpisałem.

— Jeżeli żądania moje w pewnym względzie wydały ci się dziwne, chciej to przypisać obowiązkom mego stanu. Wiadomo ci, Ferdynandzie, iż żona, mimo woli często ulega wpływowi swego męża; musiałam więc ubezpieczyć Kastyljczyków od słabości kobiecego charakteru.

— Jeśli ta tylko słabość zaciąży nad Kastylią, dola jej będzie godną zazdrości.

— Grzeczność jedynie podała ci te wyrazy, Ferdynandzie, a to nie dobrze w tak ważnym przedmiocie. Jestem o kilka miesięcy starszą od ciebie, przywłaszczam więc sobie prawo pierworództwa, i nie ustąpię go, chyba w ręce męża. Przekonałeś się z artykułów kontraktu, jak starannie osłoniłam Kastylijczyków od obcych przywłaszczeń. Wiadomo ci także, że większość panów kastylijskich opierała się naszemu związkowi, z obawy jarzma aragońskiego; trzeba więc było uspokoić ich obawę.

— Oceniam, Izabello, te powody; życzenia twoje zostaną wykonane.

— Będę ci wierną zawsze i uległą małżonką, mówiła dalej księżniczka, rzucając tkliwe spojrzenie na Ferdynanda, ale zależy mi na tym, by moja Kastylia nie została w swych prawach ukrócona. Akt ślubny zawiera jeden jeszcze warunek, dotyczący wojny z Maurami, o którego zachowanie najusilniej cię błagam. Niepodobna mi uważać Hiszpanii za kraj prawdziwie chrześcijański, dopóki choć jeden wyznawca islamu przebywa na naszym półwyspie.

- Trudno było, moja droga, przyjemniejszy włożyć na mnie obowiązek, jak zbrojne wystąpienie przeciw niewiernym. W niejednej już potrzebie z nimi się spotykałem, i zaraz po koronacji przyrzekam ci wypędzić tych przybyszy w afrykańskie piaski.

Po blisko dwugodzinnej rozmowie, królewska para rozeszła się z uczuciem zarówno szacunku, jak wzajemnej przychylności.

Związek małżeński Ferdynanda z Izabellą zawarty został z właściwą uroczystością 19 października 1469 r. w kaplicy pałacu Jana de Vivero.

Przesuwamy się szybko po pierwszych dwudziestu latach pożycia dostojnego stadła. Izabellą w 1474 r., po śmierci Henryka, została królową kastylijską. W tym samym prawie czasie Jan II zakończył życie, i Ferdynand zasiadł na tronie Aragonii. Tak więc Półwysep Pirenejski, złożony dotąd z drobnych dzielnic, na cztery główne rozpadł się części: jedną były kraje Ferdynanda i Izabelli, obejmujące królestwa Kastylii, Leonu, Aragonii, Walencji i kilka innych jeszcze prowincji; drugą Nawarra, niewielkie królestwo u stóp Pirenejów; trzecią Portugalia, w dzisiejszych mniej więcej granicach; czwartą Grenada, ostatnie schronienie Maurów, na północ od Cieśniny Gibraltarskiej.

Królewscy małżonkowie nie zapomnieli o przyjętym zobowiązaniu względem zniesienia potęgi Maurów; okoliczności tylko nie pozwoliły im długo urzeczywistnić swoich chęci. Lecz skoro tylko nadeszła sposobna chwila, podjęto wojnę, której losy stanowczo orężowi chrześcijańskiemu sprzyjały. Maurowie, tracąc warownię za warownią, miasto za miastem, zostali wreszcie oblężeni w swej stolicy. Poddanie się Grenady, zajmującej w dziejach chrystianizmu pierwsze miejsce po odzyskaniu Świętego Grobu, nastąpiło 25 listopada 1491 r., w dwadzieścia dwa lata po ślubie

Izabelli; przytaczamy tu nawiasem, że kilka wieków później, ta sama data wślawiona została wyparciem Anglików ze Stanów Zjednoczonych.

W ciągu lata 1491 r., podczas gdy wojska hiszpańskie obozowały pod miastem, Izabella, towarzysząc z dziećmi małżonkowi, o mało nie uległa nieszczęściu, gdyż namiot królewski zajął się płomieniem i spłonął wraz z innymi rycerskimi, przy czym stracono mnóstwo kosztownych przedmiotów. Dla zapobieżenia na przyszłość takiemu wypadkowi i chcąc uwiecznić zdobycie Grenady, najważniejszy, jak dotąd, czyn swoich rządów, małżonkowie postanowili założyć w tym miejscu miasto porządnie murowane, mogące objąć całą armię chrześcijańską. Gród ten, wystawiony w trzy miesiące, otrzymał nazwę Santa-Fe (święta wiara), bardzo trafnie obroną, ze względu na gorliwość jakiej potrzeba było do prowadzenia robót pod palącym niebem hiszpańskim i na ufność w pomocy Boskiej, ożywiającej wojsko oblężnicze. Wystawienie tego miasta postrachem tknęło niewiernych, bo uważali je za dowód, iż nieprzyjaciel nie ustąpi, chyba z ostatnim tchnieniem, i być może, że ono wpłynęło na poddanie się Boabdila, króla Grenady, który w kilka tygodni później otworzył Hiszpanom bramy Alhambry.

ROZDZIAŁ IV

Ranek 2 stycznia 1492 r. obchodzony był z uroczystością, niewidzianą nawet w mieście tak przywykłym do wspaniałych obrządków religijnych, jak siedziba Ferdynanda i Izabelli. Za ledwie słońce wzeszło, a już Santa-Fe było w ruchu i twarze wszystkich promieniały radością. Układy względem poddania Grenady, trzymane dotąd w tajemnicy, były nareszcie ukończone, naród dowiedział się urzędowo o pomyślnym ich skutku, i w dniu tym zwycięzcy wkroczyć mieli do twierdzy.

Na dworze była żałoba, z powodu śmierci don Alonza portugalskiego, narzeczonego księżniczki kastylijskiej; ale radość zwycięstwa usunęła znaki smutku, i wszystko co żyło w świątecznych wystąpiło szatach. Kardynał prymas, na czele silnego oddziału wojska, udał się ku Grenadzie, dla objęcia jej w posiadanie. Po drodze spotkał się z hufcem jazdy mauretańskiej, w którego dowódcy, po rysach szlachetnych i smutnym obliczu, poznał Boabdila. Kardynał wskazał mu miejsce, gdzie Ferdynand, powodowany pobożnością czy polityką, zatrzymał się, nie chcąc wejść do miasta, dopóki znak Zbawiciela nie zastąpi chorągwi Mahometa. Boabdil powitał zwycięzcę, a potem zwrócił się ku wąwozowi, któremu dotąd pozostała romantyczna nazwa: El ultimo suspiro del Moro (ostatnie westchnienie Maura), z tego powodu, że król mauretański rzucił stamtąd ostatnie spojrzenie na mury i wieżycę opuszczonego grodu.

Tymczasem wojsko chrześcijańskie wyglądało z niecierpliwością wzniesienia krzyża na wieżach

Alhambry, a mieszkańcy okolicznych stron oraz księża i zakonnicy, gromadzili się tłumnie, chcąc być świadkami tryumfu chrystianizmu. Najwięcej ciekawych cisnęło się koło stanowiska królowej, gdyż tam i przepych dworski najokazalej się rozwinął i obecność pobożnej Izabelli, rozlewała jakiś urok religijny.

Pomiędzy duchownymi był zakonnik ujmującej powierzchowności, którego grandowie Hiszpanii witali z uszanowaniem, nazywając ojcem Pedro. Towarzyszył mu młodzieniec szlachetnej postawy, liczący około lat dwudziestu. Ciało jego muskularne i twarz ogorzała świadczyły, że chociaż młody, już nieraz spotykał się z trudem, a choć w tak ważnej uroczystości wystąpił bez uzbrojenia, łatwo było poznać, że wczesne to rozwinięcie tężyzny zawdzięczał służbie wojennej. Ubiór jego był prosty, lecz odznaczał się właściwą wyższym stanom wytwornością.

Szczególnie od chwili, gdy zbliżywszy się do Izabelli, dostał łaski ucałowania jej ręki, który to zaszczyt spotykał zwykle tylko ludzi wielkiej zasługi lub dostojnego urodzenia, młodzieniec powszechną zwracał uwagę. Jedni mówili, że to potomek domu Guzman; drudzy przypuszczali, że pochodzi z gniazda Ponce'ów, wslawionego w tej wojnie czynami księcia-markiza Kadyksu; inni wnosząc po wysokim czole i śmiałym ruchu wywodzili go od Mendozów.

Widoczne było, że przedmiot tylu przypuszczeń nie zwracał bynajmniej uwagi na to ogólne wrażenie. Przechadzając się w tłumie od niechcienia, zajęty był rozmową z duchownym towarzyszem.

— Święty to dzień dla chrześcijaństwa, zawołał z uniesieniem zakonnik. Przemoc barbarzyńska, trwająca siedem wieków, została na koniec obalona; na szczytach ostatniego przytułku niewiernych staje krzyż Zbawiciela. Przodkowie twoi, mój synu, powstałoby z trumien, gdyby ta radosna wieść dosięgła ich grobowców.

— Oby Najświętsza Panna wieczny im dała odpoczynek, bo wątpię, ojczyźnie Pedro, czy nawet Grenada, choć tak cudownie przez Maurów upiększona, podobać by im się mogła po rajach.

— Jesteś widzę bardzo lekkomyślnym, don Luis, nie tak to bywało, gdy pod opieką swej matki, świętej pamięci, pobożne zmawiałeś pacierze.

Te słowa wymówione były z zapałem zbliżonym bardzo do gniewu.

- Nie karć mnie tak surowo, wielbny ojczyźnie, za nierozważne wyrażenie, bo świadczę się Bogiem, że nie chciałem ubliżyć świętemu kościołowi naszemu.

- Czy widzisz tego człowieka? - zapytał mnich, mając oczy zwrócone w jedną stronę, lecz nie wskazując przedmiotu swej uwagi.

- Na honor, widzę tysiące ludzi, mój ojczyźnie. Czy wolno spytać o kim mowa?

- Spójrz na owego mężczyznę wysokiego wzrostu, twarzy szlachetnej i poważnej, którego ułożenie godne jest monarchy, podczas gdy ubiór ubogiego zaledwie pokazuje szlachcica.

- Zdaje mi się, że go spostrzegam, ale nic w nim nie widzę nadzwyczajnego.
- Być może, a jednak w postawie jego jest wyższość rzadko napotykana u ludzi nieprzywykłych do władzy.
- Sądząc z powierzchowności, uważam go za żeglarza.
- Jest nim rzeczywiście, don Luis. Przybywa z Genui, a imię jego Christoval Colon, czyli, jak zwykle go zowią, Krzysztof Kolumb.
- Zaostrzasz ciekawość moją ojczu Pedro. Któż jest ten Kolumb i jaki jego zamiar?
- Jest to zagadka, której nie rozwiązały ani prośby moje do Najświętszej Panny, ani nauka klasztorna, ani gorące pragnienie odkrycia prawdy. Siadaj ze mną na tym głązie, powiem ci co mnie wiadomo. Człowiek ten, już od lat siedmiu przebywa między nami, starając się o służbę, celem odkrycia nieznanych krajów; utrzymuje bowiem, iż żeglując na zachód, dosięgnie Indii i owej wyspy Cipango, tak cudownie opisaną przez weneccjanina Marco Polo.
- Na św. Jakuba! — przerwał śmiejąc się don Luis, — to człowiek szalony. Zamiar jego wtedy chyba mógłby się powieść, gdyby ziemia była okrągła; wszak Indie leżą na wschód, a nie na zachód Hiszpanii.
- Powszechnie mu to zarzucają, lecz on na wszystko gotową ma odpowiedź.
- Czyż podobna przypuścić taką nedorzecznosc? Przecież widzimy najwyraźniej, że ziemia jest płaską.
- Zdanie jego w tym względzie zupełnie jest odmienne i słuszne, przyznać trzeba, ma do tego powody. Jako żeglarz uważam nieraz, iż na morzu, gdy okręt jaki zjawia się w oddaleniu, widać najprzód końce masztów, następnie żagle, a na ostatku dopiero sam kadłub. Czyś tego nie dostrzegł w swych podróżach, mój synu?
- Przypominam sobie rzeczywiście, że spotkawszy raz fregatę angielską, ujrzeliśmy najpierw wyższe żagle, jakby białą plamkę na powierzchni wody, dalej niższe, a w końcu olbrzymi kadłub, nasrożony armatami.
- Jesteś więc w zgodzie z Kolumbem, i wierzysz, że ziemia ma kształt okrągły?
- Przenigdy, ojczu, zwiedziłem świat w różnych, kierunkach, i przekonałem się, że wszystkie kraje na jednej leżą płaszczyźnie.
- Dlaczegoż tedy żagielki owego okrętu prędzej się pokazały od żagli?
- Dlatego, że.....że one przed innymi wzrok mój uderzyły.
- To chyba Anglicy największe żagle zakładają na szczycie masztów!?
- Co zaś! mój ojczu. Nie tacy to wprawdzie marynarze jak Genuińczycy, ależ błędu tak grubego pewno się nie dopuszczają. Znasz siłę wiatru i pojmujesz, że im większy żagiel, tym niżej powinien być umieszczony.

- A więc ujrzałeś przedmiot mniejszy przed większym?

- W istocie, ojczcie Pedro, widać żeś korzystał od Kolumba, lecz kwestia nie jest jeszcze racją.

— Sokrates lubił rzucać zapytania i oczekiwać odpowiedzi.

— Do licha, mój ojczcie, nie jestem ja Sokrates, tylko uczeń twój i krewniak, Luis de Bobadilla, synowiec przyjaciółki królowej, markizy de Moya, nie ustępujący w urodzeniu żadnemu kawalerowi hiszpańskiemu, chociaż nieprzyjaciele moi utrzymują, że mam żyłkę hulactwa.

— Nie potrzebujesz mi wymieniać swej genealogii, ani objaśniać charakteru, bo znam cię od dzieciństwa. To pewna, że posiadasz jeden przymiot niezaprzeczony, otwartość, której właśnie dałeś dowody, przynajmniej, że nie jesteś Sokratesem.

Tej przymówce zakonnik towarzyszył uśmiech satyryczny; młodzieniec jednak bynajmniej się tym nie obraził.

— Wielebny ojczcie, zawołał, odłóż na bok powagę i pogadaj ze mną o tej rzeczy nadzwyczajnej. Czy mniemasz naprawdę, że ziemia jest okrągła?

— Nie, zaiste, don Luis, gdyż lękam się być w sprzeczności z Pismem Świętym. Jednakże to spostrzeżenie o żaglach mocno mnie kłopotuje. Zamierzałem już nieraz sprawdzić je naocznie, ale gdy tylko wstąpię na okręt, choroba morska tak silnie mnie chwyta, że nie mogę o tym ani pomyśleć.

— To byłoby rzeczywiście uwieńczeniem twej mądrości, zawołał śmiejąc się głośno don Luis. Ojciec Pedro de Carrasacał, goniący po morzu za urojeniem marzyciela! Możesz spokojnie zostać na lądzie, szanowny nauczycielu, bo podróże moje, a wiesz jak wiele ich odbyłem, przekonały mnie, iż ziemia jest płaska, a może jeszcze bardziej, wyjąwszy czas burzy.

- Zapewne, sądząc z pozoru; Kolumb jednak, który był nierównie dalej od ciebie, utrzymuje, że ziemia cała jest kulą, i że płynąc na zachód czy wschód, do jednego dojszć można punktu.

- Na św. Wawrzyńca! to śmiały pomysł! Miałżeby on zuchwale puścić się na niezmierny ocean Atlantycki i krążyć po nim dopóki nie napotka lądu?

- Właśnie taki jest jego zamiar, i już od siedmiu lat, jak mówiłem, stara się o pomoc naszego dworu. Słysząc nawet, że poprzednio innym już mocarstwom przedłożył swoje plany.

- Gdyby ziemia była okrągła, rzekł zamyśliwszy się don Luis, to morze zalałoby niższe jej części; a jeżeli Indie leżą pod naszymi stopami, to jakże mieszkańcy ich mogą utrzymać się na nogach?

- Mówiono to samo Kolumbowi, ale on zarzut ten przyjął z lekceważeniem. Większa część teologów zgadza się na to w istocie, iż wyobrażenie góry lub spodu względne jest jedynie do powierzchni ziemi.

— Trudno uwierzyć, mój ojczcie, żeby ludzie chodzić mogli do góry nogami, chyba że mieszkańcy tych krajów posiadają kocie pazury.

— Synu mój, przerwał poważnie zakonnik, żywość twoja za dużo cię unosi. Lecz kiedy szydzisz z wyobrażeń Kolumba, to powiedz mi co sam sądzisz o kształcie naszej ziemi?

— Myślę, że jest płaska, jak tarcza owego Maura, którego zabiłem w ostatniej potyczce.

— A czy przypuszczasz, że ona gdzieś się kończy?

— Tak jest, i pragnę najgoręcej dotrzeć kiedyś do tego jej kresu.

— Wyobrażasz więc sobie ziemię otoczoną jakimś brzegiem, na którym stanąwszy, człowiek mógłby spojrzeć w przepaść, jak ze szczytu skały?

— Przedstawiasz mi w żywych kolorach przedmiot, o którym nigdy może nie zdałem sobie sprawy; a jednak coś podobnego musi istnieć rzeczywiście.

— Wierzaj, młodzieńcze, że zdanie Kolumba nie jest bezzasadne. Co do mnie, dwa tylko czynię mu zarzuty: najpierw niezgodność z Pismem Świętym, a potem trudność przebycia niezmiernego oceanu, co nas rozłącza od owych krajów nieznanych.

— A uczeni, czy popierają Kolumba?

— Roztrząsano na zgromadzeniu w Salamance jego naukę i zdania były podzielone. Zarzucano mu, że gdyby ziemia była okrągła, to okręt zstępujący na zachód, musiałby potem od wschodu płynąć w górę. Rzeczywiście większość uważa Kolumba za szaleńca i zdaje mi się, iż nigdy może nie dokona swych zamysłów, z powodu braku potrzebnej pomocy. Dziwi mnie nawet jego obecność na tym miejscu, bo mówiono mi, że wyjechał do Portugalii.

- A więc nie posiada środków utrzymania się w ciągu podróży?

- Mniemam że jest ubogi, bowiem zarabiał na życie rysowaniem map geograficznych.

- Ciekawość moja w wysokim stopniu jest rozbudzona, ojczec Pedro, muszę pomówić z tym Kolumbem.

- A jakimże sposobem chcesz zawrzeć z nim znajomość?

- Przedstawię się jako Luis de Bobadilla, synowiec markizy de Moya, członek jednej z pierwszych rodzin kastylijskich.

- Sądzisz więc, że to będzie dostateczne, odpowiedział z uśmiechem zakonnik. Nie, mój synu, uszłoby to bez wątpienia z jakim handlarzem kart geograficznych, ale nigdy z Krzysztofem Kolumbem. Człowiek ten tak jest przekonany o wielkości swych pomysłów i ważności wypadków jakie osiągnąć zamierza, że duma jego nie ugięła się nawet przed królem.

— Na Boga, drogi przyjacielu, pałam żądzą niepowściągnioną poznania tego człowieka; czy nie mógłbyś mnie przedstawić?

— Chętnie, gdyż i tak mam go zapytać o przyczynę pobytu jego w tych stronach.

Zakonnik z młodym towarzyszem poszli ku miejscu, gdzie się znajdował Krzysztof Kolumb. Zbliżywszy się kilka kroków, ojciec Pedro stanął, czekając cierpliwie póki go żeglarz nie

spozrzeże. Tym sposobem upłynęło kilka minut, gdyż Kolumb wlepione miał oczy w wieżycę Alhambry. Luis de Bobadilla, żywy i dumny ze szlachetnego urodzenia, rzucił się niecierpliwie, nie pojmując tych względów dla jakiegoś tam marynarza, fabrykanta kart geograficznych. W tej chwili Kolumb obejrzał się, a spostrzegłszy znajomego zakonnika, uprzejmie go powitał.

— Ciesz się mnie to bardzo, senior Kolumbie, że cię widzę świadkiem tak ważnego dla chrześcijaństwa wydarzenia; mniemałem żeś kraj nasz opuścił.

— Ręka Boska, wielbny ojcze, kieruje sprawami ludzkimi; radosna uroczystość dzisiejsza zwiastuje tryumf chrystianizmu, dla mnie zaś staje się nauką, że wytrwać należy w powziętym zamiarze; bo kto o sobie nie zwątpi, tego i Bóg nie opuści.

— Pobożne to zaufanie, senior, jak każde prawie z tych pojęć o religii, przejmuje mnie rozkoszą. Rzeczywiście wytrwałość tylko prowadzi do zbawienia, a wojna szczęśliwie teraz ukończona świętym jest przykładem tej cnoty.

- Prawda, mój ojcze, odpowiedział Kolumb, którego oblicze dziwnym zajaśniało blaskiem; widzę w tym rękojmię powodzenia wszystkich przedsięwzięć zmierzających ku chwale Bożej. Może wróżba z tak wielkiego dzieła, dla małej na pozór rzeczy wyda ci się niewłaściwą, ale pomyślny obrót tej wojny, cudownie mnie ukrzepił; i postanowiłem nie ulec pod brzemieniem przeciwności, bo celem moim jest również tryumf Ewangelii.

- Ponieważ podobało ci się wspomnieć o swych zamysłach, podchwycił zakonnik, pozwól bym ci przedstawił młodego krewniaka, który nie mało już zwiedził świata, a posłyszawszy o tobie, pragnie najgoręcej stać się twym uczniem, jeśli raczysz nie skąpić mu swego światła.

- Uważam się za szczęśliwego, ilekroć mam sposobność służenia komukolwiek, i chętnie przyjacielowi twemu stanę się przewodnikiem, odpowiedział Kolumb, z prostotą, a zarazem z godnością, obalając zupełnie wyobrażenia młodego don Luisa o konwencjonalnych stosunkach. Lecz zapomniałeś, ojcze, wymienić mi jego nazwisko.

- Jest to don Luis de Bobadilla, nie mający innego prawa do twej łaski, jak chyba ze względu, iż jest młodzieńcem przedsiębiorczym i synowcem przyjaciółki twojej, markizy de Moya.

— Dostateczne to dla mnie polecenie; lubię młodzież z duchem przedsiębiorczym, a zwłaszcza skierowanym do dzieł użytecznych. Nadto, po ojcu Juan Perez de Markhena i don Alonzie de Quintanilla, najwyżej w rządzie swych przyjaciół stawiam donnę Beatrix; krewny jej przeto może być pewien mego szacunku.

Wszystko to dziwne wydało się młodemu Bobadilla. Powierzchność Kolumba wprawdzie skłaniała do szacunku; ale on prostym tylko był marynarzem, żyjącym z pracy rąk swoich, a szlachta kastylijska nie lubiła ulegać, chyba książętom krwi królewskiej. Początkowo drażniły go słowa cudzoziemca, następnie kilka razy miał parsknąć pustym śmiechem, lecz widząc uniżoność

zakonnika, pozostał w granicach przyzwoitości i przemówił tak uprzejmie, jak przystało na młodzieńca dostojnego urodzenia. Po chwili wszyscy trzej usunęli się z tłumu, zajmując miejsce na jednym z urwisk obficie w tej stronie rozrzuconych.

— Mówiłeś, wielbny ojcze, że don Luis dalekie zwiedzał strony, odezwał się Kolumb; niezawodnie więc kocha się w cudach i niebezpieczeństwach oceanu.

— Tak jest, senior, nie zważając na rady donny Beatrix i moje, opuścił zawód rycerski i rzucił się w odmęt przygód, niewłaściwych może kawalerowi jego stanu.

- Czcigodny ojcze, sąd twój zanadto jest surowy; trawić życie na morzu, nie znaczy przepędzać je bez użytku. Bóg nie dlatego pewnie rozdzielił siedziby ludzkie niezmierną przestrzenią oceanu, by stawiać zaporę wzajemnym ich stosunkom; chciał owszem połączyć ich jako braci, ku chwale swojego imienia. Zresztą każdy z nas w młodym wieku ulega bardziej chwilowemu natchnieniu, jak głosowi rozsądku.

- Zapewne don Kolumbie, zwalczałeś niewiernych na morzu, zapytał don Luis, chcąc zwrócić rozmowę na przedmiot swej ciekawości.

- Tak jest, na morzu i na lądzie. Był nawet czas, że lubiłem opowiadać burzliwe wypadki swego życia, lecz odkąd łaska Boga obrała mnie za narzędzie wykonania swej woli, by słowo Zbawiciela całą ogarnęło ziemię, zatarłem w sobie pamięć przeszłości.

Ojciec Pedro przeżegnał się, don Luis ukradkiem ruszył ramionami, jak człowiek słuchający rzeczy niestworzonych, a Kolumb z właściwą sobie powagą mówił dalej.

- Dawnymi laty miałem udział w potyczce morskiej, odbytej niedaleko przylądka św. Wincentego, pod dowództwem swojego krewniaka Kolumba, przezwanego młodym, dla odróżnienia od stryja mego, admirała tegoż nazwiska. W tej krwawej potrzebie walczyliśmy dzień cały od rana do wieczora z weneccjanami, a jednak Bóg mnie zachował bez szwanku. Innego razu galera, na której płynąłem spłonęła, i cała prawie załoga znalazła śmierć w morzu; ja tylko, z niewielu towarzyszami, chwyciwszy się odłamka okrętowego ocalałem. Zdaje mi się, że widać w tym palec Boży, że Opatrzność, rozciągając nade mną tak cudowną opiekę, chciała mnie zachować dla celów swej chwały wiekuistej.

Choć żeglarz słowa te wymówił z zapalem, którego odblask zaświecił w żywym oka połysku, niepodobna było człowiekowi tego poważnego, nawet w uniesieniu, porównać z owymi szaleńcami, co w ulotnym zapędzie wyobraźni widzą powołanie, a w lada marzeniu niezbitą pewnik. Ojciec Pedro, nie obawiając się żadnej wątpliwości, powtórnie się przeżegnał, jakby przejęty do żywego głęboką wiarą Kolumba.

— Wyroki Najwyższego, wtrącił zakonnik, często są niezbadane; ale religia uczy nas, że one wszystkie zmierzają ku Jego chwale.

— I ja tak myślę, ojcze Pedro, i z tego też punktu na własne zawsze zapatrywałem się czyny. Usiłowania człowieka spełznąć muszą na niczym, gdy nie zaufa sile swego ducha.

— Otóż i znak widomy naszego zbawienia, zawołał zakonnik, i roztworzywszy ręce, jak gdyby ująć chciał jakiś przedmiot oddalony, przykląkł i kornie czołem uderzył w ziemię.

Kolumb powiódł okiem w kierunku wskazanym przez poruszenie ojca Pedro. I ujrzał na najwyższej z wież Alhambry błyszczący srebrny krzyż, ofiarowany miastu przez króla, jako godło za które walczone. W tej samej chwili na innych szczytach wzniesiono chorągwie Kastylii i św. Jakuba; okrzyk tryumfu i hymny religijne spłynęły w potężnym Te Deum, a chóry kaplicy królewskiej, z głosami potężnego tłumu w jeden wielki, wspaniały śpiew. Dalsze szczegóły tej uroczystości pomijamy, jako niezłączone z treścią naszego opowiadania.

ROZDZIAŁ V

Dwór królewski noc tę przepędził w pałacu Alhambry. Pod koniec ceremonii religijnej, o której mówiliśmy, w ślad za królewską parą tłumy rzuciły się do miasta. Młodzi wojownicy z siostrami lub małżonkami, (obecność bowiem Izabelli ściągnęła do obozu mnóstwo kobiet), cisnęli się w mury słynnej stolicy mauretańskiej, lecz zanim zdolali zaspokoić ciekawość, już noc zapadła i cieniem swym pokryła tajemniczy przybytek.

Boabdil pozostawił Alhambrę w kwitnącym stanie; szczególnie lwi dziedziniec, tak głośny dziś jeszcze z przechowanych pamiątek, pełen rzadkich krzewów, którymi sztuka ludzka, w tej porze nawet, sztuczną stworzyć umiała wiosnę. W przyległych salonach dwóch sióstr i Abencerragów, rzeźbiście oświetlonych roili się rycerze, dworzanie, dostojnicy duchowni i piękności kastylijskie.

Jakkolwiek Hiszpanie mało przyzwyczajeni byli do powabnej lekkości budownictwa wschodniego, Alhambra jednak, nieskończenie w tym względzie wyższa od innych pomników, świetnością swoją wprawiała ich w podziw. Bogate płaskorzeźby, mało jeszcze wtenczas znane w Europie, fantastyczne i pełne wdzięku arabeski pokrywały ściany, a liczne wodotryski, bijące wspaniale pod sklepieniem, srebrzystym deszczem w marmurowe spadały zbiorniki.

A liczbie podziwiających te cuda znajdowała się także Beatrix de Bobadilla, małżonka don Andrzeja de Cabrera, znana powszechnie pod imieniem markizy de Moya, i jak dawniej przyjaciółka królowej. Towarzyszyła jej młoda niewiasta tak rzadkiej piękności, że zwracała uwagę wszystkich, a szczególnie cudzoziemców. Była to donna Mercedes de Valverde. Jedną z najbogatszych dziedziczek Kastylii, a krewna i córka przybrana Beatrix. Znajdowały się może u dworu kobiety, którym by znawcy, pod względem ścisłej piękności, oddali pierwszeństwo przed donną Mercedes, lecz żadna z nich pochłubić się nie mogła owym uroczym wdziękiem, kraszającym

lice wychowanki donny Beatrix de Cabrera. Biegły obserwator byłby wyczytał w jej twarzy ślady wrzącego, choć świadomego siebie, zapału, a zarazem tajemniczą posepność, cień jakiś cierpienia, niezgodny zupełnie ze świetnym jej położeniem. Nie ćmiło to jednak wrodzonych powabów panny, tylko ją oblekało wyrazem dziwnej łagodności.

Po drugiej stronie donny Beatrix szedł Luis de Bobadilla, wysunąwszy się nieco naprzód, by jak najczęściej spotykać wzrok pięknej Mercedes. Wszyscy troje rozmawiali z zupełną swobodą, gdyż stadło królewskie opuściło salę, a przechodzący tak byli zajęci oglądaniem nowych dla siebie przedmiotów, że nie zwracali uwagi na niczyje pogadanki i zalety.

— Dziwna to rzecz, mówiła donna Beatrix, że ty, niezmordowany bywalec, po raz pierwszy słyszysz imię Kolumba. Od siedmiu już lat stara się on o względy królestwa ichmościów, nauka jego uroczyście roztrząsaną była w Salamance, a nawet u dworu nie brak mu stronników.

— Pomędzy których policzyć można szlachetną Beatrix de Cabrera, dodała Mercedes; słyszałam nieraz od królowej, że w całej Kastylii nie ma gorliwszej zwolenniczki Kolumba.

— Jej wysokość rzadko się myli, moje dziecię, przynajmniej co do . mojej osoby. Wspieram tego człowieka, gdyż uważam go powołanym do wielkiego przedsięwzięcia. Zaiste, nigdy może rozum ludzki nie rzucił tak olbrzymiego pomysłu, jak zamierzone przez niego odszukanie narodów przeciwnej strony naszej ziemi, i poniesienie im światła Ewangelii.

— I powiedz jeszcze, moja ciotko, chodzenie do góry nogami w ich przyjemnym towarzystwie, wtrącił śmiejąc się don Luis. Ten Kolumb musi być zręcznym w gimnastyce, kiedy się podejmuje sprostać takiemu zadaniu.

Mercedes przyjęła ten wyskok spojrzeniem wyrażającym naganę. Don Luis pragnął najgoręcej pozyskać serce wychowanki donny Beatrix, i jedno jej skinienie dostateczne było na powstrzymanie lekkomyślności młodziana, posiadającego szacowne skądinąd przymioty. Pod wpływem przeto tego spojrzenia dodał po chwili:

— Donna Mercedes należy widzieć do stronnictwa odkrywców. Zdaje się, że Kolumb większe znalazł współczucie u dam kastylijskich, jak u rycerzy.

- Pokazuje się z tego, rzekła panna, że kobiety więcej mają ufności w zasłudze, więcej szlachetnych popędów i gorliwości w ważnych sprawach od mężczyzn.

- Musi tak być rzeczywiście, gdyż ciotka moja, i ty pani, stajecie po stronie żeglarzy. Lecz moje wyrazy nie zawsze bywają rozumiane; jestem człowiekiem czynu, i jeśli Kolumb uda się kiedy w zamierzoną podróż, będę prosił króla o pozwolenie należenia do wyprawy. Po wypędzeniu Maurów i tak w Hiszpanii nie ma co robić.

- Jeżeli naprawdę masz zamiar towarzyszenia Kolumbowi, rzekła z przekąsem donna Beatrix, to będzie miał w swym orszaku choć jednego szaląputa. Lecz oto zbliża się sługa dworski, zapewne

jej wysokość żąda mojej obecności.

W istocie królowa przyzywała donnę Beatrix, a że nie wypadało, aby don Luis sam na sam przechadzał się z Mercedes, przeto odchodząc wpuściła oboje do przeznaczonej sobie izby, zastanawiając się chwilę, czy ma powierzyć wychowankę roztrzepanemu synowcowi.

- Chociaż to rycerz błędzący, rzekła do Mercedes, nie posiadając jednak przymiotów trubadura, nie popieści twego ucha słodyczą rymów. Może by lepiej było umieścić go z gitarą w ręku pod twym balkonem; ale zanadto polegam na jego niezręczności, i zostawiam go z tobą sam na sam. Kawaler, który tak się obawia przewrócenia porządku natury, nie zechce pewnie rzucić się na kolana przed najpiękniejszą nawet z dziewic kastylijskich.

Don Luis zaśmiał się głośno na te słowa, a Mercedes, żegnając przybraną matkę, spuściła oczy i pokraśniała.

Luis de Bobadilla był domniemanym narzeczonym donny Mercedes de Valverde; lecz związek ten, tak stosowny pod względem urodzenia, majątku, wieku i sympatii, ważne napotykał przeszkody. Donna Beatrix sama wahała się z przyzwoleniem, może najbardziej dlatego, że to małżeństwo korzystne było dla jej synowca.

Don Luis niewiele posiadał kastylijskiej powagi, a żywość jego często przeradzała się w lekkomyślność. Pochodząc z matki Francuzki odziedziczył po niej ową niestałość zasad, przypisywaną synom Galii. Wyobrazenie jakie rodzina miała o jego charakterze, skłoniło młodziana do porzucenia w dzieciennym prawie wieku ojczyzny, a poznawszy w swych podróżach obyczaje innych narodów i przejąwszy się nimi, obcym był społeczności rodzinnej. Jedno tylko przywiązanie do pięknej Mercedes spowodowało powrót jego do Hiszpanii, gdzie przybył właśnie w porę dla wzięcia udziału w zdobyciu Grenady.

Jednakże, mimo błędów jakie w nim wytykali ziomkowie, don Luis de Bobadilla był kawalerem godnym swego imienia, któremu świetne czyny w bitwach i turniejach znakomitą zjednały sławę. Raz na igrzysku rycerskim don Luis wysadził z łęku Alonza de Ojeda, jednego z najsłynniejszych zapaśników; toteż rodacy ganili go, ale poważali w nim sławę i odwagę.

Markiza de Moya lepiej jeszcze od innych znała szacowne synowca przymioty; lecz obawiała się tak bliskiemu krewniakowi oddać rękę bogatej dziedziczki, wbrew może życzeniu ogólnemu. Niedowierzała własnemu uczuciu, posądzając się o stronniczość dla młodzieńca, któremu powierzyć miała los wychowanki. Jakkolwiek więc skrycie pragnęła tego związku, na oko zimno przyjmowała starania don Luisa. Nie mogąc się zdobyć na tyle srogości, by zerwać zupełnie zawiązany stosunek, objawiła przynajmniej wątpliwości swe donnie Mercedes, by unikała spotkania z młodym rycerzem.

Mercedes nie znała sama stanu swego serca. Była piękną, bogatą i dostojnego rodu, a nasłuchawszy

się zarzutów przeciw don Luisowi, nie śmiała okazywać mu przychylności. Młodzieniec przeto, mimo zwykłego zakochanym instynktu, nie wiedział dotąd jak sobie tłumaczyć postępowanie ulubionej. W tym dniu dopiero przypadek, rozstrzygający tak często losy człowieka, nie tylko w miłości, lecz w każdym życia położeniu, zdawał się sprzyjać jego zamiarom. Wzruszenie, wywołane tryumfalnym obchodem zwycięstwa chrześcijan, przemogło zimną oględność panny. Przez cały wieczór jej uśmiech był swobodniejszy, oko żywsze, twarz silniej jak zwykle ukraszona rumieńcem. Gdy donna Beatrix wyszła, Luis usiadł obok Mercedes, która zajęła miejsce na pysznej otomance, służącej jeszcze dzień wcześniej jednej z księżniczek rodziny Boabdila.

- Jakkolwiek wielkie miałem zawsze poważanie dla królowej, odezwał się z zapałem młodzieniec, dziś ona większego jeszcze nabyła prawa do mego uwielbienia. Czemuż jej wysokość co godzina przynajmniej nie potrzebuje usług donny Beatrix, czemuż sprawy Kastylii nie wymagają jej głosu doradczego, kiedy to mi nastęrcza sposobność wynurzenia pani mych uczuć!

— Namiętne słowa nie zawsze są wyrazem tego co jest w sercu, don Luis de Bobadilla

— Nie możesz wątpić, pani, o szczerości mego przywiązania! Ono wzrosło wraz ze mną i tak wniknęło w głąb mojej duszy, że dziś nawet widzę twój obraz, Mercedes; słuchając śpiewu ptasząt, zdaje mi się, że chwytam chciwie głos twój pieszczony; wonne tchnienie poranku przypomina mi twój oddech!...

— Przesiąkłeś widzę, mój panie, galanterią dworu francuskiego i zapomniałeś, że Kastylijki zbyt są prostoduszne, by ułudzie się dały tak przesadnymi frazesami.

— Krzywdzisz mnie, Mercedes. Usta moje, przysięgam, są zawsze tłumaczem mego serca. Czyż nie kochałem cię od dzieciństwa? Czyż w niewinnych igraszkach naszych nie dawałem ci dowodów stałego przywiązania?

— Wtedy byłeś szczerym, Luis, odpowiedziała Mercedes, w której sercu to wspomnienie tkliwsze obudziło uczucia; wierzyłam wtedy w twą przyjaźń i byłam jej rada.

— Dzięki ci, dzięki stokrotnie za ten pierwszy objaw zaufania; nazwałaś mnie Luis, bez dodania obmierzłego tytułu.

— Szlachetny Kastylijczyk powinien dbać o swą godność, rzekła Mercedes zmieszana, jakby wyrzucając sobie mimowolną poufałość. Ostrzegłeś mnie w samą porę, don Luis de Bobadilla.

— Przeklęty niech będzie mój język, co nigdy nie słucha rozumu! Ależ każdy czyn mój, spojrzenie każde, czyż nie świadczy o jednej tylko potrzebie podobania się tobie, piękna Mercedes? Gdy królowa na ostatnim turnieju zaszczyliła mnie pochwałą, czyż nie szukałem wtedy twego wzroku, dla odebrania droższego podarku. Czy wyraziłaś kiedy życzenie, którego bym natychmiast spełnić nie usiłował?

- Przypominam ci, Luis, że wbrew mojej chęci udałeś się w ostatnią podróż na północ. Wiedziałam,

że donna Beatrix nie pochwałała tej skłonności do życia junackiego.

- Obrażało to mój honor, że obawiano się, aby szlachcic kastylijski nie nabrał w swych podróżach mniej przyzwoitych nawyknień.

- Nie przypuszczałaś pewnie bym ja podzielała tę obawę.

- Gdybyś, droga Mercedes, kazała mi pozostać dla siebie, to byłbym raczej opuścił życie, jak Kastylię; lecz ani jedno tkliwe spojrzenie nie wynagrodziło mych udręczeń.

- Jakich udręczeń, Luis?

- Nie jestże to okropnym cierpieniem, kochać do szaleństwa, a nie otrzymać żadnej zachęty, żadnego znaku, iż kobieta, której się życie poświęciło, rycerza swego nie uważa przynajmniej za półgłówka?

- Luis de Bobadilla, kto ciebie pozna, nie może tak myśleć.

- Dziękuję ci za to, moja najdroższa, a bardziej jeszcze za miły uśmiech z jakim wymówiłaś te wyrazy. Ty mogłabyś rządzić mną według chęci, gdybym był przekonany, że postęпки moje cię obchodzą.

— Może być inaczej? Czy podobna patrzeć obojętnie na czyny osoby, którą się ceni od dzieciństwa?

— Więc chociaż cenić mnie raczysz, Mercedes!

— To więcej może jak ci się zdaje. Kto zna twoje serce, Luis, ten musi cię poważać; a ja nie tailem nigdy swojego dla ciebie szacunku.

— I to już wszystko co miałaś powiedzieć? O droga Mercedes, uwieńcz swą łaskę wyznaniem, że w tym szacunku była choć odrobina słodszeo uczucia.

Mercedes zapłoniła się, lecz nie chcąc wyrzec słowa stanowczej zachęty, długo zachowała milczenie. Po chwili dopiero, z wahaniem i jakby mierząc każdy wyraz, odrzekła:

— Burzliwy twój charakter, Luis, potępia cię w oczach wielu; czemuż nie starasz się odzyskać zaufania, tym samym sposobem, jakim je straciłeś?

— Nie rozumiem cię, Mercedes.

— Zdaje mi się, że śmiałe pomysły Kolumba, mimo szyderstw jakich im nie szczędzisz, głębokie na twym umyśle zrobiły wrażenie.

— Uwielbiam cię, Mercedes, bo jak w otwartej księdze czytasz w moim sercu. Rzeczywiście, od czasu jakim słyszał o twierdzeniach genuęncyka, wyobraźnia moja nie spoczęła. Postać jego wraz z twoją staje mi przed oczyma, i czuję to, choć nie jestem przekonany, że myśli tak wielkie nie mogą być fałszywe.

Piękne oczy donny Mercedes wlezione były w młodzieńca, a blask ich niezwykle żywe zdradzał uniesienie.

- Prawdziwe, niezawodnie! rzekła głosem uroczystym. To człowiek natchniony przez Boga, narzędzie Jego woli. Wyobraź sobie, Luis, okręt okrążający świat cały, niosący dalekim narodom świętą wiarę chrześcijańską! Nie byłoby to chwalebnie przyłożyć się do tak świętego przedsięwzięcia?

- Dla Boga! jutro udam się do Kolumba, ofiarując mu swe usługi. Jeżeli potrzebuje złota, będzie go miał pod dostatkiem.

- Słowa twoje godne są szlachetnego syna Kastylii; ale człowiek prywatny temu nie podola. Rząd tylko może dostarczyć środków, i uczynić to powinien, gdyż w razie pomyślnym rozległe uzyska kraje. Dostojny nasz sprzymierzeniec, książę Medina-Celi, sprzyja temu dziełu, jak dowodzą jego listy do królowej, lecz mniema, że wesprzeć je powinna głowa koronowana. Nie można więc o tym pomyśleć bez współdziałania naszych władców.

- Wiadomo ci, Mercedes, że nie mam żadnego wpływu u dworu. Lecz może byś życzyła, abym wziął udział w wyprawie?

- Tak jest, mój Luis, godne to ciebie przedsięwzięcie. Sława nim pozyskana zatrze błędy twej młodości.

Don Luis w milczeniu, lecz uważnie, wpatrywał się w piękną entuzjastkę, bo uczuł zazdrosne powątpiewanie. Zapytywał sam siebie, co mogło być powodem zajęcia się jego losem tej anielskiej istoty, i dlaczego pragnie go oddalić.

— Chciałbym wyczytać twoje myśli, donna Mercedes, przemówił wreszcie, gdyż powściągliwość płci twojej dla nieobeznanych z wybiegami kobiecymi staje się źródłem udręczeń. Gdybym przypuścić mógł, że umyślnie wplątać mnie chcesz w sprawę przez większość potępianą, a przez samego Ferdynanda, którego mądrość tak cenisz, uważaną za marzenie, to wolałbym dziś wyjechać, uwalniając cię, pani, od swojej obecności.

— Przykry ten zarzut niczym nie jest usprawiedliwiony, rzekła Mercedes, nie mogąc ukryć łez swoich; wiesz, że nie pragnęłam nigdy twej zguby.

— Wybacz mi, moja droga, oziębłość twoja często mnie przyprowadza do obłędu.

— Oziębłość, Luis? Kiedyż Mercedes była dla ciebie oziębłą?

— W tej chwili może.

— Więc źle poznajesz moje chęci, nie umiesz oceniać mego serca. Nie, Luis, nie jestem tak zimną jak ci się zdaje, i żeby wyprowadzić cię z błędu, chcę być otwartą. Tak jest, upokarzam swą dumę dziewiczą, radząc ci, abyś przystąpił do wyprawy Kolumba, zamiast przedsięwziąć nową wycieczkę bez celu, bo mam na względzie własne twoje szczęście.

- Mercedes! szczęście moje zawisło od naszego związku!

- A związek ten zapewni podniesienie, uszlachetnienie dotychczasowych wybryków twoich przez

świetne czyny, które pozyskają ci zaufanie donny Beatrix i łaskę królowej Izabelli.

- Ale zdobędę nimi twoje serce?

- Serce moje, Luis, już do ciebie należy. Powściągnij swą niecierpliwość i wysłuchaj mnie spokojnie. Nie rozrządę sobą nigdy bez przyzwolenia dwóch osób: donny Beatrix i królowej pani. Nie przerywaj mi, Luis, niech dokończę wyznania. Królowa nasza, znając serce kobiet, od dawna spostrzegła uczucie, któregoś ty do tej chwili nie ocenił, i tylko jej rady macierzyńskie trzymały mnie dotąd w granicach pozornej obojętności.

- Jak to, więc i królowa jest moją nieprzyjaciółką? Mniemałem, że zwalczać mi przyjdzie nieprzychylną jedynie ciotki.

- Uniesienie twoje, Luis, czyni cię niesprawiedliwym. Donna Beatrix de Moya nie jest ci nieprzychylna i owszem ceni twe przymioty. Co do królowej, nie potrzebuje ona pochwał. Wiadomo ci, że natchniona jej mądrość czuwa nad dobrem wszystkich poddanych. Nie wiem sama jak to się stało, lecz ona pierwsza odgadła tajemnicę mego serca. Czy przypominasz sobie, Luis, zwycięstwo swoje na ostatnich turniejach? W dniu tym najdzielniejsi rycerze Kastylii wstąpili w szranki, a żaden z nich tobie nie dorównał; nawet Alonzo de Ojeda uznał się pokonanym. Wszyscy wynosili cię pod niebiosa, zapominając o twych błędach, prócz jednej tylko osoby.

— Prócz ciebie może, okrutna Mercedes!

— Jesteś niewdzięczny, Luis! Wyznaję, że wtedy myślała tylko o męstwie jakiego dałeś dowody. Królowa bardziej była przewidująca. Po ukończeniu igrzysk przyzwała mnie do swego gabinetu, gdzie całą godzinę sam na sam ze mną spędziła. — Mówiła o obowiązkach kobiet jako chrześcijanek, a mianowicie o ważności związku małżeńskiego. Rozczuliwszy mnie do łez prawie, żądała przyrzeczenia, bym nie wstąpiła nigdy na ślubny kobierzec, jeśli obecność jej nie uświęci tego kroku, lub przynajmniej bez piśmiennego z jej strony przyzwolenia.

— Więc królowa potępiła moją miłość?

— Imię twoje, Luis, nie było nawet wymienione, chociaż ja w ciągu całej rozmowy myślałam tylko o tobie. Nie przeniknęłam zamiarów jej wysokości, ale mnie się wydawało, słusznie czy niesłusznie, że słowa królowej odnoszą się do ciebie. Znając jednak jej dobroć, nie wątpię, że się przychyli, gdy uzna w tym moje dobro.

— A z czegoż wnosisz, że królowa mnie miała na myśli?

- Przypuszczam tak, ponieważ w dniu tym uwaga wszystkich na ciebie była zwrócona. Królowa chciała pewnie zapobiec nierozważnemu z mej strony przyrzeczeniu. Któż winien, jeśli uwiedziona pozorem, nie oceniała szlachetnych przymiotów twej duszy. Wszak obcym prawie byłeś w ojczyźnie, a pokazawszy się na chwilę, stroniłeś od dworu. Odznaczyłeś się wprawdzie w bitwach i turniejach, lecz świetne czyny podbijają jedynie wyobraźnię kobiet, podczas gdy serce ich marzyć

nie przestaje o trwalszych słodyczach szczęścia domowego. Jeżeli więc szczerze pragniesz osiąść moją rękę, to staraj się zniewolić królowę.

- Lecz jakież na to środki? Wojna z Maurami ukończona, a honor królowej nie potrzebuje obrońcy.

- Nie tego też ona wymaga; wiadomo wszystkim, że dzielnym jesteś rycerzem.

- Więc błagam cię, powiedz co mi czynić wypada!

- Posłuchaj, rzekła dziewica, na której powabne oblicze wystąpił rumieniec czułości i świętego zapędu. Masz ogólne wyobrażenie o pomysłach Kolumba i środkach jakimi urzeczywistnić takowe zamysła. Byłam dzieckiem jeszcze, gdy ten nadzwyczajny człowiek przybył do Kastylii, starając się o pomoc naszych władców. Oziębłość Ferdynanda i wsteczne wyobrażenia jego ministrów odwróciły zrazu umysł królowej od pomysłu genueńczyka; sądzą jednak, że ona skrycie im sprzyja, bo w chwili gdy Kolumb opuścić miał Hiszpanię, wpływ ojca Pereza, dawnego spowiednika królowej, przywołał go do dworu. Obecnie oczekuje on z niecierpliwością, i jeśli uzyska żadaną pomoc, niezawodnie wielu z grona szlachty zechce mu towarzyszyć; otóż i ty powinieneś wziąć udział w rzeczy tak chwalebnej.

— Nie wiem rzeczywiście jak uważać tę troskliwość, Mercedes, bo dziwne to zawsze namawiać osobę kochaną do podróży, z której nie wiadomo czy powróci.

— Polecę cię Boskiej opiece, odpowiedziała dziewica w pobożnym uniesieniu; dzieło przedsięwzięte ku Jego chwale, pomyślny, niezawodnie, będzie miało koniec.

Don Luis de Bobadilla uśmiechnął się, gdyż znając lepiej od kochanki przeszkody fizyczne, nie podzielał jej ufności. Wszelako, mimo zwątpienia, przychylił się do zdania donny Mercedes; pojmował bowiem, iż tym sposobem będzie mógł zatrzeć uprzedzenie względem swej osoby i pozyskać względy Izabelli.

— Lecz skoro królowa sprzyja Kolumbowi, dlaczego dotąd odwleka? Zapytał wreszcie z niedowierzaniem.

— Wojna z Maurami, ubóstwo kraju i obojętność króla stoją na zawadzie zamiarom genueńczyka.

— Czyliż jej wysokość nie będzie uważać towarzyszy wyprawy za marzycieli, jeśli powrócimy bez skutku?

- Nie znasz charakteru donny Izabelli. Ona w tym dziele widzi tryumf religii chrześcijańskiej, a uczestnikom jego, bez względu na powodzenie, nie odmówi szacunku. W każdym razie mój Luis, powrócisz z chlubą i szacunkiem.

- Czarodziejko, gdybym ciebie mógł zabrać z sobą, chętnie bym puścił się na morze bez innego towarzystwa.

Mercedes na te wyrazy odpowiedziała z uprzejmością, potem zaczęli spokojnie ważyć tak ważny dla siebie przedmiot. Don Luis umiał powściągnąć wrodzoną niecierpliwość, a szlachetne

wynurzenie się donny Mercedes, stateczność z jaką broniła możliwości powodzenia wyprawy, oddziaływały i na umysł młodzieńca.

Donna Beatrix, zatrzymana przez królowę, powróciła dopiero po upływie dwóch godzin. Zaraz po jej przybyciu, don Luis pożegnał damy, a Mercedes, zostawszy z opiekunką, objawiła jej swe uczucia i nadzieje. Markiza de Moya, zasmucona i ucieszona tym wyznaniem, podziwiała ufność młodocianego serca, co budowę przyszłości swojej, na tak niepewnej wznosiła podwalinie. Mimo to nie mogła zganić zamiaru kochanków. Luis de Bobadilla drogim był dla niej, a droższą jeszcze Mercedes; wysłuchała więc z życzliwością spowiedzi wychowanki, i powróciła do siebie, na pół przekonana wymową dziewicy.

ROZDZIAŁ VI

Kilka dni upłynęło zanim chrześcijanie rozgościli się w dawnym siedlisku wyznawców Mahometa. W tym czasie porządek, zakłócony na chwilę przez radosne upojenie z jednej, a boleść z drugiej strony, powrócił stopniowo w mury Alhambry i miasta. Przezorny Ferdynand rozkazał obchodzić się z Maurami nie tylko łagodnie, lecz nawet uprzejmie, wszystko więc z wolna do dawnego powracało stanu. Jednakże sprawy rządowe były dla króla źródłem nieustannych kłopotów, podczas gdy dostojna małżonka jego usuwała się od wrzawy, szukając w ustroniu domowym właściwszych dla siebie przyjemności. Tam większą część swego czasu poświęcała staraniom macierzyńskim, a pozostałe chwile krasiała związkami przyjaźni.

W trzy dni po przytoczonej rozmowie dwojga kochanków, królowa zebrała w swych pokojach grono zaufanych osób. Znajdowali się między nimi Ferdynand de Talavera, niedawno mianowany arcybiskupem Grenady, i ojciec Pedro de Carrascal, któremu prawość charakteru i szlachetne urodzenie powszechny jednały szacunek.

Izabella, zajęta szyciem, siedziała przy małym stoliku. Delikatne jej ręce pracowały nad koszulą dla królewskiego małżonka, lubiła bowiem zaprzętać się drobiazgami domowymi, jak żona prostego mieszczanina. Była to jedna z cech obyczajowych, czy politycznych, tego wieku. Wielu podróżników widziało słynny stołek księżny burgundzkiej, w którym znajduje się wcięcie dla pomieszczenia kądzieli zapewne w celu zbudowania dworzan. W postępowaniu jednak Izabelli, nie kryło się żadne wyrachowanie, gdyż starania koło wygod małżonka rzeczywiście sprawiały jej przyjemność. Przy boku królowej siedziała donna Beatrix de Cabrera, nieopodal zaś infantka Izabella, z donną Mercedes i kilku honorowymi damami. Król pisał przy stole w przeciwnym końcu sali, a żaden z obecnych, wyjąwszy arcybiskupa Grenady, nie śmiał zbliżyć się do niego. Rozmowa toczyła się cicho; sama nawet królowa tłumiała głos, by nie przerywać myśli małżonka.

- Markizo, moja córko, rzekła Izabella, czy nie słyszałaś czego o Kolumbie, owym żeglarzu, co tak nalega o pomoc naszą w wyprawie na Zachód!

Szybkie spojrzenie, wymienione pomiędzy Mercedes i jej opiekunką, świadczyło o zajęciu jakie w nich obudziły słowa królowej.

— Najjaśniejsza pani raczy przypomnieć sobie, że ojciec Perez, dawny spowiednik waszej wysokości, przybył umyślnie z klasztoru swego w Andaluzji, aby się wstawić za genueńczykiem i poprzeć jego wzniosłe plany.

— Znajdujesz je wzniosłymi, markizo?

— Nie inaczej, miłościwa królowo. Wyobrażenia tego człowieka są jasne i naturalne; a nie jestże to wzniosłe, chcieć rozsiać ziarno Ewangelii w drugiej świata połowie? Wychowanka moja, Mercedes de Valverde, tak się zapaliła tą myślą, że o niczym już innym słyszeć nawet nie chce.

Królowa obróciła się ku dziewczycy i zapytała z macierzyńską dobrocią:

— Prawdaż to, Mercedes, że Kolumb tak cię ujął? Mercedes powstawszy, z uszanowaniem postąpiła ku królowej.

— Nie przeczę, rzekła, iż powodzenie jego wyprawy żywo mnie obchodzi. To pomysł tak szczytny, najjaśniejsza pani, iż z żalem przyszłoby uznać go bezzasadnym,

— Otóż co znaczy wiara umysłów młodzieńczych i szlchetnych. Wyznaję ci, Beatrix, że pod tym względem i ja niekiedy jestem dzieckiem. Czy Kolumb jeszcze tu przebywa?

- Tak jest, najjaśniejsza pani, odpowiedziała Mercedes z pośpiechem, chociaż pytanie królowej nie do niej się wprost odnosiło; znam osobę, która widziała go w dniu, kiedy wojska nasze zajęły Grenadę.

- Któż to taki?

- Don Luis de Bobadilla, najłaskawsza królowo, rzekła Mercedes zapłoniona, żałując, że się niebacznie wymówiła, nie śmiejąc jednak zataić prawdy.

- Kochana markizo, synowiec twój jest niezmordowanym żeglarzem, lecz wątpię, aby należeć chciał do wyprawy mającej na celu chwałę Bożą.

- Jednakże, najjaśniejsza pani... Mercedes nie śmiała dokończyć.

- Chciałaś coś powiedzieć, moje dziecko, wtrąciła uprzejmie królowa.

- Błagam o przebaczenie waszej wysokości, że nie będąc pytaną...

- Nie znajdujesz się na dworze kastylijskim, moja córko, tylko w pokoju Izabelli de Transtamare. Jesteś powinowatą mego małżonka i możesz otwarcie objawić swoje myśli.

- Łaska twoja, najjaśniejsza królowo, jest nieograniczona. Chciałam dodać tylko, że don Luis de Bobadilla pragnie najgoręcej, aby Kolumb skutecznił swój zamiar, i zamierza prosić waszą wysokość, o pozwolenie towarzyszenia wyprawie.

— Czy podobna, Beatrix?

— Skłonność Luisa do niespokojnego życia, wypływa z chwalebnych pobudek, potwierdziła markiza, i ja słyszałam to mówiącego z zapalem o Kolumbie.

Izabella nic nie odrzekła, lecz opuściwszy ręce, zamyśliła się. Potem powstała nagle, i przystąpiwszy do piszącego króla, dotknęła z lekka jego ręki. Ferdynand obrócił się, a ujrawszy małżonkę, przerwał natychmiast pracę i pierwszy zagał rozmowę.

— Trzeba nam czuwać nad Maurami, rzekł pod wpływem jeszcze myśli jakie go właśnie zaprzętały; Boabdil posiada kilka warowni, które choć po tamtej stronie morza, są dla nas niebezpieczne.

— Pomówimy o tym kiedy indziej, przerwała królowa. Trudno częstokroć rządzącym, pogodzić chwałę Bożą i głos własnego sumienia, z przyjętym na mocy traktatów zobowiązaniem. Lecz dawno już między nami nie było wzmianki o Kolumbie.

— Zawsześ zajęta pracą, i to jeszcze dla mnie, droga Izabello, rzekł Ferdynand, wskazując na koszulę, którą królowa trzymała w ręku, nie każdy z poddanych naszych posiada tak dobrą i dbającą żonę.

— Po Bogu i szczęściu narodu, ty jesteś pierwszym przedmiotem moich starań, odpowiedziała Izabella, ucieszona grzecznością króla, mimo że przeniknęła jego zamiar zwrócenia rozmowy na inny przedmiot. Nie chciałam w tak ważnej rzeczy stanowić bez twego przyzwolenia, lecz zdaje mi się, że nie wypada dłużej odwlekać. Siedem lat niepewności, zaiste sroga to próba, jeżeli i teraz nic nie uczynimy, to być może, iż młodzież zapalona sama się weźmie do dzieła.

— Masz słuszność, moja droga; zasięgnijmy zdania obecnego tu Ferdynanda de Talavera. Arcybiskupie Grenady, królewska małżonka pragnie, aby sprawa Kolumba natychmiast była rozpatrzona. Zajmij się tym przedmiotem, rozważ go dojrzałe i przedstaw nam swoje zdanie; my z swej strony przydamy ci doradców.

Podczas gdy Ferdynand przemawiał do prałata, doświadczony dworak rzucił okiem na króla, a wyczytawszy w jego twarzy oziębłość, pojął od razu co czynić należało. Skłonił się nisko na znak posłuszeństwa, i zaraz przystąpiono do ułożenia listy sprawozdawców.

- Pomysł Kolumba zasługuje na uwagę, dodał król po odbyciu tej czynności. Powiadano mi, że jest dobrym chrześcijaninem.

- Niezawodnie, wasza wysokość. Utrzymują nawet, że po szczęśliwym ukończeniu teraźniejszej wyprawy, chce przedsięwziąć oswobodzenie grobu świętego.

- Chwalebnie to bardzo, odpowiedział król, lecz naszym zdaniem lepiej jest walczyć za wiarę tam, gdzie zdobycze mogą być zachowane. Jak mniemasz, arcybiskupie Grenady?

- Bez wątpienia; miłościwy królu; ograniczyć się należy do tego, co jest możliwe, nie trwoniąc sił

w przedsięwzięciach wątpliwych.

- Księżę arcybiskupie, wtrąciła królowa, polegając na twojej powadze, potępić by należało każdą krucjatę.

- Nie taka myśl moja, najjaśniejsza pani, odpowiedział zręczny prałat. Całemu chrześcijaństwu niezawodnie zależy na odzyskaniu grobu Zbawiciela; lecz dla Kastylii ważniejsze stokrotnie jest zdobycie Grenady: to pewnik tak oczywisty, że najlepszy kazuista nie zdoła go obalić.

— Tym bardziej, żeśmy go czynem poparli, dodał Ferdynand; te mury, co niedawno należały do Boabdila, dziś w naszym są posiadaniu.

— Dla Kastylii, być może, ciągnęła Izabella, a przynajmniej dla jej potęgi światowej, lecz nie dla zbawienia duszy i naszej świętej wiary.

To rzekłszy oddaliła się, i pogrążona w dumaniu, zaczęła wolnym krokiem przechadzać się po sali, spoglądając niekiedy na Mercedes.

— Moje dziecię, rzekła wreszcie, czy pamiętasz o swoim przyrzeczeniu?

— Byłam zawsze i będę posłuszną Bogu i waszej królewskiej mości, odpowiedziała Mercedes głosem silnego postanowienia.

— Więc mówmy o czym innym. Zdaje się, że pochwalasz zamiary Kolumba?

— Zdanie osoby młodej i niedoświadczonej w tak ważnej sprawie żadnego nie ma znaczenia.

— Lecz chciałabym znać twoje myśli.

— Mniemam, najjaśniejsza pani, że Opatrzność zesłała tego człowieka dla dobra człowieczeństwa i Kościoła.

— A czy sądzisz, że nasza młodzież weźmie udział w wyprawie genueńczyka?

Królowa uczuła drżenie ręki Mercedes, którą czule ujęła w swe dłonie. Jednakże młoda dziewczyna, widząc, że ta chwila jest stanowczą, zebrawszy całą przytomność umysłu, postanowiła z niej korzystać.

- Niewątpliwie, miłościwa pani, rzekła z głębokim przekonaniem. Pierwszy don Luis de Bobadilla nie odmówi mu swojej pomocy. On tak jest przekonany o wielkości tego dzieła, że chętnie dostarczyłby nawet środków pieniężnych, gdyby na to uzyskał przyzwolenie opiekunów.

- To być nie może; rządowi wolno własnymi szafować funduszami, ale czuwać powinien, by poddani nie narażali swego mienia. Lecz jeśli don Luis tyle ma dobrych chęci, to skłonni jesteśmy wybaczyć mu dawną lekkomyślność.

- O pani!

- Posłuchaj mnie, nie mogę długo rozmawiać z tobą w tym przedmiocie, bo rada państwa wymaga mojej obecności. Ułożę się o wszystko z opiekunką twoją, donną Beatrix, i przyrzekam ci, że wkrótce dowiesz się o skutku. Lecz i ty także nie zapominaj o przyrzeczeniu.

Izabella, pocałowawszy dziewczynę w czoło, wyszła z orszakiem dam dworskich, zostawiając Mercedes w środku obszernej sali, w postawie nieruchomej, podobną do pięknego posągu zwątpienia.

ROZDZIAŁ VII

Następnego dnia Alhambra napelniona była zgrają proszących o łaski lub żądających wynagrodzenia za poniesione straty. W przedpokojowej ciżbie jeden na drugiego spoglądał z niedowierzaniem i zazdrością. Witano się obojętnie, wymieniając słowa ułudnej grzeczności.

Podczas gdy ciekawość tłumu zajmowała się dociečeniami cudzych myśli, a starzy dworzanie półszepem udzielali sobie nowin politycznych, w odległym zakątku stał mężczyzna poważnego oblicza, na którego większość zgromadzonych z urągającym patrzyła lekceważeniem. Był to Kolumb, uważany ogólnie za marzyciela, i jako taki potępiany. Wszelako szyderstwa dworzan, zaczęły już ustawać pod wpływem niecierpliwości z powodu długiego oczekiwania, gdy nagle drzwi wchodowe otworzyły się z szybkością, zapowiadającą przybycie znakomitej osoby, i wszedł do sali don Luis de Bobadilla.

— To synowiec powiernicy królewskiej, rzekł któryś z oczekujących.

— Potomek jednej z pierwszych rodzin kastylijskich, dodał drugi, lecz można go w parze postawić z Kolumbem, bo ani wola opiekunów, ani życzenie królowej, ani wysokie urodzenie nie zdołały go powstrzymać od junackich przygód.

- Byłby to jeden z najlepszych rycerzy hiszpańskich, odezwał się trzeci, gdyby roztropność jego odpowiadała odwadze.

- To ten sam młody kawaler, co tak się odznaczył w wojnie przeciw Maurom, wtrącił jeden z wojskowych, to zwycięzca Alonza de Ojeda; dzielny z niego żołnierz, szkoda tylko, że gotów zawsze do awantur.

Jak gdyby na usprawiedliwienie tych wyrazów, Luis, rzuciwszy wokoło pobieżne spojrzenie, zwrócił się wprost do Kolumba. Tłumione uśmiechy i wzruszenia ramionami wielu obecnych świadczyły, jak ogół uważał to zbliżenie. W tej chwili jednak skrzyknięcie drzwi gabinetu królowej zwróciło uwagę wszystkich, i zapomniano zarówno o żeglarzu, jak o młodym jego zwolenniku.

- Witam cię, don Kolumbie, rzekł Luis z pełnym poszanowaniem ukłonem, od pierwszej rozmowy naszej myślałem tylko o tobie, i radbym dziś z serca nauczyć się czegoś więcej.

Kolumb, jakkolwiek widocznie hołdem młodzieńczym ucieszony, nie mógł jednak w tym miejscu oddać się przyjemności, jakiej doznawał zawsze z wyłożenia komuś swych planów.

— Przyzwany tu jestem, odpowiedział, przez arcybiskupa Grenady, który, jak się zdaje, ma

polecenie rozstrzygnięcia mojej sprawy. Żyjemy w zaraniu wielkich wypadków, i nie daleki już dzień ich spełnienia.

— Na św. Piotra! wierzę ci, senior, lecz oczy twoje nie pędzej od moich ujrzą nowo odkryte kraje.

— Trzymam cię za słowo i zapewniam, że wielkie czyny twych przodków pójdą w niepamięć przed sławą jako się okryjesz.

— Don Krzysztof Kolumb! Zawołał paż królewski, i żeglarz postąpił naprzód, pełen radosnej nadziei.

Pierwszeństwo oddane człowiekowi, na którego patrzono z lekceważeniem, a nawet pogardą, wielce obecnych zadziwiło, i stało się przedmiotem licznych domysłów. Wkrótce jeden z urzędników dworskich przybył dla odebrania próśb, Luis zaś, niezadowolony z przerywania rozmowy, opuścił przedpokoje.

Ferdynand de Talavera nie zapomniał o rozkazach króla; zamiast jednak przydania pałatowi doradców zdolnych pojąć pomysły Kolumba, oboje królestwo wybrali na nieszczęście sześciu czy siedmiu dworzan, pocziwych wprawdzie, lecz nieprzywykłych do badań naukowych. Wobec takiego zebrania stawiono słynnego odkrywcę.

Po zwykłych formalnościach wstępnych, arcybiskup Grenady zabrał głos w imieniu komisji:

- Dowiadujemy się, rzekł, don Kolumbie, że starasz się o pomoc rządu dla odbycia podróży przez ocean Atlantycki, celem odkrycia nieznanych krajów.

- Taki jest rzeczywiście mój zamiar, najprzewielebniejszy ojcze. Rzecz ta tylokrotnie już była roztrąsana, iż nie mam potrzeby na nowo jej rozwijać.

- W Salamance kilku duchownych podzielało twe widoki, lecz większość była im przeciwna. Wszelako ich wysokość raczyli ustanowić komisję, dla bliższego ich rozpatrzenia. Jakiegoż uzbrojenia wymagasz, by pod opieką Boską skutecznie swe zamiary?

- Wasza eminencja mówisz prawdę; wszystko spełni się pod opieką Boską, ku czci i chwale Jego imienia. Przy takiej pomocy niewielkich potrzeba mi środków: żądam tylko dwóch statków z potrzebną załogą, pod banderą królewską.

Członkowie komisji spojrzeli po sobie z zadziwieniem; jedni z nich w tym skromnym wymaganiu widzieli lekkomyślność zapaleńca, drudzy niezachwianą wiarę. Arcybiskup należał do pierwszych.

— Niewiele to, zaprawdę, rzekł, a chociaż wojna wyczerpała zasoby państwa, uzbrojenie przecież dwóch statków sił jego nie przechodzi. Trzeba nam jednak porozumieć się co do warunków: życzysz zapewne, senior, otrzymać dowództwo wyprawy?

— Bez tego nie mógłbym ręczyć za skutek; żądam władzy admirała królewskiego, gdyż siła moralna dwóch koron powinna wesprzeć człowieka dźwigającego całe brzemie odpowiedzialności.

— To słusznie, nikt temu nie zaprzeczy. Ale jakich w swym przedsięwzięciu upatrujesz korzyści

dla kraju?

— Najpierw chwałę Bożą i rozszerzenie świętej religii chrześcijańskiej.

Ferdynand de Talavera i wszyscy obecni pobożnie się przeżegnali.

— Następnie pozyskanie dla ich wysokości nowych krajów; wiadomo bowiem, że jego świątobliwość, papież, przyznaje monarchom chrześcijańskim własność zdobytych na poganach przestrzeni.

— Prawda, don Kolumbie, odpowiedział prałat; Ojciec Święty posiada to prawo i wiadomo ci zapewne, że już nim obdarował Jana Portugalskiego, którego przywileje tym samym nie mogą być naruszone.

— Przedsięwzięcia Portugalczyków zwrócone są ku brzegom zachodniej Afryki, a więc w odmienną zupełnie stronę. Co do mnie, powtarzam, iż zamiarem moim jest żeglować na zachód, dla osiągnięcia Indii wschodnich, drogą skróconą o czas kilkumiesięczny.

Chociaż arcybiskup Grenady, z większą częścią zgromadzonych sędziów, należał do liczby przeciwników Kolumba, poważna jednak prostota z jaką odkrywca wykladał swe zamiary, zapal błyszczący w jego oku i siła prawdy cechująca każde jego słowo, głębokie na wszystkich uczyniły wrażenie.

- Czy pragniesz, senior, odszukać państwo Jana zakonnika? Odezwał się jeden z komisarzy.

- Nie wiem, szlachetny panie, czy istniał jaki władca tego imienia, odpowiedział Kolumb, którego zdanie, oparte na zasadach naukowych, nie zgadzało się z wiarą ludową. Zdaje mi się, że te rzeczy potrzebują udowodnienia.

Wyrazy te źle posłużyły sprawie żeglarza w ocenie sędziów; gdyż dla nich twierdzić, że ziemia jest kulistą, a Jan zakonnik należy do rzędu władców bajecznych, znaczyło porzucić wiarę w cudowność i zagłębiać się w rozumowania, niezgodne z pojęciem epoki.

- Są jednak ludzie, co wierzą w królestwo Jana zakonnika i zaprzeczają kulistości ziemi, z tej przyczyny zapewne, iż wiedzą o istnieniu królów, a przeciwnie widzą tylko, że ziemia zupełnie jest płaska.

Zarzut ten uczyniony przez jednego z członków komisji, przyjęty został przez większość z uśmiechem zadowolenia.

— Szlachetny panie, odpowiedział Kolumb łagodnie, gdyby wszystko na tym świecie rzeczywiście było takim, jakim się wydaje, to niewiele by ludzi miało się z czego spowiadać, i Kościół nie potrzebowałby naznaczać pokuty.

— Mniemam, don Kolumbie, że dobrym jesteś chrześcijaninem, rzekł arcybiskup z cierpkością.

— Jestem nim, z łaski Boga, wasza eminencjo, lecz sądzę, że dokonawszy zamierzonego dzieła, godniejszym będę imienia Jego sługi.

— Powiadają, że uważasz się przeznaczonym do tego przez Opatrzność?

— Jakieś uczucie nieokreślone ośmiela mnie do takiego przypuszczenia, ale nie mam tyle zarozumiałości, aby rozstrzygać tajemnice przechodzące moje pojęcie.

Trudno powiedzieć, czy Kolumb przez tę odpowiedź zyskał, czy stracił w umyśle słuchaczy. Wprawdzie zgadzała się ona wybornie z wyobrażeniami religijnymi wieku, duchowni jednak dumne to wystąpienie świeckiego człowieka w roli narzędzia Opatrzności uważali za przywłaszczenie.

— Chcesz osiągnąć wyspy Cipango, płynąc przez ocean Atlantycki, wtrącił arcybiskup, a przecyzysz istnieniu Jana zakonnika?

- Wybacz, świętobliwy prałacie, nie przeczę mu w zupełności, utrzymuję tylko, że nie jest udowodnione.

- Wszak podanie niesie, że przed dwustu laty król tego imienia nawrócony został przez biskupa Giovannii di Montecorvino.

- Bóg jest wszechmocny, księże arcybiskupie, nie uwłaczam też bynajmniej zasłudze apostołów wiary, ale powiadam, iż żaden powód rozumowy nie usprawiedliwiłaby wycieczki dla odszukania urojonego może państwa. Przeciwnie, co do wyspy Cipango mamy wiarygodne doniesienia słynnych żeglarzy weneckich Marco i Nicolo Polo, którzy tam przez lat kilka przebywali. W każdym jednak razie, szlachetny panie, czy chodzić będzie o królestwo Jana zakonnika, czy o inną część ziemi, zawsze ocean Atlantycki musi mieć swe granice od zachodu, i do tych właśnie dotrzeć zamyślam.

Arcybiskup niedowierzająco potrząsnął głową, wiedząc jednak, że teoria Kolumba była przedmiotem poważnych rozpraw w Salamance, nie objawił osobistego przekonania.

- Don Kolumbie, rzekł po chwili, wyłożyłeś nam korzyści płynące dla kraju z wykonania twych planów; są one w istocie świetne, jeżeli tylko twe nadzieje okażą się zasadne. Pozostaje nam dowiedzieć się jakiej dla siebie żądasz nagrody.

— Rozważyłem ten przedmiot dokładnie i warunki swoje spisałem na tym papierze.

Kolumb doręczył Ferdynandowi de Talavera memoriał, a prałat zrazu pobieżnie, później z większą uwagą zaczął go przeglądać. Podczas czytania twarz jego przybierała wyraz zniechęcenia i szyderstwa; potem rzucił okiem na Kolumba, jak gdyby się chciał upewnić, czy mówi z człowiekiem będącym przy zdrowych zmysłach.

— To chyba dla żartu przedstawiasz te warunki, rzekł wreszcie głosem surowym.

Eminencjo, odparł z godnością Kolumb, przez lat osiemnaście trawiłem bezsenne noce nad roztrząsaniem swych pomysłów. Prawda z każdym dniem dla mnie staje się jaśniejszą. Wierze w swoje dzieło i uważam się wybranym przez Boga na jego dokonanie. Lecz potrzebuję władzy,

potrzebuję otoczyć się powagą, i dlatego w niczym odstąpić nie mogę od podanych warunków.

Mimo pewności z jaką Kolumb wymówił te słowa, prałat przekonany był, że długie rozmyślanie nad jednym przedmiotem umysł jego zmaćlił. Wnioski naukowe żeglarza i prawdopodobieństwo przypuszczeń jego, chociaż nie przekonały Ferdynanda de Talavera, zostawiły go jednak w niepewności, ale żądania memoriału uważał za tak przesadnie wygórowane, że litość jedynie wstrzymała wybuch jego gniewu.

— Jak uważacie panowie, zawołał, zwracając się do kolegów przeglądających ciekawe pismo genuieńczyka, czy przedłożenia don Krzysztofa Kolumba, słynnego żeglarza, który zawstydził swym rozumem uczonych Salamanki, nie powinny wdzięcznością przejąć serca ich królewskich wysokości?

- Racz wasza eminencjo przeczytać nam takowe, odezwało się kilka głosów.

- Pomijając mniej ważne punkty, ciągnął dalej arcybiskup Grenady, dwa z nich szczególnie nazwać można prawdziwą dla ich królewskich mości niespodzianką. Don Kolumb poprzestaje na stopniu admirała i wicekróla wszystkich krajów odkrytych, i na dziesiątej części dochodów.

Ogólne szemranie przyjęło te słowa prałata, i odtąd już Kolumb nie mógł się spodziewać żadnego ze strony komisji poparcia.

- To nie wszystko jeszcze, szacowni bracia i koledzy, dodał arcybiskup, z obawy zapewne, aby brzemień tych nowych godności nie obciążyło zbyt ciężko ramion naszych władców, łaskawy nasz odkrywca na wieczne czasy, wraz z dziesięcią dochodów, przywileje te przekazuje swemu potomstwu.

Surowe, lecz szlachetne oblicze wielkiego człowieka, będącego przedmiotem takiego urągania, nie okazało śladu najmniejszego wzruszenia. Członkowie komisji, pod wpływem tej jego powagi, od głośnego powstrzymali się śmiechu; sam Ferdynand de Talavera uczuł, że się posunął za daleko.

— Wybacz, rzekł do Kolumba, z niejakim już ugrzecznieniem, ale warunki twoje tak są dziwaczne, iż wierzyć nie mogę, abyś przy nich obstawał.

— Z tego co napisałem nie ustąpię ani jednej litery, księżu arcybiskupie. Żądam tylko co do mnie należy, i postępując inaczej ubliżyłbym swej godności. Uzyskam dla władców Hiszpanii państwo rozleglejsze zapewne i bogatsze od tego, które posiadają, i za to dopominam się nagrody. Powiem nawet waszej eminencji, że w moim memoriale kilka punktów wymaga dopełnienia.

— Zaprawdę podziwiać należy skromność, a zarazem roztropność don Kolumba, zawołał jeden z dworzan, nie mogąc powściągnąć zniecierpliwienia. Jeżeli wyprawa spełznie na niczym, dostąpi darmo zaszczytu dowództwa w imieniu ich wysokości; jeżeli zaś, choć to się sprzeciwia wszelkiemu prawdopodobieństwu, pomyślny weźmie obrót, zostanie wicekrólem i pobierać będzie dziesiątą część dochodów, tyle tylko co kościół.

Uwaga ta ostatecznie rzecz całą rozstrzygnęła. Członkowie komisji powstali ze swoich miejsc, jak gdyby tę sprawę uważali za niegodną dalszego rozważania. Dla zachowania jedynie pozorów bezstronności, arcybiskup zwrócił się jeszcze do Kolumba, i pewny już swej wyższości, rzekł głosem złagodzonego.

- Po raz ostatni zapytuję cię, don Kolumbie, czy obstajesz przy tych przesadnych warunkach?

- Obstaję nieodmiennie! - odpowiedział uroczyście Kolumb.

- Dostyc na tym, dostyc! - wołano zewsząd. Sędziowie wyszli z sali, a Ferdynand de Talavera oświadczył Kolumbowi, iż złoży raport i następnie zawiadomi go o skutku.

Kolumb opuścił posiedzenie z niezachwianą ufnością człowieka znającego swe siły, którego umysł krzepki wywyższyć się potrafił nad przesady i małoduszność współczesnych.

Ferdynand de Talavera dotrzymał słowa. Będąc spowiednikiem królowej, miał w każdej chwili przystęp do jej osoby; zaraz więc udał się na pokoje, gdzie bez trudności został przyjęty. Izabella wysłuchiwała prałata z prawdziwym żalem, bo już ta podróż nadzwyczajna silnie jej wyobraźnię zajęła, ale wpływ arcybiskupa przeważał.

- To zarozumiałość do zuchwalstwa posunięta, najjaśniejsza pani, rzekł rozdrażniony duchowny, żeby człowiek żebrzący łaski dopominał się o zaszczyty przynależne tylko pomazańcom Boskim. Któż jest ten Kolumb? Genuńczyk, nieznanego pochodzenia, bez zasług, bez przeszłości, a jednak sięga po władzę, którą za ledwie księżę krwi królewskiej godnie mógłby piastować.

— Mówiono mi, że jest dobrym chrześcijaninem, odrzekła łagodnie królowa, że pragnie usłużyć chwale Bożej przez rozszerzenie świętej religii naszej.

— Nie przeczę temu, najłaskawsza królowo; lecz w tym wszystkim wiedzieć nie można, czy w przedsięwzięciu Kolumba nie kryje się jakiś podstęp.

— Nie, księżu arcybiskupie, ręczę, że człowiek ten nie zna fałszu; bo rzadko w kim znaleźć można tyle szczerego wylania, tyle męskiej godności. Długo już, bardzo długo, jak ci wiadomo, stara się on o nasze względy, lecz mimo doznanych zawodów nie można mu zarzucić najmniejszego podstępu.

— Nie chcę wnioskować lekkomyślnie o charakterze tego człowieka, miłościwa królowo; ale osądzmy z zimną rozważą jego czyny i wymagania, i zobaczymy czy pogodzić się dadzą z godnością korony. Przyznaję, że genuńczyk jest rozumny, poważny i stateczny w postępowaniu, a cenię wysoko te przymioty, zwłaszcza, iż żyjąc na dworze, spostrzegam często przeciwne im wady. Izabella uśmiechnęła się w milczeniu, gdyż doradca jej religijny miał przywilej czynienia podobnych uwag.

— Jednakże, dodał prałat, człowiek ten może być zacnym, nie będąc wybranym narzędziem Opatrzności. Zresztą największe nawet cnoty nie mają wartości, jeśli im towarzyszy pycha i

chciwość niepomiarowana. Chciej tylko rozważyć, najjaśniejsza pani, istotę jego żądań. Nieznany przybysz, nie tylko dla siebie, lecz nawet dla potomstwa swego, domaga się stopnia przedstawiciela korony i dostojęstwa naczelnego admirała na wszystkich morzach oblewających kraje, które ma odkryć i pod tym jedynie warunkiem przyjmuje dowództwo w imieniu waszych wysokości, co samo już z siebie wielkim dla niego byłoby zaszczytem. Jeżeli, w co wątpię, wybujałe nadzieje jego zostaną zniszczone, nagroda jakiej dostąpi przewyższy nieskończenie zasługę; w przeciwnym razie wyprawa okryje się śmiesznością i godność korony wiele na tym ucierpi.

- Markizo, córko moja, rzekła królowa obracając się do powiernicy siedzącej nieopodal przy robocie, żądania Kolumba zdają się rzeczywiście wykraczać poza granice rozsądku.

- Ależ i dzieło jego przechodzi śmiałością wszystko co kiedykolwiek pomyślano, odpowiedziała donna Beatrix, spoglądając na Mercedes. Wielkie usiłowania na wielką też zasługują nagrodę.

Oko Izabelli, idąc w ślad za spojrzeniem przyjaciółki, spoczęło na bladym i zmieszonym obliczu dziewczycy. Mercedes nie wiedziała, że jest przedmiotem uwagi swych opiekunek, lecz żywe wzruszenie, odbite na jej młodocianej twarzy, świadczyło o pełnym niepokoju i zajęciu z jakim wyczekiwała końca rozmowy. Zdanie spowiednika królewskiego tak na pozór było ugruntowane, że Izabella już miała przystać na raport komisji, porzucając tym samym sprawę, z którą tyle łączyło się nadziei. W tej chwili jednak uczucie kobiecej tkliwości przechyliło znów szalę ku stronie odkrywcy. Niewiasty prawie zawsze mają współczucie dla niewinnej miłości; i w tym przypadku wzgląd na Mercedes de Valverde pokierował wolą królowej.

— Księżę arcybiskupie, rzekła, nie zbywajmy się zbyt pośpiesznie pomysłów tego człowieka; miejmy raczej na względzie gorliwość jego i dobre chęci. Postawione przezeń warunki w istocie są nieco wygórowane, lecz dojrzała rozważa skłoni go niezawodnie do większego umiarkowania. Należy mu podać zastrzeżenia, a pewnie je uwzględni, jeśli nie przez rozważę, to przez samą konieczność. Przyznanie stopnia wicekróla nie zgadza się z polityką, podobnie ustąpienie dziesiątej części dochodów, jako przynależnej tylko Kościołowi, ale na tytuł admirała chętnie zezwalamy. Powiedz mu wreszcie, iż może uzyskać piętnastą część dochodów, zamiast dziesiątej, i wicekrólestwo dla swej osoby, lecz dopóty tylko, póki to będzie zgodne z naszymi interesami.

Ferdynand de Talavera uważał wprawdzie te warunki za zbyt korzystne, jednak mimo wpływu jaki mu nadawały duchowne przy królowej obowiązki, znając nieugięty jej charakter, nie śmiał już żadnej czynić uwagi. Odebrawszy niektóre jeszcze rozkazy, pośpieszył wywiązać się z otrzymanego polecenia.

Nazajutrz po tej rozmowie królowa, otoczona gronem zaufanych osób, siedziała jak zwykle w swych pokojach, zajęta ręczną pracą, gdy arcybiskup, zażądawszy posłuchania, wszedł zmieszany i widocznie rozdrażniony.

- I cóż świątobliwy prałacie, zapytała Izabella, czy nowa trzódka twoja nabawia cię kłopotu? Zapewne nawracanie niewiernych przychodzi ci z trudnością?

- Nie o tym myślę w tej chwili, najjaśniejsza pani. Wyznawcy fałszywego proroka rozumniejsi są w wielu względach od innych, co przemawiają w imieniu Chrystusa. Ten Kolumb jest szaleńcem, niegodnym zaufania waszej królewskiej mości.

Na ten wybuch oburzenia, królowa, markiza de Moya i Mercedes de Valverde jednocześnie opuściły robotę, spoglądając na prałata. Wszystkie trzy spodziewały się, iż trudności stojące na zawadzie przedsięwzięciu Kolumba zostaną usunięte; wszystkie trzy pewne były, że nareszcie zbliży się chwila, w której ten człowiek, co śmiałością pomysłów tyle w ich sercu uzyskał współczucia, będzie mógł wykonać swe plany. Teraz nadzieje ich zdawały się zniweczone.

— Czy przedłożyłeś Kolumbowi nasze warunki, księżę arcybiskupie? zapytała królowa głosem niezwyklej surowości; obstaje on ciągle przy niesłusznym żądaniu dziedziczenia wicekrólestwa.

— Nie inaczej, miłościwa pani. Gdyby Izabella kastylijska wchodziła w układy z Henrykiem angielskim, albo Ludwikiem francuskim przez jego pośrednictwo, ten zuchwały genueńczyk nie mógłby większego okazać zrozumienia. Nie chce słyszeć o żadnym ustępstwie; uważa się za wybrańca Bożego i przemawia językiem człowieka natchnionego Duchem Świętym.

— Chwałę poniekąd tę stałość, rzekła królowa, lecz każda rzecz ma swe granice. Porzucam więc sprawę Kolumba, zostawiając go losowi.

Słowa te zdawały się stanowczo rzecz całą rozstrzygać. Arcybiskup, uspokojony nimi, po krótkiej naradzie z Izabella opuścił salę. Zaraz też doniesiono Kolumbowi, że warunki jego zostały ostatecznie odrzucone i wszelkie z nim układy zerwano.

ROZDZIAŁ VIII

Było to w pierwszych dniach lutego, w porze gdy pod tym niebem ożywcza świeżość i ciepło atmosfery zapowiada już zbliżanie się wiosny. Ranek następujący po widzeniu się arcybiskupa Grenady z królową zgromadził kilka osób przed jednym z zabudowań Santa Fe, wystawionych, jak powiedzieliśmy, dla pomieszczenia zwycięskiej armii. Większość nielicznego zebrania stanowili poważni, w dojrzałym już wieku mężowie; pomiędzy nimi odznaczała się wyniosła i szlachetna postać Kolumba, a Luis de Bobadilla sam jeden tylko przedstawiał młodszą część towarzystwa. Odkrywca był w podróznym ubraniu, nieopodal zaś stały dwa konie okulbaczone już do drogi. W gronie Hiszpanów znajdował się Alonzo de Quintanilla, dyrektor skarbu Kastylii, tudzież Luis de Saint-Angel, poborca dochodów kościelnych Aragonii, jeden z najgorliwszych stronników Kolumba.

Dwaj ci mężowie kończyli właśnie bardzo żywą rozmowę, szlachetny Saint-Angel zawołał z zapalem:

— Klnę się na sławę korony, że sprawa ta inaczej powinna się była zakończyć. Żegnamy cię, senior, oby cię Bóg miał w opiece i dozwolił znaleźć gdzie indziej sprawiedliwszych sędziów. Przeszłość pełna bolesnych zawodów przeminęła; przyszłość należy do ciebie.

Po tych słowach wszyscy zgromadzeni, z wyjątkiem Luisa de Bobadilla, pożegnali Kolumba; żeglarz z młodym towarzyszem dosiedli koni i puścili się w ulice miasta, zachowując zupełne milczenie, dopóki w otwarte nie dostali się pole. Twarz Kolumba nosiła wyraz cierpienia, lecz oko jego błyskało tym ogniem niestłumionym, co w duchu czerpie swój żywioł podsycający.

Przy bramach Santa-Fe Kolumb obrócił się do towarzysza, i rzekł, powodowany uczuciem szlachetnej delikatności:

- Wdzięczny ci jestem szczerze za tyle dowodów przywiązania, lecz obowiązek nakazuje mi zwrócić twą uwagę, że może tym uwłaczasz swemu dostojnemu urodzeniu. Czy zauważyłeś, mój młody przyjacielu, jak w mieście z pogardą wytykano mię palcami?

- Widziałem to, senior, odpowiedział Luis, którego twarz na to wspomnienie spłonęła oburzeniem, i gdyby nie obawa rozgniewania ciebie, roztratowałbym tych nędzników.

— Bardzo rozsądnie uczyniłeś, żeś się wstrzymał od wybuchu; bo są to ludzie, których zbiorowy sąd tworzy tak zwaną opinię publiczną. Nie przypuszczam nawet, aby położenie społeczne wpływało na ich zdanie. Iluż to w wyższych stanach mamy ludzi płytkiego umysłu, a przeciwnie między pospółstwem iluż szlachetnie pojmujących i czujących. Bądź co bądź, zawsze przychylność twoja ku mojej sprawie może się okryć śmiesznością u dworu.

— Wara każdemu od nieprzystojnych względem ciebie, mój mistrzu, wyrażań, nie jestem z bardzo cierpliwych i krew kastylijska kipi w mych żyłach.

— Przykro by mi było widzieć cię wplątany w jakąkolwiek z mego powodu nieprzyjemność. A zresztą, jeżeli uważać mamy na zdanie lada głupca, to wiecznie chyba przyjdzie nam wojować; niechże się nadrwią do woli.

Wyrazy te przekonały porywczego młodzieńca o bezcelowości wyjawionego uniesienia, zwracając się jednak w myśli do wątku poprzedniej rozmowy, dodał po chwili:

— Mówisz o szlachcie jakby nie o swoich, chociaż zapewne sam jesteś szlachcicem.

— Czy zmienisz powzięte o mnie wyobrażenie, gdy ci odpowiem przecząco?

Don Luis, żalując niewczesnej uwagi, zawstydył się, lecz idąc za popędem wrodzonej prostoduszności, odrzekł zaraz otwarcie:

- Na św. Piotra, mojego patrona, dla zaszczytu klas wyższych pragnąłbym widzieć cię szlachetnie urodzonym. Jest między nami tylu niosących zakaleę rycerstwu, że radziłyśmy przyjąć tak

szacowny nabytek.

- Młodzieńcze, odpowiedział Kolumb z uśmiechem, sprawy światowe nieustannym podlegają zmianom. Jak noc po dniu, jak pora roku idzie za porą, tak i społeczność ludzka ciągle się przeistacza. W rodzie moim przechowuje się podanie, że Kolumbowie należeli kiedyś do szlachty, ale niepomyślny los zmusił ich później do ręcznej pracy. Lecz mam się wyrzec przyjemności towarzystwa don Luisa de Bobadilla, z przyczyn, że złożyć nie mogę dowodów szlachetnego pochodzenia?

- Mylisz się, senior, jeśli tak sądzisz w istocie. Ponieważ niezadługo rozstać się mamy na czas jakiś, pozwól bym ci odkrył najskrytsze swoje myśli. Wyznaję, że słysząc po raz pierwszy o twych zamiarach, uważałem je za urojenie szaleńca.

- Wiem o tym aż nadto dobrze, mój młody przyjacielu, że takie jest zdanie wielu rozumnych ludzi, może nawet samego Ferdynanda i prałata, któremu zlecono rozpatrzenie mojej sprawy.

— Wybacz don Kolumbie, jeżeli słowa moje choć chwilową sprawiły ci przykrość, lecz jeśli kiedyś niesprawiedliwy byłem względem ciebie, pragnę to obecnie wynagrodzić. Początkowo chciałem poznać się z tobą jedynie dla rozrywki; następnie, chociaż nie byłem jeszcze przekonany o prawdziwości twojej nauki, spostrzegłem jednak, że jesteś głębokim myślicielem. Okoliczność wyłączenie mej osoby dotycząca wpłynęła ostatecznie na moje przeistoczenie. Trzeba ci wiedzieć, mistrzu, że choć jestem potomkiem starożytnej rodziny i znaczny posiadam majątek, nie zawsze jednak odpowiadałem życzeniom opiekunów swej młodości.

— Nie do mnie należy ocenić...

— Na św. Łukasza, muszę dokończyć wyznania. Od dzieciństwa prawie dwie sprzeczne namiętności miotają moją duszą: żądza podróży, i miłość dla Mercedes de Valverde, najpiękniejszej, najlepszej, najtkliwszej z dziewczyn kastylijskich.

— I do tego szlachetnej, przerwał Kolumb z uśmiechem.

— Senior, odrzekł poważnie don Luis, nie żartuję nigdy, gdy mówię o swym aniele opiekuńczym. Związek z nią zaszczyca moje imię, bo krew Guzmanów płynie w jej żyłach. Posiadam jej przychylność, lecz ubieganie się za przygodami ściągnęło na mnie naganę wielu osób, a między nimi własnej mojej ciotki, donny Beatrix de Cabrera, opiekunki Mercedes. Królowa, której wola stała się prawem dla szlachetnie urodzonych dziewczyn Kastylii, jest także do mnie uprzedzona; chcąc przeto pozyskać rękę Mercedes, powinienem koniecznie starać się o względy donny Izabelli. Otóż wpadłem na myśl (Luis był delikatny, aby zdradzić ukochaną wyznaniem, że ona właściwie pomysł ten rzuciła) skierowania bezużytecznej włości swojej do wzniosłego celu, jednym słowem postanowiłem wziąć udział w twojej wyprawie, wiedząc, że tym sposobem zniewolę królową, donnę Beatrix i wszystkich niechętnych. W takich więc widokach zbliżyłem się do ciebie, a siła dowodów

twoich zupełnie mnie nawróciła. Obecnie wierzę z takim przekonaniem w prawdziwość twej nauki, jak najgorliwszy duchowny w kardynalne zasady religii chrześcijańskiej.

- Nie wspominaj z lekceważeniem o sługach Kościoła, odpowiedział Kolumb; co tylko się odnosi do służby Bożej, powinno być dla nas przedmiotem poważania. Zdaje się więc, dodał po chwili z uśmiechem, że pozyskanie nowego ucznia winienem wpływowi miłości i rozumu: miłość, jako silniejsza, pierwsze przełamała zapory, a rozum dokonał dzieła. Tak to zwykle bywa u młodych.

- Nie przeczę potędze miłości, senior, gdyż jestem tak skrepowany słodkimi jej więzami, że daremnie usiłowałbym z nich się otrząsnąć. Powiedziałem wszystko, a teraz przysięgam uroczyście, że towarzyszyć ci będę gdziekolwiek obrócisz swoje kroki; spodziewam się po pierwsze usłużyć Bogu, po wtóre zaspokoić żądzę zwiedzania obcych krajów i po trzecie otrzymać rękę pięknej Mercedes de Va!verde.

— Przyjmuję zobowiązanie twoje, mój synu, rzekł Kolumb, ujęty szczerym zapalem młodzieńca, lecz wierniej byś niezawodnie przedstawił bieg swoich myśli, gdybyś przewrócił kolej wyliczonych pobudek.

— Za kilka miesięcy będę panem swojego majątku, ciągnął dalej don Luis, nie zważając na żartobliwe wyrazy odkrywcy, a wtedy chyba wola królowej Izabelli stanąć może na zawadzie uzbrojeniu choć jednego okrętu moim kosztem. Nie jestem poddanym don Ferdynanda, tylko lennikiem starszej linii domu Transtamare; obojętność więc króla bynajmniej mnie nie powstrzyma.

— Uczucia twoje nacechowane są szlachetnym poświęceniem, właściwym tylko wiekowi młodocianemu, lecz mnie nie przystoi korzystać z niczyjego niedoświadczenia, a nadto zamiary moje wymagają koniecznie poparcia korony. Gdybyśmy poczynili odkrycia na własną rękę, kto inny nie omieszkałby z nich korzystać. Którekolwiek państwo morskie zabrałoby owoce naszej pracy, bez żadnej dla nas samych rękojmi. Teraz, mój młody przyjacielu, trzeba nam się rozstać: jeżeli usiłowania moje we Francji pomyślny wezmą skutek, zaraz ci o tym doniosę, gdyż pragnę najgoręcej zapewnić sobie pomoc tak dzielnego rycerza. Tymczasem jednak nie narażaj się bez potrzeby, skoro sprawa moja w Kastylii stanowczo już upadła. Powtarzam raz jeszcze, trzeba nam się rozstać.

Luis de Bobadilla zapewniał obojętność swoją względem opinii publicznej. Kolumb zaś, bardziej przewidujący, chociaż sam umiał się wynieść nad zdanie powszechności, nie chciał zezwolić, aby młodzieniec wysoko urodzony poświęcił stanowisko swoje dla przyjaźni. Pożegnanie było ciche, lecz serdeczne; po czym każdy z podróżników udał się w swoją stronę.

W chwili rozstania don Luis de Bobadilla przejęty był oburzeniem, myśląc o zniewagach wyrządzonych Kolumbowi, podczas gdy ten odmiennych zupełnie doznawał uczuć. Przez siedem

lat ubiegał się o pomoc rządu hiszpańskiego, ileż to cierpień, niedostatku, ile pogardy i nienawiści przyszło mu znosić cierpliwie. Pracą rąk swoich zarabiając na utrzymanie, chwycił się dotąd skwapliwie najslabszego promyka nadziei, i zwalczał napotykanne przeszkody z wytrwałością, godną zaiste tak wielkiego dzieła. Teraz, zamiast uwieńczenia swych życzeń, zawodu doznał. Gdy Izabella przyzwała go do siebie, pewien już niemal zwycięstwa, oczekiwał z ufnością końca wojny przeciw Maurom.

Zdawało się, iż został nareszcie zrozumiany, a tu odepchnięto go jako szaleńca, marzącego o rzeczach niepodobnych; budowa przyszłości, wzniesiona tylko ofiarami, pracą i poświęceniem, rozsypała się w gruzy.

Nic dziwnego, że w takim będąc usposobieniu, wielki odkrywca, zostawszy sam na sam ze swoimi myślami, upadł chwilowo na duchu. Głowę opuścił na piersi, a przeszłość w zmieszanych obrazach stawiała przed nim pełne goryczy i cierpienia wspomnienia. Pobyt w Hiszpanii wydał mu się plamą niezatartą na tle nieskażonego żywota, nie mógł przewidzieć, czy przeszłość na równie ciężkie nie wystawi go próby. Czuł się powołany do wykonania wielkiego dzieła, ale był starcem prawie, bo liczył lat sześćdziesiąt, dni jego schylały się ku końcowi, a jeszcze go nie rozpoczął. Wszelako siła wiary w tym nadzwyczajnym człowieku przemagała zwątpienia; przekonany był o prawdzie swych pomysłów, które nieświadomość zdeptała, a płytkość pojęć okryła śmiesznością; z wolna też w szlachetne jego serce wstąpiło zaufanie.

— Ty rządysz nami, Istoto Wszzechmogąca! zawołał, wznosząc oczy ku niebu; ty wiesz, że chwałę Twoją wyłącznie mam na celu, i nie odmówisz mi swej pomocy!

Ulżywszy tymi słowy znękanemu sercu, wyprostował się. Na poważnym jego obliczu przelotny zajaśniał uśmiech, a choć z piersi bolesne niekiedy wydzierały się jeszcze westchnienia, chociaż brzemień troski nie przestało ciążyć mu na sercu, to widać już było, iż zapanował nad sobą.

Zostawmy Kolumba posuwającego się na drodze ku Francji, i powróćmy do Santa-Fe, na dwór królewski, gdzie niespodziane tymczasem zaszły wypadki.

Luis de Saint-Angel był jednym z tych umysłów wyjątkowych, co prześcigając swój wiek, zdolne są pojąć od razu i ukochać każdą sprawę zmierzającą ku dobru ludzkości. Zapalony stronnik Kolumba, pożegnawszy mistrza, zdążył do Santa-Fe ze swym przyjacielem, Alonzo de Quintanilla. Rozmowa toczyła się o pomysłach wielkiego genuencyka, o doznanym przez niego zawodzie i o hańbie jaką to ściąga na Hiszpanię. Gwałtowny i porywczy w wyrażeniach, poborca dochodów kościelnych nie szczędził nagany dworowi, a każde słowo jego znalazło odgłos w sercu dyrektora skarbu. Obaj postanowili raz jeszcze odwołać się do sądu królowej.

Izabella dla wiernych swoich sług zawsze była przystępna. W tym wieku surowej etykiety, królowa umiała odsunąć od swej osoby niepotrzebne formalności; prosząc więc natychmiast zostali

wpuszczeni.

W pokoju, oprócz kilku dam dworskich, znajdowały się markiza de Moya i donna Mercedes de Valverde. Król w przyległym gabinecie zajmował się, jak zwykle, sprawami państwa.

— Jakież to szczęśliwy traf sprowadza waszmościów tak rano, senior Saint-Angel i senior Quintanilla? — rzekła Izabella uprzejmie. Zaprawdę, nie przywykłam widzieć was w liczbie proszących.

— Nie stajemy też przed obliczem waszej wysokości w interesie własnym, odezwał się Luis de Saint-Angel. Pragniemy tylko przedstawić jej środek zubożenia korony kastylijskiej klejnotami świetniejszymi pewnie od tych, które posiada.

Izabella, jakkolwiek zdziwiona tymi słowami, nie obraziła się jednak ich śmiałością, przyzwyczajona była od dawna do dobroduszości poborcy dochodów kościelnych.

— Czy pozostaje jeszcze do zdobycia jaka posiadłość mauretańska, panie poborco? zapytała po chwili.

— Życzyłbym abyś wasza miłość przyjęła z wdzięcznością zesłane na nas przez Boga dobrodziejstwa, zamiast odtrącać takowe z lekceważeniem! zawołał Saint-Angel, całując podaną sobie rękę królowej z wyrazem uszanowania, łagodzącym ostrość jego wymowy. Czy wiadomo najjaśniejszej pani, że Krzysztof Kolumb, na którego zamiary uwaga wszystkich myślących z nateżeniem jest zwrócona, samotnie dziś opuścił nasze miasto?

— Spodziewałam się tego, senior. Zlecieliśmy z królem jego sprawę arcybiskupowi Grenady i kilku wiernym doradcom korony, a zdaniem ich żądania genueńczyka są tak wygórowane, że nie mogliśmy takowych zatwierdzić. Kto podaje plany niepewne w skutku, powinien okazać więcej umiarkowania.

- Nie jest to cechą pospolitego umysłu wyrzekać się raczej swych nadziei, jak swej godności, podpowiedział Saint-Angel. Kolumb wymagania swoje zastosował do ważności przedmiotu.

- Kto w wielkich rzeczach sam mało się ceni, dodał Alonzo de Quintanilla, ten pewnie im nie podola.

- W istocie, najlaskawsza królowo, ciągnął dalej Saint-Angel, nie zostawiając Izabelli czasu do odpowiedzi, wartość człowieka najlepiej poznać można po cenie jaką na czyny swe naznacza. Dzieło Kolumba, jeśli się powiedzie, nie zatrze świetnością może wszystkiego, co zrobiono od początku świata? Jest to przedsięwzięcie powszednie okrążyć ziemię, w ślad goniąc za słońcem? i nie zapewnia ono znakomitych dla kraju korzyści. Zaiste, umysł monarchini naszej, tak szybko zawsze i trafnie sądzący, oddaje bez wątpienia sprawiedliwość geniuszowi wielkiego żeglarza.

- Zbyt żywo bierzesz rzeczy, mój dobry Saint-Angel, odrzekła królowa z uśmiechem pełnym dobroci, a żywość, jak wiadomo, idzie często w parze z brakiem rozwagi. Nie przeczę, iż plany

Kolumba, w pomyślnym razie, przyniosłyby zaszczyt i korzyść krajowi. Ale przypuśćmy wypadek przeciwny: to mianowanie go wicekrólem krajów nieistniejących ściągnęłoby na nas szyderstwa.

— Widzę w tym wszystkim wpływ arcybiskupa Grenady, który zawsze był nieprzychylny Kolumbowi. Wielkości i sławy, najjaśniejsza pani, nikt nie dostąpi bez poświęceń. Racz tylko zwrócić uwagę na sąsiadów naszych, Portugalczyków; ileż to oni w ostatnich latach poczynili odkryć, podczas gdy my spoczywamy w beczynności. Wiemy już, najlaskawsza królowo, że ziemia jest okrągła...

— Czy pewny jesteś tego; senior? zapytał król, który zwabiony ożywioną rozmową, opuścił pracownię i podszedł niepostrzeżony. Uczeni nasi w Salamance różnego byli zdania, i na św. Jakuba, nic za tym przypuszczeniem w mych oczach nie przemawia.

Saint-Angel zwrócił się ku królowi z żywością zapasznika, co nowego spotyka nieprzyjaciela.

— Miłościwy królu, rzekł, jeśli ziemia nie jest okrągła, to jakież jej kształt nadamy? Zapewne żaden z uczonych, w Salamance lub gdziekolwiek, nie zechce utrzymywać, że jest płaska, że z brzegu jej skoczyć można na słońce, gdy ono w nocy zniża się za widnokrąg? Zgadza się to z rozumem, lub wreszcie Pismem Świętym?

— Żaden z uczonych, w Salamance lub gdziekolwiek, powtórzył za nim król, nie przyzna, senior, iż narody przeciwnej strony/ziemi mogą chodzić do góry nogami, że deszcz tam zamiast spadać wznosi się w górę, że morze pozostaje w swych brzegach, nie opierając się na dnie, tylko mając je nad sobą zawieszane.

- Dla rozwiązania właśnie tych zagadek, najlaskawszy królu i panie, chciałbym żeby Kolumb powrócił. Kadłub okrętu większy jest od masztów, a jednak w oddaleniu pokazują się naprzód te ostatnie; widocznie więc, że sam statek zakrywa wypukłość morza, a jeśli tak jest, o czym nie wątpi żaden z doświadczonych żeglarzy, to czemu wody dalekich mórz, układając się do równowagi, nie zalewają naszych brzegów? Jeżeli ziemia jest okrągła wtedy można ją okrążyć, oceanem albo lądem. Otóż Kolumb zamierza sprawdzić te wszystkie przypuszczenia, usuwając dotychczasowe wątpliwości, a monarcha, co na to dostarczy środków, lepiej się zasłuży ludzkości, niż najdzielniejszy wojownik. Racz tylko rozważyć, najjaśniejszy panie, że na wschodzie mieszkają narody pogańskie, nad którymi Ojciec święty przyznaje zwierzchnictwo temu, kto pierwszy poniesie im światło Ewangelii. Naprawdę, w przypadku przyjęcia warunków Kolumba przez inne mocarstwo, nieprzyjaciele Hiszpanii głośnym wybuchną tryumfem!

- Gdzież się obrócił ten Kolumb? zapytał nagle król, którego zawiść polityczna nie mogła znieść myśli, aby ktokolwiek inny zebrał przypuszczalne korzyści tego dzieła; zapewne się udał do Portugalii?

— Nie, najjaśniejszy panie, zamierza starać się o pomoc króla francuskiego, aż nadto znanego z

nieprzychylności dla Aragonii.

Ferdynand, przechodząc się po sali wielkimi krokami, zdawał się toczyć wewnętrzną walkę próżności z rozumem i rachubą finansową. Izabella zostawała jedynie pod wpływem odmiennych zupełnie uczuć. Ona z pobożności jedynie pragnęła urzeczywistnienia zamysłów Kolumba; szlachetne jej serce sprzyjało wielkiemu dziełu bez innych widoków, prócz chwały Bożej i dobra ludzkości. Zajęcie wypadkami wojennymi nie pozwoliło jej wtajemniczyć się zupełnie w naukę żeglarza, lecz, oddalając go za radą swojego spowiednika, czyniła to ze wstrętem. Teraz spojrzała na Mercedes, której twarz zmieszana i błada milcząco wstawiała się za Kolumbem, do uczuć tych przyłączyła się jeszcze i litość.

— Markizo, córko moja, rzekła królowa, wierna zwyczajowi swojemu odwoływała się w przypadkach wątpliwych do sądu powiernicy, co myślisz o tej sprawie? Mamy się upokorzyć przyzwaniem jeszcze raz dumnego genuńczyka?

— Nie chcesz go tak nazywać, miłościwa pani, bo zdaje mi się, iż Kolumb daleki jest od wszelkiej zarozumiałości; uważajmy go raczej za człowieka silnie przekonanego o swojej wartości. Podzielał zdanie generalnego poborcy, że Kastylia byłaby zniesławiona, gdyby pod opieką innego mocarstwa poczyniono spodziewane odkrycia.

- Ależ, wtrąciła królowa, doradcy korony zapewniają, iż wymagana przez Kolumba nagroda nawet w razie powodzenia przewyższyłaby zasługę.

- Kto tak utrzymuje, najjaśniejsza pani, odezwał się Saint-Angel, jakże dalekim jest od pojęcia wielkości dzieła! Racz wasza wysokość rozważyć niezmiernie korzyści materialne z nabycia krajów słynących bogactwem, a nade wszystko tryumf jaki niewątpliwie odniesie Ewangelia!

Izabella przeżegnała się pobożnie; żywy rumieniec zakwitł na jej twarzy, oko tajemniczym zajaśniało blaskiem, i cała postać oblekła się powagą, godną ważności rozpatrywanego przedmiotu.

- Ferdynandzie, rzekła, mniemam, iż członkowie komisji zanadto się pospieszyli; wielkość zamierzonego dzieła usprawiedliwia uciążliwość warunków.

Król, dla którego silniejszym nierównie bodźcem były względy polityczne, uśmiechnął się z zapału swej małżonki, przeglądając jakiś papier podany przez jednego z sekretarzy.

- Historia w rocznikach panowania waszych wysokości, zabrał głos Saint-Angel, z chlubą kiedyś wspomni o zdobyciu Grenady; ale nierównie wyższej ceny dla chwały narodowej będzie karta, na której zapisze czyn ułatwiający stosunki z odległymi narodami, zapewniającymi koronie niewyczerpane skarby, a Kościołowi zwycięstwo. Niestety, jeśli Ludwik, król francuski, wesprze odrzucone przez nas przedsięwzięcie, Hiszpania niezatartą okryje się hańbą!

— Czy pewny jesteś, Saint-Angel, że genuńczyk udał się do Francji? zapytał król porywczo.

— Słyszałem to z jego własnych ust najjaśniejszy panie. Tak jest, w tej chwili zdąża on na ziemię

Gallów uchodząc przed ciemnotą przesądów co sprawę jego zgubiły w tym kraju. Lękliwi powiadają, że nieroztropnie jest w otwarte puszczać się morze, a jednak, ileż to nowych odkryć zawdzięczają Portugalczycy swej śmiałości żeglarskiej! Na Boga! Krew burzy się we mnie na wspomnienie, czego dokonał ten mały naród sąsiedni, podczas gdy połączone królestwa Aragonii i Kastylii ścierały się z Maurami o posiadanie jednego miasta!

Markiza de Moya spostrzegła, iż poborca podatkowy dał się unieść wrodzonej żywości.

— Senior, przerwała mu, zapominasz, że zdobycie Grenady jest także tryumfem Kościoła, uznanym przez Ojca Świętego i cały świat chrześcijański.

Saint-Angel odpowiedział na ten zarzut w sposób usprawiedliwiający. Tymczasem Izabella z zapałem do królewskiego przemawiała małżonka, lecz Ferdynand, jakkolwiek dla jej serca i rozumu prawdziwym przejęty był szacunkiem, pozostawał zimnym. Na koniec, po upływie pół godziny, król zaczął znów przeglądać papiery; Izabella więc opuściła go, wracając do małego grona zwolenników Kolumba. Przechodząc, rzuciła okiem na Mercedes, która z miejsca swego niespokojnie przysłuchiwała się rozmowie.

- Nie bierzesz udziału w tych gorących rozprawach, moje dziecię, rzekła łaskawie, zatrzymując się przy dziewicy; czy już cię sprawa Kolumba nie zajmuje?

- Milczę, miłościwa królowo, gdyż miłości i niedoświadczeniu przystoi skromność; ale wszystko co słyszę znajduje odgłos w mym sercu.

- A cóż ci szepce to serduszko, moja córko? Czy sądzisz także, iż zasługi Kolumba nie mogą być okupione zbyt drogo?

- Ponieważ wasza wysokość zaszczycła mnie zapytaniem powiem przeto co myślę, odrzekła Mercedes. Mniemam, że niebo zesłało tu Kolumba, chcąc nagrodzić naszych władców za poniesione w sprawie religii ofiary; mniemam, że ręka Boża zatrzymała go dotąd w Hiszpanii, mimo siedmioletnich zawodów; mniemam na koniec, że ostatecznie to usiłowanie przyjaciół odkrywcy ma miejsce również za sprawą Opatrzności.

— Jesteś entuzjastką, moje dziecię, odparła królowa, i do tego bardzo niebezpieczną, bo czuję, że twój zapał i mnie mimo woli przejmuje.

Izabella po tych słowach skierowała się ku gronu rozmawiających w drugiej połowie sali, dosyć korzystnie usposobiona dla prośby szlachetnego Saint-Angel. Jednakże chwiała się jeszcze, mając w świeżej pamięci uwagi króla względem wyczerpania skarbu publicznego.

— Markizo, córko moja, rzekła, czy sądzisz że ten Kolumb jest rzeczywiście wybrańcem Bożym?

— Nie śmiem tego zapewnić, miłościwa pani, wiem tylko, że sam genueńczyk głęboko jest o tym przekonany. Wierzę jednak, że Bóg opiekuje się każdym chwalebny dziełem, zsyłając do jego wykonania ludzi natchnionych swoim duchem. Wiadomo, że Kościół chrześcijański, według

przepowiedni Pisma Świętego, ma kiedyś panować nad całą ziemią; czemuż by więc Opatrzność nie miała przyspieszyć zwycięstwa Ewangelii? Wspomnijmy tylko, najjaśniejsza pani, słabe zaczątki religii chrześcijańskiej, gdy mała liczba gorliwych apostołów wspierała jej rozszerzenie, a porównajmy z tym stanem obecną jej potęgę. Niechże zdobycie ostatniego przybytku niewiernych będzie zaraniem świetniejszej jeszcze przyszłości!

Izabella uśmiechnęła się z zadowoleniem na te słowa przyjaciółki, będące w zgodzie z własnym jej przekonaniem; lecz posiadając większą znajomość spraw tego świata, więcej też od markizy, w gorliwości nawet, zachowywała umiarkowania.

- Nie do nas należy, moja córko, odezwała się wreszcie, upatrywać palec Boży w przedsięwzięciach, z którymi osobiste może łączą nas życzenia. Sam Kościół tylko rozstrzygać powinien w tym względzie. Senior Saint-Angel, jakiej sumy wymaga Kolumb dla wykonania swych planów?

- Żąda tylko dwóch statków, najjaśniejsza pani, i trzech tysięcy grzywien srebra, to jest kwoty, jaką niejeden młodzieniec roztrwoni w kilku tygodniach.

- Niewiele to w istocie, odpowiedziała Izabella; jednakże nasz królewski małżonek wątpi, by skarbiec połączonych królestw mógł ponieść w tej chwili podobny wydatek.

- Przebóg! zawołała Beatrix; miałożby dzieło tak wielkie upaść dlatego, że nam zabrakło garści marnego złota?!

- Rzeczywiście, dodała królowa, której twarz promieniała uniesieniem, król Aragonii nie może zezwolić na wyczerpanie kasy państwa, ale królowa kastylijska podejmuje tę sprawę w interesie swego ludu. Jeżeli skarb mego małżonka jest próżny, zastawię część swoich klejnotów. Zbyt wielkie to przedsięwzięcie, abym mogła wahać się dłużej.

Głośny okrzyk uwielbienia towarzyszył tym słowom Izabelli. Poborca generalny usunął zaraz trudności pieniężne, oświadczając, iż może dostarczyć żądanej sumy, bez nadwężania prywatnej własności królowej.

— A teraz, rzekła królowa, po ukończeniu wstępnych układów, trzeba jak najspieszniej przywołać Kolumba.

— Wskazuję waszej wysokości gońca, pełnego dobrych chęci i gorliwości, w osobie don Luisa de Bobadilla, zawołał Alonzo de Quintanilla, ujrawszy z okien młodzieńca wracającego pędem do miasta; zaręczam, iż żaden z mieszkańców Santa-Fe nie poniósłby żeglarzowi z równą ochotą tak radosnej nowiny.

— Służba podobna nie przystoi osobie wysokiego urodzenia, odpowiedziała Izabella, a jednak każda chwila spóźnienia bardziej Kolumba oddała.

— Nie oszczędzaj wasza miłość mojego siostrzeńca, wtrąciła z żywością donna Beatrix;

szcześliwym on będzie, znajdując sposobność stania się jej użytecznym.

Izabella posłała pafia z rozkazem przyzwania młodzieńca, i po upływie kilku minut kroki jego już się rozległy w przedpokoju. Wchodząc do komnaty królewskiej, Luis był rozdrażniony wyjazdem swego mistrza. Przypisując naturalnie winę tym, których wola mogła go była zatrzymać, posądził królowę o brak przychylności dla Kolumba. Niezrównana słodycz jej obejścia, wpływająca na wszystkich co ją otaczali w połączeniu z uszanowaniem, ułagodziła nieco przybysza.

- Dziękuję ci za pośpiech, don Luis, gdyż w nagłej sprawie potrzebuję twych usług. Czy możesz nam powiedzieć co się stało z don Krzysztofem Kolumbem, żeglarzem genueńskim, z którym dość ściśle podobno łączysz cię zażyłość?

- Wybacz, najjaśniejsza pani, jeśli wykroczę czymś przeciw etykietce, bo serce moje przepełnione jest żalem. Genueńczyk w tej chwili opuszcza Hiszpanię, w zamiarze starania się gdzie indziej o przyjęcie swych planów, tak niesłusznie przez dwór tutejszy odrzuconych.

- Widać, don Luis, rzekła królowa z uśmiechem, że nie grzeszyłeś nigdy obłudną grzecznością. Obecnie odwołujemy się do twojej chęci odbywania podróży. Siadaj na koń, popędź za Kolumbem i oświadczyć mu, że warunki jego zostały przyjęte. Daję słowo królewskie, że zaraz po ukończeniu koniecznych przygotowań będzie mógł odpłynąć.

- Czy podobna, miłościwa królowo!

- Na dowód, że się nie mylisz, oto moja ręka!

Uprzejmość z jaką królowa podała mu rękę i słodycz jej wyrazów, napełniła młodzieńca otuchą ze względu na najdroższe życzenia jego serca. Przykleknąwszy więc z uszanowaniem, ucałował rękę monarchini, a potem, nie zmieniając postawy, zapytał czy natychmiast ruszyć ma w drogę.

— Powstań, don Luis, i nie tracąc jednej chwili, ponieś słowo pociechy Kolumbowi, a zarazem uspokój nas samych, gdyż wyznaję, markizo, że odrzucenie pomysłów jego ciąży mi na sercu.

Luis de Bobadilla opuścił pokoje królowej, i za chwilę był już na koniu. Mercedes po jego wyjściu stanęła przy jednym z okien wychodzących na podwórze. Młodzieniec, dosiadając wierzchowca, ujrzał ją, i wstrzymał nagle konia spiętego już ostrogą. Wymienili spojrzenia pełne radosnej tkliwości, mając na uwadze jedynie swe nadzieje, nie myśląc o tym bynajmniej, jak dalekie jeszcze było ich urzeczywistnienie. Mercedes pierwsza zapanowała nad chwilowym uniesieniem, i pożegnawszy go skinieniem ręki, usunęła się od okna. Bruk dziedzińca królewskiego zatętniał odgłosem kopyt cwałującego konia, na którym Luis de Bobadilla pogonił za przyjacielem.

Kolumb tymczasem, posuwając się z wolna w swej niewesołej podróży, przybył do Pinos, widowni tyłu krwawych wypadków, gdy posłyszawszy, za sobą tętent, ujrzał młodzieńca pędzącego na zapienionym rumaku.

— Zwycięstwo! Zwycięstwo, senior! Wołał z daleka Luis; z łaski Najświętszej Panny radosną

przynoszę ci wiadomość!

— Otóż prawdziwa niespodzianka, don Luis; jakaż przyczyna twój powrotu?

Luis usiłował wytłumaczyć się z poselstwa, lecz radość i pośpiech płały jego mowę w niezrozumiałe wykrzykniki.

- Po cóż wracać do dworu, gdzie brak zupełnie ducha i siły postanowienia? Odezwał się Kolumb zniecierpliwiony; nie dość jeszcze usiłowałem skłonić tych ludzi do rzeczy tak dla nich korzystnej? Spójrz na młodzieńcze na tę głowę osiwiłą, i wiedz, że strawiłem bezużytecznie dla swej sprawy tyle niemal czasu, ile ty żyjesz na świecie.

- Ależ na koniec zwyciężyłeś! Izabella, szlachetna królowa Kastylii, uznała ważność twoich myśli i zaręczyła słowem królewskim, że będzie je popierać.

- Nie jest to nowe złudzenie?

- Wysłany zostałem umyślnie dla doniesienia ci o tym, senior, i wezwania cię do powrotu.

- Przez kogo, don Luis?

- Przez donnę Izabellę, dostojną królowę, z jej własnych ust otrzymałem polecenie.

- Nie mogę ustąpić w żadnym z podanych warunków.

- Zgoda na wszystko, don Kolumbie; szlachetna pani nasza, przystając na twe żądania, chciała nawet zastawić swe klejnoty dla poniesienia kosztów wyprawy.

Kolumb głęboko tą wiadomością wzruszony, zasłonił twarz kapeluszem, jakby się wstydił łez, które ronił z radości; zapominając o długoletnich cierpieniach, zawrócił konia i udał się z towarzyszem drogą ku Santa-Fe.

ROZDZIAŁ IX

Luis de Saint-Angel i Alonzo de Quintanilla przyjęli powracających z tryumfem. Głośnie ich uwielbienie dla królowej rozproszyło ostatki wątplenia w sercu odkrywcy, którego natychmiast zaprowadzono na pokoje.

— Don Kolumbie, rzekła Izabella, rada ci jestem z całej duszy. Dotychczasowe nieporozumienia zostały usunięte, i mam nadzieję, że odtąd zgodnie do jednego zamierzać będziemy celu.

W chwili powitania wszyscy zapewne zgromadzeni przejęci byli zapalem i najświętszą nadzieją. Jest to jedna z zadziwiających właściwości wielkiego przedsięwzięcia Kolumba, że będąc zarazu przedmiotem urągania, nagle potem we wszystkich tchnęło uniesienie.

— Najjaśniejsza pani, odpowiedział Kolumb, którego szlachetna powierzchowność niemało się przyczyniła do takiego usposobienia słuchaczy, serce moje tym wdzięczniej przyjmuje tyle łaski, że jeszcze dziś rano żadnej nie miałem nadziei; Bóg wszechmocny nagrodzi za to waszą moc. Sądzę

jednak, że i dostojny jej małżonek nie odmawia swego przyzwolenia.

- Obejmiesz służbę, z ramienia królowej Kastylii, don Kolumbie, jakkolwiek zgodnie z wolą króla Aragonii. Don Ferdynand pochwała twe zamiary, tylko że męski jego rozum nie przylgnął tak do nich od razu, jak wrażliwa dusza niewieścia.

- Nie chcę wyższego rozumu i czystszej wiary nad tę, jaką znajduję w waszej wysokości - odpowiedział z powagą żeglarz. Zdaję się zupełnie na jej łaskę, i niczego bardziej nie pragnę, jak pozostać na całe życie wiernym jej sługą.

Wyraz szczerości i przekonania towarzyszący słowom Kolumba, ogromne na królowej uczynił wrażenie. W tej chwili dopiero doznała ona wpływu potężnej jego osobowości. Powierzchność genuńczyka nie nosiła cech poloru, właściwego ludziom co całe życie poświęcają sztuce podobania się, lecz wyższość jakaś myśli, tajemnicze natchnienie niewysłowionym otaczała go urokiem.

- Dziękuję ci za ten dowód zaufania, odrzekła królowa. Dopóki Bóg raczy zostawić mi władzę, bronić będę gorliwie twej sprawy. Wszelako nie należy wyłączać don Ferdynanda, który podziela moje zdanie w tej sprawie.

Kolumb skłonił się, a król, przybywszy podczas tych narad, oświadczył gotowość zatwierdzenia zobowiązań swej małżonki.

— Odszukaliśmy zbiega, i mam nadzieję, że odtąd zamiary jego żadnej już nie doznają przeszkody. Jeżeli się one powiodą, będzie to większy tryumf dla Kościoła, niż odzyskanie dzierżaw mauretańskich.

— Przyjemnie mi widzieć don Kolumba w Santa-Fe, przemówił król uprzejmie, i jeśli oczekiwania stronników jego, choć w połowie zostaną spełnione, rad będę zem się przyczynił do dzieła tak chwalebego. Wątpię wprawdzie, by ono dodało blasku koronie kastylijskiej, lecz w pomyślnym razie sam odkrywca zebrać może skarby, z którymi, zaiste, nie będzie wiedział co począć.

— Chrześcijanin, najjaśniejszy panie, nie powinien być nigdy w kłopotcie pod względem trafnego rozporządzenia swym majątkiem, dopóki grób Zbawiciela zostaje w ręku niewiernych.

— Cóż to znaczy? zawołał Ferdynand surowo. Czy myślisz, senior, odbyć krucjatę?

— Taki był zawsze mój cel, najłaskawszy królu! Nie jest to hańbą dla całego chrześcijaństwa, że wyznawcy Koranu depcą świętokradzko miejsce pielgrzymki Syna Bożego, w którym On cierpiąc za nas krew swoją przelewał, gdzie święte jego zwłoki spoczywały do dnia Zmartwychwstania! Zaiste, na odzyskanie ich nie brak mi chęci i odwagi, brak tylko złota. Jeżeli więc pierwszym moim życzeniem jest odkrycie prostej drogi do Indii, drugie, nie mniej gorące, stanowi obrócenie zdobytych przez to bogactw ku chwale imienia Bożego.

Słowa żeglarza, z najwyższym wymówione zapalem, znalazły odgłos w pobożnej piersi Izabelli;

Ferdynand przeciwnie przyjął je obojętnie. Umysł jego zimno rozważający upatrywał nawet lekkomyślność w powierzaniu wyprawy w imieniu korony marzycielowi, który, nie dokonawszy jeszcze jednego dzieła, co najmniej wątpliwego, myślał już o drugim, tylokrotnie, a zawsze nadaremnie, przedsiębranemu. Usposobienie króla stanowczo było nieprzychylnie dla Kolumba, ale rozmowa na szczęście inny wzięła obrót.

- Wyjaśnię waszej królewskiej wysokości swe zamiary, odpowiedział Kolumb na zapytanie rzucone przez Izabellę, podczas gdy jej mążzonek zatopiony był w myślach. Pragnę dotrzeć do państwa wielkiego chana, potomka monarchy, na którego dworze przed wiekami bawili bracia Polo. W owym czasie mieszkańcy tych krain i ich władca skłonni byli przyjąć religię chrześcijańską. Pismo Święte uczy nas, że kiedyś cała ludzkość jedną będzie trzodą; może nam przeznaczono przyspieszyć tę błogą chwilę. Potrzeba ku temu tylko silnej wiary, wspartej przez władzę świecką i przez wysłańców najwyższego kapłana.

— Oby Bóg nam pozwolił spełnić te zamysły, wtrąciła królowa. Ale czy bracia Polo byli misjonarzami?

— Nie, miłościwa królowo; byli to prości podróżnicy, ludzie goniący za sławą, nie zapominający przy tym o obowiązkach religijnych. Mniemam, iż najprzód należałoby zatknąć krzyż Zbawiciela na wyspach oceanu, a stamtąd rozszerzyć Ewangelię na krainy, które będą odkryte. Cipango, moim zdaniem, jest punktem, gdzie prawdopodobnie wiara z cudowną upowszechni się szybkością.

— Znajdują się w Cipango korzenie, pachnidła lub inne płody, mogące wynagrodzić koszta i niebezpieczeństwa wyprawy? zagadnął król, przerywając dość ostro, rozważania o wzniosłych celach podróży.

Spojrzenie Izabelli świadczyło o nieprzyjemnym wrażeniu, jakie na niej sprawiło to zapytanie mążzonek; nie objawiając wszakże swych myśli, zamilkła.

— Najjaśniejszy panie, powiedział Kolumb, według opowiadań Marco Polo nie ma na świecie bogatszego kraju, bo oprócz złota, posiada w obfitości perły i drogie kamienie, a wszystkie te skarby zostają w posiadaniu niewiernych. Zdaje się, że Opatrzność przeznaczyła takowe w nagrodę monarsze chrześcijańskiemu, który pierwszy poniesie w te strony Słowo Boże. Ocean otaczający Cipango pokryty jest wyspami porośniętymi wonnymi krzewami; Marco naliczył ich siedem tysięcy czterysta. Do tego miejsca najjaśniejsi państwo, przy pomocy Boskiej, zamierzam przybyć po dwóch miesiącach umiejętnej żeglugi, a następnie przenieść się na stały ląd. Dzień, w którym stopa nasza dotknie ziemi indyjskiej, będzie dniem chwały dla Hiszpanii i dla wszystkich co wzięli udział w tym wielkim przedsięwzięciu.

Przenikliwy wzrok Ferdynanda wlepiony był w odkrywcę, gdy ten w świetnych barwach rozwijał przed nim swe widoki. W umyśle króla, skłonny do rachuby, obraz tyłu korzyści rozwiał zwykłą

nieufność. Izabella myślała o celach religijnych; skończyło się więc na tym, że oboje małżonkowie, chociaż z odmiennych pobudek, zezwolili na wyprawę.

Przystąpiono zaraz do ułożenia wstępnych punktów umowy: warunki Kolumba na nowo zostały rozważone i zatwierdzone. Zdawało się, iż zarzuty arcybiskupa Grenady w zupełną poszły niepamięć, bo genueńczyk pertraktował z królewską parą jak monarcha z równymi sobie; przyznano mu nawet ósmą część zysków z całego przedsięwzięcia, ponieważ oświadczył gotowość poniesienia takiej części wydatków.

Luis de Saint-Angel razem z Kolumbem i Alonzo de Quintanillą pożegnawszy królową, odprowadzili żeglarza, do jego mieszkania, otaczając go uszanowaniem i tkliwą starannością, tak potrzebną sercu niedawno jeszcze miotanemu gwałtownym zwątpieniem. Po rozstaniu się z nim Saint-Angel, którego myśli zawsze były na końcu języka, rzekł do przyjaciela:

— Na wszystkich świętych, kochany Alonzo, ten Kolumb bierze górę nad całą szlachtą kastylijską. Toć on się układał z obojgiem monarchami na stopie zupełnej równości, i prawdziwie po królewsku wygrał swoją sprawę.

— Wszakżeś mu sam utorował drogę, odpowiedział Alonzo de Quintanilla, bo gdyby nie twoje wstawiennictwo, genueńczyk byłby się udał na dwór Ludwika francuskiego.

— Nie żałuję bynajmniej tego com uczynił, choćby z tej tylko przyczyny żem wydarł zdobycz Francuzom. Królowa, którą niech Bóg ma w opiece, postąpiła szlachetnie, poświęcając mało znaczącą kwotę przedsięwzięciu rokującemu tyle nadziei. Lecz teraz, po zamknięciu układów, pojąć nie mogę jak to się stało, że władcy nasi przyznali tak korzystne warunki obcemu przybyszowi, bez głośnego imienia, bez dostatków, a nawet bez silnego poparcia.

— Czyż Luis de Saint-Angel nie bronił jego wyprawy?

— Bronilem jej, odrzekł poborca generalny, bronilem z zapałem i z pełnym przekonaniem, lecz sam się dziwię naszemu powodzeniu. Lękałem się rozbitcia całej sprawy o szkopuł nieumiarkowanych żądań Kolumba.

- A jednak miałeś słuszność, mówiąc, że wymagania jego są niczym, w porównaniu z wielkością dzieła.

- Działania ludzkie dziwną niekiedy nacechowane są sprzecznością. Wytężamy wszystkie siły dla dopięcia zamierzonego celu, i dopiero stanąwszy u kresu widzimy ujemną stronę swoich czynów. Powodzenie Kolumba, powtarzam, olśniewa mój umysł, i przekonany jestem o zasadności jego żądań. Genialny to człowiek, bez żadnej wątpliwości! Jeżeli zamiary jego pomyślny osiągną skutek, jakże wielkim będzie w oczach współczesnych i potomności! Jeżeli przeciwnie, nikt na tym osobiście znacznej nie poniesie straty.

- Zauważyłem nieraz, senior Saint-Angel, że kiedy ludzie rzetelnej zasługi sami mało się cenią,

świat lubi ich, jak to mówią, chwytać za słowo. Koniec końcem, Kolumb wymaga wiele, ale też nasi władcy wiedzieli z kim mają do czynienia.

- Święta to prawda, Alonzo, że ludzie uważają nas według miary jaką sami do czynów swych przykładamy. W każdym słowie, w każdym zdaniu genueńczyka widać głębokie przeświadczenie o własnej wartości. Naprawdę, słysząc go wierzę, iż jest wybrańcem Opatrzności.

- Od niego teraz zależy przekonanie nas wszystkich o prawdziwości swych natchnień. Co do mnie, nie wiem czy wątpić powinienem, czy wierzyć.

I oto dwaj najgorliwsi stronnicy Kolumba, popierający z zapalem jego plany, dopóki one zdawały się zagrożone, obecnie, gdy wszystko skończyło się szczęśliwie, z niedowierzaniem spoglądali w przyszłość. Takim to zawsze jest człowiek: przeciwność wznieca jego zapał, wskrzesza czynność umysłową i do śmiałych pobudza go czynów, lecz skoro osiągnie zamierzony cel, ogarnia go zwątpienie i lękać się poczyna zawodu. Wszak nawet sami uczniowie Zbawiciela nieraz wahali się w wierze. Każdy reformator dopóty jest nieustraszony, póki walczy o swe zasady, lecz gdy nadejdzie pora wprowadzenia ich w życie, staje się lęklwym i chwiejącym. Widać w tym mądrość Stwórcy, który obdarzył nas gorliwością zdolną do przełamania wszelkich zapór, w powodzeniu zaś zsyła umiarkowanie i roztropność, by jak Anioły Stróże chroniła nas od nadużyć.

Mimo tych wahań, don Luis i Alonzo nie odstąpili od swego przekonania. Objawione wątpliwości w ich własnym rozumieniu małej były wagi; gdyż obaj zostawali pod wpływem czarującym osobowości wielkiego odkrywcy, którego zapał szlachetny i spokojna rozważa oddziaływały nawet na osoby nieprzychylne jego sprawie.

ROZDZIAŁ X

Od chwili, kiedy Izabella oświadczyła gotowość wspierania zamiarów Kolumba, nikt już nie wątpił, że wyprawa nastąpi; wszelako ogół niewiele po niej sobie obiecywał. Jedno tylko serce najdroższe w tym przedsięwzięciu łączyło nadzieje: mówimy o Mercedes de Valverde, która, śledząc bieg wypadków z niespokojną obawą, właściwą tylko umysłom młodym, namiętym i niedoświadczonym, doznawała teraz uczucia błogiego zadowolenia.

Luis nie szukał dotąd sposobności widzenia się z ukochaną; ale gdy Kolumb, poczyniwszy wstępne przygotowania, wyjechał na miejsce skąd ruszyć miała wyprawa, młodzieniec udał się do ciotki, prosząc o rozmowę z donną Mercedes, zanim puścić się ma w tą niebezpieczną podróż. Życzenie jego ograniczało się do otrzymania zapewnienia od opiekunki i przyjaciół, iż po powrocie przyjmą go z życzliwością, Beatrix wspominała o tym królowej.

— Powiedz don Luisowi, odrzekła Izabella, iż zezwalam na jego prośbę, a przypomnij mu, że

grand kastylijski nie powinien opuszczać kraju, bez pożegnania monarchów.

- Życzenie to, najjaśniejsza pani, jakkolwiek łaskawie objawione, zasmuci mego siostrzeńca, bo upatrzy w nim wyrzut waszej wysokości, że dawniej nieraz obowiązek ten pomijał.

- Dawniej, wyprawiając się w podróż, czynił to bez celu, teraz przeciwnie bierze udział w chwalebnym dziele, i naszym staraniem będzie wytłumaczyć każdemu tę różnicę.

Beatrix, otrzymawszy upoważnienie królowej, doniosła o tym wychowance. Mercedes, jak każda kobieta młoda i wrażliwa, gdy idzie o sprawę serca, przyjęła tę wiadomość z obawą i radością. Nie przypuszczała nigdy żeby Luis mógł wyjechać, nie pożegnawszy się z nią osobiście; teraz jednak, gdy królowa z opiekunką zezwalały na ich widzenie, żałowała prawie, iż tak się stało. Sprzeczne te uczucia, w miarę jak się zbliżała chwila spotkania miały dla niej jakiś nierzeczywisty urok.

W oznaczonym dniu donna Beatrix, szczerze przychylna ich sprawie, oświadczyła przybyłemu Luisowi, że Mercedes oczekuje nań w salonie. Młodzieniec z pośpiechem ucałował rękę swojej ciotki, powiedział jej kilka grzecznych słów, a potem z niecierpliwością rzucił się do salonu, gdzie wreszcie znalazł się wobec przedmiotu swej miłości. Mercedes, chociaż od dawna przygotowana, zdradzała swoją radość rumieńcem i żywszym blaskiem spojrzenia.

— Luis! — zawołała mimo woli, wyciągając ku niemu rękę.

— Mercedes! szepnął ze wzruszeniem, tkliwie ją powitawszy, trudniej zobaczyć się z tobą, jak odkryć słynną wyspę Cipango. Królowa i donna Beatrix strzegą ciebie jak zakłętego skarbu.

— Nic dziwnego, Luis, skoro jest taki co zdobyć go usiłuje?

— Przecież one nie myślą, że porwę cię na koń lub, że cię uniosę na jeden z okrętów Kolumba, dla odszukania w twym towarzystwie wielkiego chana. Obchodzą się ze mną jak z szalonym awanturnikiem, chociaż jestem szlachetnym rycerzem kastylijskim.

— Zapominasz, Luis, że młode Kastylijki nie zwykły rozmawiać sam na sam z młodymi rycerzami, i że pobożaniu tylko mych opiekunek winniśmy to spotkanie.

— Sam na sam powiedziałaś? Zaiste jesteś w błędzie, bo czuwa tu nad nami baczne oko, a może i ucho. Lękam się głośno mówić, z obawy przerwania pobożnych rozmyślań tej szanownej damy.

To rzekłszy, Luis de Bobadilla wskazał ochmistrzynię ukochanej, siedzącą nad książką w przyległym pokoju.

— Czy mówisz o dobrej mojej Pepicie, odpowiedziała z uśmiechem Mercedes, przywykła od dzieciennych lat do towarzystwa starej ochmistrzyni, w której obecności żadnej nie widziała przeszkody. — Była ona wprawdzie przeciwną naszemu widzeniu, jako niezgodnemu z przyjętym zwyczajem, lecz teraz bynajmniej go nie zakłóci.

— Ta Pepita ma twarz nieprzyjemną; wyczytuję w jej szpetnych rysach zazdrość i niedowierzenie. Nienawidzę wszystkie ochmistrzynie, gorzej od muzułmanów!

— Senior, rzekła Pepita, której czujnego słuchu nie uszły wyrazy, zwykła to piosenka młodych kawalerów; ale przyznajcie, że ta sama ochmistrzyni, tak nieprzyjemna dla starającego się staje się w oczach męża niezmiernie pożądaną. Ponieważ rysy moje i zmarszczki nie przypadają ci do smaku więc zamknijmy te drzwi, a tym sposobem ani ty, senior, nie usłyszysz mego kaszlu, ani ja twych uniesień miłosnych.

Słowa te wymówione były tak łagodnie, że wątpić nie pozwalały o dobroci Pepity, nie obrażonej wcale niegrzecznością don Luisa.

- Nie zamykaj drzwi, Pepito, zawołała Mercedes, rzucając się ku ochmistrzyni; możesz usłyszeć wszystko co hrabia de Bobadilla ma mi powiedzieć!

- Drogie dziecię, hrabia mówi z tobą o miłości.

- I ty lękasz się tego, coś sama zawsze od dzieciństwa zapewniała mnie o swej miłości?

- Senior, wtrąciła ochmistrzyni z uśmiechem, wstrzymując rękę gotową do zamknięcia podwojów, nie bardzo to pochlebne dla ciebie, jeżeli donna Mercedes miłości twej nie rozróżnia od mojej. Zdaje mi się, kochane dziecię, że trudno by ci przyszło wystawić sobie we mnie młodego, świetnego rycerza, gotowego poświęcić ci życie; jakże więc czułość macierzyńską przyrównać możesz do słodkich wyrazów don Bobadilla, jednego z najdzielniejszych kawalerów Kastylii?

Mercedes cofnęła się; jakkolwiek niewinna była jej dusza, czuła jednak, że ochmistrzyni ma słuszość. Puszczając klamkę zakryła pokraśniałą twarz drobnymi rączkami. Pepita skorzystała z tej chwili i zamknęła podwoje, a zachwycony młodzieniec, mimo lekkiego oporu, odprowadził ukochaną do krzesła; sam zaś, zajmwszy u jej stop miejsce na taborecie, ciągnął dalej rozmowę.

— Otóż wzór dla wszystkich ochmistrzyń! — zawołał. Ta Pepita jest klejnotem nieoszacowanym, i może być pewną dożywotniej służby, gdy dostąpię szczęścia zostania twym małżonkiem.

— Zapominasz, odrzekła Mercedes, że jeśli mężowie cenią ochmistrzynie nienawidzone przez kochanków, powinni by oprawić natychmiast te, co się podobają zalotnikom.

— Do licha! O tym nie pomyślałem w prostocie swego ducha. Nie wdaję się zresztą w roztrząsania filozoficzne i jedną tylko tezę gotów jestem bronić wobec doktorów Salamanki, wobec rycerzy całego chrześcijaństwa, żeś ty najpiękniejsza, najlepsza i najcnotliwsza z dziewic hiszpańskich, a nadto kocham cię i poważam, jak żaden inny rycerz swą bogdanę.

Hołd uwielbienia słodko brzmi zawsze w uszach kobiet; toteż Mercedes, przekonana o ich szczerości, poddawała się chętnie urokowi jego mowy. Skromność tylko niewieścia wstrzymywała ją od zupełnej otwartości.

— Powiadano mi, rzekła, iż młodzi rycerze, pragnąc popisać się męstwem i zręcznością — umyślnie się tak wyrażają o swojej wybrance, aby wywołać czyjeś zaprzeczenie i potem zbrojną ręką utrzymać swoje zdanie.

- Mniemasz tak, Mercedes, bo twoja piękność ukryta zawsze była przed światem. Minęły już czasy trubadurów i błędzących rycerzy, w których tysięczne popełniano niedorzeczności. Wtedy mężczyźni szeroko rozprawiali o miłości; dziś przeciwnie więcej czują niż mówią. Wybacz, moja droga, ale uwaga twoja trąci nieco moralnością donny Pepity.

- Nie narzekaj na nią - Luis, bo gdyby nie jej pobłażliwość, musiałbyś teraz powściągnąć swoją mowę. Lecz tracimy na próżno chwile: powiedz mi raczej co się dzieje z Kolumbem i kiedy wybieracie się w podróż?

- Kolumb już wyjechał, otrzymawszy od królowej wszystko czego pragnął, ja zaś niebawem udam się za nim. Jeżeli kiedy usłyszysz o czynach jakiego Pedro de Munoz lub Pero Gutierrez na dworze Cipango, będziesz wiedziała kogo uczynić odpowiedzialnym za jego wybryki.

- Wolałabym, abyś tę podróż odbył pod własnym nazwiskiem; ukrywanie go w tak chwalebnym dziele uważam za nieroztropność.

— Stosuję się w tyra do życzenia mojej ciotki; co do mnie, radbym przypiąwszy te barwy do hełmu i tarczy, okrzyknąć przed całym światem, że Luis de Llera spieszy do Cipango, dla przekonania miejscowych rycerzy o wyższości swej damy nad wszystkie dziewice znanych i nieznanych krajów.

— Nie żyjemy już w czasach błędzących rycerzy, odpowiedziała Mercedes z uśmiechem, tylko w wieku szczerości i rozwagi, jak sam niedawno mówiłeś. W epoce naszej kawaler powinien zastanawiać się, powinien oceniać zarówno wady, jak przymioty wybranki swego serca. Nie oto tu chodzi, abyś walczył z olbrzymami, zmuszając ich do uznania moich wdzięków! Bierzesz udział w przedsięwzięciu rzeczywiście wielkim i użytecznym, które wsławi twoje imię, z którego chlubić się będziesz jeszcze u schyłku życia, gdy dobiegając kresu pielgrzymki doczesnej, szukać zechcemy pociechy w przeszłości.

Młodzian z rozkoszą chwycił każdy wyraz ukochanej, która w niewinnym wylaniu los swój złączyła z jego losem. Dziewczyna, nie wiedząc o znaczeniu swoich słów, dawno już mówić przestała, gdy Luis jeszcze słuchał ich brzmienia.

— Jakież cel silniej wzbudzić zdoła mój zapał, od nadziei otrzymania twojej ręki? — zawołał po chwili. Wszak jedynie z tą myślą towarzyszę Kolumbowi i towarzyszyć mu będę po wszystkie krańce ziemi. Dla mnie, droga Mercedes, twoja miłość jest owym Cipango, do którego zmierzamy.

— Nie mów tak Luis, gdyż zapominasz o szlachetności swojej duszy. Pomysł Kolumba godzien jest uwielbienia, a imię twoje na wieki złączone będzie z imieniem wielkiego męża.

— Nastąpi to może, jeśli nam się powiedzie, lecz gdyby, odwróć Panie, zamiary nasze spełzły na niczym, zostanę raczej przedmiotem szyderstwa, i sama zapewne zawstydzisz się, że znałaś nędznego awanturnika.

— Nie znasz mnie Luis, zawołała z uniesieniem Mercedes, której piękne oczy, w miarę rosnącego zapachu, niezwykle zajaśniały blaskiem. Pragnę abys podzielił pełne chwały przedsięwzięcie, ponieważ potwarz oczerniała twą przeszłość, ponieważ wiem, że uzyskasz tym sposobem względy najjaśniejszej królowej, ale mnie nie znasz, powtarzam, jeśli sądzisz, że ta sprawa wpłynąć może na moje uczucia, nie pojmujesz mego serca, co tyle już z tego powodu doznało udręczeń.

- Najdroższa moja! Niegodny jestem twej przychylności. Rozkaż, a oddalę się natychmiast, byleś ty przeze mnie nie cierpiała!

- Nie, Luis, odpowiedziała dziewczyna, płonąc się i zwracając na ukochanego, pełne tkliwości spojrzenie; lekarstwo byłoby gorsze od choroby. W połączeniu z tobą dola moja będzie pomyślna lub niepomyślna, jak zrządzi Opatrzność, ale bez ciebie nie ma dla mnie szczęścia.

Rozmowa młodej pary stała się odtąd urywaną, jak zawsze tam, gdzie uczucia namiętnie wezbrały. Po upływie godziny, w ciągu której po tysiąc razy powtarzano zapewnienia stałości, Mercedes otworzyła małą skrzynkę, i dobywszy z niej krzyżyk, wręczyła go umiłowanemu.

- Luis, rzekła, nie daję ci znaku miłosnego dla błyszczenia na turniejach, lecz święte godło Zbawiciela, jako przypomnienie celu do którego dążysz, i tej, co serce swoje tobie jednemu poświęciła. Nie potrzebujesz innego krucyfiksu dla odmawiania pacierzy, a patrząc na te szarfy, godła wiary, miej zawsze w myśli Boga i miłość jaką mi przysiągłeś.

Wyrazy te wymówione były na w pół smutnie, na w pół radośnie; w chwili bowiem rozstania tęsknota z głęboką wiarą na przemian zajmowały umysł dziewczyny.

— Myślałaś o moim zbawieniu, zawołał Luis, ucałowawszy kilkakrotnie krzyżyk wysadzany kamieniami; obdarzyłaś mnie drogocenną pamiątką; cóż ja ci wzajem mogę ofiarować?

— Proszę o kędzior twych włosów, bo wiesz, że dosyć posiadam klejnotów.

— Na słowo rycerskie! Gdybym wiedział, że widok mych włosów sprawia ci przyjemność, to chętnie bym oddał wszystkie, i siadłbym na okręt z głową wystrzyżoną, jak ksiądz albo muzułmanin. Lecz w rodzinie Bobadillów nie brak kosztowności: naszyjnik ten, Mercedes, nosiła moja matka, a dawniej podobno należał do jakiejś królowej; ale przysięgam, że jakiegokolwiek przechodzić mógł koleje, dostając się w twoje ręce największego dostąpi zaszczytu.

- Przyjmuję go, bo nie umiem ci odmówić, lecz przyjmuję z obawą, gdyż widzę w tej zamianie różnicę naszych charakterów. Tyś wybrał przedmiot kosztowny, świetny, a świetność rzadko prowadzi do szczęścia; moje zaś serce niewieście postawiło na skromne godło stałości. Lękam się, aby promienie piękności zachodu nie zatarły wspomnienia biednej Kastylijki, za którą nic nie przemawia, prócz wiary i miłości.

Młodzieniec ponawiając przysięgi, w chwili pożegnania namiętnie wybranek ucałował; ona, nie kryjąc już uczucia rzewnie zapłakała. Jeszcze tego wieczora, pod zmyślnym nazwiskiem i w

prostej odzieży, ruszył Luis de Bobadilla w drogę do miejsca, gdzie Kolumb od kilku już dni przebywał.

ROZDZIAŁ XI

Myliłby się ten, kto by sądził, że oczy całej Europy zwrócone były na gotujące się przedsięwzięcie. Prawda i kłamstwo, nierozłączne dziś z sobą, nie przebiegały jeszcze wówczas świata na skrzydłach dzienników, i mała tylko liczba osób uprzywilejowanych wiedziała o rzeczach będących dopiero w zamiarze. Luis de Bobadilla mógł przeto opuścić dwór niepostrzeżony przez nikogo, a ci którzy później zauważyli jego nieobecność mniemali, iż się udał do jednej ze swych wiejskich posiadłości, albo też w nową podróż. O samego Kolumba podobnie niewiele się troszczono, chociaż pomiędzy dworzanami obiegały pogłoski, że królowa weszła z nim w układy i wielką zapewniała mu nagrodę. Inni uczestnicy, mniej głośniego imienia, zdążyli pojedynczo na miejsce zebrania, bez zwrócenia niczyjej uwagi.

Wyprawa, tak śmiało pomyślana i szczęśliwa w skutku, wypłynąć miała z podrzędного portu, zaleconego chyba przez nieustraszonosć swych żeglarzy i położenie poza obrębem Cieśniny Gibraltarskiej, na której zjawiali się niekiedy rozbójnicy afrykańscy. Rękopisy współczesne zapewniają, iż miejsce to wybrano z tej przyczyny, że jego mieszkańców wyrok jakiś skazywał na dostarczenie rządowi dwóch uzbrojonych statków. Podobne kary niejednokrotnie wymierzano w owym czasie, gdy flota państwa zasilana była wyłącznie werbunkiem lub osadzana armią lądową. Palos de Moguer, miasteczko obciążone tym haraczem, niewielkie miało znaczenie nawet w końcu XV wieku, a dziś zaledwie pozostała licha osada rybacka. Ludność jego, jak zwykle w okolicach skąpo przez naturę obdarzonych, była śmiałą i przedsiębiorczą. Nie posiadając okrętów większego rozmiaru, mieszkańcy Palos prowadzili handel na małych statkach, z których dwa właśnie przeznaczono dla Kolumba, z oddaniem pewnej liczby oficerów i majtków towarzyszących zawsze wyprawom rządowym. Skarb obu królestw, wyczerpany w wojnie przeciw Maurom, nie mógł się zdobyć na większy wydatek; a zresztą doświadczenie nauczyło odkrywcę, iż mniejsze statki w takiej podróży właściwsze są od większych.

Na małym przylądku, niedaleko Palos, znajdował się klasztor de la Rabida, słynny z gościnności wyświadczonej Kolumbowi. Przed jego to bramą, siedem lat temu genueńczyk, prowadząc syna za rękę, otrzymał posiłek dla dziecka. Podczas długiego pobytu w klasztorze zawarł on związki przyjazne z braciszkami zakonnymi, i między tamtejszym ludem pierwszych w Hiszpanii znalazł zwolenników.

Mimo to rozkaz przygotowania dla Kolumba dwóch statków przeraził mieszkańców Palos. Żeglugę

wzdłuż brzegów Afryki i zbliżenie się do równika uważano wtedy za szczyt odwagi marynarskiej. W wyobrażeniach ludu istniały najdziwniejsze podania względem tych stron nieznanych, i powszechnie prawie wyobrażano sobie, że płynąc coraz dalej na południe, osiągnięto by wreszcie punktu, gdzie wielkie gorąco wszelkie życie czyni niemożliwym. Ruch ciał niebieskich, dzienny obrót ziemi, przyczyny pór roku, były to tajemnice nawet dla ludzi najuczeńszych, a jeśli gdzieś gdzieś zabłysło jakie światło prawdy, to dopiero słabym brzaskiem jutrzeńki zapowiadało zbliżanie się jasności.

Nic dziwnego przeto, iż żeglarze Palos, prości i niedoświadczeni, uważali ten rozkaz rządu za wyrok śmierci na wszystkich, co towarzyszyć mieli wyprawie. Mniemano, że poza pewną granicą niebo, morze i ziemia zamieniają się w odmet; wyobrażenia nieświadomych widziały prądy i wiry, porywające nierozważnego podróżnika i wtrącające go w przepaść. Niektórzy przypuszczali nawet, że można osiągnąć krańca ziemi i stamtąd zlecieć w próżnię.

Taki był stan rzeczy w połowie miesiąca lipca. Kolumb znajdował się w klasztorze de la Rabida, u przyjaciela swego i stronnika, przeora Juana Pereza, gdy jeden z zakonników doniósł o przybyciu nieznanego, który pragnie widzieć się z seniorem Krzysztofem Kolumbem.

- Czy wygląda na posłańca dworskiego? zapytał żeglarz.

- Nie zdaje mi się, senior, odpowiedział braciszek; gońcy królewscy przyjeżdżają zwykle na zapienionych koniach i z gęstą miną; ten zaś młodzieniec skromną ma powierzchowność i dosiada muła andaluzyjskiego.

- Nie wymienił swego nazwiska?

- I owszem, dwa nawet: Pedro de Munoz i Pero Gutierrez, bez tytułu szlacheckiego.

- To on! zawołał Kolumb, zwracając się ku drzwiom z żywością. Powiedz mu, dobry Sancho, że rad go oczekuję.

- To pewnie znajomość dworska, rzekł ojciec Juana.

- Jest to, wielebny ojcze, młodzieniec narażający życie i mienie dla naszego przedsięwzięcia. Dobrego będąc urodzenia, posiada znaczny majątek, i gdyby nie opiekunowie, byłby go obrócił na cele wyprawy.

W chwili, gdy Kolumb przestał mówić, drzwi otworzyły się i wszedł Luis de Bobadilla. Młodzian, pozbawiony zewnętrznych oznak swej godności, nosił skromny ubiór podróżnika średniego stanu. Przywitanie jego z Kolumbem było serdeczne, a zarazem pełne uszanowania.

— Kochany Pedro, rzekł genuęńczyk, przybywasz w czasie, gdy obecność twoja nader jest pożądana. Pierwszy rozkaz królowej przygotowania dla mnie statków nie odniósł dotąd skutku. Powtórne rozporządzenie, przesłane przez don Juana do Penalosa, a stanowiące żeby natychmiast oddano pod moje rozporządzenie potrzebne przybory, okazało się również daremne, chociaż na

mieszkańców portu nałożono karę stu marawedów za każdy dzień zwłoki. Biedacy, strwożeni niedorzecznymi wieściami, ani słyszeć chcą o wyprawie, i dziś może równie daleki jestem od celu, jak przed zaskarbieniem sobie przyjaźni szanownego przeora i pomocy donny Izabelli. Smutna to rzecz, mój Pedro, trawić życie na złudnych nadziejach, gdy się pracuje dla dobra nauki i chwały Kościoła.

— Przynoszę ci ważne nowiny, senior, odpowiedział młodzieniec. Mijając wioskę Moguer, spotkałem się z niejakim Marcinem Alonzo Pinzon, dawnym swoim towarzyszem podróży, i rozmawialiśmy obszernie o twoich pomysłach. Powiedział mi, że cię zna osobiście, i mniemam, iż pozyskamy w nim gorliwego stronnika.

— Przypominam sobie, Pedro, że słuchał często mych dowodzeń z uwagą biegłego żeglarza. A gdzie go poznałeś?

- Byliśmy razem na Cyprze i w Anglii. Dalekie podróże dają sposobność zgłębienia serc ludzkich, i zdaje mi się, że można polegać na charakterze Pinzona.

- Za młody jesteś, mój synu, wtrącił przeor, aby sądzić o człowieku tak poważnym i zasłużonym, jak don Alonzo Pinzon. Cieszy mnie to, iż szlachetny rycerz trwa w przychylności dla naszych zamiarów, bo niedawno jeszcze uważałem, że chwiać się zaczyna.

Don Luis wyraził się o jednym z najznakomitszych mieszkańców okolicy nie jako prosty podróżnik, lecz jako Bobadilla; ukradkowe spojrzenie Kolumba ostrzegło go o tym zapomnieniu.

- A więc, ciągnął dalej żeglarz, spotkałeś się z naszym znajomym, Marcinem Alonzo, między Moguer i Palos?

- Tak jest, senior, i on to doniósł mi, iż tu znajdę admirała. Nie odmawia ci bowiem tytułu zatwierdzonego przez królowę, co moim zdaniem stanowi dowód jego przyjaźni, gdyż sędzę, że w tych stronach niewielu znajdzie naśladowców.

- Ktokolwiek zaprzeczy mi dostojęństwa jakie piastuję, lub nie zaufa moim planom, niech pozostanie na lądzie, odpowiedział z godnością odkrywca, dając poznać młodzieńcowi, iż jeszcze cofnąć się może, jeśli zechce.

- Na św. Piotra, mojego patrona, odparł śmiejąc się Luis, nie licz bynajmniej na mieszkańców Palos i Moguer, mój admirał; zdaje się, że kto tylko zaznał trochę żeglarskiego chleba, nie śmie pokazać się na ulicy, z obawy, aby go nie wysłano do Cipango, drogą jak dotąd, w marzeniu tylko przebieganą. Jednakże, szanowny mistrzu, masz ochoczego zacieźnika, który postanowił nieodwołalnie towarzyszyć ci aż po końce świata, jeżeli ziemia jest płaska, lub okrążyć z tobą jej powierzchnię, jeżeli jest okrągła; a ochotnikiem tym jest Pedro de Munoz, powodowany nie chęcią zysku, ani wywyższenia się, tylko żądzą przygód, a może i miłością dla najczystszej i najpiękniejszego dziewczęcia w Kastylii.

Ojciec Juan Perez ze zdziwieniem i niechęcią spojrział na młodzieńca mówiącego z taką śmiałością. Kolumb tyle w swych stronach umiał obudzić poszanowania, że przy nim mało kto zapewne byłby z podobną odezwał się lekkością, przed nadaniem mu nawet zaszczytnego tytułu admirała. Pocziwy zakonnik, nie domyślając się wcale, iż ma przed sobą potomka jednej z najpierwszych rodzin Hiszpanii, nie mógł ukryć doznanego wrażenia.

— Mości Pedro de Munoz, jeśli takie twoje imię, chociaż z mowy twej wnosić raczej można, że jesteś księciem albo hrabią — wyrażasz się równie niewłaściwie o jego ekscelencji naszym admirałem, jak niedawno o don Marcinie Alonzo. Podwładny powinien być pokorny i nie drwinkować sobie z pomysłów swego mistrza.

— Wybacz, świętobliwy ojcze; nie chciałem nic innego powiedzieć, tylko że Marcin Alonzo jest dawnym moim towarzyszem podróży, że dziś jeszcze przebywaliśmy razem kawał drogi i że mąż ten szanowny przyrzekł mi wyciągnąć nas z błota, czyli, mówiąc właściwiej, z piasku nadbrzeżnego, w którym to celu przybędzie do klasztoru de la Rabida. Co do mnie, idę za don Kolumbem, gdziekolwiek zechce rozkazać.

- To dobrze, kochany Pedro, to dobrze, odrzekł admirał; ufam twojej szczerości i odwadze, a przyjdzie czas, że przekonasz wszystkich o swej wartości. Rad jestem, świętobliwy ojcze, z dobrej chęci Marcina Alonzo, bo zapal jego rzeczywiście zdawał się ostygąć, a jednak ten człowiek niemałą dla nas może być pomocą.

- Bez wątpienia, jeżeli gorliwie zająć się zechce naszą sprawą, odezwał się zakonnik; bo to najpierwszy żeglarz całego wybrzeża. Nie wiem wprawdzie czy był na Cyprze, jak mówi ten młodzieniec, lecz zapewnić mogę, że popłynął na północ aż do Francji, i na południe aż do Wysp Kanaryjskich. Czy dużo dalej do Cipango jak do Cypru, senior admirał?

Kolumb uśmiechnął się na to pytanie, potrząsając głową, jakby na znak, że przyjaciel jego w straszliwym zostaje błędzie.

- Chociaż Cypr, odpowiedział, znajduje się niedaleko Ziemi Świętej i siedliska władzy niewiernych, Cipango jednak o wiele jest odleglejsze. Nie myślę osiągnąć tego kraju, jak po odbyciu ośmiuset do tysiąca mil morskich.

— Niezmierne to oddalenie! zawołał ojciec Juan, podczas gdy Luis obojętnie słuchał rozmowy, nie troszcząc się oto bynajmniej czy przyjdzie popłynąć tysiąc, czy dziesięć tysięcy mil, byle tylko podróż zapewniała mu rękę Mercedes i obfitą była w przygody — niezmierne to oddalenie! A jednak nie wątpię admirał, że Opatrzność pozwoli ci dokonać wielkiego dzieła.

— Miejmy nadzieję, rzekł Kolumb, znacząc się krzyżem świętym; i na dowód, że nie powinniśmy wątpić, niebo zsyła nam szanownego Marcina Alonzo.

Marcin Alonzo Pinzon, którego imię znane jest w dziejach jako należące do jednego z

najczynniejszych stronników odkrywcy, wszedł do izby z pośpiechem. Przeor bardzo się zdziwił, widząc przybysza witającego najpierw mniemanego Pedra, potem admirała, a na końcu siebie. Wszelako czcigodny zakonnik, drażliwy zawsze na uchybienia przeciw etykiecie, nie miał czasu oburzyć się, gdyż Marcin Alonzo przystąpił zaraz do rzeczy, że, skwapliwością świadcząca, iż nie przybył dla ceremonialnych odwiedzin.

— Przykro mi było słyszeć, senior admirałe, iż żeglarze nasi odmawiają posłuszeństwa rozkazom królowej. Chociaż tu zamieszkały i zwolennik tej misji, nie wiedziałem o tym dokładnie, aż do chwili spotkania się w drodze z dawnym znajomym, senior Pedro de Munoz, który chociaż przybył z daleka lepiej już ode mnie poznał usposobienie mieszkańców. Ale nic to nie znaczy, mój mistrzu; ci ludzie rzadko własnym kierują się natchnieniem: znajdziemy sposoby przerobienia ich, prędzej niż się sami spodziewają.

- To prawda, sąsiedzie Alonzo - wtrącił ojciec Juan. Człowiek jest istotą rozumną i odpowiedzialną, lecz nie idzie za tym iżby zawsze był myślącym. W sprawach zwłaszcza kościoła, powierzonych wyłącznie zarządowi duchowieństwa, tłum nieświadomy bywa sam sobie. Powtarzam, człowiek jest istotą rozumną, lecz rzadko kiedy wolno mu rozprawiać nie słuchając, a zawsze słuchać musi nie rozprawiając.

- Masz słuszność, wielebny mój przeorze i łaskawy sąsiedzie, i pewnie w Palos ani jeden głos nie powstanie przeciw prawdzie twych wyrazów. Lecz skoro mówimy o religii, powinienem nadmienić, iż z tego właśnie źródła płyną największe dla don Kolumba przeszkody. Dewotki rozgłosiły w całej okolicy, że nauka o kulistości ziemi jest kacerstwem przeciwnym Pismu Świętemu, i prawdę powiedziawszy, znalazły one stronników nawet w murach tego klasztoru. Człowiek prostego umysłu niełatwo da w siebie wmówić, że ziemia jest okrągła, kiedy wzrok przekonywa go inaczej. Wszelako ja, stary marynarz, znam lekarstwo na majtków; wy zaś, szanowni słudzy Kościoła, powinniście wpływać wszelkimi sposobami na usunięcie wątpliwości religijnych z serc swych owieczek, a mianowicie na uciszenie wrzasków rodu niewieściego.

— Mam wnosić z twych wyrazów, senior Pinzonie, zapytał Kolumb, że chcesz przyłożyć się czynnie do wykonania mojego przedsięwzięcia?

— Taki jest właśnie mój zamiar. Nie znałem dotąd bliżej warunków nałożonych przez donnę Izabellę, lecz objaśnił mnie o tym senior don... chciałem mówić senior Pedro de Munoz, młodzieniec bardzo rozumny, którego wzięcie rad będę ujrzyć na wielkim oceanie, odbywszy z nim tyle już podróży.

— Jakież szczęśliwe postanowienie! don Marcinie Alonzo, rzekł ucieszony przeor, szczęśliwe dla ciebie i dla nas. Powinieneś wieszować sobie, admirałe, żeś obok pomocy królowej uzyskał tak znakomitego stronnika. Don Pinzon trzęsie całym wybrzeżem, i nie wątpię już teraz, iż wkrótce

otrzymamy żądane statki.

— Ponieważ widzę, senior Marcinie Alonzo, że naprawdę do nas przystajesz, odezwał się Kolumb, trzeba więc pomyśleć o warunkach. Co mówią mieszkańcy Palos, o tych, jakie dawniej podałem?

— Zgodzono by się na nie, chociaż obecnie brak u nas pieniędzy, gdyby nie przesadne obawy.

— Co się tyczy ósmej części wydatków, do poniesienia której jestem obowiązany, mam nadzieję, że się z tego wywiążę,

To mówiąc Kolumb mimowolnie rzucił wzrokiem na mniemanego Pedra.

- Lecz, ciągnął dalej, ze strony przerażonych majtków ważniejsze napotykamy przeszkody. Jeżeli zechcesz udać się ze mną do przyległej izby, pomówimy o tym obszerniej, zostawiając tego młodzieńca pod opieką gościnności czcigodnego przeora.

- Pragniesz więc rzeczywiście należeć do wyprawy admirała? zapytał Luisa ojciec Juan Perez po wyjściu Kolumba z Pinzonem. Ułożenie twoje bardzo jest światowe, powiem nawet pańskie; ale wsiadłszy na okręt, mój synu, trzeba będzie spuścić nieco z tonu.

- Wielebny ojcze, postępować będę pod okiem admirała tak samo, jakbym postępował przed Ferdynandem aragońskim, lub wreszcie przed Boabdillem z Grenady, gdyby nieszczęśliwy ten władca zasiadał jeszcze na tronie swych przodków.

- Szumne to wyrazy, mój młody przyjacielu; lecz wierzaj mi, że powaga Kolumba nie ugięła się nawet przed obliczem królowej Izabelli.

- Czy znasz królowę? - zapytał Luis z żywością - zapominając o przybranej roli.

— Powiniennem znać ją dokładnie, bo nieraz wysłuchiwałem jej spowiedzi. Jest ona przedmiotem uwielbienia dla wszystkich Kastylijczyków; wszelako ja najlepiej ocenić mogę wniosłe jej przymioty, jako niewiasty i królowej.

Don Luis, bawiąc się rękojeścią swej szpady, zajęty myślą o głównym przedmiocie swych uczuć, postanowił wybadać przeora.

— Nie byłeś kiedy, zapytał, powoływany jako spowiednik do młodej panny bardzo lubianej przez królową, a której serce, zaręczam, równie jest czyste, jak serce donny Izabelli?

— Sądząc po twym pytaniu, mój synu, należałoby raczej wysłać cię do Salamanki, dla poznania zwyczajów i obowiązków religijnych, niż w podróż odkrywczą do drugiej świata połowy. Czyż nie wiesz, że spowiedź jest sakramentem, otoczonym najściślejszą tajemnicą? Lecz któraż to z panien dworskich zajęła cię tak żywo, chociaż zapewne bez nadziei?

— Niestety! Przedział między nami jest tak wielki, że może w życiu swoim słowa do niej nie przemówię.

— Jednakże musi mieć nazwisko?

— I to jeszcze jedno z najszlachetniejszych, mój ojcze; nazywa się donna Maria dellos Mercedes

de Valverde.

Przeor spojrział na młodzieńca z wyrazem politowania, a potem spuścił głowę, jakby w myślach zatopiony.

- Znam tę damę, rzekł wreszcie, a nawet będąc u dworu, spowiadałem ją kilkakrotnie. Rzeczywiście zasługuje ona na szacunek donny Izabelli, lecz twoje dla niej uwielbienie nie może opierać się na rozsądnej podstawie.

- Kto wie, wielbny ojcze. Jeżeli wyprawa nasza skończy się pomyślnie, czekają nas awanse i zaszczyty.

- Może masz słuszość; z tym wszystkim donna Mercedes... Zakonnik uciął nagle, aby nie wydać tajemnicy spowiedzi. Wszelako, puściwszy już myśl tym torem, powiedział, co było można.

- Zdaje mi się, że dużo bywałeś po świecie; nie napotkałeś kiedy, mój synu, kawalera kastylijskiego don Luisa de Bobadilla, granda Hiszpanii, noszącego także nazwisko hrabi de Llera?

- Mało mnie obchodzą jego tytuły, odrzekł Luis z udaną obojętnością. Widziałem go kiedyś, jest to półgłówek, pełen niedorzecznej fantazji, po którym niewiele można się spodziewać.

- Podobno tak jest, niestety, rzekł przeor, smutnie kiwając głową; a jednak powiadają, że to jeden z najwaleczniejszych rycerzy hiszpańskich.

- Być może, odpowiedział Luis, lecz na co się przyda waleczność bez rozumu? Co do mnie, niekorzystne mam wyobrażenie o młodym hrabim de Llera.

— Lepszy on podobno od swej sławy, dodał zakonnik; znam osoby co go chwają, a nawet los swój wiążą z jego losem.

— Ojcze przeorze, wymień te osoby! — zawołał Luis porywczo.

— Na cóż ci ta wiadomość, młodzieńcze?

— Potrzebna mi z kilku względów. Najprzód jestem sam młody, jak widzisz, a lepszy zawsze przykład do nauki; po wtóre mam skłonność do tułactwa i mogę zaczerpnąć nauki z życia sobie podobnych; po trzecie, serce moje z niecierpliwością... Ale dosyć na ten raz dwóch przyczyn.

Ojciec Juan Perez, pobożny chrześcijanin i uczony zakonnik, niedoświadczony był jako dziecko w sprawach i namiętnościach światowych, jednakże uderzyło go dziwne postępowanie młodzieńca. Wzmianka o Mercedes pokierowała jego zdaniem, a przypomniawszy sobie, iż sam doradzał podróż don Luisa, domyślił się wreszcie prawdy.

— Młodzieńcze, zawołał, jesteś don Luis de Bobadilla!

— Wielbny ojcze, po takim odkryciu niepodobna już zaprzeczyć sługom Bożym ducha proroczego. Jestem Luis, jak mnie widzisz, i wybieram się w podróż dla zasłużenia na miłość pięknej Mercedes de Valverde.

- Ależ, senior, godziło się tak nas zwodzić? Pozwól usłużyć sobie we wszystkim, co posiada nasz

biedny klasztor.

- Wybacz czcigodny ojciec; Pedro de Munoz czy Pero Gutierrez niczego nie potrzebuje. Ale teraz, poznawszy mnie, mógłbyś coś powiedzieć o donnie Mercedes.

- Poznawszy cię, hrabio, więcej jeszcze mam powodów milczenia, odparł z uśmiechem ojciec Juan Perez. Ciotka twoja, czcigodna markiza de Moya, niech będzie orędowniczką twej miłości, lecz sługa Kościoła do spraw światowych wtrącać się nie powinien.

Po długiej i poufnej rozmowie, w której zakonnik, nie zdradzając tajemnicy, ukrzepił jednak nadzieję młodziana i pochwalił zamiar towarzyszenia Kolumbowi, ten ostatni, z Marcinem Alonzo, wszedł do izby, oświadczając, że wszystko już ułożone, i że Marcin sam weźmie udział w wyprawie.

ROZDZIAŁ XII

Wiadomość, że Marcin Alonzo Pinzon wybiera się w podróż z Kolumbem, z szybkością błyskawicy rozeszła się po Palos. Przykład człowieka szanowanego w całej okolicy silniej niż rozkazy królewskie, silniej niż nauka Kolumba wpłynął na umysły mieszkańców. Znając Marcina Alonzo jako jednego ze swoich, ufali jego zadaniu i doświadczeniu, gdy tymczasem rozkazy królowej, kochanej wprawdzie, lecz nieobecnej, nosiły cechę przymusu. Co do samego Kolumba, chociaż większa część marynarzy w Palos nie tała dlań poważania, jednakże, straciwszy go z oczu, pomysły jego uważali za marzenie.

Pinzonowie wzięli się do dzieła jak ludzie przywykli gorliwie cudze wykonywać myśli. Kilku członków tej rodziny połączyło się dobrowolnie z Marcinem; jeden z braci jego, Wincenty Yanez, mianowany został dowódcą okrętu, drugi sternikiem; słowem w przeciągu jednego miesiąca zrobiono więcej dla urzeczywistnienia planów Kolumba, aniżeli przez lat siedemnaście, w których one zaprzętały umysł wielkiego odkrywcy.

Pomimo wpływu miejscowych Pinzonów, nie brak jednak w Palos silnej opozycji. Rodzina Pinzonów miała swych nieprzyjaciół; powstały więc dwa przeciwne stronnictwa, z których jedno starało się niweczyć plany drugiego. Przekonano się wkrótce, że niektóre roboty źle były wykonane, a rzemieślnicy dla zaradzenia temu wzbraniali się pracować. W miarę jak się zbliżała chwila wypłynięcia, wiatr coraz gwałtowniej dął od zachodu. I Pinzonowie spostrzegli z żalem, iż wielu ochotników zaczęło się wahać.

Takie było położenie rzeczy w końcu lipca, gdy Marcin Alonzo Pizon powrócił do klasztoru Santa-Maria de Rabida, gdzie Kolumb mieszkał, by czuwać z bliska nad przygotowaniem do podróży. Luis de Bobadilla, jako na nic w tym nieprzydatny, przepędzał w nudach samotne chwile,

wzdychając za sławą wielkich czynów i marząc o wdziękach, wierności i cnocie nadobnej Mercedes de Valverde. Ojciec Juan Perez starał się ze swej strony o wspomóżenie moralne swych przyjaciół; i rzeczywiście udało mu się, jeśli nie stłumić, to przynajmniej uspokoić nieco wątpliwości mniej oświeconych mieszkańców.

Kolumb dowiedziawszy się, że Pinzon chce z nim pomówić, przyjął go nader skwapliwie, wiedząc dobrze, iż pomoc tego człowieka bardziej mu jest potrzebna, od pomocy nawet donny Izabelli. Wprowadzono go więc natychmiast do izby przeora.

— Witam cię, szanowny Marcynie, rzekł zakonnik; co słyhać w Palos, i kiedy wybieracie się w drogę?

— Na św. Franciszka, mój ojczu, nikt tego przewidzieć nie zdoła. Dwadzieścia już razy myślałem, że wszystkie trudności zostały usunięte, a zawsze nowe napotykam przeszkody. Okręt „Santa Maria”, którym popłynąć ma admirał z seniorem Gutierrez czy Munoz, już prawie gotowy. Jest to porządnie zbudowany statek o przeszło stu beczułkach ładunku, i mniemam, że jego ekscelencja z całą osadą tak wygodnie się na nim pomieści, jak świątobliwi ojcowie w klasztorze de la Rabida.

— Cieszy mnie to, zawołał przeor zacierając ręce; miejsce pobytu don Kolumba powinno być godne jego dostojęstwa!

— Nie o mnie tu chodzi, ojczu Perez, tylko o sprawę ludzkości. Rad jestem, iż cię widzę, senior Marcynie Alonzo, bo właśnie wyprawić mam umyślnego do dworu i chciałbym coś donieść nowego. Utrzymujesz więc, że „Santa Maria” wykończona będzie do końca tego miesiąca.

— Tak jest, senior. Statek ten może pomieścić sześćdziesięciu ludzi, jeżeli tylko znajdziemy tylu w Palos ochotników,. Bóg jest świadkiem naszych starań, i pewnie nam to wynagrodzi obfitością korzyści.

— Korzyścią naszą będzie rozszerzenie chwały Bożej, wtrącił Perez, lecz biednemu marynarzowi wolno przecież pomyśleć o żonie i dzieciach. Mniemam, że i nasz admirał spodziewa się ze swego przedsięwzięcia korzyści pieniężnych.

— Nie mylisz się, dobry Marcynie, odpowiedział z powagą Kolumb; chcę przelać bogactwa Indii do skarbcza kastylijskiego. Tym sposobem szanowny przeorze, środki do odzyskania Grobu Świętego pochodzić będą od nas, i staną się zależne od naszego powodzenia.

- Prawda, senior admirał, i to nas wyniesie w oczach całego chrześcijaństwa, a także wobec zakonników klasztoru de la Rabida. Ale i tak już dosyć znajdujemy trudności w ujęciu sobie marynarzy, potrzeba jeszcze straszyć ich krucjatą i dowodzić, że ciężko zdobytych zysków najlepiej użyją na wypędzenie niewiernych? Poczciwi sternicy Franciszek, brat mój, Marcin Pinzon, Sancho Ruiz, Pedro Alonzo Nino i Bartłomiej Roland zapewne szczerze są do nas przywiązani, lecz jeśli za cel podróży wskażemy im krucjatę, już wtedy i wszyscy święci nie

wyprowadzą ich w morze.

- Zobowiązanie moje jest czysto osobiste, odpowiedział Kolumb spokojnie, i mnie tylko samego dotyczyć będzie po powrocie. Kto niczego nie ślubował, nie potrzebuje też ślubu dotrzymywać. Ale co tam nowego o twoim statku „Pinta”? Czy niezadługo będzie mógł oprzeć się burzom oceanu?

- Jak zwykle, senior, w rzeczach przymusowych, robota idzie wolno, nie wsparta tą ochoczą wesołością, co towarzyszyć zwykła pracom podjętym dobrowolnie i na własną korzyść.

- Ci biedni zaślepieni nie wiedzą, że tu chodzi o własne ich dobro, rzekł Kolumb. Jednak wielkie czyny spełniają się zawsze wbrew woli nawet niedoświadczonych ludów.

- Masz słuszność, senior, dodał przeor. Dlatego też pierwszym obowiązkiem chrześcijanina jest głęboka wiara.

— Być może, wielebny ojcze, odparł Marcin Alonzo, lecz niewykształcone umysły rzadko kiedy wierzą w to, czego nie pojmują. Gdy sobie kto wyobraża, że idzie na śmierć niechybną, na próżno gadać mu będziesz o nagrodzie w przyszłym życiu. Poza tym wszystkim osada okrętu „Pinta” gotowa jest do podróży.

— Pozostaje jeszcze „Nina”, ciągnął dalej Kolumb, gdy i ten statek zostanie wykończony, będziemy mogli ruszyć w imię Boże.

— Tak jest, senior. Brat mój, Wincenty Yanez podjął się jego uzbrojenia, a co przyrzeknie członek rodziny Pinzonów, tego święcie dotrzyma. „Nina” rozwinie żagle razem z okrętem admirałskim i z moim; trzeba by wielkiego nieszczęścia, żeby choć jeden z tych statków nie dosięgnął ziemi obiecanej.

— Pocieszające masz przekonanie, sąsiedzie Alonzo — rzekł przeor radośnie zacierając ręce — nie wątpię już o powodzeniu wyprawy, mimo przepowiedni nieprzychylnych ludzi.

— Bredzą, jak zwykle, ojcze Perez. Wprawdzie żaden z żeglarzy nie zaprzecza, iż na morzu prędzej widać żagielki zbliżającego się okrętu, niż wielkie żagle umieszczone poniżej, ale przypisują to zjawisko ruchowi wody, nie zaś kulistości ziemi.

— Czyż żaden z nich nie oglądał kiedy cienia ziemi w czasie zaćmienia księżyca? — zapytał Kolumb z uśmiechem człowieka, co przekonawszy się drogą naukowych badań o wielkiej prawdzie, rzuca nie oświeconej zgrai jeden z dowodów najbardziej dotykających. Czyż nie widzieli, że cień ten jest okrągły, i czyż nie wiedzą, że każde ciało daje cień odpowiedni swemu kształtowi?

— To dowód tak oczywisty, sąsiedzie, że powinien rozproszyć wątpliwości największych plotkarzy wybrzeża.

— Nie tak łatwa z nimi sprawa, czcigodny ojcze. Najlepszym sposobem przekonania tych poczciwców będzie popłynąć na zachód, dosięgnąć Cipango i szczęśliwie stamtąd powrócić.

— Spodziewam się, że to niebawem nastąpi, don Marcinie Alonzo, rzekł Kolumb głosem pełnym otuchy. Lecz skoro zbliża się chwila naszego wyjazdu, powinniśmy pamiętać o obowiązkach religijnych. Niech każdy z nas wypowiada się z grzechów, a zanim wypłyniemy z portu, przyjmiemy wszyscy razem Komunię świętą.

Po krótkich jeszcze naradach nad niektórymi szczegółami wyprawy, uczestnicy tej rozmowy rozeszli się, i kilka dni upłynęło na czynnych przygotowaniach do drogi. Drugiego sierpnia 1492 r., w dzień czwartkowy, rano, Kolumb wszedł do izby ojca Juana Pereza, w ubiorze pokutniczym. Przeor już go oczekiwał, i wielki odkrywca przykląkł przed zakonnikiem, przed którym nieraz ugięły się kolana królowej Izabelli. Religijność Kolumba nosiła barwę wieku; spowiedź jego była mieszaniną głębokiej skruchy i przeciwnych jej błędów, tak często napotykana w umysłach, szczególnie mężczyzn, owego czasu.

- Nadto, rzekł Kolumb, wypowiadawszy się z grzechów najpospolitszych, obwiniam się, ojcze świątobliwy, o zbyt duże zaufanie w swe siły, o karygodne może przekonanie, że jestem narzędziem Opatrzności, wybranym dla odwiecznych jej celów.

- Ważny to błąd, mój synu, którego bacznie strzec się powinienes. Nie ulega zaprzeczeniu, iż Bóg niekiedy czyni nas wykonawcami swej woli, ale człowiek bardzo skłonny jest uważać podszepty miłości własnej za wyższe natchnienie.

— Mówię sobie nieraz to samo, wielebny ojcze, odpowiedział łagodnie Kolumb, a jednak głos jakiś wewnętrzny, uludny czy prawdziwy, każe mi wierzyć, że jest wysłannikiem nieba.

— Dopóki głos ten skłania się tylko ku chwale Bożej, posłuchaj go bez obawy, lecz skoro doznasz dumnego zarozumienia uciekaj przed nim, jak przed pokusą szatana.

— Wystrzegam się tego pilnie, świątobliwy ojcze. A teraz, ulżywszy sumieniu, mogę spodziewać się rozgrzeszenia?

— Czy nie masz nic więcej do wyznania, mój synu?

— Grzechy moje są liczne, ojcze przeorze, i godne zaiste potępienia; lecz zdaje mi się, że je wszystkie wymienił.

— Nie zawiniłeś nigdy w stosunkach swoich z płcią, w której kształtach częstokroć kusi nas szatan, a niekiedy pocieszają aniołowie?

— Zbłądziłem nieraz jako człowiek, mój ojcze, ale wspomniałem już o tych grzechach.

— Czy pamiętasz o donnie Beatrix Enriquez, i swym synu, Fernandzie?

Kolumb pochylił głowę i westchnął głęboko.

— Prawdę mówisz, wielebny ojcze, jest to wina której niczym nie odkupię. Naznacz mi najcięższą pokutę, a zobaczysz jak chrześcijanin poddać się umie zasłużonej karze.

Kościół tym razem poprzestaje na twojej chęci, mój synu, gdyż mając na celu dzieło tak ważne dla

religii, potrzebujesz swobody umysłu i ciała. Jako sługa Boży nakazuję ci tylko przez dni dwadzieścia zwać codziennie Ojciec Nasz na intencję tego grzechu.

Po kilku jeszcze uwagach ze strony kapłana przyszła kolej spowiedzi na don Luisa. Pobożny przeor, jakkolwiek przejęty świętością swych obowiązków, musiał uśmiechnąć się mimo woli, gdy roztrzepany młodzieniec, idąc za jakimś popędem niepowściągniętym, przyrównywał ciągle przestrogi spowiednika do słodszych uwag wybranki swego serca. Nałożona pokuta była dość surowa, wszelako Luis, nieprzywykły do karności konfesjonału, mało na to zważał, przekonany będąc, że samo już złożenie tak ścisłego rachunku sumienia dostateczną dla niego jest karą.

Po dopełnieniu wreszcie sakramentu spowiedzi przez Marcina Alonzo Pinzona i innych marynarzy, nastąpiła scena nacechowana piętnem wieku, lecz która w każdej epoce silnie wpłynąć by musiała na ludzi wybierających się w niebezpieczną podróż.

W kaplicy klasztornej odprawiono Mszę świętą. Kolumb z przykłądną skruchą przyjął hostię z rąk ojca Juana, a towarzysze wszyscy poszli za jego przykładem. W tym czasie niezachwianej wiary ceremonie kościelne uważane były jeszcze za cele, a nie za środki religii. Niejeden z prostych majtków, którego życie dalekie zwykle było od świętości, w tej chwili przykląkł z pokorą u stóp ołtarza, wzywając miłosierdzia Boskiego. Nie urągajmy modlitwom ludzi będących w niebezpieczeństwie, nie uważajmy ich za obraz obłudy, bo one są hołdem stworzenia, złożonym wszechmocy Stwórcy. Pamiętajmy raczej o ułomności ogólnej swojego rodu, i cieszymy się myślą, że Istota Najwyższa przyjmuje ofiary tych nawet, których życie powszednie nie zgadza się z jej świętą wolą. Te błyski ulotnych wzruszeń są dziełem ducha Bożego, a co pochodzi od Boga, godne jest zawsze uwielbienia.

Jednak, pomijając już nawet usposobienie ogólne, Kolumb tego dnia rzeczywistym przejęty był zapalem. Przywykły do odnoszenia zawsze swych zamiarów do świątobliwych celów, odkrywca z prawdziwą wiarą oddawał się Boskiej opiece. Wiadomo, iż się uważał za narzędzie Opatrzności; a można utrzymywać, że przekonanie jego było mylne, zwłaszcza gdy skutek tak świetnie uwieńczył jego plany? I tym razem rzeczywistość przemawia za nim, i przypuszczać należy, iż ręka kierująca niewidzialnie naszymi losami użyła jego gorącej wiary za środek do osiągnięcia zamierzonych celów.

Co się tyczy towarzyszy Kolumba, usposobienie ich było odmienne. Chwiejąc się między nadzieją i obawą, żywioną szczególnie przez kobiety, podbechtani z drugiej strony żądzą zysku, gotowi wprawdzie byli odważyć się na wszystko, byle zaczerpnąć z nieprzebranych skarbów krainy wschodu, lecz wrażenie to było nietrwałe i można powiedzieć, że skrucha ich po większej części wpływała z trwogi.

- Ludzie twoi nie należą do bardzo wesołych, senior admirał, rzekł Luis opuszczając kaplicę;

powiedziawszy prawdę wolałbym w uczestnikach tak wielkiego przedsięwzięcia znaleźć serca odważne i twarze śmiejące.

- Czy sądzisz, młodzieńcze, że twarz śmiejąca jest dowodem mocy duszy? Ci poczciwi marynarze myślą o swych grzechach, a nie chcąc skalać świętego dzieła, oczyszczają sumienie i poddają się woli Boga. Niepodobna byś i ty nie doznawał jakiegoś wrażenia religijnego.

- Na św. Piotra, mojego patrona, myślę więcej o Mercedes de Valverde, niż o czymkolwiek innym; to moja gwiazda polarna, moja religia, moja ziemia obiecana. Odkrywaj w imię Boże nieznanne kraje, nawracaj wielkiego chana, ja wszędzie będę ci towarzyszył, i wszędzie dowiodę z mieczem w ręce, że pani mego serca na całym świecie nie ma sobie równej.

Kolumb, chociaż rozśmieszony tą szumną pochwałą, uznał jednak za stosowne wyrzec słówko nagany.

— Boleję nad tym, mój młody przyjacielu, że cię znajduję w tak lekkomyślnym usposobieniu. Czyż nie przeczuwasz długiej kolei cudownych następstw naszej podróży; nawrócenie niewiernych, zdobycie dalekich krajów, rozjaśnienie niektórych wątpliwości naukowych, niewyczerpane bogactwa i w końcu, na uwieńczenie dzieła, odzyskanie grobu Zbawiciela?

— Zapewne, senior, admirale, zapewne, i to mnie napełnia radością; lecz poza tym wszystkim widzę postać donny Mercedes. Na co mi złoto? Mam go dosyć lub będę miał wkrótce. Mało mnie też obchodzi potęga korony kastylijskiej, skoro jej sam nigdy nosić nie będę. Co do Grobu Świętego, daj mi Mercedes, a gotów jestem, jak moi przodkowie, zmierzyć się z wyznawcami proroka. Słowem, mistrzu, bądź moim przewodnikiem, a zaręczam, że chociaż z odmiennych pobudek, u jednego staniemy celu.

— Wielki z ciebie wartogłów, Luis, lecz uniewinniam cię przez wzgląd na nadobną pannę będącą przedmiotem twych uczuć.

- Poznałeś ją, senior, i przyznajesz, że zasługuje na uwielbienie nie tylko moje, ale całej młodzieży hiszpańskiej.

- Piękna jest w istocie, cnotliwa i pełna zapału religijnego, a przymioty te, rzadko z sobą połączone, usprawiedliwiają poniekąd twoje uniesienie, lecz nie zapomnij, że chcąc otrzymać jej rękę, powinieneś najpierw odkryć Cipango.

- Widzę już okiem wyobraźni tę uroczą wyspę! Mercedes na jej wybrzeżu wita nas z niewinnym uśmiechem, czarującym jednocześnie zmysły i duszę. Oby Najświętsza Panna zesłała nam wiatr pomyślny, byśmy co prędzej opuścić mogli to smutne pustkowie!

Kolumb nic nie odpowiedział, gdyż mimo pobleżania dla szału rozkochanego młodzika, zbyt ważne zaprzętały go myśli, aby podać mógl ucha wynurzeniom miłosnym.

ROZDZIAŁ XIII

Nadeszła wreszcie chwila stanowcza, chwila co wynagrodzić miała Kolumbowi tyloletnie zawody i cierpienia. Podczas gdy ogół, porównując wątle środki oddane pod jego rozkazy truchłał o skutek przedsięwzięcia burzącego w ich przekonaniu wszystkie prawa natury; odkrywca, chociaż nie tracił zwykłej przytomności, znajdował się w stanie zachwycenia, tłumionego jedynie przez roztropność. Ojciec Juan Perez szepnął na ucho Luisowi, że radość admirała podobna być musi do błogiego uczucia chrześcijanina, co z padołu ziemskich cierpień wchodzi w krainę wiecznego życia, którego nie zna, a jednak dostąpić się spodziewa.

Drugiego sierpnia po południu podniesiono kotwice i rozwinięto żagle. Sternicy zamierzali w dniu tym poprowadzić okręty tylko do Huelva; ale zawsze był to początek podróży, uważanej przez wielu za bezpowrotną. Kolumb, wyprawiając posłańca do dworu, pozostał jeszcze na lądzie; na koniec i on, w towarzystwie Luisa i przeora, udał się ku przystani. Trzej przyjaciele postępowali w milczeniu, bo każdy z nich innymi zajęty był myślami; przeor zastanawiał się nad niebezpieczeństwem dzieła, które w tej chwili wydawało mu się nader wątpliwe; Kolumb przebiegał pamięcią szczegóły wydanych rozporządzeń; Luis wreszcie marzył o dziewicy kastylijskiej, jak zwykle nazywał Mercedes, i smucił się długim z nią rozłączeniem.

Niedaleko wybrzeża towarzysze przystanęli, czekając na czółno. Tu ojciec Juan pożegnać miał podróżników; przerywając zatem długie milczenie, rzekł głosem wzruszonym:

- Senior Kolumbie! Kilkanaście lat upłynęło od czasu jak przybyłeś po raz pierwszy do klasztoru de la Rabida, a były to dla mnie lata słodzone przyjaźnią i szczerym zadowoleniem.

- Podzielałem takowe, wielbny ojcze, chociaż rzucony na pastwę różnorodnych cierpień. Lecz nie zapomnę nigdy owej chwili, gdy znużony pieszą podróżą, bez przytułku, bez pożywienia, wzywałem gościnności waszego zakonu. Przyszłość jest w ręku Boga, ale przeszłość niezatarte ślady wywarła w mym sercu. Byłeś mi przyjacielem, czcigodny ojcze, kiedy wszyscy mnie odtrącali; jeżeli kiedykolwiek zdołam zmienić zdanie ogółu...

— Już ono przerobione na twą korzyść, admirale, przerwał skwapliwie ojciec Perez. Czyż nie szukałeś pomocy naszych władców i tego młodzieńca? Nie towarzyszą ci życzenia wszystkich oświeconych ludzi naszego półwyspu?

— Być może, mój ojcze; zawsze jednak większość będzie nas lekceważyć, póki trwa nasza tułaczka po morzu. W tej chwili nawet, gdyśmy posiadli środki rozwinięcia mej teorii, gdy dotykamy już stopą progów przedsiönka Indii, mało kto zapewne wierzy w powodzenie wyprawy.

— Masz za sobą donnę Izabellę, senior.

— I donnę Mercedes! dodał Luis, nie mówiąc już o mej ciotce.

— Kilka tylko miesięcy cierpliwości! zawołał Kolumb, odkrywszy głowę osiwiałą wiekiem i troską i wznosząc ku niebu pałające spojrzenie; kilka miesięcy, to chwila jedna dla szczęśliwych, lecz dla nas staną się one wiekami. Świątobliwy przeorze, nieraz już opuszczałem łąd stały z przekonaniem, iż życie moje wisi na włosku, iż prędzej może wypadnie zginać, jak szczęśliwie powrócić; dziś tylko najmniejszego nie czuję zwątpienia: los mój jest w ręku Boga; ukończenie zaś szczęśliwe dzieła wyrokiem jego z dawna zostało przewidziane.

— Pochwalam to zaufanie w chwili stanowczej, mój synu i mam nadzieję, że ono nie zostanie zawiedzione, lecz nadpływa czółno: trzeba nam się rozstać.

- Świątobliwy ojcze, nie zapominaj o mnie w swych modlitwach gdyż, jako człowiek ułomny i słaby, potrzebować będę pokory, a wierzę w skuteczność twego wstawiennictwa.

- Bądź spokojny, drogi przyjacielu, skieruję wszystkie modlitwy do Bogarodzicy i wszystkich świętych, lecz żaden śmiertelnik przewidzieć nie zdoła zrzążeń Opatrzności; przedsięwzięcie twoje, jakkolwiek rozsądne i chwalebne, może nie powieść się.

- To niepodobna, ojcze; Bóg wszechmogący, co dotąd nie odmawiał nam pomocy, pewnie tego nie dopuści!

- Kto wie, mój synu! Mądrość nasza, w porównaniu z niezbadanymi wyrokami nieba, jest ziarnkiem piasku w pustyni. W przypuszczeniu więc, że możesz powrócić zawiedziony w oczekiwaniu, miałem ci powiedzieć, iż klasztor de la Rabida zawsze dla ciebie stać będzie otworem, bo w oczach naszego zakonu chwalebne usiłowanie równa się uczynkowi.

- Dziękuję ci, ojcze wielebny, i proszę o twoje błogosławieństwo.

- Przyklęknij, mój synu; w takiej chwili i piasek wybrzeża stać może się świątynią.

Oczy Kolumba i przeora zrosiły się łzami rozstania. Genuńczyk kochał zakonnika, co pierwszy dłoń przyjazną podał nieznanemu przybyszowi; ojciec Perez nawzajem czule był przywiązany do osoby odkrywcy i szczerze sprzyjał jego planom, obydwóch zaś łączyło ściślej jeszcze głębokie poważanie dla wiary. Kolumb ukląkł na piasku i przyjął z synowską pokorą błogosławieństwo kapłana.

— I ty, młodzieńcze, rzekł ojciec Juan głosem drżącym od wzruszenia, nie odrzuć modlitw starego sługi Kościoła.

Luis, pomimo żywości wrodzonej, jak wszyscy niemal ludzie w jego wieku, szanował rzeczy święte; przykląkł więc bez wahania i otrzymał również błogosławieństwo.

— Żegnam cię, świątobliwy ojcze, zawołał Kolumb, ściskając ręką przyjaciela. Byłeś mi wiernym, gdy wszyscy mnie opuszczali; teraz zbliża się dzień wspólnego naszego tryumfu. Zapomnij o mnie

na kilka miesięcy, oczekując wypadków co sławą opromienia Kastylię, a w dziejach świętego panowania Ferdynanda i Izabelli zaćmią zdobycie Grenady.

Słowa te wymówione były nie w sposób szumnej przechwałki, ale z gorącą wiarą człowieka, co prawdę ukrytą przed innymi tak samo przeniknął myślą, jakby ją widział gołym okiem.

Uściskawszy się po raz ostatni, dwaj podróżnicy pożegnali przeora. Tymczasem czołno wysłane po Kolumba przybiło do brzegu i jeden z majtków wyskoczył na ląd dla spotkania admirała, gdy jakaś młoda kobieta, z rozpaczą rzuciła mu się na szyję.

— Pójdź, pójdź, Pepe! krzychała szlochając; pójdź, dziecię twoje płacze za ojcem!

— Nie, Moniko, odpowiedział majtek, spoglądając ukradkiem na Kolumba, który był jeszcze w pewnym oddaleniu. Wiesz, że nie z własnej chęci podjąłem się tej podróży, ale mogę się oprzeć rozkazom królowej?

— To szaleństwo, Pepe, odrzekła kobieta, ciągnąc męża za kaftan. Dostyc tego zmartwienia.

— Czyż nie widzisz, Moniko, że admirał się zbliża; zapominamy o uszanowaniu dla niego.

Zwykła uległość niższych dla wyższych utuliła chwilowo skargi rozżalonej niewiasty. Spojrzała na Kolumba błagając; w jej pięknych czarnych oczach malowało się uczucie stroskanej matki i żony.

- Senior admirał, zawołała, Pepe nie jest ci już potrzebny. Dopomógł on w przeprowadzeniu statków do Huelva; teraz wzywają go żona i dziecko.

Kolumb wzruszony bólem młodej kobiety, posuniętym aż do obłędu, odpowiedział jej łagodniej niż należało w tak stanowczej chwili niejako wobec wezwania do buntu:

- Mąż twój szczyścić się powinien, że towarzyszyć mi będzie w tej podróży; tobie zaś, jako żonie dzielnego marynarza, nie należy odstręczać go od szczęścia.

- Nie wierz mu, Pepe; zły duch przez niego cię kusi. On bluźni przeciw słowu Bożemu, mówiąc, że ziemia jest okrągła i że płynąc ku zachodowi można się dostać na wschód; on zgubi ciebie i wszystkich!

- Dlaczego tak myślisz, dobra kobieto? zapytał admirał. Cóż by mi przyszło ze zguby twego męża i jego towarzyszy.

- Nic nie wiem i nie troszczę się o to, ale Pepe należy do mnie, i nie popłynię na tę przeklętą wyprawę. Nie można spodziewać się dobrego skutku z przedsięwzięcia opartego na zaprzeczeniu świętym prawdom religijnym.

— I jakiego to nieszczęścia tak się obawiasz? Idąc za mąż wiedziałaś, że się łączysz z marynarzem, a jednak odrywasz go teraz od służby.

— Niech go wyślą przeciw Maurom, Portugalczykom lub Anglikom, to nie powiem ani słowa; ale sprzeciwiam się podróży w słudze złego ducha. Po co nas przekonywać, senior, że ziemia jest okrągła, gdy oczy nam mówią przeciwnie? A jeśli naprawdę okrągła, to okręt co się puści jednym

jej brzegiem nigdy już nie powróci, bo jakże słaby statek płynąć może pod wodospad? Gdy błąkać się będziesz po oceanie przez kilka miesięcy, jakże potem trafisz na powrót? Ach senior! Palos jest małym miasteczkiem; straciwszy je z oczu, pewno już go nie znajdziesz.

— Jakkolwiek dziecinnie brzmią te zarzuty, rzekł Kolumb spokojnie do Luisa, nie są one w istocie mniej zasadne od uwag jakich nasłuchałem się bez liku z ust nawet ludzi uczonych. Gdy umysł człowieka zamroczony jest ciemnotą, myśl jego nagromadza dowody najbardziej nawet niedorzeczne, w celu obalenia pewników, których nie pojmuje. Ale spróbuję zjednać sobie tę niewiastę przez pobudki religijne. Czy jesteś chrześcijanką Moniko?

— Matko Boska! jakież zapytanie? Czyż sądzisz, senior admirale, że Pepe ożenił się z Mauretanką?

- Wysłuchaj mnie przeto i uznaj, że twoje postępowanie niegodne jest chrześcijanki. Nie sami tylko Maurowie pozbawieni są światła wiary; owszem plemię niewiernych po całej rozrzucone jest ziemi. Na wschodzie szczególnie tylu znajduje się pogan, co piasku na tym brzegu; bo dotąd mała tylko część świata naszego zostaje w posiadaniu wyznawców Chrystusa: nawet grób Zbawiciela kalają stopy nieprzyjaciół wiary.

- Słyszałam o tym, senior, i dziwię się, że chrześcijanie nie umieją temu zaradzić.

- Czyż nie mówiono ci nigdy, że nadejdzie chwila, w której Słowo Boże, jak odgłos trąb dnia sądniego, przeniknie do uszu niewiernych, w której ziemia cała będzie wielką świątynią, poświęconą czci Przedwiecznego i chwale Jego imienia?

- Pamiętam, senior, iż zakonnicy de la Rabida i proboszcze parafialni cieszyli nas tą nadzieją.

- A czy w tych czasach nie poparło jej ważne jakie zdarzenie?

- Pepe, jego ekscelencja mówi zapewne o łzach, co spłynęły z oczu Najświętszej Panny w kaplicy klasztornej.

- Nie myślę o cudzie tak wątpliwym, w który wolno każdemu wierzyć lub nie wierzyć. Ależ zapominasz o czynie naszych władców, zapewniającym tryumf Ewangelii.

— On mówi o wypędzeniu Maurów, Pepe! zawołała niewiasta, spoglądając z zadowoleniem na męża; słyszałam, że zdobyto Grenadę i że królowa Izabella weszła tam zwycięsko.

— Tak jest, moja córko, i w tym właśnie zdobyciu widoczną jest wszechmoc Stwórcy. Stolica Maurów posiada teraz chrześcijańskie kościoły, a wkrótce wznosić się one będą w krajach nieznanego wschodu. Święte to dzieło, nierozsądna niewiasto! Wstrzymując męża od udziału w nim, pozbawiasz go nagrody w przyszłym życiu, ściągasz przekleństwo na głowę swego dziecka.

Młoda kobieta zachwiała się, rzuciła zatrwożonym wzrokiem na admirała i męża, i przeżegnawszy się pobożnie rzekła do Kolumba:

— A ty, senior, czy pragniesz rzeczywiście chwały Bożej?

— To cel mój jedyny, dobra niewiasto, i oby przedsięwzięcie moje tak się skończyło pomyślnie, jak słowa moje są prawdziwe!

— I ty także senior? dodała Monika, zwracając się do młodzieńca.

— I ja podobnie idę za natchnieniem, jeśli nie Boga samego, to przynajmniej anioła, odpowiedział Luis.

— Czy słyszysz, Pepe? Miano by nas zwodzić, mówiąc bezzasadnie tyle złego o admirałach?

- Cóż o mnie mówią? zapytał spokojnie Kolumb; powiedz śmiało moja córko, nie będę się gniewał.

- Senior, masz wielu nieprzyjaciół, i nic w tym dziwnego kiedy matki, żony i narzeczone żeglarzy tego portu ciągle ich niechęć podlegają. Mówią naprzód, że jesteś biedny.

- To prawda tak widoczna, moja dobra kobieto, że niepodobna jej zaprzeczyć. Ale czy ubóstwo jest zbrodnią w Palos?

- Nie cenią jakoś w tym kraju ubogich, sama nie wiem dlaczego, bo mnie się zdaje, iż jesteśmy tak dobrzy jak i drudzy. Dalej, senior, powiadają, że nie jesteś rodem z Kastylii, tylko z Genui.

- I to także prawda, lecz może to być ujmą w oczach tutejszych marynarzy, że pochodzę z rzeczypospolitej tak słynnej z odkryć morskich?

- Nie wiem senior, ale my dumni jesteśmy z tego, żeśmy zrodzeni w Hiszpanii, w Kastylii, ojczyźnie cnotliwej donny Izabelli. Bo jakże genueńczyk może być równy Hiszpanowi? Wolałabym żeby Pepe wyjeżdżał z ziomkiem, a jeszcze pochodzącym z Palos albo Moguer.

- Dowodzenie twoje jest dowcipne, chociaż nie bardzo przekonujące, odpowiedział Kolumb z uśmiechem, lecz godzi się potępić człowieka, dlatego że ubogi i genueńczyk?

- Nie zaiste, senior! Co do mnie lepsze już teraz mam wyobrażenie o tej podróży. Zawsze przecież jest to wielka ofiara biednej kobiety z dzieckiem, puszczać męża w tak niebezpieczną drogę.

— Masz oto przed sobą młodzieńca szlachetnego imienia, kochającego i kochanego, który posiada bogactwa i zaszczyty, a jednak towarzyszy mi za zgodą, a nawet z rozkazu swej ukochanej.

— Prawda to, senior? zapytała z żywością niewiasta.

— Prawda, co więcej, całą swą nadzieję zasadzam na tej podróży. Wszak mówiłem, że działałam z natchnienia anioła.

— Bogdaj tych młodych paniczów, jak oni słodko umieją przemówić. Ale senior, powiadają, że sam tylko z tego przedsięwzięcia odnieść możesz korzyść, podczas gdy innym uczestnikom zagraża nieszczęście. Ubogi dotąd i nieznany, zostałeś od razu admirałem, niektórzy utrzymują, że jeśli spotkasz na morzu galery weneckie, nie omieszkaś ulżyć im ładunku.

— I cóż to wszystko szkodzić może twojemu mężowi? Wszak dzielić z nim będę niebezpieczeństwa i korzyści. Czy zdobędę złoto, czy zasługę w obliczu Boga, zawsze Pepe otrzyma część sobie należną. Na sądzie ostatecznym, moja córko, nikt nie zapyta kto bogaty, a kto

ubogi, kto Hiszpan, a kto genueńczyk.

— Prawda, senior, ale zawsze to ciężko dla młodej żony rozstawać się z mężem. Mów szczerze Pepe, czy masz ochotę popłynąć z admirałem?

- Wszystko mi jedno, Moniko; jestem w służbie królowej, a dobry poddany nie powinien opierać się jej rozkazom. Prócz tego, posłuchawszy wyrazów jego ekscelencji, zmieniłem nieco przekonanie.

- Jeżeli ta podróż ma rzeczywiście na celu dobro Kościoła, wtrąca niewiasta, nie powinieneś uchylać się od niej. Pozwól senior, by Pepe noc tę spędził z rodziną, a jutro skoro świt stawi się na pokładzie okrętu „Santa Maria”.

- Jakąż dajecie mi rękojmię?

- Senior, jesteśmy chrześcijanami, służymy jednemu Bogu i wszystkich nas zarówno odkupiła krew Zbawiciela.

- Masz słuszość, moja córko, polegam na twoim słowie. Pozostań w chacie do rana, pocziwy mój Pepe, a potem spiesz, gdzie cię wzywa powinność.

Młodzi małżonkowie, okazawszy swą wdzięczność, odeszli, a że osada czółna zajęta jeszcze była niektórymi przygotowaniami, Kolumb przechadzając się z młodzieńcem wzdłuż brzegu morskiego, toczył z nim przyjacielską rozmowę.

- Otóż widziałeś próbkę tych trudności, jakie od lat kilkunastu przychodzi mi pokonywać, rzekł odkrywca smutnie, chociaż bez cierpkości. To zbrodnia być ubogim, być genueńczykiem, słowem takim, jak sobie ludzie uroili! Wspomnij moje słowo, hrabio de Llera, przyjdzie dzień w którym Genua nie uzna się znieślawiona imieniem Krzysztofa Kolumba, w którym Kastylia dopominać się będzie udziału w mojej chwale. Ty nie wiesz, młodzieńcze, ileś wyprzedził drugich na drodze wielkich czynów przez samo urodzenie i dostatki. Spójrz na mnie, osiwiąłego cierpieniem, i wspomnij, że rozpoczynam zaledwie dzieło mające stawić nazwisko moje w rządzie tych, co się dobrze zasłużyli Bogu i ludzkości.

— Zwykły to porządek rzeczy, senior. Ludzie, których położenie społeczne niższe jest od zasług, usiłują wznieść się do stanowiska jakie im przeznaczyła natura, podczas gdy dziedzice sławy i majątku przodków poprzestają najczęściej na użyciu tych dóbr przypadkowo nabytych. Widzę w tym tylko słabość człowieka, i w części niesprawiedliwość losu.

— Masz słuszość Luis, lecz co innego zimno rozumować, a co innego znosić cierpliwie. Umysł twój, młodzieńcze, jest szlachetny i szczerzy; powiedzże mi otwarcie, czy wyżej cenisz Kastyljczyka od genueńczyka?

— Nie zaiste, jeśli genueńczyk nazywa się Krzysztof Kolumb, a Kastyljczyk Luis de Bobadilla, odpowiedział śmiejąc się młodzieniec.

— Ależ Luis, chcę usłyszeć twoje zdanie.

— Co robić, senior admirale; ludzie jednacy są zawsze, w Hiszpanii, czy we Włoszech, czy w Anglii; podobno wszędzie lepiej oni myślą o sobie niż o sąsiadach.

- Lecz nie uważa się także zdania objawionego z prostotą za unikanie odpowiedzi. My Kastylijczycy siebie jedynie mamy za wzorowych chrześcijan, a wszystkich innych za grzeszników zatwardziały. Ale też, na św. Jakuba, wolno wynosić się narodowi co wydał taką królową jak donna Izabella, i taką pannę jak Mercedes de Valverde.

- Widzę, żeś dumny podwójnie, raz jako poddany, powtóre jako zakochany, i poprzestaję na tym oświadczeniu, choć ono nie zawiera odpowiedzi na moje zapytanie. Lecz chociaż nie jestem Kastylijczykiem, przyznasz, iż żaden nawet z Guzmanów nie puścił się do Cipango. Wiadomo ci zresztą, że Opatrzność wybiera swe narzędzia bez względu na urodzenie. Większa część świętych męczenników wiary pochodziła ze wzgardzonego plemienia Żydów, sam nawet Zbawiciel wyszedł z jego łona. Zobaczysz młodzieńcze, co powie świat po upływie najdalej trzech miesięcy.

- Senior amirale, jeżeli prośby moje zostaną wysłuchane, to podziwiać będziemy bogactwa wyspy Cipango, i państwa wielkiego chana; w przeciwnym razie, jesteśmy ludźmi co znieść potrafią i zawód w najdroższych nadziejach.

- Zawodu wcale się nie obawiam. Posiadając słowo królewskie i trzy okręty, tak pewny jestem swego, jak rybak płynący z Madery do Lizbony.

— Nie wątpię, że szczęśliwie dokonasz dzieła; ale ponieważ wszystko w tym życiu podlega przypadkowi, należałoby może nie być tak pewnym swego.

— Droga do Indii tak jasno przedstawia się oku mojego ducha, jak oku cielesnemu to słońce zachodzące. Widzę ją od lat siedemnastu, na kształt gwiazdy co w trudnej przyświecała mi pracy. Powinien wszakże myśleć o zawodzie ten, kto tylokrotnie go doznał i najpiękniejsze lata strawił na złudnych nadziejach.

— Na św. Piotra, mojego patrona, smutny, senior, był twój żywot i ważna obecnie nadeszła w nim chwila.

— Nie znasz mnie, Luis, jeśli przypuszczasz, że mam jakąkolwiek wątpliwość. Dzień ten od lat kilkunastu najświętszym jest w moim życiu; jakkolwiek bowiem przygotowania do podróży mogą być niedostateczne, jakkolwiek statki nasze są lekkie i niewielkiego rozmiaru, to przecież za ich pomocą stanie się światło nad ziemią i Kastylia wzniesie się ponad wszystkie narody chrześcijańskie.

— Przykro ci pewnie, mój mistrzu, że twoja ojczyzna, Genua, nie zbierze spodziewanych z naszego przedsięwzięcia korzyści.

— Słusznie mówisz, młodzieńcze; boleśnie jest rzucić ziemię rodzinną i szukać pomocy u obcych,

choć my marynarze nie tyle tęsknimy za krajem, co podróżnicy ze stałego lądu. Ale Genua odrzuciła me usługi; jeśli dziecię kochać i szanować powinno rodzica, ten za to jest w obowiązku udzielenia mu opieki. Każda powinność ma swoje granice, z wyjątkiem tylko powinności względem Boga, od których nic uwolnić nas nie może. Genua okazała się dla mnie macochą i tym samym straciła prawo do mojej osoby. Zresztą gdy chodzi o sławę Bożą, nie należy wybrzydzać w środkach. Odtąd donna Izabella jest prawą władczynią moją, której wyłącznie, po Bogu, poświęcę życie.

W tej chwili oznajmiono admirałowi, że czółno gotowe, i dwaj towarzysze niezwłocznie puścili się na morze.

Potrzeba było niezłomnej odwagi, absolutnego przekonania, aby nie upaść na duchu, przy środkach tak mało odpowiednich do tej pełnej niebezpieczeństw podróży. Wspomnieliśmy już nazwy trzech okrętów, składających wyprawę: „Santa Maria”, „Pinta” i „Nina”; pora powiedzieć jeszcze o szczegółach budowy tych statków, a szczególnie pierwszego z nich, przeznaczonego dla Kolumba i młodego Bobadilla.

Okręt admirałowski „Santa Maria”, znacznie większy od innych, urządzony był dosyć starannie, przez wzgląd na dostojeństwo Kolumba. Choć jednak opatrzony pokładem i porządną kajutą, o wiele ustępował w lekkości i wdzięku terażniejszym statkom przewozowym.

Tylko jego część zwana kasztem, podobna była do baszty sterczącej nad wodą; a przód, nadzwyczajnie szeroki, równał się prawie jednej trzeciej długości pokładu. Kto nie zna kształtu okrętów przed wiekiem jeszcze w Europie używanych, temu pojąć trudno, by one żeglować mogły bezpiecznie, wznosząc się tak wysoko nad wodą. Wątpliwość tę usuwa jedynie uwaga, że statki ówczesne głęboko się zanurzały, że maszty ich były niższe, korpus krótszy, a żagle i linowanie nie tak ciężkie jak obecnie.

„Pinta” i „Nina” nie miały pokładów; w epoce bowiem, kiedy podróże morskie odbywano zawsze prawie wzdłuż brzegów, marynarze chronili się zwykle przed burzą do najbliższego portu; z tego więc powodu pokłady nie tyle były potrzebne dla bezpieczeństwa statku i ładunku, co dla wygody. Nie należy wszakże wyobrażać sobie, że te statki nie miały żadnego pokrycia owszem tylną ich część łączyło zwykle z przednią przejście w kształt pomostu lub przynajmniej zasłona z płótna nasączonego smołą.

Po takim opisie statków oddanych pod rozkazy Kolumba przyznać należy, że jeśli ogół podkreślał ich niedostateczność to zdaniem doświadczonych żeglarzy, nie były one odpowiednie wielkiemu zadaniu, którego spełnienie od nich zależało w dużej mierze.

Kolumb, zaledwie przybył na pokład „Santa Marii”, udał się do swej kajuty; Luis tego wieczoru nie miał już sposobności pomówienia z mistrzem. Wprawdzie młodzian jako sekretarz, mieszkał w jednej kajucie z admirałem, lecz nie chcąc przeszkadzać mu w pracy, przechadzał się do północy po pokładzie, marząc jednak zwykle o Mercedes de Valverde. Gdy wreszcie wszedł do kajuty, zastał Kolumba śpiącego.

Nazajutrz ostatecznie rozwinąć miano żagle, a nawiasem mówiąc, był to właśnie piątek uznawany przez marynarzy jako dzień feralny, rozpoczęto podróż najśmielszą i najszcześniejszą ze wszystkich jakie kiedykolwiek odbyto na ziemi.

Luis był jednym z pierwszych na pokładzie, a zastał już Kolumba zajętego wydawaniem rozkazów. Skoro admirał, czyli don Christoval, jak go nazywali majtkowie, spostrzegł młodzieńca, przywołał go do siebie. Mimo że środki wyprawy ustępowały siłą jednej szalupie wojennej dzisiejszego uzbrojenia, to imię królowej, powaga osobista odkrywcy i wreszcie cel tajemniczy, otoczyły ją znaczeniem nierównie wyższym niż środki materialne. Przywykły do panowania nad burzliwymi namiętnościami Kolumb przekonany był o potrzebie wpojenia w swych towarzyszy głębokiego dla siebie poważania; unikał więc wszelkiej poufałości z podwładnymi, używając najczęściej za pośredników, w swoich z nimi stosunkach, braci Pinzon. Długoletnie doświadczenie nauczyło go, że tylko najsurowsze przestrzeganie form zewnętrznych utrzymać może w karchach posłuszeństwa garstkę ludzi rzuconą w ciasną przestrzeń okrętu, i dlatego ustalił ściśle zasady etykiety względem swej osoby.

- Zostaniesz przy mnie, senior Gutierrez, rzekł admirał, używając zmyślonego nazwiska, które Luis udawał, że kryje pod imieniem Pedro de Munoz; wiedział bowiem, iż na okręcie zawsze się znajdują podsłuchujący, a zależało mu na tym, aby młodzian uchodził za pokojowca królewskiego; zostaniesz przy mnie, bo tu nasze miejsce, dopóki Opatrzność nie pozwoli nam dzieła dopełnić. Oto droga jaką przebyć zamyslałam po niezmiernym oceanie.

To mówiąc Kolumb wskazał na mapę, którą trzymał przed sobą, kreśląc na niej palcem linię w kierunku zachodnim. Była to mapa znanego wówczas świata. Europa miała na niej kształt mniej więcej zbliżony do prawdziwego; na południe ląd jakiś wybiegał aż po Gwineę, niżej zaś wszystko było już ziemią nieznaną. Wyspy Kanaryjskie i Azorskie właściwe zajmowały położenie, lecz stronę zachodnią Atlantyku ograniczało urojone pobrzeże Indii oraz wyspa Cipango, czyli Japonia i archipelag opisany przez Marco Polo. Szczęśliwym błędem Cipango położono na mapie pod stopniem długości odpowiednim dzisiejszemu Washingtonowi, to jest dwieście mil bliżej na wschód, i temu to zapewne przypadkowi zawdzięcza ludzkość powodzenie wyprawy Kolumba.

Luis, po raz pierwszy, od czasu jak postanowił uczestniczyć w wyprawie, z ciekawością spojrzął na

mapę.

— Na św. Gennaro z Neapolu! zawołał (było to zwyczajem młodzieńca powtarzać imiona świętych i wszystkie zaklęcia zwiedzanych przez siebie krajów); wsławimy się tą podróżą, jeśli tylko powrócić nam się uda.

— Oto pytanie, które najwięcej w tej chwili zaprzęta wszystkie umysły, odpowiedział Kolumb; rzucić tylko okiem na zniechęcone twarze majtków i posłuchaj utyskiwań.

Młodzieniec na tę uwagę obejrzał się wokoło, i jego wzrok uderzył obraz smutny, choć ożywiony. „Nina” pod żaglem trójkątnym była już w ruchu, okrążona czółnami, z których żegnano osadę wśród oznak najwyższej rozpacz. „Pinta” tylko co miała podnieść kotwicę, a choć Marcin Alonzo Pinzon umiał tu powściągnąć głośnie objawy boleści, i przy niej też uwijały się czółna, jakich mnóstwo otoczyło z dala nawet okręt admiralski, chociaż uszanowanie dla Kolumba nie dozwalało im się zbliżyć. Widocznie ci biedacy mniemali, że ostatni raz widzą odpływających, a tych znowu część większa przygotowana była nie powrócić już do ojczyzny.

- Czy nie widziałeś gdzieś Pepa? zapytał Kolumb, przypominając sobie zdarzenie z młodym majtkiem. Jeżeli on nie dotrzyma słowa, trzeba nam będzie dobrze pilnować reszty, dopóki tylko jest jakaś możliwość ucieczki.

- Skoro nieobecność jego uważałbyś, admirale, za złą przepowiednię, to przeciwnie obecność powinna dobrze nam wróżyć. Oto poczciwy Pepe siedzi na rei ponad naszymi głowami, rozpinając żagiel.

Kolumb spojrział w górę i dostrzegł młodego marynarza, jak uczepony na szczycie trójkątnego żagla, kołysał się z masztem, rozwiązując linę przytrzymującą zwinięte płótno. Pepe, to zwracał oczy na admirała, jak gdyby chciał się przekonać, czy zwierzchnik zauważył jego powrót, to w tył się oglądał za jakimś przedmiotem niewidzialnym.

Powitawszy skinieniem młodego majtka, admirał poszedł z Luisem ku przodowi okrętu, aby się przekonać czy jakie czółno ściąga w tamtą stronę uwagę Pepa. Rzeczywiście ujrzeni mały bacik prowadzony przez Monikę, któremu pozwolono zbliżyć się, przez wzgląd zapewne na wiosłarkę. Za ledwie żona Pepa spostrzegła Kolumba, gdy powstawszy z siedzenia wyciągnęła ku niemu rękę, chcąc, ale nie śmiąc przemówić. Widząc ją przerażoną hałaśliwym zgiełkiem co panował dokoła, odkrywca pierwszy się do niej odezwał.

— Uważam, rzekł, iż mąż twój umie dotrzymywać słowa. I ty zapewne czujesz teraz, moja córko, że lepiej jest dopełnić chociażby ciężkiego obowiązku, jak skalać się haniebną ucieczką.

— Odkąd objaśniłeś mnie, senior, względem celu twej wyprawy, rozstaję się z mężem z boleścią, ale bez szemrania. Ubolewam nad wczorajszym swoim zaślepieniem i prosić będę Boga, aby mężowi mojemu pozwolił usłużyć świętej sprawie Kościoła.

— Oto słowa godne żony-chrześcijanki. Opatrzność czuwa nad nami, i twój Pepe powróci szczęśliwy, przyczyniwszy się do wielkiego dzieła.

— Ale kiedy, senior, kiedy? zawołała młoda niewiasta, nie mogąc, mimo przybranej odwagi, powściągnąć uczucia swego serca.

— Kiedy Bóg zechce, moja droga... zapomniałem jak ci na imię.

— Monika, senior admirał, a dziecko nazywa się Juan. W żyłach naszych nie ma ani kropli krwi mauretańskiej; jesteśmy czystej rasy Hiszpanami.

- Będę miał staranie o ojca małego Juana, odpowiedział Kolumb z uśmiechem kryjącym łzę w oku. I ja także zostawiam w tym kraju drogę dla siebie istoty, a między nimi syna, który nie zna swej matki. Gdyby się nam przytrafiło nieszczęście, Diego byłby sierotą, podczas gdy twój mały Juan zostaje przynajmniej pod macierzystą opieką.

- Wybacz, senior, rzekła wzruszona niewiasta; człowiek zbyt często staje się obojętnym na cudze cierpienia, kiedy myśli o swoich. Zabierz mojego męża i niech was Bóg prowadzi!

Wymówiwszy te słowa pożegnalne, Monika chwyciła za wiosło, i czółenka jej z wolna zaczęło oddalać się ku brzegowi. Gdy Kolumb spojrział za siebie, spostrzegł, że większa część majtków pozawieszanych na linach i masztach, chciwie nadstawiając ucha byli świadkami toczonyj rozmowy. W tej samej chwili podniesiono kotwicę i okręt „Santa Maria” płynąć zaczął w kierunku wiatru, za nim „Pinta” i „Nina”. Pierwsze promienie wschodzącego słońca oświeciły rozpięte żagle trzech statków, w ślad których mnóstwo czółen puściło się aż do Saltes. Stamtąd już okręty ruszyły bez przeszkody na niezmierny Ocean Atlantycki, jakby trzy ciała ożywione, pchnięte ręką przeznaczenia ku tajemniczemu celowi, którego ani przewidzieć, ani uniknąć, ani przyspieszyć nie zdołają.

Ranek był piękny i wiatr wesoło dął w żagle od brzegu. Wszystko szło najpomyślniej; ale nieznaną przyszłość trwożą jakąś i posępnością przejmowała serca odpływających. Wiedziano, że admirał zmierza ku Wyspom Kanaryjskim, a w przekonaniu wątpiących od tego właśnie punktu zacząć się miały niebezpieczeństwa podróży, których oni z podobnym wyglądem uczuciem, jak oskarżony dnia sądu, jak skazany wykonania wyroku lub grzesznik śmierci. Część wprawdzie załogi, nie poddając się tej słabości, gotowa była na wszystko; jednakże i najmężniejsi wahali się między nadzieją a obawą.

Podróż do Wysp Kanaryjskich lub Azorskich uważano wtedy za nader śmiałe przedsięwzięcie. Pierwsze z nich znane już były starożytnym. Juba, król mauretański, opisał je pod nazwą Wysp Szczęśliwych. Dzieło jego zginęło, lecz dawni pisarze poświadczają prawdziwość faktu. Podanie niesie, że w owej epoce Wyspy Kanaryjskie zamieszkałe były przez ludność dosyć oświeconą. Po świetnym Rzymian panowaniu, Europę ogarnęły ciemnota i zacofanie, zupełnie o nich

zapomniano, dopiero w połowie XIV wieku kilku awanturników hiszpańskich na nowo je odkryło. Później Portugalczycy jedną z nich objęli w posiadanie, puszczając się stamtąd na wyprawy wzdłuż brzegów Gwinei. Hiszpanie, ukróciwszy" potęgę muzułmańską, zwrócili także w tę stronę swą uwagę i obsadzili niektóre wyspy, tak iż w czasach naszego opowiadania cała grupa podzieloną była między te dwa narody chrześcijańskie.

Luis de Bobadilla, który najwięcej żeglował po morzach północnych i po Śródziemnym, ze słyszenia tylko wiedział o istnieniu Wysp Kanaryjskich; Kolumb więc, stojąc z młodzieńcem na pokładzie, wskazywał mu ich kierunek, tłumacząc odrębne cechy i rozwodził się nad ich ważnością, pod względem zasobów wewnętrznych, oraz jako miejsca odpływu.

- Portugalczycy, rzekł, wiele z tych wysp odnoszą korzyści, bo one wybornym są punktem odpoczynku dla nabrania żywności, drzewa i wody; dlaczegoż by Kastylia nie miała iść za ich przykładem? Wiesz jak daleko sąsiedzi nasi posunęli się na południe i jakie stamtąd bogactwa wpłynęły do Lizbony; a jednak to wszystko niczym jest w porównaniu następstw naszej podróży na zachód.

- Czy myślisz osiągnąć państwa wielkiego chana, zapytał Luis, nie płynąc dalej na zachód, jak Portugalczycy na południe?

Admirał bacznie wkoło rzucił spojrzenie, a widząc, że nikt go nie podsłuchuje, odpowiedział:

- Ty znasz, młodzieńcze, usposobienie towarzyszy. Nawet w pobliżu stałego lądu nie byłbym pewny ich wierności; bo nic łatwiejszego jak uniknąć w nocy pod jakimkolwiek zmyślonym pozorem.

— Marcin Alonzo, odparł Luis, niezdolny jest dopuścić się tak podłego czynu.

— Zapewne, mój synu, jeżeli przypuszczasz, że spowodować go może jedno tylko tchórzostwo. Marcin Alonzo jest zręcznym i nieustraszonym żeglarzem, którego dobre chęci są dla nas pożądane. Lecz oko jego nie zawsze może czuwać, a żadna w świecie nauka nie powściągnie wściekłości rozhukanych rokoszan. Nie ręczę nawet za załogę swojego okrętu, dopóki mieć jeszcze będzie nadzieję łatwego powrotu na przypadek podniesienia buntu, a tym bardziej za ludzi nie zostających pod bezpośrednim moim nadzorem. Gdybym na twoje zapytanie odpowiedział publicznie, strwożeni marynarze już teraz może odmówiliby posłuszeństwa, bo trzeba ci wiedzieć, że podróż nasza nieskończenie dłuższą będzie od wszystkich, jakie kiedykolwiek odbyto na ziemi.

— A jednak, mistrzu, przedsięwierzysz ją z takim zaufaniem?

— Znasz moje myśli. Śmieję się z podobnie niedorzecznych obaw jak ta, że spuściwszy się na dół, nie będziemy potem mogli wdrapać się pod górę, lub że spadniemy z brzegu ziemi; i ty zapewne już takowych nie podzielasz.

— Na św. Jago! Wyobrażenia moje w tym względzie bardzo są niejasne. Prawda że nigdy nie

słyszał, aby kto z ziemi zleciał w powietrze, i nie przypuszczam, by to przytrafić się miało naszym okrętom; lecz z drugiej strony dotychczas teoria tylko przemawia za zdaniem, że ziemia jest okrągła i że płynąc na zachód, dostać się można na wschód. Jestem więc neutralny, ale chociażbyś posterował prosto na księżyc, Luis de Bobadilla zawsze będzie przy twoim boku.

- Młody wietrzniku! udajesz nieświadomego więcej, aniżeli nim jesteś w istocie. Później może rozwinę przed tobą szczegółowo swoje plany; dziś skończmy na tym rozmowę.

O godzinie siódmej rano okręty minęły skały Saltes, a koło południa podróżnicy nie stracili jeszcze z oczu ojczystego wybrzeża. Ówczesne statki mało zwykle rozpiwały żagli, toteż największą wtedy szybkością, przy pomyślnym wietrze, były trzy mile angielskie na godzinę.

Tak więc w tej słynnej podróży słońce po raz pierwszy zapadło w morze, gdy wyprawa, dążąc w kierunku południowym, odbyła zaledwie pięćdziesiąt mil angielskich. Palos zupełnie już znikło w mglistych falach oceanu, a że wybrzeże wybiegało na wschód, wprawne więc tylko oko starych marynarzy rozróżnić mogło wierzchołki gór sewilskich. Kolumb z Luisem znajdowali się jeszcze na tylnej części okrętu, śledząc w milczącej zadumie ostatnie zarysy stałego lądu, Hiszpanii; nieopodal dwaj majtkowie zajmowali się spojeniem zerwanej liny.

— Patrz na to słońce, co się nurza w niezmiernym oceanie, senior Gutierrez, rzekł admirał, używając zawsze przy innych, jednego ze zmyślonych nazwisk młodzieńca. W codziennym obiegu jego znajduję dowód kulistości ziemi i potwierdzenie teorii mojej, że płynąc na zachód osiągnąć można Indii.

— Gotów jestem zawsze uznać mądrość twych pomysłów i zasadność twych nadziei, senior admirał, odrzekł Luis, nie spostrzegłszy zrazu dwóch majtków; ale wyznać powinienem, że nie pojmuję związku między słońcem a obraną przez nas drogą. Wiemy, że gwiazda dzienna nieustannie przebiega niebo, że rankiem powstaje z morza, by wieczorem powrócić w faliste swe łoża, lecz ma to miejsce równie na brzegach Kastylii, jak w Indiach i wszędzie; zdaje mi się, że nic nie dowodzi ani za, ani przeciw twojemu przekonaniu.

Na te słowa majtkowie z ciekawością zwrócili oczy na admirała, oczekując jego odpowiedzi. Luis w jednym z nich poznał Pepa, drugi był typem wytrawnego marynarza, prawdziwym wilkiem morskim, co w języku żeglarzy znaczy człowieka tak zrośniętego ze swym zawodem, że cała jego powierzchowność, umysł, a nawet mowa odrębnej nabierają cechy. Majtek ten miał około lat pięćdziesięciu: niski, krępy, w niezgrabnych rysach twarzy łączył ową mieszaninę dzikości z pojętnością, tak często napotykaną u ludzi przywykłych do życia zmysłowego. Kolumb na pierwsze spojrzenie widział, że ma przed sobą doświadczonego gracza.

- Niepodobna, odrzekł admirał, aby słońce, któremu mądrość Stwórcy krążyć kazała wkoło ziemi, na próżno w nocy roztaczało swe promienie. Jakoż wiemy z doświadczenia, że zmiany dnia i nocy

posuwają się ku zachodowi, aż po krańce znajomej nam ziemi; wnoszę więc z tego, iż gwiazda dzienna nieustannie obdarza ludzi swym ciepłem i światłem, i w miarę jak znika w jednym punkcie globu, zjawia się w drugim. Tarcza słoneczna, gdy u nas zapadnie, jest jeszcze widzialna na Wyspach Azorskich, i w Smyrnie; a wyspy greckie ujrzą ją nazajutrz o godzinę od nas wcześniej. Przyroda żadnej siły nie marnuje bezużytecznie; przekonany jestem, że ognista kula, co niedawno opuściła nasz widnokrąg, przyświeca Indiom, podczas gdy tutaj panuje ciemność, i stamtąd, postępując w kierunku wschodnim, przez stały ląd Azji powraca w nasze strony. Słowem, senior Pedro, ten ruch jaki słońce z zadziwiającą szybkością odbywa po niebie, my skromniej naśladować go zamierzamy po ziemi. Dajcie mi czas ku temu potrzebny, a wypłynąwszy na zachód, powrócę z wami przez kraj Tatarów i Persów.

- Pomyślność zatem wyprawy naszej zależy od kulistości ziemi?

- Tak jest, senior de Munoz, i bardzo bym nad tym ubolewał gdyby ktokolwiek z mych ludzi odmiennego był zdania. Ot! Dwóch marynarzy wysłuchało naszej rozmowy; zapytam ich co myślą w tym przedmiocie. Jeżeli się nie mylę, mój młody przyjacielu, jesteś majtkiem z którym wczoraj rozmawiałem na brzegu i nazywasz się Pepe.

— Senior admirale, wasza ekscelencja niezasłużoną pamięcią zaszczyca biednego człowieka.

— Biednego, ale dodaj pocziwego. Pewny jestem, że cokolwiek wypadnie, liczyć mogę na twą wierność.

— Wasza ekscelencja nie tylko jako admirał może mną rozporządzać, lecz nadto, zjednawszy sobie Monikę, zyskałeś tym przychylność jej męża.

— Dziękuję ci, mój dobry Pepe, odpowiedział Kolumb. A ty kochanku, dodał, zwracając się do drugiego marynarza; wyglądasz mi na zucha, co nie ulęknie się wody zmaconej. Jakże się nazywasz?

— Senior admirale, rzekł majtek, śmiało patrząc na zwierzchnika; koledzy zwykle wołają na mnie Sancho, a czasem przez grzeczność dodają Mundo; co razem złożone daje Sancho Mundo, jako nazwisko nikczemnej figury, którą widzisz przed sobą.

— Mundo, świat, to szumne bardzo nazwisko dla biednego marynarza, wtrącił admirał z uśmiechem; gdyż jako znawca ludzi pojmował, że jeśli zbyt wielka poufałość uwłacza godności przełożonego, to z drugiej niejakię pobłażanie jedna mu serca podwładnych.

- Ekscelencjo, powiadam zawsze kolegom, że Mundo to mój tytuł, a imię, tytuł nierównie wyższy od królewskiego, bo mocarze tej ziemi w części tylko posiadają, co do mnie należy całkowicie.

- Czy z ojca masz to nazwisko, czy też przybrałeś je, aby zabłysnąć dowcipem przy zdarzającej się sposobności?

- Nie znam nazwiska swych rodziców, senior admirale. Znalaziono mnie podrzuconego w koszyku,

przy drzwiach warsztatu okrętowego niedaleko...

- Mniejsza o miejsce, przyjacielu Sancho, dosyć że znaleziono cię w koszyku, zamiast w kolebce.

- Nie chciałbym, wasza ekscelencjo, aby świat kiedyś spierał się o miejsce mojego urodzenia; choć wreszcie, kiedy kto nie wie gdzie idzie, a my podobno wszyscy jesteśmy w tym położeniu, nie potrzeba mu też wiadomości skąd przyszedł.

- Czy dawno służysz, mój poczciwy Mundo?

- Tak dawno, senior, że na łądzie ściska mi się oddech i tracę apetyt. Znalezionym będąc przy warsztacie okrętowym, sam nie wiem, kiedy i jakim sposobem znalazłem się na morzu i od tego czasu co wpłynę gdzie do portu, to czym prędzej z niego umykam.

- A jakimże trafem wziąłeś udział w tej wyprawie.

- Władza miejscowa w Moguer wcieliła mnie do niej z rozkazu królowej. Sądzone zapewnię, że ta podróż nad wszystkie inne przypadnie mi do smaku, bo jak się zdaje będzie ona bez końca.

— Więc przymuszono cię do służby?

— Nie ze wszystkim, senior admirale. Wszak każdy człowiek życzy sobie choć raz w życiu obejrzeć wszystkie swe posiadłości. Powiadano mi, że płyniemy na drugi koniec świata, więc zaciągnąłem się z ochotą.

— Jesteś chrześcijaninem, Sancho, i pragniesz niezawodnie upowszechnienia naszej wiary między poganami?

— Senior admirale, mało mnie obchodzi ładunek, byle tylko nie przyszło za wiele pompować i byle starczyło dobrego trunku. Co się tyczy mojego chrześcijaństwa, musiałbym o to zapytać tych co mnie znaleźli w koszyku. Wiem, senior, że Pepe jest chrześcijaninem, bom go widział w ręku księży, a może który staruszek w Moguer będzie mógł to samo powiedzieć o mnie. W każdym razie, szlachetny admirale, nie jestem żydem ani muzułmaninem.

- Uważam cię, mój Sancho, za biegłego i nieustraszonego marynarza.

- O tym, senior, niech świadczą drudzy. Jak przyjdzie spotkać się z burzą, sam się przekonasz czy mnie zbywa na tych przymiotach.

- Dobrze więc, odtąd obydwoch was zaliczam do rzędu najwierniejszych swoich towarzyszy.

Rzekłszy te słowa Kolumb oddalił się i niezadługo z Luisem wszedł do kajuty. Przytoczona rozmowa, jak przewidział odkrywca, zyskała mu rzeczywiście serca dwóch marynarzy, a sprzymierzeniec tak bystrego umysłu i śmiałej mowy, jak Sancho Mundo; bardzo dla niego był pożądanym. Jakże często największe przedsięwzięcia zależą od rzeczy na pozór drobnych. Tym razem odkrycie drugiej połowy świata zależeć może będzie od humoru podrzutka Sancho.

Przy pomyślnym wietrze trzy statki posuwały się szybko w kierunku Wysp Kanaryjskich. W poniedziałek, szóstego sierpnia rano, Kolumb na tylnym pokładzie rozmawiał wesoło z Luisem i kilku towarzyszami, gdy nagle „Pinta” zwinęła żagle i zwróciła się przeciw wiatrowi. Ten niespodziewany ruch domyślać się kazał jakiegoś wypadku, więc okręt admirałski podpłynął, dla zasięgnięcia wiadomości.

— I cóż, don Marcinie Alonzo! krzyknął Kolumb przez trąbę, dlaczego zatrzymałeś się w biegu?

— Nasz ster uszkodzony, senior; czekać muszę póki go nie naprawią.

Kolumb zachmurzył się, i poleciwszy Marcinowi Alonzo największy pośpiech, zaczął wielkimi krokami przemierzać pokład. Załoga, widząc admirała zmartwionym, usunęła się, zostawiając go sam na sam z mniemanym pokojowcem króla.

— Spodziewam się, senior, że to małe uszkodzenie nie opóźni naszej podróży, rzekł Luis po chwili milczenia. Marcin Alonzo jest dzielnym marynarzem, zaradzi więc złemu tymczasowo, a na Wyspach Kanaryjskich gruntownie wszystko się naprawi.

- Prawdę mówisz, Luis, nie trzeba tracić nadziei. Ale obawa moja z innego wypływa źródła. Wiadomo ci, że „Pinta” została zabrana z polecenia królowej, na rzecz owej kary wymierzonej przeciw mieszkańcom Palos i wbrew życzeniu jej posiadaczy. Otóż właściciele tego statku, Gomez Rascon i Christoval Quintero, znajdują się na pokładzie i pewny niemal jestem, iż rozmyślnie spowodowali ten wypadek.

- Na św. Jago, senior, mam wyborne na to lekarstwo. Pozwól mi udać się do tych panów, a powiem im, że jeśli raz jeszcze ster się popsuje, jednego powiesić każesz na maszcie, a drugiego wrzucić w morze.

- Tylko w ważnych zdarzeniach, mój synu, użyć można podobnej surowości, i to posiadając jawne dowody zdrady. Wolę na Wyspach Kanaryjskich o inny postarać się statek, bo przewiduję, że trudno nam będzie uniknąć podstępu tych ludzi, dopóki zupełnie się ich nie pozbedziemy. Niepodobna przy tak wzburzonym morzu powierzyć się szalupie, inaczej sprawdziłbym osobiście to zdarzenie. Zaufajmy jednak biegłości Marcina Alonzo.

W parę godzin później okręty były już w ruchu i mimo zwłoki około siedemdziesięciu mil morskich odbyto przez jedną dobę. Lecz wkrótce ster „Pinty” powtórnie uległ uszkodzeniu. Admirał, widząc w tym dowód zdrady, postanowił usunąć niechętnych, jeśli tylko na wyspach znajdzie się inny statek.

Nazajutrz rano trzy okręty zbliżyły się do siebie na odległość głosu ludzkiego i miała miejsce narada, z której można było powziąć wyobrażenie o wiadomościach żeglarskich dowódców.

W owym czasie narzędzia żeglugi bardzo jeszcze były niedokładne; wprawdzie od wieku przeszło

używano busoli, lecz nie znano jej zbroczeń, tak ważnych przecież w dalekich podróżach. Marynarze rzadko na otwarte puszczali się morze, a położenie okrętu obliczali podług gwiazd bardziej, niż podług rachunku. Jeden tylko Kolumb stanowił uderzający wyjątek, bo zgłębił dokładnie wszystkie tajniki nauki, wyprzedzając tym nieskończenie współczesnych.

Towarzysze wyprawy przekonali się wtedy, iż sam tylko admirał oznaczyć umie prawdziwe położenie okrętów. Jakoż niezadługo zjawienie się na widnokręgu cyplów kanaryjskich w stronie południowo-wschodniej potwierdziło jego zdanie. Że jednak na morzu góry widziane są w wielkiej odległości, a przy tym wiatr nieco się obrócił, osiągnięto Teneryfy dopiero we czwartek ósmego sierpnia, czyli w sześć dni po opuszczeniu Palos.

Wysiadłszy na ląd, Kolumb zajął się natychmiast poszukiwaniem innego statku, lecz nie znalazłszy go na miejscu, popłynął do Gomery. I tam starania jego były daremne; powrócił więc do Teneryfy, i zabrawszy naprawiony okręt „Pinta”, udał się znów do Gomery, skąd ruszyć miano już w ostateczną drogę.

Tymczasem między majtkami pojawiać się zaczęły znaki skrytego niezadowolenia. W drodze z Teneryfy do Gomery Kolumb z Luisem i kilku oficerami znajdowali się na pokładzie, W tylnej części okrętu, gdy rozmowa kilkunastu ludzi, zgromadzonych około wielkiego masztu, zwróciła jego uwagę. Noc była ciemna i dosyć spokojna; głos rozmawiających, jakkolwiek stłumiony, rozchodził się dalej, niż sobie tego życzyli.

- Mówię ci, Pepe, rzekł jeden z najgorętszych mówców, że przyszłość nasza ciemniejsza jest od tej nocy. Czy słyszał kto kiedy o lądzie poza Wyspami Azorskimi? Czyż nie wiemy, że Opatrzność otoczyła ziemię wodą, rzucając tu i ówdzie gromady wysp, jako punkty oparcia dla marynarzy, a wszystko to opasując niezmiernym oceanem, zapewne dla położenia granic zuchwałej ciekawości człowieka?

- To prawda, Pero, odpowiedział Pepe; ale Monika wierzy, iż admirał zesłany jest przez Boga dla rozszerzenia religii chrześcijańskiej.

— Ej, twoja Monika powinna by zająć miejsce donny Izabelli, jeśli jest tak mądra i wszystkowiedząca. W Moguer powiadają, że ona jest twoją królową, i że chciałaby rządzić wszystkimi, jak panuje nad tobą.

— Nie dotykaj matki mojego syna, przerwał mu gniewnie Pepe. Umieć znieść docinki przeciw sobie, ale wara temu, kto śmie źle mówić o Monice.

— Tęgi z ciebie gębacz, Pero, gdy się znajdujesz o sto mil od swojej połowicy, odezwał i się gruby głos Sancho Munda, ale wiadomo nam wszystkim kto w twojej chałupie rej wodzi, i że u siebie w domu jesteś pokorny jak harpunowy wieloryb. Dosyć o tym, pomówmy raczej o sprawach żeglarskich, a ty, zamiast obarczać pytaniami tak niedoświadczonego młodzieńca jak Pepe, spróbuj

się lepiej ze mną na języki.

— A więc cóż mi powiesz o tej ziemi nieznannej, leżącej poza oceanami, której nikt nie zwiedził i prawdopodobnie nie zwiedzi?

— Powiem ci, gaduło, że był czas, gdy nie znano Wysp Kanaryjskich, gdy nasi żeglarze nie śmieli wypływać z cieśniny, gdy Portugalczycy nie domyślali się nawet istnienia owych kopalń w Gwinei, co tyle ich dziś bogacą.

— I cóż Gwinea może mieć wspólnego z naszą podróżą na zachód? Cały świat wie o tym od dawna, iż na południu Europy rozciąga się Afryka; nic więc dziwnego, że wylądowano w kraju, którego istnienie żadnej nie podlegało wątpliwości. Ale skąd pewność, iż z tamtej strony oceanu napotkamy stały ląd?

- Dzielnie, Pero! rzekł jeden z majtków, Sancho dobrze się poskrobie, zanim odpowiedzieć zdoła na twój zarzut.

- Zapewne, odrzekł Sancho obojętnie, babie co miele językiem tylko dla zabawy, przyszłoby to z trudnością, lecz admirał nasz śmieje się z tak błahych zarzutów. Posłuchaj mnie, Pero, bo gadasz jak człowiek co tyle razy odbył drogę z Palos do Moguer, że całkiem zapomniał o wielkim trakcie między Sewillą a Grenadą. Każda rzecz musi mieć swój początek, a podróż nasza będzie właśnie początkiem wypraw do Indii. Płyniemy na zachód, gdyż to jest droga najkrótsza, a nawet jedyna, którą udać się można. Powiedzcie koledzy, czy jakikolwiek statek może przebyć góry i doliny stałego lądu?

Sancho czekał odpowiedzi, która naturalnie była przecząca.

- Spójrzcie też na mapę admirała, a zobaczycie, iż po każdej stronie Atlantyku, od bieguna do bieguna, rozciągają się ziemie tamujące żeglugę w innym kierunku niż zachodni; dowodzenie przeto Pera sprzeciwia się naturze.

Pero miał coś odpowiedzieć, gdy okrzyk trwogi przebiegł po tłumie zgromadzonych. Skalisty cypel około Teneryfy, odrzynający się w niewyraźnych zarysach na tle ciemnego widnokregu, buchnął nagle płomieniem, rzucając ponure światło na wierzchołki przyległych gór. Majtkowie wszyscy przeżegnali się mimowolnie, a kilku z nich, padłszy na kolana, zaczęło odmawiać różaniec. Obudzono śpiących i postanowiono zwrócić na to zjawisko uwagę admirała. Pero obrany został mówcą.

Kolumb, znajdujący się wtedy w małym gronie oficerów w tylnej części okrętu, spostrzegł również niespodziewany wybuch cypla. Grono otaczających go osób, zbyt światłe, by trwożyć się miało tym widokiem, śledziło przebieg zjawiska z natężoną ciekawością, gdy Pero zbliżył się w towarzystwie całej prawie załogi. Nakazawszy towarzyszom milczenie, przystąpił zaraz do rzeczy.

— Senior admirałe, rzekł, przyszliśmy prosić waszą ekscelencję, abyś rzucił okiem na szczyt

Teneryfy, który naszym zdaniem, w tej chwili daje nam uroczystą przestrożę, iż nie należy gwałtem wdzierać się w tajemnicze strony. Gdy góry zioną ogniem, wtedy człowiek czuje swą słabość i korzy się przed potęgą Stwórcy.

— Czy jest między wami taki, co był na Morzu Śródziemnym i widział wyspy należące do małżonka naszej królowej, don Ferdynanda? zapytał spokojnie Kolumb.

- Ja byłem, senior, zawołał z żywością Sancho, zwiedziłem Cypr i Aleksandrię, a nawet Stambuł, stolicę Turków.

- A więc znasz zapewnię i Etnę, co bezustannie prawie wyrzuca płomienie wśród okolic bogatych jednak w skarby przyrody? Kolumb starał się następnie wytłumaczyć swym ludziom przyczynę wybuchów wulkanicznych, wkładając na oficerów obowiązek poparcia jego krótkich objaśnień bliższymi szczegółami. W końcu dodał, że jeśli majtkowie chcą koniecznie w tym zjawisku upatrywać przepowiedni, to powinni uważać je za znak, iż Opatrzność sama przyświeca ich podróży.

Oto z jakimi przeszkodami musiał walczyć wielki odkrywca, nawet jeszcze wtedy, gdy po tyloletnich usiłowaniach otrzymał wreszcie środki, choć słabe, do dokonania przedsięwzięcia, co miało stanowić przełom w dziejach świata i ludzkości!

Okręty przybyły do Gomery 22 sierpnia i zatrzymały się tam przez kilka dni dla nabrania żywności, zanim opuściły ostatecznie siedzibę i granice znanego wówczas świata. Przybycie wyprawy Kolumba, w epoce kiedy środki komunikacji bardzo były niedokładne, wielkie na wyspach sprawiło wrażenie. Admirala obsypywano zaszczytami, nie tyle z powodu godności jaką piastowali, ile raczej dla wielkości dzieła, któremu przewodniczył. Mieszkańcy Wysp Kanaryjskich i Azorskich powszechnie prawie wierzyli w istnienie lądu na zachodzie, lecz przekonanie ich o tym zupełnie nie było takie łatwe.

Między znakomitościami wyspy Gomera pierwsze miejsce zajmowała donna Inez Peraza, matka hrabiego Gomera, otoczona licznym gronem domowników i przybyszów z sąsiednich wysp. Gościnnie w swym domu podejmując admirala, donna Inez zapraszała także znaczniejszych jego podwładnych, a między nimi Pedra de Munoz, czyli Pera Gutierrez, jak na przemian nazywano znanego młodzieńca.

— Rada jestem, don Christoval, rzekła pewnego dnia donna Inez Peraza, iż najjaśniejsi państwo zezwolili wreszcie na rozwiązanie tej wielkiej zagadki, nie dlatego tylko, że ona zapewnić ma tryumf religii chrześcijańskiej i przysporzyć sławy ojczyźnie, ale jeszcze w interesie współobywateli swoich, z których wielu na własne oczy widziało ląd jakiś w stronie zachodniej, i chcieliby coś więcej wiedzieć.

— Słyszałem o tym, szlachetna pani, i pragnąłbym dowiedzieć się szczegółów.

— Dobrze więc, senior, jeśli takie jest twoje życzenie, wzywam tu obecnego kawalera Dama, aby ci opowiedział co wiemy o tym tajemniczym kraju.

— Najchętniej, donna Inez, odrzekł zagadnięty ze skwapliwością nierzadką u zwolenników rzeczy cudownych, gdy mają sposobność dzielić się uwagami o ulubionym przedmiocie. Słyszałeś zapewne, senior admirale, o wyspie Saint-Brandan, położonej na osiemdziesiąt mil lub sto w kierunku zachodnim od Ferro, którą widziało tylu żeglarzy, a żaden jej nie dosięgnął.

- Słyszałem o tej wyspie bajecznej, odpowiedział z powagą admirał, lecz pozwól mi zrobić uwagę, iż nie ma na świecie lądu niedostępnego dla ludzi co go ujrzeli rzeczywiście.

- Ujrzeli niezawodnie, szlachetny admirale, odezwało się razem kilka głosów; wszyscy wiemy, że go widziano, a niejeden z naszych żeglarzy poświadczy, iż daremnie na nim wylądować usiłował.

- Człowiek, jako istota rozumna, powinien zbadać to co widzi, odparł Kolumb z niezłomną stałością. Wskażcie mi południk wyspy Saint-Brandan, a po upływie tygodnia wiedzieć będę ile w tym podaniu jest prawdy.

- Nie znam się na południkach, odpowiedział senior Dama, ale wierzę swoim oczom. Widziałem kilkakrotnie tę wyspę przy zupełnie pogodnym niebie, i mogłem dokładnie rozróżnić jej kształty, a zarazem jeden byłem świadkiem jak słońce schowało się za jej szczyty.

- Zdanie tak zacnego męża zasługuje na wiarę, jednakże senior, uważam to zjawisko za złudzenie atmosferyczne.

— To niepodobna! zawołało kilku obecnych; tysiąc osób jest corocznie świadkami pojawiania się i nagłego znikania Saint-Brandan.

— Otóż ta właśnie okoliczność, szlachetna pani i czcigodny kawalerze, wskazać wam powinna, że jesteście w błędzie. Wierzchołek Teneryfy na sto mil widziany jest przez rok cały, wyjąwszy gdy mglistość powietrza staje temu na zawadzie. Każdy kawałek ziemi wzniesiony ręką Stwórcy spoczywać musi niezmiennie na swych podstawach, dopóki go nie zwali gwałtowne jakie wstrząśnienie, zesłane również przez Boga.

— To wszystko może być prawdą, senior, lecz nie ma reguły bez wyjątku. Zrządzenia Opatrzności często są tajemnicze, a cele jej dla nas niedostrzegalne. Dlaczegoż na przykład Maurowie tak długo byli panami Hiszpanii? dlaczego niewierni dźwizają dotąd grób Zbawiciela? dlaczego władcy nasi przez siedem lat odmawiali ci pomocy w tym świętym przedsięwzięciu? Może też to zjawienie się Saint-Brandan jest zapowiedzią powodzenia twych planów.

Kolumb był entuzjastą, ale zapał jego miał swe źródła w tajnikach wiary. Jak wszyscy prawie współcześni, wierzył w bezpośrednią skuteczność pobożnych ofiar, pokut i modlitw. Jednak jego rozum odrzucał pospolite cuda, a chociaż uważał się za narzędzie Opatrzności, nie przypuszczał jednak, aby dla jego zachcianki porządek natury miał być przerwany.

— Naprawdę przeświadczony jestem głęboko, że Najwyższa Istota zleciła mi posłannictwo odkrycia drogi morskiej między Europą i Azją, odrzekł po chwili, lecz nie posuwam zaślepienia do tego stopnia, abym wierzył w dopuszczenie cudów na mą korzyść. Zgodniejsze podobno z naturalnym biegiem rzeczy, a nawet pochlebniejsze dla mnie, będzie przekonanie, iż rozporządzam tymi tylko środkami, jakie zapewnia nauka. Długoletnie rozmyślanie nad tym przedmiotem i wielostronna praca pozwala mi na sprostanie swojemu zadaniu.

- A towarzysze twoi, czy równie dobrze użyli swojego czasu? wtrąciła donna Inez, spoglądając na Luisa, którego rycerska i miła powierzchowność powszechnie się, zwłaszcza kobietom, podobała. Czy senior Gutierrez trawił także bezsenne noce na badaniach naukowych, aby zapewnić tryumf Ewangelii?

- Senior Gutierrez jest ochotnikiem; niechże sam wymieni swe pobudki.

- Więc będę go prosić o odpowiedź. Obecne tu damy, senior, pragną dowiedzieć się, co mogło skłonić do tej wyprawy kawalera, którego powodzenie na dworze donny Izabelli lub wojnie przeciw Maurom byłoby niezawodne.

- Wojna z Maurami ukończona, odrzekł Luis z uśmiechem, a donna Izabella i wszystkie damy jej dworu sprzyjają tylko ludziom dbającym o chwałę religii i kraju. Nie jestem filozofem, nie zgłębiłem żadnej nauki, ale cel naszej podróży jak gwiazda świetna i błyszcząca staje mi przed oczyma i gotów jestem poświęcić życie, byle go osiągnąć. Wykwintne grono gości donny Inez Peraza głośno objawiło uznanie, bo nic tak łatwo nie zyskuje pochwał, jak odwaga wsparta osobistymi przysięgami. Że Kolumb, weteran morski, skołatany wiekiem, narażał życie, i tak już niedalekiego kresu, dla zbadania tajemnic zaatlantyckich, to nikogo nie dziwiło, lecz uwielbiano poświęcenie młodziana, który los swój powierzył tak wątpliwemu przedsięwzięciu. Luis, ucieszony tym objawem pochwały, chciał jeszcze coś dodać, gdy donna Inez, bardzo nie w porę dla miłości własnej młodzieńca, odezwała się w te słowa:

— Jakże szlachetne są te uczucia, obok zamiarów przypisywanych młodemu potomkowi jednej z najpierwszych rodziny kastylijskich. Korespondenci moi donoszą mi, że i on także podróżuje, ale w sposób niegodny swojego urodzenia, bezowocnie dla siebie i dla kraju.

— A kto jest ten młodzieniec zbłąkany, seniora? zapytał Luis bez namysłu, nie przewidując jaką usłyszy odpowiedź.

— Imię jego nie jest tajemnicą, bo cały dwór mówi o jego wybrykach; nazywa się Luis de Bobadilla, hrabia de Llera.

Powiadają, że kto przypadkiem usłyszy zdanie o sobie, rzadko kiedy będzie ono pochlebne. Luis sprawdzić mógł na sobie rzetelność tego pewnika. Krew uderzyła mu do twarzy i największą siłą woli powstrzymać zdołał głośny wybuch gniewu, którego początkiem byłoby niezawodnie

wezwanie kilkunastu świętych, gdyby rozważa nie przemogła uniesienia. Rozglądając się pochmurnie wokoło młodzieniec zdawał się szukać ubliżającego dla siebie uśmiechu. Na szczęście właśnie Kolumb zajmującą rozprawą o wyspie Saint-Brandan ściągnął ku sobie mężczyzn, i Luis nie dostrzegł nic takiego, co upoważnić by mogło zaczepkę. Powodowana tajemniczym instynktem, co zwykle kieruje działaniem młodych niewiast, jedna z pięknych towarzyszek donny Inez, sama o tym nie wiedząc, rozbroiła naszego młodzieńca.

- Rzeczywiście, senioro, odezwała się ładna obrończyni, mówią że don Luis jest wietrznikiem, ale dodają, że ma najlepsze serce, że jest wspaniałomyślnym, a przy tym najdzielniejszym rycerzem Kastylii, któremu należy się słusznie najpiękniejsza panna tego kraju.

- Próżne nauki księży, próżne przestrogi rodziców, rzekła z uśmiechem donna Inez, młodość zawsze stawiać będzie odwagę i świetne czyny wyżej od skromnych cnót chrześcijańskich. Pokonanie przeciwnika turnieju, odznaczenie się w boju z niewiernymi, większą w jej oczach jest zasługą, niż wszelkie pokuty i pacierze.

- Nie możemy wiedzieć, szlachetna pani, czy kawaler, o którym mowa unika pokuty i modlitwy odpowiedział Luis; jeżeli posiada dobrego przewodnika sumienia, odbywa niezawodnie i jedno i drugie. Doniesiono ci także nazwisko jego bogdanki?

— Tak, senior, jest to donna Maria de los Mercedes de Val-verde; bliska krewna Guzmanów i jedna z najpiękniejszych Hiszpanek.

— A jej cnota dorównuje piękności! zawołał Luis z uniesieniem.

— Czy znasz tak blisko tę dostojną osobę, abyś ocenić mógł jej przymioty?

— Oceniam je ze słyszenia. Ale czy twój korespondent, zacna pani, nie pisuje co się stało z przewrotnym jej wielbicielem.

— Mówią, że opuścił znów Hiszpanię, lecz nie wiadomo dokąd się udał. Zapewne zwyczajem swoim krąży po morzu, szukając awanturnicznych przygód.

Rozmowa zesłała na inny temat, a po jakimś czasie admirał ze swym orszakiem opuścił posiedzenie.

— Rzeczywiście, seniorze Christoval, rzekł Luis idąc z Kolumbem ku brzegowi, człowiek nabiera sławy nie wiedząc jakim sposobem. Jeżeli ta wyprawa przyniesie waszej ekscelencji choć połowę tego rozgłosu, jaki zyskały moje podróże bez celu, to niezawodnie potomność przechowa twoje imię.

— Ludzie z wyższych sfer, odrzekł admirał, opłacać muszą tę daninę opinii publicznej, że każdy ich postępek bywa roztrząsany.

- I dodaj, senior, że wystawieni są na plotki i obmowę. Zabawna to rzecz w istocie, iż młodzieniec, z jakim takim imieniem, nie może podróżować dla własnej przyjemności, by zaraz kumoszki

kastylijskie nie doniosły o tym kumoszkom Wysp Kanaryjskich, zapelniając swe listy pobożnymi westchnieniami nad jego obłąkaniem. Na wszystkich świętych męczenników! gdybym był królem, wydałbym prawo zabraniające rozpisywania się nad czynnościami bliźnich, a szczególnie kobietom.

- W takim razie, senior Munoz, musiałbyś wyrzec się przyjemności odbierania listów kreślonych piękną rączką donny Mercedes.

- Mówię tylko o listach kobiet do kobiet, admirale; gdyż pisma młodych panienek do swych ulubieńców uważam za bardzo pożyteczne. Niech sobie pisują kochanki do kochanków, dzieci do rodziców, żony do mężów, ale zasię od plotek kumoszkom; nienawidzę tego rodu potwarczego, jak szatan nienawidzi naszej wyprawy.

- W istocie nie ma on powodu życzyć jej powodzenia, bo chodzi o tryumf religii, odpowiedział Kolumb z uśmiechem. Czego żądasz mój przyjacielu? dodał, ujrzawszy Sancho Munda stojącego nieopodal.

- Senior Christoval, chciałbym waszej ekscelencji powiedzieć słów kilka w zaufaniu.

— Mów otwarcie, pocziwy Sancho, ten kawaler należy do moich przyjaciół.

— Nie potrzebuję wspominać tak wielkiemu żeglarzowi o zamiarach i czynach Portugalczyków, bo wasza ekscelencja znasz je lepiej ode mnie. Ograniczę się więc do ogólnej uwagi, że nasi sąsiedzi, pragnąc wszystko zagarnąć dla siebie, starają się wszelkimi sposobami przeszkodzić odkryciom innych narodów.

— Jan portugalski światłym jest królem i chętnym zawsze do śmiałych przedsięwzięć.

— Tak jest, senior, a podobno i nasza wyprawa trochę go obchodzi, odpowiedział Sancho z przekąsem, dowodzącym, iż więcej wiedział jak mówił.

— Bądź szczerym, Sancho, i spodziewaj się za to nagrody.

— Jeżeli wasza ekscelencja zechce mnie posłuchać, wyznam mu wszystko jak przy konfesjonale.

— A więc do rzeczy!

— Otóż, senior admirale, trzeba ci wiedzieć, że przed jedenastu laty odbyłem podróż z Palos do Sycylii, na statku należącym do Pinzonów, nie do Marcina Alonzo, dowodzącego pod rozkazami waszej ekscelencji, tylko do krewniaka nieboszczyka jego ojca, który lepsze budował okręty, jak te nasze, niedokładnie zabezpieczone, z przegniłymi linami; nie mówiąc już o sposobie jakim żagle...

— Ależ zapominasz, kochany Sancho, przerwał zniecierpliwiony Luis, że noc już zapada i admirał powrócić chce na okręt.

- Jakże mogę zapomnieć, skoro widzę zachodzące słońce i sam należę do osady szalupy, co odwieźć ma jego ekscelencję. A więc, wracając do rzeczy, płynąłem z Palos ku Sycylii, a towarzyszem moim obiadowym w tej podróży był niejaki Jose Gordo, rodowity Portugalczyk, ale

przenoszący wina hiszpańskie nad ckiwe trunki swego kraju. Nie mogłem nigdy zmiarkować czy Jose w duchu jest Portugalczykiem, czy Hiszpanem; tyle jednak zauważyłem, iż nie bardzo gorliwy z niego chrześcijanin.

- Przewiduję, wtrącił Kolumb, że masz przytoczyć jego świadectwo na poparcie jakiejś wiadomości, i powinienem uprzedzić cię, iż zły chrześcijanin zawsze jest podejrzanym świadkiem.

- Teraz, zaiste, nazwałbym bluźniercą każdego, co by zważył o powodzeniu waszej ekscelencji, kiedy tak umiesz zgadywać cudze myśli. Otóż Jose, dowiedziawszy się, że Sancho Mundo należy do załogi „Santa Maria”, przybył powitać dawnego kolegę.

- Przywołaj go zatem, i niech się dowiem wreszcie o co tu chodzi.

- Chodzi, senior zarazem i o Jana portugalskiego, i Ferdynanda z Aragonii, donnę Izabellę kastylijską, o waszą ekscelencję, o seniora de Munoz i o mnie samego.

— Jakaż dziwna gmatwanina! zawołał Luis, wsuwając sztukę srebra w rękę Sancho Munda, może teraz skrócić zechcesz opowiadanie.

— Dobrze, senior, ale, prawdę powiedziawszy, Jose, który jest tu niedaleko, powiedział mi, że wiadomość jego warta dublona.

— Przyrowadź go, rzekł Kolumb, a otrzyma czego żąda. Sancho usłuchał rozkazu, i po chwili powrócił z Jose, a ten, odebrawszy dublona, opowiedział, że wracając z Ferro napotkał trzy statki portugalskie, krążące między wyspami, których celem, jak powszechnie mniemano, było przeszkodzenie wyprawie kastylijskiej. Ponieważ człowiek ten odwoływał się do świadectwa kilku podróżnych, więc Kolumb z Luisem udali się niezwłocznie do osób wskazanych, a zdanie ich w zupełności zgodne było z przypuszczeniem majtka.

— Nowy kłopot! rzekł Kolumb do młodzieńca, gdy przybyli na wybrzeże. Ci matacze portugalscy mogą nas zatrzymać, albo puścić się w ślad za nami i wyrzeć nam w części owoc tyłu trudów.

— Mniemam, odrzekł Luis, iż bandera kastylijską zasłonić nas powinna od napaści.

— Droga moja, niestety, ciężka jest i ciernista, ciągnął dalej odkrywca. Wzywałem kiedyś pomocy tychże samych Portugalczyków, a propozycje moje przyjęto z urąganiem; potrzebaż aby w chwili, gdy łaska donny Izabelli zbliżyła mię do celu, oni właśnie otoczyli nas zradą!

- Szlachetny admirale! walczyć będziemy w potrzebie jako dzielni Kastylijczycy.

- Zbyt słabi jesteśmy, aby oprzeć się przemocy, jedna nadzieja nasza w szybkim odpłynięciu. Ruszemy ze wschodem.

- Co do mnie, mam niezachwiane zaufanie w nauce twojej.

- Ja zaś w opiece Boga; spodziewam się, że wszechmocna jego ręka wesprze nasze usiłowania.

Kolumb, nie rozbierając się, chciał odpocząć kilka godzin, aby w każdej potrzebie być na zawołanie. Znakomity ten człowiek żył w wieku, w którym fałszywa filozofia utwierdzała ludzi w

przekonaniu o nieuchronności losu, nawet i dziś jeszcze, mimo rozwoju wiedzy rzadko kiedy przestała wierzyć w przeznaczenie. Można to zrozumieć, bowiem w sercu każdego człowieka tajemne jakieś uczucie uznaje wolę kierującą jego losem. Zgodnie ze swym zwyczajem Kolumb, ukląkłszy, przed spoczynkiem zwał pacierze, a Luis de Bobadilla poszedł za jego przykładem. Jeżeli prawdziwą jest uwaga, iż w wieku XV religia zmieszana była z przesądem, to z drugiej strony ileż wtedy pokory i szczerzej pobożności, dziś niestety zatraconej, objawiało się w codziennym życiu.

Razem z brzaskiem admirał i don Luis wyszli na pokład. Tyle razy już opisywano wschód słońca na morzu, że nie będziemy tu powtarzać aż nadto znanych obrazów, nadmienimy tylko, iż Luis, jako prawdziwie zakochany, w purpurze jutrzeńki uwielbiał tylko rumieniec swojej ulubionej, podczas gdy admirał, korzystając z dziennego światła, byстрыm okiem spoglądał ku Ferro. Po chwili milczenia odkrywca rzekł do Luisa:

— Czy widzisz tę ciemną bryłę na południowym zachodzie? To wyspa Ferro, stanowisko Portugalczyków. Teraz cisza nie pozwala im zbliżyć się do nas; jeżeli wiatr będzie dla nas przyjazny, unikniemy ich pogoni. Czy spostrzegasz jakiś żagiel na morzu?

— Żadnego, senior, chociaż całkiem już widno.

Kolumb nakazał obserwować przestrzeń aż do wyspy, a odpowiedź również była zadowolającą. Wkrótce też dąć zaczął pomyślny wietrzyk; rozpięto żagle i posterowano ku północnemu zachodowi; admirał bowiem był zdania, że Portugalczycy, nie znając jego zamiarów, dryfują . na południu Ferro. Flotyła z wolna oddalała się od wyspy, której szczyty już tylko w kształcie niewyraźnego obłoczka widzialne były w oddali. Admirał z grupą oficerów stał na tyle okrętu, badając stan powietrza i morza. Powierzchny nawet obserwator byłby wtedy zauważył uderzającą różnicę w usposobieniu uczestników podróży. W orszaku Kolumba wszystko tchnęło nadzieją i radością; nie myślano o przyszłych niebezpieczeństwach, tylko się cieszą uniknięciem obecnego. Sterników, jak zwykle, podtrzymywał stoicyzm marynarski, ale majtkowie, w posępnym milczeniu zgromadzeni na pokładzie, wlepiali tęskne spojrzenia w ostatni skrawek znanego wówczas lądu, co już się nurzał w falach Atlantyku. Kolumb zbliżył się do Luisa, i dotknąwszy ręką ramienia młodzieńca, obudził go z marzeń, w jakich był zatopiony.

- Wątpię, rzekł, aby senior de Munoz podzielał uczucia tych prostaków. Człowiek światły powinien być przykładem dla drugich. Dlaczegoż więc tak ponuro patrzysz na zgaję zebranych tu majtków? Czy żałujesz swojego kroku, czy marzysz tylko o wdziękach ukochanej?

- Na św. Yago! senior Christoval, nie dopisał ci tym razem zwykły dar przenikania. Daleki jestem od żalu i marzeń miłosnych, ale spoglądam z politowaniem na tych biednych majtków, rzuconych na pastwę nieprzepartej bojaźni.

- Nieświadomość zgubnym jest przewodnikiem, senior Pedro, i jej to właśnie mamidła dręcą wyobraźnię tych biedaków. Widzą same tylko nieszczęścia, bo nie są zdolni przeczuć duchem pomyślności.

W oczach tłumu każda rzecz niepowszednia jest niemożliwa. Ci poczciwcy patrzą na tę wyspę znikającą, jako na ostatnią nić wiążącą ich z życiem. Istotnie, obawa ich silniejsza jest niż mniemałem.

To prawda, senior, widziałem na własne oczy łzy staczające się po twarzach, które od wielu lat niezawodnie tylko morskie bałwany zraszały swym bryzgiem.

— Sancho i Pepe, jak zauważyłem nie zostają pod wpływem silnego wrażenia, chociaż w obliczu ostatniego przebijają smutek. Sancho natomiast zupełnie zdaje się obojętnym, jako prawdziwy syn morza, co najszczęśliwszy wśród huku burzy, w nawale grożących niebezpieczeństw. Dla tego człowieka wyspa jest wyspą, bez względu czy ją porzuca, czy do niej dopływa; on niebo tylko widzi i morze, a reszta świata w jego oczach jest próżnią. Być może, że to kawał szalbierza, ale uważam go za jednego z najlepszych majtków naszej osady.

Krzyk przerażenia na pokładzie przerwał słowa admirała. Wyspa Ferro zniknęła z widnokręgu, i morze od południa żadnego już punktu oparcia nie przedstawiało dla oka. Majtkowie w większości głośno wyrzekając i załamując ręce, oddawali się rozpaczom tak gwałtownej, że koniecznie należało ich uspokoić. Kolumb więc rozkazał wszystkim zgromadzić się na tylnym pokładzie i wstąpiwszy na podwyższenie przemówił do nich głosem wzruszonym, nacechowanym zarówno głęboką wiarą, jak czułą troskliwością.

- Towarzysze moi! rzekł odkrywca, ta chwila, co w sercach waszych tak przykre budzi uczucia, uroczystą jest dla nas, ale radosną. Wyspa Ferro znikła nam z oczu, a z nią i pogoń portugalska. Rzuceni odtąd w niezmierny przestwór oceanu, oddani w ręce samego tylko Boga, wolni jesteśmy od napaści nieprzyjaciół. Zaufajmy pomocy Najwyższego i własnym siłom, a dokonamy, chlubnie wielkiego przedsięwzięcia. Jeżeli który z was pragnie jakiegoś objaśnienia, niech mówi śmiało, będę się starał usunąć jego wątpliwości.

- Senior admirałe, zawołał Sancho, skory zawsze do gawędy, trzeba ci wiedzieć, że właśnie to, co ciebie raduje, zasmuca mych poczciwych kolegów. Gdyby nieustannie patrzeć mogli na Ferro albo inną jaką wyspę, pozęglowaliby do Cipango tak spokojnie, jak szalupa za swoim okrętem przy pogodzie, ale myśl porzucenia wszystkiego, świata, żon, dzieci, przyjaciół, przeraża ich.

- A ty, mój Sancho, stary marynarzu, co się urodził na morzu?

- Powoli, wasza ekscelencjo, senior admirałe, przerwał majtek z fantazją, niezupełnie na morzu, chociaż zapewne niedaleko, bo skoro mnie znaleziono pod drzwiami warsztatu okrętowego, trudno przypuścić, aby poprzednio na ląd mnie wysadzono, gdyż ubytek tak małego ładunku, jakim byłem

wtedy, niewiele by ulżył statkowi.

— A więc blisko morza, jeśli tak sobie życzysz; w każdym razie spodziewam się po tobie czegoś więcej jak żalostnego kwilenia nad zniknięciem jakiejś wyspy.

— Wasza ekscelencja ma słuszność, dla Sancha wszystko to jedno. Ale gdybyś wytłumaczyć raczył tym poczciwym ludziom, gdzie i po co płyniemy, a zwłaszcza kiedy wrócimy, sprawiłbyś im niewymowną pociechę.

— Ponieważ moim zdaniem starsi wtedy chyba ukrywać powinni swe zamiary podwładnym, gdy to zagraża niebezpieczeństwem, uczynię przeto chętnie czego ode mnie wymagasz, i proszę wszystkich posłuchać mnie uważnie. Celem naszej podróży jest państwo wielkiego chana, położone, jak wiadomo, na wschodnim krańcu Azji i kilkakrotnie już zwiedzane przez Europejczyków, chociaż drogą przeciwną niż nasza, bo w kierunku wschodnim. Ale powodzenie nasze zależy głównie od gorliwości i poświęcenia całej osady, obok wskazówek jakich dostarcza nauka, a które krótko wam wyłożyć zamierzam. Przekonany jestem o kulistości ziemi, z czego wypływa wniosek, że Atlantyk, mając granice od wschodu, powinien je mieć i od zachodu. Otóż rachuba daje mi pewność, iż lądu tego, który uważam za Indie, osiągnąć można w dwudziestu do trzydziestu dniach żeglugi. Objąwszy was jakim sposobem i kiedy przybyć zamyślam do tych krajów nieznanych, przytoczę teraz kilka szczegółów dotyczących korzyści jakie zapewnia ich odkrycie. Według opowiadań niejakiego Marco Polo i jego krewnych, szlachciców weneckich, państwo wielkiego chana nie tylko jest obszerne, lecz nadto bogate w złoto, srebro i kosztowne kamienie. Oszczędźcie więc sami jaka nagroda czekać może uczestników tej wyprawy. Królestwo ichmość już teraz podnieśli mnie do godności admirała i wicekróla krajów, które odkrywamy, jeżeli szczęśliwie dokonamy dzieła; każdy z was będzie miał prawo do łaski naszych władców, którzy jej pewnie nikomu nie odmówią w stosunku do zasługi, a będzie czym zaiste nagrodzić największe wysiłki. Marco Polo, zabawiwszy lat kilkanaście na dworze wielkiego chana, niemałe zebrał korzyści, a chociaż to prosty był szlachcic i nie posiadał innych środków transportu, jak juczne zwierzęta, tyle jednak nagromadził skarbów, iż dźwignął podupadły ród i potomkom jeszcze zostawił nieprzebrane dostatki. Nadto wzdłuż brzegów tej części Azji znajdują się rozrzucone wyspy, obfitujące w kadzidła i rośliny aromatyczne. Zyski więc nasze mogą być niezmierne, nie mówiąc już o zasłudze poniesienia krzyża niewiernym, chociaż przodkowie nasi szukali chluby w wyprawach dla oswobodzenia Grobu Świętego.

Kończąc przemowę, Kolumb przeżegnał się i powrócił do grona oficerów. Słowa jego zrazu działały korzystnie, ale wkrótce powróciło smutne usposobienie. W ciągu nocy jedni we śnie marzyli o bogactwach wzmiankowanych przez admirała, drugim zdawało się, że uniesieni przez złego ducha w dalekie strony morza, krążyć tam muszą na wieki za pokutę.

Przed samą nocą admirał przywołał do siebie dowódców „Pinty” i „Niny”, aby ich zaznajomić ze swymi zamiarami i dać instrukcję na przypadek rozłączenia.

— A więc rozumiecie mnie, seniorowie, rzekł w końcu, powinniście ile możności trzymać się mego okrętu, a gdyby nas rozłączyła burza, zawsze w kierunku zachodnim popłynąć aż na odległość około siedmiuset mil od Wysp Kanaryjskich. W tym miejscu nocną porą należy zwiąć żagle, gdyż prawdopodobnie znajdować się wtedy będziecie niedaleko archipelagu azjatyckiego. Posuwając się ciągle ku zachodowi, dosięgniecie stałego lądu, i albo już mnie znajdziecie na dworze wielkiego chana, albo też wkrótce tam przybędę.

— Dobrze, senior admirał, odpowiedział Marcin Alonzo, podnosząc oczy utkwione dotąd w mapę; lepiej by jednak było gdybyśmy razem zostali, bo prostym marynarzom nie przystoi wchodzić w stosunki z władcą owego kraju.

— Masz słuszność, poczciwy Alonzo; w każdym więc razie czekajcie mojego przybycia, a tymczasem starajcie się rozpoznać położenie i płody wysp okolicznych. Cóż mówili twoi ludzie straciwszy z oczu Ferro?

— Osada szemrała tak głośno, iż lękałem się buntu. Chyba tylko obawa gniewu królewskiego wstrzymała ich od powrotu do Palos.

- Czuwaj nad nimi i utrzymuj najsurowszą karność; ale staraj się także wspierać ich moralnie przez stosowne objaśnienia. Teraz seniorowie, udajcie się na wasze statki, bo noc już zapada.

Kolumb, zostawszy sam na sam z Luisem w kajucie, usiadł na koi i ręką podparłszy głowę zamyślił się.

- Ty od dawna znasz Alonza, spytał wreszcie przerywając milczenie.

- Dawno, jak dla mnie młodego, niedawno może jak dla starca.

- Pomoc jego jest dla nas nieodzowna, trzeba polegać na jego prawości. Dotychczas okazywał się przychylnym i nieustraszonym.

- Marcin Alonzo zapewne nie dla wyższych celów przedsięwzię tę : podróż, lecz byle wierzył w możliwość pomyślnego skutku, to sam już interes osobisty do nas go przywiąże.

- Tobie jednemu tylko mogę powierzyć wszystkie swoje myśli. Spójrz na ten papier, Luis: od rana przebyliśmy mil dziewiętnaście w kierunku zachodnim. Gdyby osada po jakimś czasie dowiedziała się ile odbyliśmy drogi bez napotkania lądu, obawa mogłaby przemóc posłuszeństwo. Zapiszę więc do księgi okrętowej tylko mil piętnaście, a prawdziwy rachunek pozostanie tajemnicą dla wszystkich, wyjąwszy mnie i ciebie. Bóg najwyższy wybaczy mi ten podstęp, ze względu na świętość naszego celu. Ujmując tak codziennie przepłyniemy w oczach majtków jakie siedemset mil, podczas gdy rzeczywiście zrobimy ich tysiąc.

— O takiej skali na odwagę marynarzy nigdy zaiste nie pomyślałem, wtrącił Luis z uśmiechem. Na

św. Ludwika, mojego patrona! nietęgi to rycerz, co mierzy niebezpieczeństwo na mile!

— Każda rzecz nieznaną wydaje się straszną dla ludzi. Wielkie odległości przerażają nieświadomych! a jeśli droga prowadzi przez ocean bezgraniczny, zachwiać się może nawet umysł oświecony.

Po tych słowach admirał zmówił modlitwę wieczorną i udał się na spoczynek.

ROZDZIAŁ XVI

Kolumb zasypiał zwykle spokojnie i głęboko, lecz jako człowiek przywykły do rytmu żeglarskiego życia, zrywał się regularnie w pewnych przerwach, dla rozpoznania stanu morza i położenia okrętu. I już po upływie godziny admirał wyszedł na pokład, gdzie wszystko znalazł w porządku. Większa część majtków pogrążona była we śnie, czuwały tylko strażę i sternik z pomocnikiem. Wiatr dął pomyślny, a statek bez przeszkody posuwał się pośród ciszy, przerywanej tylko szelestem lin okrętowych, łagodnym pluskiem fali i trzaskiem rei.

Noc była ciemna i oko potrzebowało pewnego czasu, aby rozpoznać przedmioty w tak niepewnym świetle; admirał spostrzegł jednak, że okręt poruszał się nie z wiatrem; podszedł więc do steru, i ujrzał go zwróconym na północny wschód, to jest w kierunku brzegów hiszpańskich.

— Czyś ty marynarz? czy mulnik, przywykły kręcić się tylko po ścieżkach gór kastylijskich? zapytał surowo. Jesteś sercem w Hiszpanii, i mniemasz że ten wybieg dziecinny zadość uczyni twym życzeniom.

- Niestety! senior admirał, wasza ekscelencja miałaś słuszność mówiąc, że serce moje jest w Hiszpanii, tym bardziej iż zostawiłem w Moguer siedmioro sierot.

- I ja także jestem ojcem, i ja zostawiłem syna bez opieki macierzyńskiej; w czymże tyś lepszy ode mnie?

- Senior, syn waszej ekscelencji ma ojca admirała, a moje niebożątka biednego tylko sternika.

- I cóż by dało mojemu synowi, jeśli zginę, żem zginął admirałem? Jakaż korzyść dla niego w porównaniu z twoimi dziećmi?

- Ta korzyść, senior, że królestwo ichmości mieliby o nim staranie, jako o potomku wicekróla, podczas gdy moje robaczki poszłyby w poniewierkę.

- Masz poniekąd słuszność, przyjacielu, odpowiedział Kolumb, lecz powinieneś pamiętać o wpływie jaki wytrwałość w tym dziele wyrzuci może na los twoich dzieci. Podobnie obydwaj niewiele obiecywać sobie możemy, jeżeli przedsięwzięcie nasze niepomyślny weźmie obrót; lecz jeśli powrócimy uwieńczeni powodzeniem, przyszłość nasza będzie świetna. Czy mogę odtąd liczyć na twą sumienność, czy też kierunek okrętu mam zdać w inne ręce?

— Lepiej to drugie, senior admirale. Pamiętny na twe rady, chciałbym zwalczyć tęsknotę, lecz dopóki nieopodal będą brzegi hiszpańskie, nie ręcę za siebie.

— Co sądzisz o zdolnościach Sancho Munda?

— Sancho jest jednym z najbłęglejszych majtków tego okrętu.

— Czy razem z innymi sypia na dole?

— Nie, senior, Sancho zawsze nocuje na pokładzie. To człowiek żelazny, nieugięty żadną przeciwnością, który tak nienawidzi ziemi, że cieszyć się będzie, gdy popłyniemy na drugi koniec świata.

— Obudź go, i niech przyjdzie natychmiast, tymczasem ja cię zastąpię.

Kolumb uchwycił ster i obrócił go w przeciwną stronę. Okręt, idąc z wiatrem, bardziej się zagłębił, a głośnie trzaskanie masztów świadczyło o sile jego ruchu. Po chwili nadszedł Sancho, i wyręczając admirała trzymał się wskazanego kierunku. Ale gdy kolej przysłała na innych opisana powyżej scena powtarzała się z małymi odmianami.

Pierwszego września w południe Kolumb skończył właśnie obserwacje, czynione zwyczajem marynarzy w chwili, kiedy słońce stoi w zenicie, gdy straż masztowa zwiastowała zbliżanie się wieloryba. Ponieważ napotkanie tego olbrzyma oceanu przerywa jednostajność morskiego życia, zaraz więc cała osada była w ruchu.

- Czy widzisz go? zapytał Kolumb stojącego niedaleko Sancha. Stan wody moim zdaniem nie zapowiada bliskości wieloryba.

- Wasza ekscelencja lepsze ma oko niż ten gawron na maszcie. Ta piana, jako żywo, nie pochodzi od wieloryba.

- Oto jest! oto jest! zawołało kilkunastu majtków, wskazując na jakiś ciemny punkt, sterczący nad powierzchnią wody. Schował głowę, a ogon zadarł do góry!

- Niestety! rzekł smutno Sancho, przedmiot w którym te krzykały widzą ogon wieloryba, jest niczym innym jak masztem zatopionego okrętu, który zostawił tu kości, posławszy na dno ładunek i osadę.

Ta przygoda, przechodząc z ust do ust, szkodliwie wpłynęła na samopoczucie ogółu. Jedni tylko sternicy pozostali obojętni i zaczęli naradzać się nad korzyścią jaką odnieść by można, z rozebrania rozbitego statku; ponieważ jednak morze było niespokojne, a wiatr pomyślny, więc jak dobrzy marynarze zrzec się musieli zdobywszy.

- To przestroga dla nas! zawołał jeden z niezadowolonych, w chwili, gdy „Santa Maria” mijiała zatopiony statek. Bóg zesłał znak widomy, aby nas powstrzymać od zuchwalstwa.

— Powiedz raczej, rzekł Sancho, iż to zachęta nieba; czy nie spostrzegasz, że widoczna część masztu podobna jest do krzyża?

— Dobrze mówisz, Sancho, przerwał Kolumb; krzyż ten Opatrzność zatknęła w głębi niezmiernego oceanu, na dowód, że sprzyja naszemu świętemu celowi poniesienia niewiernym światła Ewangelii.

Ponieważ podobieństwo rzeczywiście było uderzające, przeto szczęśliwa myśl Sancho wielkie zrobiła wrażenie. Wyższa część masztu z reją ma istotnie kształt znamię wiary chrześcijańskiej, a że statek prostopadle był zanurzony, przeto sam szczyt tylko sterczał nad wodą, na stóp piętnaście do dwudziestu. Po upływie kwadransa ten ostatni ślad cywilizacji europejskiej już tylko w słabych zarysach odznaczał się w oddaleniu.

Przez następne dwa dni i dwie noce rejs okrętów niczym nie był przerwany, i przy pomyślnym wietrze posuwano się ciągle ku zachodowi. Jednakże igielka magnesowa zaczęła okazywać lekkie zboczenie z kursu. Trzynastego września eskadra dosięgła punkt odpowiedniego w oddaleniu co najmniej Wyspom Azorskim. W tym miejscu gwałtowne prądy, płynące w kierunku południowo-zachodnim, zagrażały uniesieniem statków w północne obszary, w których wieją wiatry strefowe. Wieczorem tego dnia, admirał z Luisem zajmowali zwykle stanowisko na pokładzie, gdy Sancho zbliżył się do nich z wyrazem twarzy zapowiadającym jakąś ważną wiadomość.

- Co powiesz, Sancho? zapytał Kolumb.

- Senior admirał, wiadomo waszej ekscelencji, że nie jestem rybą, co się lęka rekinów lub ludojadów ani człowiekiem zdolnym zatruć się myślą, że płynie w strony, których nikt przedtem nie zwiedził, ale tu zachodzą okoliczności tak ważne, iż dobry marynarz lekceważyć ich nie powinien.

- Zaciekawiasz mnie wielce, mów o co chodzi, a jeśli chcesz pieniędzy, to je dostaniesz.

- Nie, senior, wiadomość jaką przynoszę albo nie warta złamanego szeląga, albo też nie opłacić jej złotem. Wiadomo waszej ekscelencji, że starzy marynarze, trzymając ster, lubią sobie marzyć już o powabnym śmiechu dziewczyny, już o soczystych owocach, już o tłustej baraninie, a niekiedy wyjątkowo o grzechach jakie popełnili.

- Wiem o tym wszystkim, ale też to rzeczy niegodne powtórzenia przed zwierzchnikiem.

- Być może, ekscelencjo, znałem jednakże admirałów, co bardzo lubili baraninę i ładne kobiety, a jeśli nie myśleli o dawnych grzechach, to pewnie dlatego tylko, iż ciągle dopuszczali się nowych.

- Pozwól, admirał, abym tego pleciucha wrzucił w morze zawołał zniecierpliwiony Luis, bo póki ten ladaco będzie na okręcie, nie usłyszymy nigdy porządnego opowiadania.

— Dziękuję ci, hrabio de Llera, odpowiedział Sancho z ironicznym uśmiechem, lecz jeśli równie dobrze umiesz topić majtków, jak wysadzać z łęgu rycerzy i gromić niewiernych, to chętnie się wyrzekam zaszczytu jaki mnie przeznaczasz.

— Więc ty mnie znasz, hultaju?

— Wolno kotowi patrzeć na biskupa, jak mówi nasze przysłowie, dlaczegoż by poczciwy marynarz nie miał znać granda Hiszpanii? Bo na co też bez potrzeby otaczać się tajemnicą, jeżeli dosięgniemy Indii, to nie powstydzisz się pewnie tej podróży, w przeciwnym razie nie będzie komu rozpowiedzieć, jak wasza ekscelencja poniosłeś śmierć głodową lub jak cię fale morskie przeniosły na łono Abrahama.

— Dosyc tego, rzekł Kolumb surowo, powiedz co miałeś powiedzieć, i zachowaj milczenie względem osoby tego młodzieńca.

— Senior, woła twoja jest dla mnie prawem. A więc, my starzy marynarze mamy wierną na niebie przyjaciółkę, gwiazdę polarną; patrzyłem na nią przez całą godzinę i uważam, że położenie jej nie zgadza się z kierunkiem busoli.

— Czy pewnym jesteś tego? zapytał admirał z żywością świadcząca ile do tego spostrzeżenia przywiązywał wagi.

- Tak pewny, senior, jak człowiek znający się z gwiazdą polarną od lat pięćdziesięciu, a z busolą od czterdziestu. Ale wasza ekscelencja nie potrzebuje polegać na mojej świadomości: gwiazda jest jeszcze w miejscu, gdzie ją rzuciła wszechmoc Boga, a busolę masz pod ręką, porównaj więc jedną i drugą.

Kolumb z największą już uwagą przypatrywać się zaczął przyrządowi. Pierwszą jego myślą było przypuszczenie, iż może jakaś i zewnętrzna przeszkoda tamuje obrót igielki, lecz wkrótce okazało się to bezzasadne. Powtórzywszy próbę na trzech jeszcze innych busolach, przekonał się, że igielki, zamiast wskazywać na północ, czyli na punkt prostopadle pod gwiazdą polarną leżący, o sześć blisko stopni zbaczały na zachód. Było to, według pojęć ówczesnych, rażącym naruszeniem przyrody, i dziwne zjawisko, pozbawiające podróżników jedynej wskazówki na morzu, niezmiernie utrudniać mogło dokonanie dzieła. Admirał pomyślał o wrażeniu jakie ta wiadomość sprawi na załodze.

- Nie wspominaj o tym nikomu, Sancho, rzekł głosem stłumionym. Oto masz dublona.

- Wasza ekscelencja może na mnie polegać; nie pisnę ani słowa bez twojego pozwolenia.

Kolumb odprawił majtka, a potem zwrócił się do Luisa, niemego uczestnika tej sceny.

— Jesteś zmieszany, admirale? zawołał młodzieniec. Moim zdaniem zaufać należy Opatrzności.

— Bóg rządzi naszym losem, lecz wszczepił w serce człowieka chęć przyłożenia się czynem do zmiennych kolei. Jednakże niepodobna działać bez rozumnych pobudek. Nie pojmuję tego zjawiska, więc nie wiem jak mu zaradzić, ale przeczuwam, iż ono prowadzi do ważnych odkryć w dziedzinie naukowej. Każdy kraj posiada płody wyłącznie sobie właściwe; może w tych stronach po niedalekich wyspach dużo jest kamieni magnezowych, które działają na igielkę.

— Czy byłeś kiedy świadkiem podobnego zdarzenia, senior?

— Nigdy, i przyznaję, że to przypuszczenie jest dość niepodobne do prawdy. Oczekujemy cierpliwie wyjaśnienia tego zjawiska, przekonawszy się wprzód o jego trwałości.

Rozmowa na tym się; skończyła; ale Kolumb noc całą strawił bezsennie na rozmyślaniu. Wstawszy tak rano, że gwiazda polarna była jeszcze widzialna, zaczął ją porównywać z busolą i spostrzegł, iż zboczenie się nieco powiększyło.

Gdy Sancho zachował tajemnicę, a inni sternicy mniej byli baczni, przeto ta ważna okoliczność uszła powszechnej uwagi. Dzień i noc 14 września upłynęło bez przygód, a załoga tym była spokojniejszą, że przy słabym wietrze zaledwie kilka mil zrobiono w ciągu doby. Kolumb zapisywał ruch busoli z najsumienniejszą ścisłością, i wkrótce utwierdził się w przekonaniu, że ona coraz bardziej zbaczała ku zachodowi.

ROZDZIAŁ XVII

W sobotę, piętnastego września, to jest w dziesięć dni po odpłynięciu z Gomery, Kolumb z mniemanym swoim sekretarzem wieczorną godziną rozmawiał jak zwykle o wypadkach dziennych.

— „Nina” wczoraj o czymś ci doniosła, senior, rzekł Luis, lecz będąc wówczas zajęтым w kajucie, nie wiem dotąd o co chodziło.

— Majtkowie tego statku ujrzeni kilka ptaków nie oddalających się nigdy zbyt daleko od lądu. Być może, że jesteśmy w pobliżu jakiej wyspy; lecz niepodobna nam tracić czasu na szukanie archipelagów, gdy idzie o odkrycie stałego lądu.

— Czy zboczenie busoli nie ustaje, senior?

— Nie tylko, że nie ustaje, ale ciągle wzrasta; lękam się o wrażenie jakie sprawi to na majtkach, gdy się wreszcie dowiedzą o prawdzie.

Nagła jasność, rzucając jaskrawe światło na okręt i morze, przerwała mowę Kolumba. Ognista kula łukiem przebiegłszy strop nieba, na krańcach widnokregu zanurzyła się w morze. Był to meteor, ale tak duży, że rzadko można było taki zobaczyć, toteż zabobonni marynarze jedni złą, drudzy dobrą upatrywali w nim wróżbę.

- Na św. Yago! zawołał Luis, gdy jasność ustąpiła mrokowi wieczornemu; sama natura naszą podróż uważa za nadzwyczajną, gdy tak cudowne zsyła nam zjawiska!

- Tak to zawsze człowiek, odpowiedział Kolumb, skoro wykracza z granic życia powszedniego, w lada fraszce upatruje cudu. Podobne meteory zdarzają się dość często pod tym stopniem szerokości, nie mogą więc wróżyć ani zła, ani przeciw naszemu przedsięwzięciu.

Mimo starań admirała, aby załodze wytłumaczyć to zjawisko, przez całą noc o nim tylko

rozmawiano. Jednakże nie wywołało ono szemrania, bo zdania pod względem jego znaczenia były podzielone.

Okręty wciąż posuwały się na zachód, przy wietrze zmiennym wprawdzie, lecz tyle pomyślnym, iż można było w jednym płynąć kierunku. Kolumb w swoim przekonaniu żeglował prosto ku zachodowi, nie wiedział, że na skutek zmian magnetycznych, zboczył nieco na południe.

Przez następne dwa dni dwieście mil blisko odbyto, lecz admirał część drogi dziennej ukrywał przed załogą. Szesnastego września w niedzielę, nabożeństwo zgromadziło wszystkich na pokładzie. Niebo było pogodne, a gdy okręty zbliżyły się do siebie, tworząc jakby świątynię na bezgranicznej przestrzeni oceanu, majtkowie jednym głosem zanucili pieśń wieczorną. Po modlitwie wesołość i nadzieja wstąpiły w serca wszystkich.

Kolumb miał właśnie powrócić do kajuty, gdy straż masztowa dała znak, że spostrzegła coś niezwykłego; po chwili ujrzano gęste zarośla morskich krzewów, i głośny wybuch radości powitał tę pozorną zapowiedź bliskości lądu.

Rośliny pokrywające nieograniczony okiem obszar, rzeczywiście usprawiedliwiały nadzieję podróżników, bo większa ich część była jeszcze zielona, jak gdyby świeżo wyrwana z gruntu. Ujrzano także kilkanaście tuńczyków, z których jednego złowiono. Majtkowie ze łzami w oczach rzucili się sobie w objęcia; nawet nieprzyjaciele w tej uroczystej chwili podali sobie dłonie.

— Czy podzielasz ich nadzieję, senior? zapytał Luis. Miałyżby te rośliny zapowiadać, że jesteśmy niedaleko Indii?

— Majtkowie mylą się, jeśli przypuszczają, że dobiegamy kresu podróży; Indie muszą być jeszcze bardzo daleko. Zrobiliśmy około trzystu sześćdziesięciu mil od Ferro, a to podług mojej rachuby stanowi zaledwie trzecią część drogi. Arystoteles opowiada, że kilka okrętów z Kadyksu gwałtowna burza zapędziła na zachód, gdzie napotkali morze pokryte zielskiem i mnóstwo tuńczyków. O tej rybie, Luis, starożytni mniemali, że lepiej widzi na prawe oko niż na lewe; zauważono bowiem, iż przepływając przez Bosfor ku Morzu Czarnemu, trzymała się brzegu prawego, a wracając lewego.

- Na św. Franciszka! trzeba być ślepym na jedno oko, aby zabłądzić tak daleko od brzegu. Czy Arystoteles przypisuje tym stworzeniom skłonności tułackie?

- Filozof grecki mówi tylko o napotkaniu ich w miejscu pokrytym krzewami morskimi. Marynarze Kadyksu mniemali, że się znajdują w pobliżu zatopionej wyspy i z wielką biedą trafili przecież do domu. Był to zapewne ten sam obszar, który obecnie przebywamy. Ziemia co wydała te krzewy bez wątplenia jest niedaleko, ale jej szukać nie myślę. Celem moim, powtarzam, jest odkrycie Indii, a nie wysp rozpierchłych po drodze.

Wiadomo dziś, że jeśli Kolumb słusznie określał odległość stałego lądu, mylił się utrzymując jakby

w tych stronach znajdowały się wyspy. Nie rozstrzygnięto dotąd pytania czy prądy spławiają te zielska z oddalonych pobraży, czy siła wody wyrwa je z głębi morza; to ostatnie przypuszczenie bardziej jest prawdy podobne. Starożytni żeglarze Kadyksu bliżsi byli prawdy, bowiem rafa podwodna różni się od zatopionej wyspy jedynie tylko sposobem formacji.

Okręty, prując zaroście z szybkością kilku mil na godzinę, ciągle posuwały się naprzód i po upływie doby eskadra znajdowała się mniej więcej w połowie drogi, chociaż bliżej jeszcze Afryki nie Ameryki. Morze było spokojne, statki więc płynęły obok siebie. Marcin Alonzo Pinzon doniósł sternikowi admirałskiemu, iż pragnie zmierzyć równikowość słońca; postanowiono wykonać tę czynność jednocześnie na trzech okrętach i sprawdzić potem wyniki.

Było to w poniedziałek 17 września nad wieczorem. Kolumb i Luis spoczywali po nocy prawie bezsennie strawionej, gdy Sancho wszedł do kajuty.

— Senior admirał, rzekł, sternicy chcą zmierzyć równikowość słońca. Właśnie stosowna nadeszła pora, bo gwiazda dzienna już się chyli ku zachodowi.

Admirał obudził Luisa i po chwili obaj byli na pokładzie. Kolumb obawiając się o skutki mogące wyniknąć z odkrycia zbroczeń igielki magnesowej, nie wziął z sobą busoli, i zostawił doświadczenie zręczności swoich ludzi. W oddaleniu stu sążni tylko od statku „Pinta”, widział dokładnie jak Marcin Alonzo przechodził niespokojnie od jednej busoli do drugiej. W parę minut później spuszczone szalupę, i Pinzon przybył na okręt admirałski, podczas gdy z innej strony przedzierał się ku niemu Wincenty Yanez, dowódca „Niny”.

- Co znaczy ten pośpiech, senior Marcinie? rzucacie się ku mnie, jak gdybyście ujrzeli Indie.

- Bóg raczy wiedzieć, senior admirał, czy kiedykolwiek dosięgniemy tego kraju, ku jakiej bądź ziemi, do której poprowadzić może użycie busoli, odrzekł starszy Pinzon widocznie zmieszany. Porównaliśmy najsumienniejsze narzędzie, i wszystkie bez wyjątku zbaczają od prawej północy o całą przedziałkę kompasową.

- Musieliście popełnić błąd jakiś w rachubie.

- Bynajmniej, szlachetny admirał, wtrącił nadchodzący Wincenty Yanez, ale wszystko nas zawodzi; sternicy moi powiadają, że w nocy gwiazda polarna nie zgadza się z kierunkiem igły magnesowej.

- Może to być, seniorowie, lecz okoliczność ta nie zagraża żadnym niebezpieczeństwem. Wiemy, że wszystkie ciała niebieskie podlegają pewnym ruchom bądź stałym, bądź czasowym. Słońce na przykład, obiegając naszą ziemię w dwudziestu czterech godzinach, musi zapewne obracać się koło swej osi, chociaż tego nie dostrzegamy z powodu oddalenia: astronomowie bowiem widzieli na nim w różnych punktach pojawiające się plamy. I gwiazda polarna prawdopodobnie usunęła się chwilowo ze swego miejsca, ale wkrótce tam powróci, bez nadwężenia zwykłej zgodności z

busołą. Oznaczcie tylko dokładnie terazniejsze położenie gwiazdy, i zmierzcie je jutro, a przekonacie się o jednostajności jej ruchu. Dalecy od zniechęcenia się tym wypadkiem, cieszymy się raczej z odkrycia rzeczy, która w następstwach swoich nieocenioną korzyść przyniesie dla nauki.

Marynarze, w braku lepszych wyjaśnień, poprzestali na tłumaczeniu admirała, lecz długo jeszcze to dziwne zjawisko było przedmiotem ich rozmowy. Gdy ludzie nie posiadający dostatecznych wiadomości zaczynają rozumować, wtedy albo bardziej się trwożą, albo zupełnie uspokajają; sternicy i oficerowie flotylli ku ostatniemu się skłaniali. Inaczej rzecz się miała z majtkami; na wiadomość, że stracili jedyne przewodnika niebezpiecznej podróży, ogólne powstało narzekanie. Wtedy Sancho dowiódł, jak ważne przysługi świadczyć może prosty nawet człowiek. Załoga jednogłośnie prawie postanowiła żądać zwrócenia okrętów na północny wschód; ale zręczny majtek umiał złagodzić obawę kolegów, klnąc się na wszystkie świętości, że mało dwadzieścia razy był świadkiem podobnych wybryków busoli. Następnie wezwał najstarszych i najdoświadczeńszych, aby dokładnie obliczywszy zboczenie dzisiejszego wieczoru, przekonali się nazajutrz, czy ono w tym samym postąpiło kierunku.

Następnego dnia rano, załogi wszystkich trzech statków czekały z niecierpliwością wyniku ponownych spostrzeżeń. Gnana siłą wiatru i nurtem prądów ku stronie zachodniej, wyprawa sto kilkadziesiąt mil zrobiła w ciągu doby. Zwiększenie więc zboczenia było widoczne i przepowiednia Kolumba świetnie się sprawdziła. Nieświadomi łatwo zawsze wierzą w rzeczy jako tako podobne do prawdy; i tym razem ukoła się trwoga, i mniemano powszechnie, że tylko gwiazda polarna zrobiła poruszenie, igielka zaś pozostała w miejscu.

Trudno powiedzieć, czy Kolumb sam wierzył w podaną przez siebie teorię, czy też zmyślił w celu jedynie uspokojenia majtków. Chociaż wielki odkrywca, wyjaśnienia swoje uważał chwilowo za dostateczne, to miał jednak w tym względzie wątpliwości, które przed samym sobą innym tłumaczył sposobem, bo nadzwyczajny ten człowiek, jakby wieszczym duchem, przeczuwał prawdy wówczas jeszcze nieznaną.

Na pociechę ogólną ze świtem ujrzano morze pokryte jeszcze krzewami, co w przekonaniu wszystkich zapowiadało bliskość lądu. Wiatr dał w kierunku prądu morskiego, powierzchnia oceanu podobna była do zwierciadła spokojnego jeziora, i okręty płynęły obok siebie w odległości kilku tylko sążni.

— To zielsko, senior admirałe, zawołał starszy Pinzon, podobne jest do krzewów rosnących na porzeczach; sądzę, że się zbliżamy do ujścia wielkiego strumienia.

— Łatwo się o tym przekonać, odpowiedział Kolumb. Każę zaczerpnąć kubał wody, i zobaczymy jakiego jest smaku.

Właśnie Pepe wykonać miał zlecenie admirała, gdy baczne oko ostatniego między świeżym jeszcze zielskiem dostrzegło raka, którego jeszcze jeden z majtków siatką wyłowił z morza.

— Oto szacowna zdobycz, mój dobry Marcinie Alonzo, rzekł Kolumb pokazując raka; podwodny ten mieszkaniec nie zwykł oddalać się od brzegu na więcej jak mil osiemdziesiąt. A tam, czy widzisz jednego z owych ptaków zwrotnikowych, co nigdy nie nocują na morzu?

Na te słowa załoga wydała okrzyk radości, i ludzie ci, przed chwilą jeszcze rozpaczający, przerzucili się nagle w niepomiarowane uniesienie łudzącej choć bezzasadnej nadziei. Na wszystkich okrętach zaczerpnięto wody, i kilkadziesiąt ust razem, po jej skosztowaniu, zapewniło, że jest mniej słona. Przekonanie nawet złudne tak silnie działa na umysły, iż sam nawet Kolumb, tak spokojny zawsze i rozważny, porwany wirem ogólnego zapału, niemal pewny był ujrzania wielkiej wyspy w środku drogi między Europą i Azją.

- Rzeczywiście, przyjacielu Alonzo, ta woda zdaje się słodkawa.

- Mój język to samo mi powiada, senior admirałe. A widzę, że osada „Pinty” złowiła znów tuńczyka.

Każdej z tych pozornych przepowiedni radosne towarzyszyły wołania. Admirał też, ustępując zapałowi majtków, kazał rozpiąć wszystkie żagle i pozwolił okrętom prześcigać się według woli. Ta walka o pierwszeństwo w odkryciu spodziewanej wyspy wkrótce eskadrę rozdzieliła: „Pinta”, jako najszybciej żeglująca, wysunęła się przodem, zostawiając „Santa Marię” i „Ninę” w znacznym od siebie oddaleniu. Wszystko szczęściem tchnęło na pokładzie tych statków samotnie płynących wśród niezmierzonej przestrzeni oceanu, a przecież niebo bezustannie jeszcze przelewało się w morze i fale Atlantyku nieskończenie wkoło roztaczały kręgi.

ROZDZIAŁ XVIII

Za nadejściem nocy „Pinta” zwolniła swój bieg, aby się złączyć z innymi okrętami. Oczy wszystkich zwrócone były z tęsknotą ku stronie zachodniej, gdzie spodziewano się lądu, lecz noc zapadła bez ziszczenia oczekiwań podróżnych. Wiatr ciągle dął od południowego wschodu; zboczenie busoli jeszcze się nieco powiększyło, a odtąd nikt już nie wątpił, że sama tylko gwiazda polarna zmieniła położenie. Ale wyprawa, zamiast płynąć na zachód, skierowała się bardziej ku południowi; tej to okoliczności zawdzięczać należy, iż Kolumb nie wylądował na brzegach Georgii albo wysp karolińskich.

Noc przeszła bez żadnego wypadku, i dnia 17 w południe, czyli z końcem dnia żeglarskiego, okręty o kilkadziesiąt mil znów zbliżyły się ku celowi. Krzewy morskie znikły, a z nimi i tuńczyki, żywiące się płodami podwodnymi, które tu bliżej są powierzchni niż w innych częściach

Atlantyku. O południu wszystkie trzy statki, według przyjętego zwyczaju, udzielały sobie wzajemnych spostrzeżeń. Gdy „Pinta” zbliżyła się dostatecznie do okrętu admirałskiego, starszy Pinzon rzekł do Kolumba:

- Bóg zsyła nam inne jeszcze znaki zapowiadające bliskość ziemi, senior don Christoval. Widzieliśmy liczne stada ptaków, a w stronie zachodniej gęste chmury, podobne do tych jakie zwykle unoszą się nad lądem.

- Dobra to wróżba, don Marcinie Alonzo, ale powtarzam, że w tym miejscu napotkać możemy chyba małe wyspy rozsiane po oceanie. Do Azji mamy jeszcze kilka dni drogi.

- Jeżeli pozwolisz, szlachetny admirał, rozepnę wszystkie żagle i popłynę naprzód, a pewny jestem, że przed świtem ujrzę się u celu.

- Płyn w Imię Boże, dzielny żeglarzu, gdy takie twoje przekonanie, lecz ostrzegam cię, że nie dosięgniesz tak prędko lądu stałego. Wszelako każde nasze odkrycie przyniesie sławę Kastylji; pozwalam więc, tak tobie jak i wszystkim, choćby setkami wynajdować nieznane kraje.

Majtkowie głośno zaśmiali się na te słowa, bo ludzie szczęśliwi skłonni są zawsze do wesołości. „Pinta” puściła się w drogę i dopiero z zachodem słońca powróciła. Widnokrąg od północy wieńczyły gęste obłoki, a wyobrażenia ludzi podrażnionych nieznanym łatwo w ich fantastycznych kształtach, upatrywać mogła to skały urwiste, to głębokie wąwozy, to cyple lub wyzębienia brzegów.

Nazajutrz rano zaczął padać gęsty deszcz. Okręty zbliżyły się do siebie i szalupy krążyły już w tę, lub w ową stronę.

— Przeszedłem, senior admirał, rzekł starszy Pinzon, wysiadając na pokład „Santa Maria”, prosić o pozwolenie zwrócenia się na północ, dla odszukania położonych w tej stronie krajów, aby to wielkie przedsięwzięcie ukończyć w sposób godny dostojnych władców naszych, a także wykazać prawdę twych pomysłów.

— Życzenie twoje godne jest pochwały, mój dobry Marcinie Alonzo, ale nie mogę na to pozwolić. Nie wątpię, że płynąc w kierunku przez ciebie wskazanym moglibyśmy ważne poczynić odkrycia, lecz zawsze byłoby to zboczenie od celu. Indie leżą na zachód, a moim zamiarem nie było i nie jest znalezienie gromad podobnych do wysp Kanaryjskich i Azorskich. Postanowiłem godło chrześcijaństwa ponieść w krainę niewiernych, i nie odstąpię tej myśli chyba z życiem.

— Senior de Munoz, ty który posiadasz zaufanie jego ekscelencji, czy nie mógłbyś poprzeć naszej prośby?

— Prawdę mówiąc, szlachetny Marcinie Alonzo, odpowiedział Luis z niedbałością raczej granda Hiszpanii, mówiącego z żeglarzem, aniżeli z uszanowaniem należnym drugiemu po Kolumbie naczelnikowi wyprawy, prawdę mówiąc, tak gorąco pragnę nawrócenia wielkiego chana, że nie

chciałbym zwrócić się ani w prawo, ani w lewo. Przekonałem się nieraz, że diabeł tych tylko kusi, co chodzą omackiem po bezdrożach.

- Więc żadnej nam nie zostawisz nadziei, senior admirale, i zrzec się mamy tylu świętych przewidywań, nie przedsięwziąwszy nawet sprawdzenia takowych?

- Nie ma na to rady, odrzekł admirał. Spójrzcie w kierunku „Pinty” szybuje jakiś ptak, jakby spocząć chciał na jej maszcie.

Wszyscy obecni obejrżeli się i spostrzegli pelikana, który rozpiąwszy potężne skrzydła na dziesięć stóp szerokości, o kilka sążni nad wodą sunął w kierunku „Pinty”, lecz nagle, jak gdyby gardząc podręcznym schronieniem, w niespodziewanym obrocie zwrócił się nagle ku okrętowi admirałskiemu i usiadł na jego wielkim maszcie.

- Jeżeli ptak ten nie zapowiada nam bliskości lądu, rzekł uroczyście Kolumb, to zawsze obecność jego dobrą dla nas jest wróżbą. To znak widomy od Boga, by wytrwać w zamierzonym dziele; bo nigdy, Marcinie Alonzo, nie widziałem pelikana w odległości więcej niż dwudziestu czterech godzin od brzegu.

- I ja tak sądzę, i mniemam, że to pomyślna przepowiednia. Lecz może też Opatrzność skłonić nas chce do przeszukania tych stron oceanu?

— Rozumiem przeciwnie — ona każe nam postępować ku wytkniętemu celowi. Wracając z Indii będziemy mogli spokojnie zwiedzić tę część Atlantyku; teraz za wcześnie o tym myśleć, gdyż kilkaset mil jeszcze mamy przed sobą. Radbym zgromadzić sterników, dla oznaczenia na mapie, w którym jesteśmy punkcie.

Wszyscy sternicy zebrali się na pokładzie „Santa Maria” i każdy z nich igielką na morskiej mapie, wykonanej przez samego admirała, wskazywał położenie okrętów. Wincenty Yanez umieścił igielkę w oddaleniu czterystu czterdziestu mil od Gomery; Marcin Alonzo położył ją nieco bliżej na wschód. Gdy przyszła kolej na Kolumba, zatknął on swoją na dwadzieścia mil jeszcze za znakiem Alonza, utrzymując, że towarzysze jego musieli się pomylić, i każdy powrócił do siebie.

Zdaje się, że Kolumb przypuszczał rzeczywiście w tym miejscu bytność wielkiego archipelagu, a biograf, Las Casas, popiera prawdziwość tego zdania, lecz jeśli tam kiedykolwiek istniały wyspy, to zniknąć by musiały od dawna, co przecież nie bardzo podobne jest do prawdy. Że mnóstwo ziół morskich napotymano w tych stronach nie ulega wątpliwości, lecz krzewy te naniesione być mogły przez prądy. Co zaś do ptaków, łatwo wytłumaczyć sobie ich obecność przez obfite pożywienie jakiego im właśnie dostarczały ziola i ryby oceanu; a wiadomo, iż ptaki morskie odpoczywać mogą na wodzie.

Mimo tylu znaków pomyślnych, majtkowie wkrótce przeszli z nadziei do obawy. Sancho, zostając ciągle w tajemnych z admirałem stosunkach, doniósł mu o tym usposobieniu załogi wieczorem

dnia 20 września, a więc w dni jedenaście od chwili jak wyspa Ferro zniknęła z widnokregu.

- Lękają się ciszy, senior, rzekł Sancho; utrzymują, że pod tym stopniem szerokości nie ma wcale wiatru.

- Sancho, pociesz tych biedaków uwagą, że cisze chwilowe panują na wszystkich morzach. Spodziewam się, iż nie podzielasz tych niedorzecznych przypuszczeń?

- Trzymam się jak mogę, senior admirale. Ale wyznaję, że najdzielniej pokrzepia mnie myśl o bogactwach Indii; gdy o nich marzę, uczuwam rodzaj zachwyty religijnej i zapominam o Moguer.

- Nienasycony jesteś w swych żądaniach, przebiegły filucie. Oto masz dublona; patrząc na niego możesz sobie wyobrazić bogactwa wielkiego chana; bo trzeba ci wiedzieć, że ten monarcha nie tylko ogromne posiada skarby, a nawet lubi je rozdzielać przy sposobności.

Sancho, przyjąwszy podarunek, zostawił Kolumba sam na sam z Luisem.

- Wahaniu się tych tchórzów, zawołał niecierpliwy młodzieniec, można by łatwo zapobiec płazem, a potrzebie nawet ostrzem.

— Surowe środki, mój młody przyjacielu, w ważnych tylko przystoją okolicznościach. Poświęciwszy tyle lat tej wielkiej sprawie, nie jestem skłonny ustąpić przed lada szemraniem. Ale Bóg nie obdarzył wszystkich jednakową zdolnością: przekonałem się o tym przy rozprawach z uczonymi z Salamanki; jakżebym więc dziwić się miał sarkaniom tych prostaków, rzuconych w nieznane szlaki, gdzie wzrok wyższego tylko pojęcia upatrzeć zdoła drogę?

— Prawdę mówisz, admirale, a jednak lękliwi nie mają słuszności. Bo jakież, na św. Piotra, zagraża nam niebezpieczeństwo? Jesteśmy w oddaleniu o kilkaset mil od lądu, ale tak nam tu dobrze jak wszędzie. Widziałem nieraz w jednej rozprawie z Maurami dwa razy więcej poległych, niżeli flotylla nasza ma ludzi, a krew w niej rozlana mogłaby spławić ten okręt.

— Niebezpieczeństwa jakich się lęka załoga nie tyle są głośne, lecz niemniej przerażające jak w walkach przeciw Maurom. Gdzież znajdziesz źródło co zwilżyłoby spieczone ich usta? Gdzież owoc co odżywiłby zgłodniałych, gdy nasze zapasy będą wyczerpane? Okropna to rzecz umierać z pragnienia i głodu wśród morza, bez pociechy religijnej. Otóż to właśnie niepokoju wyobraźnię majtków.

— Mnie się zdaje, senior, że o tym czas będzie pomyśleć, gdy napoczniemy ostatnią beczkę wody i ostatnią baryłkę sucharów; tymczasem zaś radbym prosić waszą ekscelencję o pozwolenie wszczęcia tym mózgowcom rozumu sposobem jaki uznałem za właściwy.

Kolumb nadto dobrze znał charakter młodziana, aby te jego słowa przyjąć za prawdę. Obaj, oparci o maszt dziobowy, stali przez chwilę pogrążeni w dumaniu. Noc zapadła i trudno już było rozróżnić twarze majtków, tworzących na pokładzie małe grupy gwarne i niespokojne. „Nina” i „Pinta” w czarnych zarysach odrzynały się na sklepieniu nieba, jaśniejącym milionami gwiazd;

żagle w malowniczych fałdach kołysały się wśród masztów. Był to obraz łagodny i czarujący, lecz samotność nocy, głęboka cisza morza przerywana niekiedy tylko trzeszczeniem rej, nadawała mu barwę dziwnej jakiejś rzewności.

- Czy nie słyszysz Luis, trzepotania pomiędzy linami? zapytał admirał. Zdaje mi się, że to szelest sprawiony przez małe ptaszki.

- Tak jest, admirale; widzę na masztach ptaszyny wielkości naszych wróbli.

- Posłuchaj ich śpiewu, wtrącił admirał; jakże on słodki pieści ucho! Jak wielką jest dobroć Stwórcy, co wszechświat cały zapełnia harmonią tonów! Ziemia nie może być odległa, kiedy tak wątle istoty towarzyszą naszej podróży.

Wkrótce majtkowie spostrzegli obecność tej rzeszy napowietrznej, i śpiew jej silniejszy na umysłach uczynił wrażenie, aniżeli najuczcieńsze dowodzenia matematyczne.

— Mówię wam, że jesteśmy blisko lądu, zawołał Sancho, to dowód niezbity. Wesole te świergotania brzmią tak radośnie, jak gdyby małe koncertanty dziobały winogrona lub figi kastylijskie.

— Sancho ma słuszność, odezwało się kilka głosów. Powietrze nawet niesie nam woń lądową. Bóg nas prowadzi, niech będzie pochwalone Jego imię.

W tej chwili wszyscy z trwogi porzucili się w nadzieję. Mniemano powszechnie, i sam nawet admirał zdanie to podzielał, że przybycie tak drobnych ptasząt dowodziło sąsiedztwa ziemi żyznej, przybranej we wszystkie powaby przyrody; ta zgraja bowiem skrzydlata lubi upatrywać sobie mieszkanie zgodnie z własnymi nawykami.

Późniejsze spostrzeżenia dowiodły, że Kolumb zostawał w błędzie. Mylimy się częstokroć sądząc o sile zwierząt według ich wielkości. Rzeczywiście z dwóch ptaków niewodnych, co śmiało mierzą przestrzeń oceanu, mniejszy właśnie zwykł puszczać się dalej, bo jemu lada zielsko służyć może za miejsce odpoczynku. Ptaki czysto lądowe nie wylatują wprawdzie na morze, lecz niekiedy burza unosi je.

Jakakolwiek była przyczyna zjawienia się tych drobnych śpiewaków na okręcie „Santa Maria”, to uspokoiła ona umysły majtków. Wszyscy słuchali świergotania ptaszków, z natężoną uwagą i w większej niezawodnie cichości, jak nasi miłośnicy popisu doskonale wyćwiczonej orkiestry.

Z brzaskiem jutrzeńki śpiewy ponowiły, i wkrótce całe stado uleciało w kierunku południowo-zachodnim. Wiatr zwolnił i morze zasłane znów krzewami podobne było do niezmiernej łąki. Dwudziestego drugiego września i rano zupełna nastąpiła cisza, a razem z nią ponowiły się szemrania.

- Płyniemy w strony nieznane, mówili niechętni, i oto przybyliśmy na miejsce gdzie nie ma już wiatru, gdzie ugrzęźniemy w zaroślach lub piasku, i pomrzemy z głodu.

Obawa ta naturalną była w czasie kiedy najświętsi nawet mężowie przedzierali się ku nauce przez grubą pomrokę przesądów, kiedy wiara w potęgę złych duchów była jeszcze powszechną.

Nazajutrz lekki wiatr zawiął od południowego zachodu, przy jego pomocy eskadra przebyła zarośla, i pragnąc nadal uniknąć tej przeszkody, zwróciła się nieco na północ. Kolumb mniemał wtedy, że mija się z prostą drogą, gdy tymczasem na skutek zboczenia igielki magnesowej, ten właśnie obrót we właściwym prowadził go kierunku. Okoliczność ta zdaje się dowodzić, iż sam odkrywca wierzył w ruch gwiazdy polarnej; inaczej bowiem trudno sobie wytłumaczyć, dlaczego przy pomyślnym wietrze przez kilka dni płynął ukośnie ku południowi. Usposobienie majtków w tej podróży nieustannie podlegało zmianom. Zaledwo okręty na czyste wypłynęły morze, już wszyscy nową krzepili się nadzieją, i choć wiatr dął w kierunku Wysp Kanaryjskich, nikt wtedy nie myślał o powrocie. Ale wieczorem wyprawa napotkała znów przestrzeń pokrytą krzewami; ujrano raki pełzające po zielsku i kilka ptaków, a między nimi turkawkę.

Admirał znajdował się na pokładzie, gdy przystąpił do niego jeden z niezadowolonych majtków, imieniem Marcin Marinez.

— Senior, rzekł, nie wiemy co sądzić o tym wszystkim. Przez kilka dni wiatr z jednej wiał strony; teraz zupełnie ustaje, a morze wygląda jak pole, na którym tylko patrzeć rychło zjawia się krowy i cieleta. To rzecz straszliwa, jakiej żaden z nas nigdy nie widział!

— Te krzewy, odpowiedział Kolumb, są zielskiem ruchomym oceanu i dowodzą tylko żyzności ziemi co je wydała. Wiatr południowo-zachodni zwykle w tej szerokości panuje, jak wiedzą wszyscy co płynęli do Gwinei. Nie upatruję w tym nic trwożącego i przekonany jestem, że roztropny nasz Pepe nie podziela twej obawy.

— Senior admirale, odezwał się zagadniony, poprzysiągłem ci wierność i święcie jej dotrzymam, ale ta cisza, zaledwo słabym przerwana tchnieniem, wszystkich nas niepokoi. Powierzchnia oceanu jest jakby obumarłą; może też Bóg otoczył pewne kraje pasmem martwej wody, kładąc tym granicę ludzkiej ciekawości.

- Rozumowanie twoje jest mylne, bo właśnie Istota Najwyższa kazała człowiekowi nad całą panować ziemią, i roznieść wszędzie światło Ewangelii; granice zaś, o których mówisz w wyobraźni tylko twojej istnieją.

- Dziwię się w istocie, wtrącił Sancho, zawsze gotów popierać admirała, że majtek tak doświadczony jak Marcin wspomina o wietrze periodycznym i o zielsku, jako o rzeczach nieznanach. Dla mnie te zjawiska są bardzo powszednie. Płynąc do Irlandii widziałem nieraz morze pokryte krzewami, a wiatr na jej brzegach wieje regularnie przez cztery tygodnie z jednej strony, przez drugie zaś cztery z przeciwnej.

- Czy nie słyszałeś nigdy o ławicach tak długich, że ominąć ich niepodobna? zapytał Marcin. To

zielsko zapowiada nam bliskość podobnej zawady.

- Dostyc tej gawędy, rzekł admirał nakazująco; płyniemy wśród zielska albo po czystej wodzie, stosownie do kierunku prądów.

- Ale ta cisza, senior admirał, zawołało kilka głosów. Nikt z nas nie widział wody tak nieruchomej.

— Nieruchomej! powtórzył Kolumb, otóż sama natura daje wam odpowiedź!

W chwili, kiedy admirał domawiał tych wyrazów, potężna fala podważyła okręt „Santa Maria”; wszystkie maszty skrzypnęły, wszystkie liny zatrzeszczały, i bałwany bić zaczęły do wysokości pokładu. Majtkowie, przerażeni, ze zdziwieniem obejrzeni się wkoło, w powietrzu bowiem najzupełniej panowała cisza. Niedługo całe morze było w ruchu i wszystkie trzy statki stały się igraszką zapienionych fali. Kolumb postanowił zaraz obrócić to zdarzenie na swą korzyść.

— Widzicie, rzekł do załogi, że wszechmoc Boga zwalcza waszą obawę. Mógłbym nadużyć niewiadomości waszej i nagle to wzburzenie oceanu wystawić jako cud na poparcie mych zamiarów zesłany, lecz święta sprawa, której służę z poświęceniem, nie potrzebuje uciekać się do podstępu. To wzdęcie niespodziewane jest skutkiem oddalonej burzy i ruchu wody w tym właśnie punkcie gasnącego. Jednak to zjawisko, chociaż zgodne z porządkiem natury, powinno was przekonać, że Opatrzność czuwać nad nami nie przestaje. Bądźcie więc spokojni, i pamiętajcie o tym, iż dalej nam teraz do kraju ojczystego, jak do Indii. Godzina każda zbliża nas do celu, a ten co wytrwa do końca hojną odbierze nagrodę, podczas gdy opieszających zasłużona nie ominie kara.

Przytoczyliśmy tę przemowę Kolumba jako dowód, że wielki odkrywca nie wierzył w cudowność wspomnianego zdarzenia, chociaż wielu współczesnych i późniejszych pisarzy przedstawia je jako bezpośrednie zesłanie Opatrzności. Trudno też przypuścić, aby tak doświadczony żeglarz nie znał tak pospolitego zjawiska w stronach szczególnie przybrzeżnych.

ROZDZIAŁ XIX

W następnej dobie okręty weszły znów w obręb działania wiatrów okresowych, i płynęły w kierunku wskazanym przez busolę, szybkością około pięćdziesięciu mil dziennie.

Dnia 25 rano nastąpiła cisza, i statki leniwym biegiem posuwały się obok siebie. Załoga „Pinty” z admirałską rozmawiała o obecnym położeniu i o widokach przyszłości. Kolumb z uwagą słuchał pogadanki, i wreszcie upatrzył sobie chwilę wtrącenia do niej uwag, zbawiennie zawsze działających na umysły majtków.

— Co sądzisz, Marcynie Alonzo, zawołał głośno, ó mapie, którą ci wczoraj przesałem? Czy nie powziąłeś z niej nadziei, że szczęśliwie dokonamy dzieła?

Zaledwie admirał przemówił, wszyscy z uszanowaniem zamilkli; pomimo bowiem niezadowolenia części załogi, osoba jego była przedmiotem największego poważania.

— Piękne to dzieło, senior, odpowiedział dowódca „Pinty”, i wielkie daje wyobrażenie o zdolnościach wykonawcy.

- Jest nim niejaki Paweł Toscanelli z Florencji, człowiek głębokiej nauki i niezmordowanej wytrwałości. Pisma jego zawierają szczegółowe objaśnienia na temat wysp tak dokładnie wyrysowanych na mapie. Mówi on między innymi o porcie Zaiton, z którego wypływa rocznie sto okrętów naładowanych pieprzem, i opowiada, że papież Eugeniusz IV przyjmował ambasadora wielkiego chana. Posłannik ten objawił życzenie swego władcy, by wejść w przyjazne stosunki z chrześcijanami zachodu, jak nas wtedy mianowali przybysze; ale wkrótce nazywać nas tam będą mieszkańcami wschodu.

- Cudowne mówisz nam rzeczy, senior, rzekł Alonzo; pytanie tylko czy one zasługują na wiarę.

- Prawdziwość ich najmniejszej nie podlega wątpliwości, bo Toscanelli częste miewał stosunki z posłem wielkiego chana, a Eugeniusz IV umarł dopiero w 1477 r. Od niego to florencki uczony dowiedział się o bogactwie Indii, a szczególnie zachwalał mu przepych stolicy Quisay i wspaniałość rzeki z marmurowymi mostami, wzdłuż brzegów której dwieście miast osiadło. Mapa Pawła Toscanelli przekonuje, iż odległość między Lizboną a Quisay wynosi trzy tysiące dziewięćset mil włoskich, czyli tysiąc naszych, w kierunku zachodnim .

— Co mówi uczony Toskańczyk o bogactwach tego kraju? zapytał Alonzo, i wszyscy bacznie nadstawili ucha.

— Wspomina o niezmiernej obfitości złota, srebra i kosztownych kamieni, i dodaje, że miasto Quisay ma trzydzieści mil obwodu.

— Widzę na mapie dwie wyspy, ciągnął dalej starszy Pinzon, z których jedna nosi imię Antilla, a druga Cipango.

— Tak jest, mój dobry Marcinie Alonzo, i wzajemne ich położenie najściślej jest oznaczone; odległość między nimi wynosi dwieście dwadzieścia pięć mil morskich.

— Podług mojego obliczenia powinniśmy być niedaleko Cipango.

— Tak się zdaje, ale żeśmy zbaczali kilkakrotnie, trudno więc powiedzieć o ile rachunek zgadza się z rzeczywistością. Pozwól mi mapę, abym na niej oznaczył obecne nasze położenie.

Pinzon zwinął starannie pracę Pawła Toscanelli, obwiązał ją żeglarskim płótnem i rzucił na pokład „Santa Marii”; po czym „Pinta”, przypuszczając żagli wysunęła się naprzód.

Kolumb rozwinął mapę na stole, ustawionym w tylnej części okrętu, i kazał zbliżyć się majtkom, chcąc żeby wszyscy wiedzieli w którym punkcie, zdaniem admirała, eskadra się znajduje.

Wymierzywszy codzienną drogę, z potraceniem obciętej przez siebie części, admirał wytknął na

mapie miejsce nieopodal już wysp, jakich się spodziewano od zachodniej strony stałego lądu Azji. Człowiek łatwiej zawsze poddaje się wrażeniom zmysłowym, aniżeli wpływowi rozumowania; majtkowie też, widząc na mapie Cipango oznaczone kolorem i nie wątpiąc o sumienności Kolumba w utrzymywaniu okrętowych zapisków, najzupełniej byli przekonani, że wszystko co im mówiono jest prawdą. i znów ci ludzie przeszli ze zwątpienia do przesadnych nadziei, które raz jeszcze miały być zniweczone.

Statek „Pinta” wyprzedził dwa inne na jakie sto sążni i podczas gdy majtkowie okrętu admirałskiego radośnie z sobą rozmawiali, rozległ się nagle głos Pinzona:

- Łąd! łąd! zawołał, machając kapeluszem.

- W której stronie? rzekł Kolumb z żywością.

- W stronie południowo-zachodniej, odpowiedział dowódca „Pinty”.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się ku wskazanemu miejscu, i rzeczywiście ujrzano na krańcu widnokregu jakąś masę czarniawą, w niewyraźnych zarysach, mocniej jednak oznaczoną niż zwykle bywają chmury. Kolumb na tyle biegły w ocenianiu zjawisk na morzu, że oczy majtków wlepiły się w jego twarz pragnąc stanowczo wyczytać z niej wyrok. W rysach wielkiego odkrywcy najczystsza malowała się radość: odkrył głowę i wznosząc ręce ku niebu padł na kolana. Było to hasłem dla całej załogi, która przyklękawszy pobożnie z uczuciem niewypowiedzianej wdzięczności zaśpiewała szczytny hymn: Gloria in excelsis Deo! Po raz pierwszy od stworzenia świata zabrzmiało pienie pochwalne w tej samej samotni niezmierzonego oceanu, gdzie dotąd szum tylko fali cześć Stwórcy głosił przyrodzie.

— Chwała Bogu na wysokościach! zagrzmiało razem kilkadziesiąt głosów; pokój ziemi ludziom dobrej woli! wielbimy cię Boże i czcimy ku chwale Twojego imienia! Królu niebieski, Ojczy nasz wszechmogący!

Po spełnieniu tego aktu religijnej wdzięczności, majtkowie piąć się zaczęli na drabinki linowe, dla rozpoznania domniemanej ziemi, i utwierdzeni w swych nadziejach, niepomiarkowanej oddali się radości. Gdy noc zapadła Kolumb, dogadzając życzeniu ogólnemu, kazał sternikowi zwrócić się nieco na południe. Wiatr był pomyślny, a że admirał odległość owego lądu obliczył na mil dwadzieścia i kilka, wszyscy więc spodziewali się ujrzeć go ze świtem. Sam Kolumb podzielał tę nadzieję, choć niechętnie odmienił kierunek swego biegu.

Tej nocy mało kto oddał się spoczynkowi. Marzenia o bogactwach i cudach krainy wschodu zaprzętały wyobraźnię podróżników, sen nawet chwilowy w rajskie zmieniając widzenie. Majtkowie raz po raz opuszczali swe łoża, i włącząc na drabinki, usiłowali przeniknąć ciemność nocy. Przed wschodem jeszcze słońca kto żyw wybiegł na pokład, w nadziei ujżenia w świetle jutrzienki cudownej panoramy odkrytego kraju.

- Już się rozjaśnia na wschodzie, rzekł Luis, i teraz, admirale, nazwać cię możemy chlubą ludzkości!

- Wszystko jest w ręku Boga, mój młody przyjacielu, odpowiedział Kolumb; jednakże, czy bliscy jesteśmy ziemi, czy od niej daleko, zawsze to rzecz niezawodna, iż ona stanowi zachodni brzeg oceanu, i że prędzej lub później tam przybędziemy.

- Słońce powinno by dziś wyjątkowo wzejść na zachodzie, abyśmy w całej świetności zobaczyli tę naszą nową posiadłość.

- Powoli, mości Pedro! Słońce od początku świata odbywa obieg swój wkoło ziemi od zachodu ku wschodowi, i tak podobno zostanie na wieki. Jest to prawda niezbita, względem której zmysły ludzi nas nie mogą, chociaż w wielu razach świadectwo ich może być mylne.

Tak mówi Kolumb, nieskończenie wyższy rozumem i nauką od większej części współczesnych, bo sam, jak wszyscy, ulegał sile wyobraźni, słynny system Ptolomeusza, dziwaczna płatanina prawdy i błędów, stanowiły wówczas wyrocznie astronomów. Kopernik był jeszcze młodzieńcem, i dopiero w lat kilkadziesiąt po odkryciu Ameryki niewyraźny domysł Pitagorasa potęgą geniuszu swego wyniósł na stanowisko naukowe. Klątwa, którą Kopernik został dotknięty za objawienie prawdy, i złorzeczenia miotane przeciw niemu, nowym są dowodem, jak niebezpiecznie było w tym czasie wstrząsać zastarzałymi przesądami.

Gdy pierwszy promień wschodzącej jutrzeńki ozłocił powierzchnię morza, spojrzenia wszystkich, usilnie, lecz na próżno, spodziewanego szukały łądu. Truchlano na myśl, że to nowy był zawód, a jednak przekonano się wkrótce, iż jakieś zjawisko powietrzne stać się musiało przyczyną ogólnego złudzenia.

Przez kilka dni następnych w położeniu wyprawy żadna nie zaszła zmiana. Dwudziestego dziewiątego września ujrano morskiego ptaka, z rodzaju kormoranów, czyli fregat; a że, według zdania żeglarzy, mieszkaniec ten napowietrzny nigdy się bardzo od ziemi nie oddala, nową przeto, acz słabą, powzięto otuchę. Napotkano także dwa pelikany, a powietrze tak było wonne i łagodne, jak pod szczęśliwym niebem Andaluzji.

Pierwszego października sternicy okrętu admirałskiego postanowili obliczyć odległość jaką dotąd przebyto. I oni także, podobnie jak reszta załogi, nie wiedzieli o wybiegu Kolumba. Ukończywszy rachunek, zbliżyli się smutnie do admirała, stojącego na tylnym pokładzie.

- Znajdujemy się na pięćset siedemdziesiąt osiem mil od Ferro, w kierunku zachodnim, senior admirale, rzekł starszy pomiędzy nimi; straszliwa to odległość, zwłaszcza gdy się płynie po morzu zupełnie nieznanym!

- Prawdę mówisz, poczciwy Bartłomeju, odpowiedział spokojnie Kolumb, ale tym większa będzie nasza sława. Obliczenie moje przewyższa nawet wasze, bo daje mil pięćset osiemdziesiąt cztery.

Wszelako nie większa to odległość, jak z Lizbony do brzegów Gwinei, a przecież wyścignąć się nie damy marynarzom Jana II.

- Ach! senior admirale. Portugalczycy trzymają się niedaleko brzegu, podczas gdy my rzuceni jesteśmy w przestrzeń bezgraniczną.

- Wstydź się, Bartłomieju! gadasz jak rybak, co nigdy się nie wychylił za swą rzekę. Wyjaw załodze wynik naszego obliczenia, ale z twarzą wesołą, nie okazując żadnego pomieszenia, bo cię wyśmieją, gdy niezadługo w indyjskich gajach rozkosznie używać będą chłodu.

- Ten człowiek widocznie się boi, mruknął Luis, gdy sternik się oddalił. Nawet ów mały przybytek mil sześciu powiększył brzemień tłoczące jego umysł. Pięćset siedemdziesiąt osiem mil, to w jego oczach straszna była odległość; a liczba pięćset osiemdziesiąt cztery zupełnie go zgnębiła.

— A cóżby dopiero powiedział, gdybym nie taił się z prawdą, której i ty, młodzieńcze, pewno się nie domyślasz?

— Spodziewam się, że nie kryjesz jej przede mną z obawy, abym nie stchórzył.

— Daleki jestem od tej myśli, mój młody przyjacielu, ale tam, gdzie tak święta sprawa na jednym wisi włosku, człowiek nieomal sam sobie nie dowierza. Czy masz dokładne wyobrażenie o drodze jakąśmy przebyli.

— Skądże, mój admirale, dosyć że jesteśmy daleko od Mercedes, a kilkadziesiąt mil mniej lub więcej nic w tym nie stanowi. Jeżeli teoria o kulistości ziemi jest prawdziwą, mogę przynajmniej cieszyć się nadzieją, iż goniąc za słońcem z przeciwnej strony powrócimy do Hiszpanii.

— Jednakże, wiedząc o codziennych umniejszeniach moich, powinieneś w przybliżeniu ocenić odległość naszą od Ferro.

- Prawdę mówiąc, senior, niewiele mnie zawsze arytmetyka obchodziła. Choćby mi przyszło uratować tym życie, nie umiałbym oznaczyć wysokości swoich dochodów, choć prostym bardzo sposobem powoduję pustki w kieszeni. Może prawdziwa odległość wynosi jakie sześćset dziesięć albo sześćset dwadzieścia mil, zamiast pięciuset osiemdziesięciu czterech, które podałeś.

- Dodaj sto jeszcze, a będziesz niedaleko prawdy. Znajdujemy się w tej chwili na siedemset siedem mil od Ferro, i wchodzimy w południk wyspy Cipango. Przed końcem przyszłego tygodnia, albo najdalej za dni dziesięć, spodziewam się dosięgnąć stałego lądu Azji.

- To więcej jakem przypuszczał, odpowiedział Luis obojętnie, ale naprzód, w imię Boże! jest taki na tym okręcie, co nie będzie narzekał, choćby przyszło okrążyć całą ziemię.

ROZDZIAŁ XX

Dwadzieścia pięć dni upłynęło od czasu jak nasi podróżnicy stracili z oczu ziemię, a oprócz

przytoczonych zbrodni i kilku dni ciszy, wyprawa w tym czasie posuwała się ciągle na zachód podług busoli, w istocie zaś na południowy zachód. Nadzieja majtków posunięta nieraz do obłędu, tylokrotnie została zawiedziona, że w końcu ponury smutek opanował wszystkie umysły. Chwilami tylko niepewny okrzyk: „ziemia!” na widok obłoków, przerywał ten stan bezwładnego osłupienia. Jedynie spokojność morza, czystość nieba i woń rozlana w powietrzu wstrzymać mogły wybuchy ogólnej rozpacz. Sancho, nieustanny rozprawiacz, zwalczał obawę towarzyszy przez kłamstwa naprędce ułożone; podobnie wesołość i niezachwiana wiara Luisa zbawiennie na nich działała. Kolumb zawsze był spokojny, pełen zaufania w prawdziwość swej teorii i silnej woli wykonania swego planu.

Od drugiego do piątego października żegluga była szybka i pomyślna, lecz żaden wypadek nie urozmaicił podróży. Dzień następny również przeszedł spokojnie; Opatrzność rączym biegiem zdawała się posuwać okręty ku celowi. Wieczorem „Pinta” zbliżyła się o tyle, że dowódca jej mógł rozmawiać z admirałem bez użycia trąbki.

- Czy don Christoval jest na pokładzie? zapytał Pinzon, bo poznać go nie mogę w ciemności.

- Czego żądasz, kochany Marcinie Alonzo? odrzekł admirał.

- Chciałbym dla wielu przyczyn obrócić się na południe. Wszystkie nowoczesne odkrycia w tej właśnie poczyniono stronie, a mam niepłoną nadzieję, że i mnie się powiedzie.

- Czyż poprzednio zyskaliśmy co na tym, obierając kierunek południowy? Myśl twoja, czcigodny przyjacielu, często cię unosi w krainę urojenia. Być może, iż w prawo lub w lewo znajdują się tu wyspy, ale ląd stały leży na zachodzie. Trudno porzucić rzeczy pewne dla niepewnych, Indie dla jakiejś wysepki, rozkosznej może, lecz mało znaczącej w porównaniu z wielkim celem do którego zmierzamy.

- Jednakże, senior, proszę o pozwolenie skierowania się nieco na południe.

- Trzymaj się prostej drogi, Alonzo, i nie zapominaj o swym przyrzeczeniu. Ponieś rozkazy moje dowódcy „Niny”, a gdyby przypadek rozdzielił nas w nocy, płyn ciągle ku zachodowi, i staraj się ze mną połączyć, bo smutno byłoby błdzić samemu po nieznanym oceanie. Pinzon, chociaż z widoczną niechęcią, poddał się woli admirała i płynął ku „Ninie”, aby bratu udzielić otrzymane rozkazy.

— Marcin Alonzo zaczyna się wahać, rzekł Kolumb, zostawszy z Luisem. Śmiały zaiste i zręczny marynarz, ale mu brak wytrwałości, trzeba więc, aby silna ręka trzymała w karchach jego słabość.

Po północy wiatr się powiększył i eskadra przez dwie godziny z nadzwyczajną płynęła szybkością. Majtkowie nie rozbierali się, a Kolumb z Luisem przepędzili noc na pokładzie, mając za łoża stary żagiel. Z brzaskiem jutrzeńki wszyscy byli w ruchu, bo rząd obiecał 10 000 marawedów rocznej pensji temu, kto pierwszy spostrzeże ziemię, i każdy pragnął zasłużyć na tę nagrodę.

W miarę jak światło rozlewało się po zachodniej części widnokregu, wszystkie trzy okręty zaczęły walczyć z sobą o pierwszeństwo. W tych zapasach równoważyły się mniej więcej korzyści i niekorzyści szermierzy: „Nina” płynęła najszybciej przy spokojnym morzu, lecz za to małych była rozmiarów; „Pinta” miała wyższość przy wietrze nieco silnym; nareszcie „Santa Maria”, choć ciężka w ruchach, posiadała najwyższe masztowanie, z którego patrzący rozleglejszą objąć mogli przestrzeń.

— Dziś wszyscy dobrej są myśli, senior don Christoval, rzekł Luis zbliżając się do admirała, i każdy radby co prędzej ujrzeć ziemię obiecaną.

- Pepe, przywiązany małżonek Moniki, zawieszony jest na najwyższym maszcie i zwraca oczy na zachód, chcąc gwałtem pozyskać nagrodę. W istocie 10000 marawedów rocznego dochodu, to sumka co może pocieszyć stroskaną wdowę.

- Senior! senior! zawołał Sancho, siedzący na rei tak swobodnie, jak bywalec salonowy na fotelu, „Nina” daje sygnały!

- Prawda, odrzekł Kolumb, Wincenty Yanez zatknął barwy królowej.

Ponieważ był to znak umówiony w razie odkrycia lądu, nie wątpiono przeto, że cel podróży został wreszcie osiągnięty. Pomni wszelako na doznane zawody, majtkowie milczeli jeszcze, czekając potwierdzenia swych nadziei.

Okręty z rozwiniętymi żaglami pędziły ku zachodowi, jak ptaki zbyt długim znużone lotem, co ostatnim skrzydeł uderzeniem zmierzają do lądu, którego położenie wskazuje im siła instynktu.

Tak upłynęło kilka godzin. Widnokrąg, na zachodzie ciemnymi pokryty chmurami, omylić mógł najwprawniejsze nawet oko. Jednakże około południa, gdy statki odbyły mil kilkanaście, a nie ujrzano pożądanego wybrzeża, niepodobna już było łudzić się dłużej. Zniechęcenie, jakie nastąpiło po tym ostatnim zawodzie, większe jeszcze było niż poprzednie. Załoga nie ukrywała już szemrania, utrzymując, że wabieni przez złego ducha w nieznane przestrzenie oceanu, marnie tam wkrótce zginąć będą musieli. Zdaniem niektórych biografów Kolumb zmuszony był wtedy wejść w układy z towarzyszami, przyrzekając im powrót, jeśli w oznaczonym czasie nie dosięgnie ziemi; ale ta słabość mylnie przypisywaną bywa wielkiemu człowiekowi, który w przeciwności nawet nie przestawał panować nad załogą i utrzymywać przynależne sobie posłuszeństwo. Wszelako przezorność kazała mu w pewnym stopniu ustąpić ogólnemu życzeniu.

— Jesteśmy teraz, przyjacielu Luis, rzekł Kolumb w poufalej pogadance wieczornej z młodzieńcem, na tysiąc mil od Ferro, według mego obliczenia. Dotąd, mimo przeciwnych oczekiwań Marcina Alonzo, spodziewałem się napotkać tylko pojedyncze wyspy, teraz wyglądam stałego lądu i umyśliłem skierować się za lotem ptaków, których liczne stada ciągną ku brzegom. Każę więc posterować więcej na południe, nie tracąc z oczu głównego celu podróży.

Admirał wydał stosowne polecenia dowódcom dwóch innych statków. Jednakże i nazajutrz nie ujrzano lądu, ale że statki, przy słabym wietrze, kilka mil tylko przez noc przepłynęły, zawód nie był taki przykry. Mimo niepewności położenia, podróżnicy z rozkoszą oddychali wonnym powietrzem.

Zioła nie pokrywały już powierzchni morza, lecz przyływały zupełnie świeże, a ptaki, widocznie lądowe, w coraz większych zjawiały się stadach.

Tak przeszedł dzień ósmy października. Nazajutrz wiatr zadał gwałtownie i zmusił eskadrę zwrócić się ku północy. Gdyby zboczenie igielki magnesowej jednostajnie się było powiększało, kierunek ten mógłby być najwłaściwszym; lecz okręty znajdowały się już pod tym stopniem szerokości i długości, gdzie busola odzyskuje położenie normalne.

Dziewiątego października 1492 roku rano znaki bliskości lądu coraz stawały się liczniejsze. Każdy wlepione miał oczy w niedościgłą dal oceanu i okrzyk: „ziemia!” tak często się ponawiał, że Kolumb, pod utratą przyrzeczonej nagrody, zakazać musiał tych bezzasadnych wołań.

Wieczorem niespokojni majtkowie postanowili raz jeszcze żądać od Kolumba powrotu, i chcąc z porządkiem pewnym dokonać tego zamiaru, wybrali mówcami jednego ze sterników, Pedro Nino, i starego majtka Marcina. W chwili, gdy admirał z Luisem opuścić mieli pokład, dla udania się do kajuty, wszyscy rzucili się ku nim, wołając razem:

- Senior don Christoval! ekscelencjo!... senior admirał!

Kolumb obrócił się i spojrzał na nich z powagą, przed którą zadrzał Nino.

— Czego chcecie? zapytał surowo.

— Przyszliśmy błagać cię o życie, senior, odpowiedział Marcin, o litość nad żonami i dziećmi swoimi. My wszyscy tu zgromadzeni sprzykrzyliśmy sobie tę podróż i pragniemy zakończyć ją jak najprędzej.

— Czy wiecie jak daleko jesteście od Ferro, wy, co tak nierozsądną zanosicie prośbę? Mów, Nino, bo mimo wahania się twego widzę, że i ty do nich należysz.

— Senior, odrzekł sternik, płynąć dalej, znaczyłoby rozmyślnie narażać się na zgubę. Zuchwalstwem byłoby chcieć przeciąć ten pas bezgraniczny wody, którym Opatrzność otoczyła ziemię dla powstrzymania dumnych zamysłów człowieka. Wszak wszyscy duchowni, senior, nie wyłączając twojego przyjaciela, przeora klasztoru Najświętszej Panny de la Rabida, każą nie targać się rozumkowaniem na wolę Wyższej Mądrości.

— Mogę cię zwalczyć swoją własną bronią, mój dobry Nino. odpowiadając, że wierzyć powinieneś światlejszemu od siebie, gdy sam sobie radzić nie umiesz. Odejdź razem z towarzyszami, i nie mówimy już o tym.

— Senior! krzyknęło kilku majtków, nie możemy zginąć bez wysłuchania. Już i tak zbyt daleko nas

powiodłaś; dziś jeszcze okręty zwrócić chcemy do Hiszpanii.

- To rokosz widzę. Kto między wami śmie tak przemawiać do admirała?

- My wszyscy, odezwało się dwadzieścia na raz głosów. Obowiązkiem jest mówić, gdzie idzie o życie!

- Czy i ty, Sancho, należysz do powstańców? czy i w tobie obawa przemogła żądzę użycia skarbów i rozkoszy Indii?

- Jeżeli trzymam z nimi, senior admirałe, to każ mi za karę całe życie smarować tylko maszty i nigdy nie dotknąć się steru. Choćbyś wpłynął okrętem prosto w otwartą bramę piekła, stary Sancho, co się urodził marynarzem, i wtedy jeszcze nie stchórzy.

- A ty, Pepe, mógłbyś do tego stopnia zapomnieć o posłuszeństwie winnym dowódcy tej wyprawy i wicekrólowi donny Izabelli?

- Wicekrólowi, ale czego? zapytał głos jakiś w tłumie, nim jeszcze Pepe zdążył odpowiedzieć. Wicekrólowi ziół morskich, tuńczyków, wielorybów i pelikanów. To niegodne tak się obchodzić z Kastylijczykami.

- Nazad do Hiszpanii! do Palos! krzyknęła cała prawie załoga, z wyjątkiem Sancha i Pepego, którzy stanęli po stronie admirała. Nie popłyniemy dalej na zachód: to bluźnierstwo przeciw Bogu! Żądamy powrotu, póki czas jeszcze!

— Nędznicy! kto was tych podłych nauczył wyrazów? zawołał Luis, sięgając mimowolnie ręką ku miejscu, gdzie dawniej nosił szpadę. Ustąpcie, albo,...

— Uspokój się, przyjacielu Pedro, przerwał mu Kolumb, i pozwól abym rozstrzygnął tę sprawę. Posłuchajcie, nierozsądni, ostatecznej odpowiedzi mojej na wszystkie podobne żądania. Wyprawa ta, zgodnie z wolą królewską ma na celu przebycie Atlantyku i osiągnięcie Indii. Póki więc życia we mnie stanie, płynąć będziemy na zachód, aż tego celu dopniemy. Drzyjcie przed gniewem naszych władców, jeśli sprzeciwić się ośmielicie ich rozkazom! Jedno szemranie jeszcze, a winny surowo zostanie ukarany. Taka jest wola moja, i ostrzegam, że kto odtąd wykroczy przeciw posłuszeństwu, gorsze na siebie ściągnie następstwa, niż urojone niebezpieczeństwo jakim morze zagraża rozhukanej wyobraźni waszej. Rozważcie tylko sami obawy i nadzieje: z jednej strony niepodobieństwo prawie dostania się do Hiszpanii z powodu braku żywności i wody, a w najszczęśliwszym nawet razie kara za niewykonanie rozkazu królewskiego; z drugiej bogata zdobycz, niezawodne odkrycie rozkosznej krainy, zamieszkaney przez ludzi spokojnych i gościnnych, nie mówiąc już o zaszczycie dokonania tak wielkiego dzieła.

- A jeśli przez trzy dni jeszcze nie ujrzymy lądu, senior, czy przyrzekasz nam wtedy powrót do Hiszpanii, odezwał się jeden z majtków.

- Nigdy! odpowiedział stanowczo Kolumb; płynąć będę do Indii choćby drugi jeszcze miesiąc! A

teraz idźcie do roboty lub na spoczynek, i niech nie usłyszę więcej tak niedorzecznych narzekań. Kolumb tyle wrodzonej miał godności i nakazującej powagi, głos jego, podniesiony gniewem, tyle był groźny, że zuchwalstwo nawet buntu ustąpić przed nim musiało; załoga więc rozproszyła się, choć nie bez szemrania. Gdyby wyprawa z jednego tylko składała się okrętu, byłoby zapewne wybuchł rokosz; ale nie znając usposobienia obsady „Pinty” i „Niny”, majtkowie nie śmieli do stanowczych posunąć się kroków; postanowili więc odłożyć wykonanie zamiaru do czasu, aż sobie zapewnią współdziałanie towarzyszy.

- To nie żarty, jak się zdaje, rzekł Luis, wszedłszy z admirałem do kajuty. Na św. Łukasza! chciałbym ostudzić zapał tych łotrów rzuceniem kilku z nich w morze.

- Podobno oni tę samą przyjemność gotują dla nas obojwóch, odpowiedział Kolumb; tak przynajmniej doniósł mi Sancho. Trzeba być łagodnym póki można, lecz w ostatecznym razie przekonasz się młodzieńcze, że Krzysztof Kolumb równie jest biegły w robieniu szpada, jak w użyciu kompasu.

— W jakiej odległości, senior, jesteśmy teraz od lądu? Pytam się z ciekawości tylko, nie z obawy: bo choćby ten okręt dosięgnął krańca ziemi i spaść miał w próżnię, nie usłyszysz ode mnie skargi.

— Przekonany o tym jestem, szlachetny młodzieńcze, odrzekł Kolumb z przyjaznym uściskiem ręki. Sądzę, że znajdujemy się w odległości przeszło tysiąca mil od Ferro, a zatem dobiegamy punktu, w którym przypuszczam istnienie Indii i musimy wkrótce napotkać przynajmniej jedną z wysp otaczających wybrzeże lądu azjatyckiego. Księga okrętowa podaje nieco więcej jak osiemset mil; że jednak w ostatnim czasie sprzyjały nam prądy, przeto w tej chwili przebyliśmy zapewne do tysiąca stu mil od Wysp Kanaryjskich.

— Mniemasz więc, senior admirale, że wkrótce ujrzymy ziemię?

— Jestem tego tak pewny, że byłbym przyjął warunki tych śmiałków, gdyby honor na to pozwalał. Ptolomeusz podzielił ziemię na dwadzieścia cztery części, każda o piętnastu stopniach; Atlantyk zaś tylko pięć albo sześć takich części obejmuje. Tysiąc trzysta mil niezawodnie wystarczy, aby nas przenieść do Azji, a zrobiliśmy już blisko tysiąc sto.

— Dzień jutrzejszy wielkie przyniesie nam wypadki, senior admirale; a teraz udajmy się na spoczynek. Marzyć będę o najcudniejszej krainie, jaką kiedykolwiek widziało oko chrześcijanina, i ujrzę na jej wybrzeżu najpiękniejszą z dziewic Hiszpanii... co mówię! całego świata.

Nazajutrz łatwo było poznać z ponurych twarzy majtków, że w piersi ich wrzała namiętność, gotowa wybuchnąć w każdej chwili. Szczęśliwie jednak z rankiem nowe i tak stanowcze pojawiły się znaki, iż niezadługo ogólne zwątpienie ustąpiło nadziei. Wiatr był dość silny, a co najważniejsza, morze, tak spokojne w ciągu całej podróży, zaczęło falować.

Kolumb znajdował się na pokładzie, gdy okrzyk radosny z góry zwrócił jego uwagę. Pepe, siedząc

na maszcie, wskazywał jakiś przedmiot płynący nieopodal, i wszyscy, wychylając się, ujrzeli zielone jeszcze sitowie. Z uniesieniem tryumfu powitano tę wróżbę szczęśliwą; bo ta roślina nieomylnie z pobliskiego pochodziła brzegu.

- Rzeczywiście dobra to przepowiednia, rzekł Kolumb, bo jeśli zioła morskie rosnać mogą na dnie, sitowie potrzebuje światła dziennego.

Ta okoliczność zmieniła usposobienie rokoszan; z ponowną nadzieją spoglądano na zachód, i wszyscy w gorączkowym byli ruchu. Po upływie godziny „Nina” zbliżyła się do okrętu admirałskiego.

- Co nowego, Wincenty Yanez? zawołał Kolumb; zdaje się, że przynosisz dobre wiadomości.

— Rzeczywiście, seniorze, odpowiedział dowódca „Niny”: napotkaliśmy krzew dzikiej róży, ze świeżym jeszcze owocem. To wróżba niezawodna.

Niepodobna opisać wesołość majtków, gdy posłyszeli te słowa. Śmiano się i żartowano, tam gdzie przed chwilą rozpaczliwe panowało zwątpienie; nikt już nie myślał o powrocie do Hiszpanii, marzono tylko o krainie zachodu. Niezadługo „Pinta” spuściwszy szalupę na morze, zwinęła część żagli i czekała zbliżenia „Santa Marii”.

— I cóż, Marcinie Alonzo? zapytał Kolumb, ukrywając niepokój swój pod przybraną obojętnością; jesteście, jak widzę w uniesieniu.

— Może być inaczej!?! Przed godziną ujrzeliśmy kawał tej trzciny, co z niej na wschodzie wyrabiają cukier. Ale to nic jeszcze, bo zaraz potem spostrzeżliśmy kilka razem płynących przedmiotów, które warto było wyłowić z morza.

— Prześlij mi swą zdobycz, czcigodny przyjacielu, abym ocenił jej ważność.

Marcin Alonzo, wsiadłszy w szalupę, wyskoczył niezadługo na pokład „Santa Marii”, a za nim dwóch ludzi niosło wydobyte z morza rzeczy.

— Szlachetni seniorzy, rzekł, oto coś na kształt deski z nieznanego drzewa, dalej kawałek trzciny, a tu kij podróżny, z nadzwyczajną wyrobioną starannością.

- Prawda, odpowiedział Kolumb, obejrawszy wskazane przedmioty. Chwała Bogu na wysokościach za te dowody pocieszające! Teraz niepodobna już wątpić, że blisko jesteśmy celu.

- Te rzeczy pochodzą zapewnię z rozbitego statku, wtrącił Marcin Alonzo; gdyż, jak wspomniałem, płynęły razem. Kto wie czy w pobliżu nie znajdziemy topielców.

- Nie smućmy się takim przypuszczeniem, odrzekł admirał; przypadek zbliżyć mógł te przedmioty. Ale skądkolwiek wyszły, to dowodzą, że jesteśmy niedaleko okolic zamieszkałych.

Majtkowie z entuzjazmem przyjęli to nieomylnie świadectwo bliskości podobnych sobie istot. Zdobycz Pinzona przechodziła z ręki do ręki, ciekawie przez wszystkich oglądana, i wkrótce ostatki zwątpienia rozpięchły się przed dotykalaną rzeczywistością. Pinzon powrócił do siebie;

rozwinęto znów żagle, i wyprawa do wieczora płynęła w kierunku południowo-zachodnim.

Lekka jednak obawa owładnęła umysły lękliwe, gdy słońce po raz trzydziesty czwarty od opuszczenia Gomery zapadając w morze, bezgraniczną oświecało przestrzeń. Załoga z niespokojną czujnością śledziła widnokrag zachodni; ale choć niebo było bez chmury, widziano tylko strop jego ubarwiony purpurą, i powierzchnię oceanu roziskrzoną światłem ostatnich słońca promieni. Admirał, jak zwykle w tej porze, zgromadził okręty dla wydania rozkazów. Przekonanym będąc, że droga zachodnia jest najkrótszą, postanowił odtąd nie zbaczać już od takowej. Zmieniwszy kierunek biegu, majtkowie zanucili pieśń wieczorną: *Salve Regina*. — Śród niezmiernego oceanu głosy śpiewających z tchnieniem wiatru i szmerem fali w uroczystą zlały się całość. Natężone oczekiwanie podróżnych, tajemniczość niedalekiej przyszłości, powiększała jeszcze wrażenie tej chwili. Nigdy hymn ten wspaniały nie brzmiał tak poważnie i słodko dla Kolumba; lekkomyślny nawet Luis łzy miał w oczach. Po skończonym nabożeństwie admirał zgromadził załogę na tylnym pokładzie i zwrócił do niej pełną zapału przemowę.

— Rad jestem, rzekł, przyjaciele moi, że z tak przykładną pobożnością odśpiewaliście hymn wieczorny, w chwili następującej tyle powodów wdzięczności dla Stwórcy, za nieskończoną łaskę z jaką nas dotąd prowadził. Rzućcie okiem w przeszłość, i zapytajcie samych siebie, czy najstarsi z was pamiętają podróż, nie mówię już równie długą, bo takiej nie było jeszcze na świecie, ale równie pomyślną. Bóg, moi drodzy, obecny zarówno w samotni morza, jak w przybytkach czci Jego poświęconych, zsyła nam pociechę w zwątpieniu, a dziś szczególnie niezbity udzielił nam dowód, że ręka Jego kieruje naszym losem. Mam nadzieję tej nocy jeszcze dosięgnąć lądu: za kilka więc godzin powinniśmy bieg swój zwolnić, z uwagi że się zbliżamy do nieznanego brzegu. Wiadomo wam, iż hojność naszych władców temu co pierwszy odkryje ziemię przeznaczyła rocznie 10 000 marawedów; ja ze swej strony dołączam bogaty kaftan aksamitny, godny wspaniałością granda Hiszpanii. Nie zasypiajcie przeto sprawy, bo w ciągu tej nocy, powtarzam, wszystko się rozstrzygnie.

Wyrazy te silne na słuchaczach sprawiły wrażenie; majtkowie rozproszyli się po okręcie, szukając korzystnych stanowisk dla pozyskania zapewnionej nagrody. W oczekiwaniu wielkich wypadków człowiek zawsze jest milczący: wszyscy też, porzuciwszy gwarną wesołość, z wyczerpaniem jednemu poświęcili się celowi. Kolumb został na pokładzie, a Luis, wyciągnięty na żaglu, marzył o kochance i o powrocie tryumfalnym do ojczyzny.

Głęboka cisza panująca na okręcie powiększała jeszcze uroczystość tej pamiętnej nocy. „Nina” z rozpiętymi żaglami, przewodziła wyprawie, za nią płynęła „Pinta”, a statek admirałski, dzięki staraniom Sancha, pospiesznie dążył w ich ślady. Niekiedy, gdy wiatr zaszeleścił linami, majtkowie mimowolnie drżeli, jak gdyby ich doleciał głos tajemniczy z nieznanego świata. Gdy fale morskie

silniej o bok okrętu uderzyły, rozdrażniona ich wyobraźnia oczekiwała zjawienia się zgrai dziwacznych istot, przybyłych z krainy wschodu.

Kolumb niecierpliwym okiem przedrzeć pragnął zasłonę ciemności. Śledząc nieustannie widnokrąg, po upływie godziny przyzwał do siebie Luisa.

— Młodzieńcze, rzekł głosem drżącym od wzruszenia, spojrzij tam, i powiedz czy mnie oczy nie mylą.

— Widzę, senior, jakieś światło migające i ruchome, jak gdyby człowiek przenoślił je po brzegu.

— To nie złudzenie, mój synu! Światło, które wzrok nasz uderza pochodzi z ziemi, albo ze statku indyjskiego. Przywołaj Rodriga Sanchez de Segovia, kontrolera floty.

Z przybyciem Rodriga sprawdzono spostrzeżenie admirała. Po upływie pół godziny światło zniknęło, potem znów zabłysło, nareszcie zgasło zupełnie. Majtkowie wkrótce się o tym dowiedzieli, lecz mało kto podzielał zdanie Kolumba względem ważności tego faktu.

— To ziemia, rzekł stanowczo odkrywca; za kilka godzin będziemy u celu. Pewny jestem swego, bo żadne zjawisko morskie nie może wytłumaczyć tego światła.

Mimo ufności admirała, załoga niezupełnie jeszcze była spokojna. Gdy Kolumb mówić przestał, nikt nie przerwał milczenia i oczy wszystkich tęsknie zwróciły się ku zachodowi. Przez kilka godzin okręty z niezwykłą postępowały szybkością. Nad ranem strzał armatni rozległ się od „Pinty”.

- Marcin Alonzo daje nam znak, zawołał Kolumb, zapewne nie bez ważnej przyczyny. Kto tam zajmuje szczyt masztu?

- To ja, senior admirał, odpowiedział Sancho; siedzę tu od modlitwy wieczornej.

- Czy nie widać nic w stronie zachodniej? Patrz dobrze, bo jesteśmy u progu wielkich zdarzeń.

- Widzę tylko, że „Pinta” zwija żagle, i „Nina” także się zbliża.

- Chwała niech będzie Najwyższemu! tym razem nie mogli się już pomylić.

Na pokładzie „Santa Marii” wszystko było w ruchu, gdy po upływie pół godziny okręt admirałski dosięgnął dwóch innych, co wolnym biegiem płynąc obok siebie, odpoczywać się zdawały po odbytym wyścigu.

- Przybądź tu, Luis, i patrz! rzekł Kolumb.

Noc była jasna, niebo zwrotnikowe błyszczało gwiazd milionami; sam nawet ocean zdawał się rozlewać niepewne jakieś światło, pozwalając rozróżnić przedmioty, szczególnie na krańcu widnokręgu.

Gdy młodzian rzucił wzrokiem w kierunku wskazanym przez Kolumba, spostrzegł wyraźnie ciemną w oddaleniu wyniosłość, w zarysach jakie ziemia nocną porą przedstawiać zwykła na morzu.

— Otóż Indie! zawołał Kolumb. Wielkie zadanie jest rozwiązane! Zapewne to wyspa, ale ląd stały musi być niedaleko. Cześć i chwała imieniu Bożemu!

ROZDZIAŁ XXI

Pozostałe chwile nocy w gorączkowym upływały oczekiwaniu. Okręty płynęły ku owej bryle czarnej, trzymając się ile możności razem, i mając żagle w części zwinięte. Niekiedy z pokładu na pokład przyjazne wymieniano słowa; ale nikt głośną nie wybuchnął wesołością. Usposobienie ogólne zbyt było uroczyste, aby dać przystęp zwykłym objawom radości, i wszyscy podobno wtedy, z uczuciem wewnętrznej skruchy, korzyli się przed wyrokiem Opatrzności.

Kolumb milczał, lecz serce jego przepelnione było rozkoszą i wdzięcznością. Przypuszczając, że się znajduje na ostatecznym krańcu wschodu, mniemał, że ranek roztoczy przed nim wspaniałą panoramę owych krajów opisywanych przez braci Polo i innych odkrywców. Dotychczasowe oznaki dowodziły, że kraj do którego się zbliżano był zamieszkałym; ale reszta za nieprzebytą leżała zasłoną.

Zajaśniał na koniec dzień pożądany; niebo na wschodzie oblekło się purpurą i pierwsze promienie jutrzeńki, na modre padając fale, rozświeciły zarysy niedalekiej już wyspy. Oko podróżnych na powierzchni jej rozróżniało drzewa, góry i wklęsłości brzegu, wynurzające się kolejno u pomroki. Przekonano się wtedy, że to była wyspa niewielkiej rozległości, obfitująca w lasy i bujną roślinność. Widok ziemi niewypowiedzianie zawsze jest miłym dla żeglarzy od dawna błędzących po morzu; dla naszych zaś podróżników, co już się wyrzekli nadziei dotknięcia jej kiedykolwiek stopą, musiała ona wydawać się rajem. Wnosząc z położenia tej wyspy, Kolumb przypuszczał, że minął inną, na której spostrzegł światło, a znajomość szczegółów jego podróży domysł ten potwierdza.

Zaledwie słońce wzeszło, gdy ujrzano krajowców wychodzących z lasu i patrzących ze zdziwieniem na przyplływające domy. Wkrótce okręty zarzuciły kotwice, i Kolumb wylądował, dla objęcia wyspy w posiadanie imieniem władców Kastylii i Aragonii.

W akcie tym starano się rozwinąć tyle przepychu, na ile tylko pozwalały skromne środki wyprawy. Admirał, w szkarłatnej szacie, niosąc chorągiew królewską, postępował przodem, za nim dwaj Pinzonowie, Marcin Alonzo i Wincenty Yanez, trzymając proporce z krzyżem i początkowymi literami imion królewskiego stadła.

Zwykle w podobnych obrzędach formalności zostały ściśle zachowane. Kolumb nowo odkrytą ziemię objął w posiadanie, i odbywszy dziękczynne modły, widział się otoczonym przez majtków, którzy, zbliżając się z pokorą, okazywali swój żal z powodu wczorajszego zajścia. Człowiek

niedawno jeszcze przeklinany był teraz przedmiotem niemal ubóstwienia, lecz jak poprzednio nie zatrwożyły go groźby, tak i pochlebstwa obecne zostawiły go zimnym, i tylko bliżej go znający w oku odkrywcy dopatrzyć się mogli odblasku wewnętrznej radości.

— Ci ludzie, rzekł Kolumb do Luisa, gdy tłum się rozstał, równie są niestali w obawie, jak w nadziei. Czy nie uważasz, że ci właśnie, co wczoraj przewodzili rokoszowi, dziś mnie najwyżej wynoszą?

— Tak zwykle bywa, odpowiedział Luis. Tym hultajom zdaje się, że ciebie wysławiają, a w istocie cieszą się tylko z własnego ocalenia. Ale Sancho i Pepe nie podzielają widać ogólnego zachwytu, bo ten zbiera kwiatki na brzegu, a tamten przygląda się krajobrazowi w takim zamyśleniu, jak gdyby obliczał dublony wielkiego chana.

Kolumb uśmiechnął się i przystąpił w towarzystwie młodzieńca do dwóch wymienionych majtków. Sancho, zatknąwszy rękę w zanadrze, obojętnie patrzył przed siebie.

— I cóż, mości Sancho? zapytał admirał, spoglądasz coś równie nieczule na tę rozkoszną krainę, jak na ulice Moguer lub pola Andaluzji.

— Senior admirale, jedna ręka wszystko na ziemi stworzyła. Nie pierwsza to wyspa, której zwiedzam brzegi, i nie pierwsi ludzie, których widzę w szacie natury.

— Ale czyż serce twoje obce jest wdzięczności dla Stwórcy za tak wielkie odkrycie? Rozważ przyjacielu, że jesteśmy na krańcu Azji, a przecież płynęliśmy na zachód.

— Ręczyć za to mogę każdemu, bo dosyć często trzymałem ster w naszej podróży. Czy mniemasz, senior, żeśmy dosięgli odwrotnej strony ziemi i że się teraz znajdujemy pod stopami Hiszpanów?

- Oczywiście, stolica wielkiego chana zajmuje wskazane przez ciebie położenie.

- To tym sposobem, senior, dublony tego władcy spaść by musiały w powietrze i trudy nasze byłyby daremne.

- Wszystko w świecie, mój Sancho, podlega prawom przyrodzonym, a natura, jak wiadomo, odrzekł Sancho, jest prawodawcą.

- To dla mnie zagadka, odrzekł Sancho, pocierając sobie czoło. Jesteśmy prosto pod ziemią lub na jej boku, a jednak trzymamy się na nogach, lepiej nawet niż w domu, bo strony tutejsze nie zdają się obfitować w xeres, mój trunek ulubiony.

- Nie rodzisz się z Maura, co gardzi dobrym winem, dorzucił Kolumb. A ty, Pepe, czemuż tak troskliwie zajmujesz się szukaniem kwiatów?

- Senior admirale, zbieram je dla Moniki. Kobiety więcej od nas mają delikatności uczucia, i wiem, że miło jej będzie wiedzieć w jaką sukienkę Bóg ubrał drugą światą połowę.

- Czy sądzisz, że miłość twoja zachowa te rośliny świeżymi do naszego powrotu? wtrącił Luis z uśmiechem.

- Kto wie, senior Gutierrez. Jeżeli serce twoje hołduje jakiej damie kastylijskiej, to powinieneś sam uszczknąć kilka kwiatów dla ozdoby jej włosów.

Kolumb oddalił się, gdyż krajowcy okazywali chęć wejścia w stosunki z przybyszami, ale Luis pozostał przy młodym majtku, i niezadługo złożył prześliczną wiązanekę, którą w duchu przymierzał już do czarno lśniących włosów Mercedes.

Zdarzenia dni następnych zbyt znane są z dziejów, abyśmy tutaj przytoczyć je mieli szczegółowo. Przepędziwszy czas jakiś na San Salvador, jak nazwał pierwszą z nowo odkrytych wysp, Kolumb popłynął w celu dalszych poszukiwań, i przy pomocy wskazówek otrzymanych od tuziemców 28 października zawinął na Kubę. Przybywszy nad brzeg tej wyspy, mniemał, że to ląd stały, i długo w różnych okrażał ją kierunkach. Tymczasem przyzwyczajenie osłabiło urok nowości, a chciwość i żądza sławy odzyskały wpływ swój na umysły podróżników. Marcin Alonzo Pizon, widząc, że podrzędna tylko odgrywa rolę, pozazdrościł sławy Kolumbowi i przyjazne między nimi stosunki coraz się więcej rozchwiewały.

Nie będziemy towarzyszyć wyprawie z wyspy do wyspy, z portu do portu, z rzeki na rzekę: dosyć powiedzieć, że wszędzie napotymano bogatą i żywną przyrodę, cudowne krajobrazy, mieszkańców żyjących w stanie dzikości, ale co gorsza, złota ani śladu. Kolumb mniemał, iż się znajduje w Indiach, na granicy państwa wielkiego chana, a towarzysze jego nie przestawali dopytywać się tubylców o bogactwa tego kraju, mylnie częstokroć tłumacząc ich odpowiedzi. Wśród takich okoliczności każdy dzień nowo przynosił wrażenia, i nie myślano już o Europie, jak chyba mówiąc o pełnym chwały powrocie. Sam Luis nawet nie marzył już ciągle o Mercedes, której postać nadobna ustępowała chwilowo przed nawałem obecnych przygód.

Postanowiono na koniec wyprawić dwóch ludzi w głąb kraju, a Kolumb skorzystał z tego czasu dla naprawy okrętów. Gdy nadszedł dzień, w którym oczekiwano powrotu wysłańców, Luis w towarzystwie Sancha i kilku majtków uzbrojonych, poszedł na ich spotkanie i znalazł ich wkrótce otoczonych kilkunastu dzikimi, którzy śledząc ciekawie każdy ruch zamorskich przybyszów, zdawali się oczekiwać chwili wzbicia się ich ku niebiosom. Zrobiono mały przystanek, a Sancho, równie nieustraszony na lądzie jak na morzu, zboczył do pobliskiej wioski, gdzie za pomocą znaków usiłował porozumieć się z krajowcami. Pośród tych synów przyrody, nie znających różnicy między aksamitnym a płóciennym kaftanem, nasz junak doznawał zaszczytów, jakich w Europie dostępuje sławny mąż stolicy, po przybyciu do miasteczka prowincjonalnego. Przez pół godziny może Sancho z rozkoszą odgrywał rolę wielkiego pana, gdy jeden z dzikich, trzymając w ręce jakieś suszone liście koloru brunatnego, zbliżył się pokornie i podał je gościowi. Sancho gotów był przyjąć ten dziwny podarunek, choć chętniej byłby sięgnął po dublona; ale krajowiec cofnął rękę, i wymawiając kilkakrotnie wyraz: tabacco! zwijać zaczął liście w podłużną trąbkę, i tak

przyrządzony wałek ofiarował majtkowi. Sancho odebrał go z łaskawym skinieniem głowy i schował do kieszeni. Nie zadowolilo to jednak hołdowników; po krótkiej bowiem naradzie jeden z nich, wydobywszy podobny zwitek, włożył go w usta, zapalił i zaczął puszczać kłęby wonnego dymu. Sancho uczynił to samo, ale po chwili zbladł okropnie i dręczony ckliwością, jakiej nie doznał od pierwszej wyprawy na Atlantyck, musiał powrócić do swoich.

Taki był wstęp na łono oświeconej społeczności słynnej rośliny amerykańskiej, której Hiszpanie niewłaściwie nadali nazwę zwiteków skręcanych z jej liści. Sancho pierwszym był palaczem chrześcijańskim; lecz wkrótce licznych znalazł naśladowców, i użycie tytoniu, coraz bardziej wzrastając, aż do naszych przechowało się czasów.

Po powrocie wysłańców Kolumb pożeglował wzdłuż brzegu północnego Kuby; ale że wiatr był przeciwny, zamierzał więc wpłynąć do przystani nazwanej przez siebie Puerto del Principe. W tym celu kazał przywołać sygnałami oddaloną nieco „Pintę” i dla wskazania drogi Marcinowi Alonzo, na pokładzie okrętu admirałskiego rozniecić pochodnie.

Nazajutrz ze świtem ujrzano „Ninę” kołyszącą się, lecz statku Pinzona nie było ani śladu.

— Czy nie widziałeś gdzieś „Pinty”? zapytał Kolumb trzymającego ster Sancha.

— Patrzyłem na nią, senior, póki patrzeć można za uciekającym z rozpiętymi żaglami okrętem. Szanowny Marcin Alonzo umknął, podczas gdyśmy tu wyglądali jego powrotu.

Ten podstęp człowieka, na którego pomoc wiele sobie liczył, boleśnie dotknął Kolumba, stanowiąc nowy dowód jak łatwo przyjaźń ustępuje przed interesem osobistym. Tuziemcy wskazali podróżnikom strony złotodajne, admirał przeto mógł się domyślać, że nieuległy marynarz korzystał z szybkości swojego statku, w nadziei osiągnięcia przed innymi owego celu życzeń swej chciwości. Ponieważ wiatr ciągle był niepomyślny, „Santa Maria” musiała w porcie oczekiwać jego zmiany. To rozłączenie miało miejsce 21 listopada, w czasie, gdy wyprawa nie posunęła się jeszcze poza wybrzeże północne Kuby.

Do 6 grudnia Kolumb okrążył tę wyspę, po czym wpłynąwszy w tak zwaną cieśninę wiatru, wylądował na Haiti. W ciągu żeglugi Hiszpanie wchodzili wszędzie w stosunki z krajowcami i dzięki roztroprnym poleceniom admirała, zyskiwali sobie ich przyjaźń. W jednym miejscu dopuszczono się wprawdzie gwałtu przez ujęcie sześciu dzikich, w zamiarze wysłania ich do Europy; czyn ten w wyobrazeniach owego czasu usprawiedliwiał wzgląd na zbawienie porwanych. Wyspa Haiti pod względem powabów zewnętrznych, rozkoszniejszą jeszcze była od Kuby. Mieszkańcy jej, przyjemnej powierzchowności i słodkich obyczajów, już w znacznej liczbie nosili złote ozdoby; zaraz więc rozpoczęto z nimi handel zamienny, w którym Hiszpanie rządzą się naturalnie chciwością ludzi cywilizowanych, podczas gdy dzicy nad wszystkie inne przedmioty przynosili dzwonki, przyczepiane wówczas do szyi ptaków łowieckich.

Płynąc wzdłuż brzegów do 20 grudnia, Kolumb dotarł nareszcie do punktu wskazanego mu jako sąsiadujący ze stolicą wielkiego kacyka zachodniej części wyspy. Książę ten, imieniem Guakanagari, miał kilku lennych kacyków, a sam, o ile można było wnosić z niezrozumiałych podań krajowców, bardzo był kochanym. Dwudziestego drugiego grudnia, w dwa dni po wpłynięciu okrętów do zatoki Akul, ujrzano zbliżające się czółno, na którym poseł wielkiego kacyka przybywał z podarunkami dla cudzoziemców i z prośbą do admirała, aby okręty swe posunawszy o kilka mil ku wschodowi, zarzucił kotwicę pod stolicą księżęcą.

Gdy z powodu przeciwnego wiatru nie można było zaraz życzeniu temu zadośćuczynić, wyprawiono więc posłańca ze stosowną odpowiedzią. Luis, znudzony długą bezczynnością, pragnął zwiedzić wnętrze kraju, a zapoznawszy się z młodzieńcem należącym do orszaku posła, zwanym przez towarzyszy Mattinao, prosił admirała o pozwolenie towarzyszenia mu w powrocie. Kolumb, chociaż niechętnie, uległ wreszcie natarczywości Luisa, zalecając mu tylko ostrożność i przydając do boku Sancha.

Ponieważ w ręku tuziemców nie widziano dotąd innej broni prócz przytępionych strzał, młody hrabia de Llera nie chciał włożyć kolczugi, biorąc lekką tylko tarczę i miecz, którego brzeszczota doświadczył nieraz na karkach pohańców. Przyniesiono mu rusznicę, ale ją odrzucił jako niegodną rycerza; Sancho jednakże nie tyle sumienny, zabrał ją ukradkiem. Aby nie zwrócić uwagi majtków na ten wyjazd przeciwny prawom okrętowym, admirał kazał wysadzić na brzeg Luisa z towarzyszem, których w pewnym dopiero oddaleniu zabrała łódź kacyka.

ROZDZIAŁ XXII

Mimo wrodzonej odwagi, Luis, zostawszy sam na sam z Haitańczykami dziwnego doznał uczucia. Jednakże dalekim będąc od obawy; usiłował porozumieć się z nimi za pomocą znaków, a kiedy niekiedy słów kilka po hiszpańsku zwracał do Sancha. Zamiast zdążyć za szalupą „Santa Maria”, na której znajdował się poseł, łódź obróciła się więcej na wschód; podług umowy bowiem Luis miał się przedstawić kacykowi, dopiero po przybyciu okrętów.

Tkliwie kochający nasz bohater nie mógł pozostać obojętnym na powaby przyrodzone Hispanioli. Jak na wybrzeżu Morza Śródziemnego, dzikość okolic łagodzoną tu była wdziękiem niezrównanym, podobnym do tego, jaki uśmiech nadobny przydaje licu pięknej kobiety. Młodzieniec niejednokrotnie wydawał okrzyki uwielbienia, a Sancho wtórował mu po swojemu, mniemając zapewne, że obowiązkiem jest wiernego sługi podzielać zachwyty poetyczny swego pana.

— Przekonany jestem, senior, rzekł stary marynarz, gdy łódź oddaliła się o mil parę od miejsca, w

którym szalupa przybiła do brzegu, że waszej ekscelencji wiadomo dokąd płyniemy z takim pośpiechem. Ci nadzy wiosłarze muszą przecież dążyć do jakiegoś portu, w znaczeniu przynajmniej moralnym.

- Czy boisz się, przyjacielu Sancho?

- Jeżeli się boję, mości hrabio, to jedynie dla rodziny Bobadilla, która straciłaby naczelnika, w razie gdybyś wasza ekscelencja uległ jakiemu wypadkowi.

- Cóż by ci szkodziło ożenić się z księżniczką indyjską i zostać synem przybranym wielkiego chana, zamiast powrócić do Moguer?

- To tak zupełnie, jak gdyby mnie kazano wybierać czy nosić mam kaftan i jeść zwierzynę, albo chodzić nago i napychać żołądek owocami. Sądzę, że wasza ekscelencja nie zmieniłbyś zamku Llera na pałac wielkiego kacyka.

- Masz słuszność, Sancho; wartość każdego dostojenstwa względną jest dla społeczności w jakiej żyjemy. Szlachetny Kastylijczyk nie może pozazdrościć udzielnemu księżęciu Hispanioli.

- Mianowicie od czasu, kiedy admirał nasz oświadczył uroczyście, że kacyk jest poddanym naszej królowej, odpowiedział Sancho. Poczciwy ten naród, a zwłaszcza naczelnik jego, dostojny Guakanagari, nie domyśla się pewnie zaszczytu jaki mu przeznaczono.

— Bądź roztropnym, Sancho, i wstrzymuj się od uwag niepotrzebnych. Spójrz, wiosłarze nasi dążą ku ujściu owej rzeki, i zdają się chcieć wylądować.

W istocie krajowcy skierowali się ku strumieniowi, co płynąc z głębi kraju rozkoszną przerzynał dolinę. Była to rzeczka niewielka i płytka, ale żaglowna dla lekkich łodzi tubylców, brzegi jej wieńczyła gęstwina rozłożystych drzew, a Luis upatrzył niejedno rozkoszne miejsce, w którym chętnie by osiadł na zawsze z ukochaną. Jednakże, wyobrażając sobie wśród tej dziczy postać Mercedes, widział ją przybraną w aksamit i koronki, z urokiem wykwiutności, właściwej osobom wyższego urodzenia.

Gdy łódź wpłynęła do rzeki, Sancho zwrócił uwagę młodego hrabiego na kilka czółen przybywających od wschodu w kierunku zatoki Akul, które zdawały się iść na spotkanie cudzoziemców.

Towarzysze ich ujrzeli także ową flotyllę, płynącą pod żaglem. Mattinao wydobyl własną złotą opaskę i włożył ją na głowę jak koronę. Wtedy wszyscy krajowcy powstali z uszanowaniem, a Luis, widząc, że ta ozdoba oznacza godność kacyka lennego, poszedł za ich przykładem. Młody kacyk porzuciwszy z przekroczeniem granic podwładnego sobie kraju skromną rolę wiosłarza, przybrał właściwą stopniowi swemu powagę i usiłował zawiązać z gościem rozmowę. Wymawiał często wyrazy Ozema, a Luis mniemał, że to jest imię ulubionej jego żony; kacykowie bowiem, chociaż poddanym wzbranieli wielożeństwa, sami po kilka przybierali małżonek.

Przebywszy rzeką parę mil, łądz zatrzymała się przy dolinie, odzianej w cały powab podwrotnikowej przyrody. Krajobraz czysto pierwotny miał wygląd; ale odwieczna praca mieszkańców okrzesała go z dzikości. Wszystko tchnęło owym wdziękiem niezrównanym, który zaciera się zwykle dopiero pod wpływem cywilizacji. Mieszkania były składane, chociaż proste, jak potrzeby ich właścicieli. Kwiaty cudownej woni i barwy rozkwitały na kobiercu z zieleni, a gałęzie uginały się pod ciężarem wybornych owoców.

Mattinao z żywą ciekawością przyjęty był przez poddanych swego kraju. Niewinne dzieci przyrody otoczyły Luisa i Sancha, patrząc na nich jak na zesłańców nieba, chociaż słyszeli o przybyciu ich morzem. Sancho, skutkiem zapewne swych prostych obyczajów, odpowiadających naiwnemu usposobieniu Indian, został wkrótce ulubieńcem tłumu. Luis udał się do mieszkania kacyka, starego zaś marynarza gromada zaprowadziła do wioski.

Gdy Mattinao pozostał sam na sam z Luisem i dwoma przybocznymi, powtórzył znów kilkakrotnie imię Ozemy. Po chwili udzielił towarzyszom zlecenia, którego Luis nie zrozumiał, po czym kacyk zdjął opaskę, ubrał się w suknię bawełnianą i dał znak gościowi, aby szedł za nim. Zarczywszy tarczę na ramię i przypasawszy miecz, tak aby nie przeszkadzał w chodzeniu, Luis udał się w drogę, równie spokojny jak gdyby przebywał ulice Sewilli.

Mattinao powiódł towarzysza przez gaj, w którym pasożytne rośliny zwrotnikowe wiły się koło gałęzi drzew owocowych, ścieżką idącą wzdłuż strumienia, co w głębi wąwozu wody swe toczył ku rzece. Po upływie pół godziny na pochyłości małego wzgórza pokazało się kilkanaście chat malowniczo rozrzuconych Luis domyślił się zaraz, że to było schronienie kobiet, czyli seraj młodego kacyka. Gospodarz wprowadził go do jednego z okazalszych mieszkań, gdzie podano im posiłek prosty, lecz przyjemny i ożywczy

Niezdługo Mattinao wyprawił posłańca do jednego z domków sąsiednich i po chwilowym spoczynku wezwał gościa, aby mu towarzyszył. Postępując w górę, przybyli do chaty większego od innych rozmiaru i na kilka, jak się zdawało, podzielonej części. Powiedziawszy coś kobiecie będącej w izbie wstępnej, kacyk odsunął zasłonę, zgrabnie z sitowia splecioną, i wprowadził gościa do wewnętrznych pokojów. Hrabia de Llera ujrzał młodą niewiastę, którą Mattinao powitał czule imieniem Ozema. Luis skłonił się przed mniemaną małżonką kacyka tak głęboko, jak kawaler hiszpański przed pięknoscią swego kraju, lecz spojrzawszy na Indiankę, zawołał z uniesieniem:

— Mercedes!

Kacyk powtórzył to imię, uważając je widać za wyrażenie podziwu i radości. Młoda niewiasta uśmiechnęła się, pokraśniała, i dźwięcznym, łagodnym głosem szepnęła także: Mercedes! bo istoty niewinne lubią odtwarzać wyrazy lub czyny, będące dla nich źródłem przyjemności.

Wypada nam objaśnić dlaczego myśl Luisa tak nagle przeniosła się do kochanki. Wszystkie

opowiadania zgadzają się na to, że mieszkańcy Indii wschodnich byli kształtnej kibici i pełni wrodzonego wdzięku. Cerze ich, lubo śniadej, nie zbywało na świeżości, a ci, których sposób życia nie zmuszał do pracy w skwarze słonecznym, mogli prawie uchodzić za białych. Do tej liczby należała Ozema, nie żona, lecz jedyna siostra kacyka Mattinao. Według praw haitańskich godność panującego przekazywało się przez niewiasty, i syn Ozemy miał być spadkobiercą swego wuja; toteż dziewczica była przedmiotem najtroskliwszych starań całego plemienia. Dosięgnąwszy osiemnastej wiosny, nie znała ona wcale przykrości znoju fizycznego: słowem posiadała wszystkie powaby, jakie kształtom niewieścim nadaje życie proste, lecz dostatnie, łagodny klimat i swoboda umysłu. Tak Ewa, gdy wyszła z rąk Stwórcy, skromna, trwożliwa, a jednak piękna, wydać się musiała oczom pierwszego ziemi mieszkańca.

Haitańczycy nie wstydzili się występować w szacie natury, nosili częściowe ubranie, a naczelnicy ich starali się nawet o wykwinność; jednakże strój ich był raczej ozdobą i znakiem dostojeństwa, niż przedmiotem codziennej potrzeby. Ozema nawet nie stanowiła w tym względzie wyjątku. Przepaska z płótna, w żywych usnuta barwach, otaczała smukłą jej kibić, spadając prawie do kolan. Prosta, lecz śnieżnej białości tkanina bawełniana spływała z ramion, i lekkim węzłem przewiązana na biodrze, dosięgała ziemi. Ozdobne sandały drobną osłaniały nóżkę. Szyję jej zdobił rząd muszli, na którym zawieszona była blacha szczerozłota. Podobne naręczniki okalały ramiona, a wąskie złote opaski błyszcząły na toczonych gołeniach. Piękność włosów uważana była w tym kraju jako cecha wyższego urodzenia, toteż Ozema służyła z czarnych jak heban splotów i gęste ich pierścienie osłaniały ją do pasa.

Chociaż młoda dziewczica niezaprzeczalnie przewyższała wdziękami wszystkie kobiety tej wyspy, powaby jej wszakże nie byłyby może zwróciły uwagi Luisa, gdyby nie uderzające podobieństwo do Mercedes. Niepewne i obłąkane prawie spojrzenie piękności indyjskiej nie mogło zapewne iść w porównaniu z wyrazem inteligencji i słodczy jaśniejącym na licu Hiszpanki, lecz podobieństwo ogólne tak było wielkie, że na pierwszy rzut oka koniecznie nasunąć się musiało. Rysy Mercedes były wprawdzie szlachetniejsze, uśmiech jej wyrazistszy i ruchy zręczniejsze; pod względem wszakże świeżości i kształtnej budowy Ozema mogła z nią walczyć o pierwszeństwo, a z drugiej strony prostota i niewinna zalotność młodej Indianki miała nawet wyższość nad sztuczną powściągliwością dziedziczki kastylijskiej. U tej zalety ciała i duszy płynęły z wyrobienia pojęć i zapału religijnego, tamta czerpała je z wrodzonego popędu, którego nie tłumiała jeszcze wmówiona przyzwoitość oświaty.

— Mercedes! zawołał młodzieniec.

— Mercedes! powtórzył Mattino.

— Mercedes! szepnęła cicho Ozema, i kilka razy wymówiła miłe dla siebie brzmienie, uważając

takowe za wyraz radosnego zachwytu.

Luis, wybierając się w drogę, nie zapomniał o podarunku dla kobiet, ale ujrawszy Ozemę, wszystkie te drobiazgi uznał zbyt błahymi. W jednej z wypraw przeciw Maurom zdobył on zawój z lekkiej, lecz bogatej tkaniny, który zachował na pamiątkę. W wycieczkach swoich na tym lądzie nosił zwykle tę wspianą ozdobę, dla wpływu jaki to wyrzeć mogło na krajowców. I tym razem zwój zdobił jego głowę, a młodzieniec, zachwycony niespodzianym podobieństwem, rozwinął go zrećźnie i zawiesił na ramionach pięknej Ozemy.

Młoda dziewczica, rozłożywszy tkaninę na ziemi, powtórzyła kilka razy wyraz Mercedes, z oznakami najwyższej radości. Zachwycenie jej, chociaż bardzo podobne do niewinnych uniesień dziecka, niezdolnego ukrywać swych uczuć, nosiło jednak cechę godności, co zawsze i wszędzie towarzyszy postępowaniu ludzi wyższego urodzenia. Luis, patrząc na pełną naiwności prostotę Ozemy, usiłował wyobrazić sobie sposób w jaki Mercedes de Valverde przyjęłaby drogocenny klejnot z ręki królowej Izabelli, i zdawało mu się, że powściągliwa radość i wdzięczność Kastylijki mniej silne może zrobiłaby wrażenie.

Podczas tych rozmyślań młodzieńca Ozema, nie wstydząc się bynajmniej, zdjęła zasłonę bawełnianą i przymierzyła podarowany sobie zwój, po czym, odwiązawszy naszyjnik, zbliżyła się do Luisa, ofiarowując mu go ze spojrzeniem stokrotnie od słów wymowniejszym. Luis dar ten wzajemny z rycerską przyjął uprzejmością, a nawet zwyczajem kastylijskim ucałował rączkę, z której otrzymał podarek.

Kacyk, ucieszony świadek tej sceny, powiódł wtedy hrabiego do innego domostwa, gdzie przedstawił mu swe żony i kilkoro dzieci. Przy pomocy znaków i niektórych wyrazów, wzajemnie pochwyconych, Luis pojął wreszcie stopień pokrewieństwa między swym gospodarzem a Ozemą, i wyznać trzeba, iż rad był z odkrycia, że piękna Indianka jest niezamężna, co przypisywał, może i słusznie, uczuciu zazdrości jakie w nim budziło podobieństwo jej do Mercedes.

Luis trzy dni przepędził w siedzibie kacyka, w ciągu których osoba jego była przedmiotem ogólnej ciekawości. Kobiety z niewinnym zaufaniem dotykały jego ubrania i podziwiała białosc jego w porównaniu ze śniadą cerą tuziemców. Jedna tylko Ozema mniej była śmiała, chociaż bacznym wzrokiem śledziła każdy ruch cudzoziemca. Luis, na wonnych wyciągnięty matach, całymi nieraz godzinami przypatrywał się dziewczycy, w zamiarze niby odkrycia nowego podobieństwa z oddaloną kochanką, a rzeczywiście znęcony osobistym powabem Ozemy. Spostrzegłszy wyższość jej umysłową nad żonami kacyka, pragnął zaznajomić się przez nią ze stosunkami krajowymi, w czym rzadka pojętność młodej Indianki usiłowaniami jego przychodziła w pomoc. Ozema w kilku dniach wyuczyła się mnóstwa wyrazów hiszpańskich i wymawiała takowe z niewysłowionym wdziękiem. Luis de Bobadilla, chociaż z natury lekkomyślny, gorliwym był jednak chrześcijaninem. W tej

epoce ogół tchnął jeszcze głębokim dla religii poszanowaniem, a choć i wtedy nie zbywało na wątpiających, należeli raczej do klasy polityków lub duchownych, ukrywających zasady swoje pod habitem zakonnym. Pożycie młodzieńca z Kolumbem utwierdziło jego wiarę w Opatrzność; skłonny był przeto uznać w cudownej prawie łatwości z jaką Ozema go pojmowała, zrządzenie wyższej woli, dla ułatwienia stosunków z krajowcami i rozszerzenia między nimi Ewangelii. Często, wpatrując się w słodkie i pełne wyrazu oko Ozemy, przypuszczał, że jest powołanym do zbawienia wyspiarzy przez pośrednictwo nadobnej dziewczyny. Pamiętny na zlecenie admirała, chciał także zasięgnąć od niej wiadomości względem położenia złotodajnych kopalń, lecz objaśnienia Ozemy w tym względzie były niedokładne.

Drugiego dnia wyprawiono dla uczczenia gościa igrzyska, w których Luis miał pole do popisu, a będąc zręcznym i zaprawionym w turniejach, pokonał z łatwością współzawodników, nie wyłączając samego Mattinao. Młody kacyk nie okazywał jednak zawiści ani wstydu, a siostra jego klaskała w ręce z radości. Powabne jej lice żywszym zajaśniało rumieńcem, oko tłumionym iskrzyło się blaskiem, a uśmiech zadowolenia odsłaniał dwa rzędy lśniącej białości zębów. Ozema miała czarne oczy, Mercedes zaś niebieskie, ale spojrzenie Indianki, zwłaszcza gdy patrzyła na Luisa, podobne było bardzo do spojrzenia Kastylijki.

Niejednokrotnie też w ciągu igrzysk młodzieniec zauważył, iż wyraz twarzy Ozemy był jakby odbiciem radości Mercedes podczas turniejów.

Mimo tego bohater nasz nie zubożniał dla ukochanej, gdyż mimo licznych błędów, za wiele miał rycerskiego ducha, aby zapomnieć o damie swego serca, lecz będąc młodym i oddalonym od Mercedes, nie mógł się okazać nieczułym na jawne dowody uwielbienia Haitanki. Gdyby Ozema w postępowaniu z nim używała sztucznej zalotności, Luis byłby się ocknął natychmiast, ale widząc jej prostotę daleką od rozmysłu, oddawał się bez obawy chwilowemu uczuciu.

Wśród nowych zajęć i silnych wrażeń czas zawsze szybko biegnie. Luis ani się spostrzegł jak upłynęły trzy dni pobytu jego u kacyka Mattinao. A i Sancho w ciągu tych dni był bohaterem swego koła, a chociaż nie nauczył się ani słowa po haitańsku i choć żadna z Indianek nie korzystała od niego wykładu języka hiszpańskiego, to umiał jednak używać chwili, rozdając dzwonki, a biorąc w zamian złote ozdoby. Stary marynarz niemniej zdrowe zaiste miał pojęcia o stosunkach handlowych, jak nowocześni ekonomiści. Zasady swoje w tej mierze objawił w rozmowie z Luisem.

— Widzę, żeś się nie wyrzekł zamięłowania w dublonach, przyjacielu Sancho, rzekł Luis na widok złotego piasku i blaszek zebranych przez marynarza — w worku twoim dość jest kruszcu dla wybicia paru tuzinów monet z popiersiem królewskim.

- Mógłbyś podwoić tę liczbę, senior, a to wszystko dostałem za kilkanaście dzwonek, nie wartych

garści marawedów. Na wszystkich świętych! zamiana ta bardzo przyjemna dla biednego pachołka. Ci ludzie tyle cenią sobie złoto, co wasza ekscelencja zabitego Maura, a ja znów mało dbam o dzwonki. Nie robimy sobie krzywdy, bo oddajemy nic za nic.

- A czy to uczciwe, Sancho, pozbawiać ich złota za rzecz tak małej wartości? Przypomnij sobie, że jesteś chrześcijanem kastylijskim.

- Pamiętam o tym, senior, ale wartość każdego przedmiotu względną jest co do ceny jaką doń przywiązują w miejscu sprzedaży. Wie o tym każdy kupiec, bo to jasne jak słońce. Wenecjanie nabywają w Kandii za bezcen rodzynki, figi i wina greckie, chociaż płody Zachodu na tej wyspie niesłychanie są drogie. Wszystko w danym czasie i miejscu może znaczyć nic, albo wiele; najpierwszą zaś zasadą w handlu jest dawać mało, a brać jak najwięcej.

Gdy Sancho wyniszczał w ten sposób swą teorię o zamianie, od wioski rozległ się nagle krzyk przerażenia. Przytoczona rozmowa miała miejsce w lasku, na pół drogi między wsią a mieszkaniem kacyków. Obaj Europejczycy byli nieuzbrojeni, gdyż Luis miecz swój zostawił w ręku pięknej Ozemy, która bawić się nim lubiła, Sancho zaś, nie chcąc dźwigać ciężkiej rusznicy, złożył ją w swym mieszkaniu.

— To może zdrada, senior, zawołał Sancho. Ci hultaje poznali się zapewne na prawdziwej wartości dzwonek i pragną odebrać swe złoto.

— Mattinao i poddani jego nie dopuszczą się wiarołomstwa, ręczę za to honorem. Ten rozruch inną ma przyczynę. Posłuchaj! zdaje mi się, że wołają Kaonabo!

— Tak jest, senior, a podobno to imię kacyka Karaibów, śmiertelnego wroga tego plemienia.

— Ruszaj do wsi po rusznicę i powróć do siedziby kacyka. Starajmy się obronić Ozemę.

Po tych słowach Luis i Sancho rozłączyli się: pierwszy pobiegł do wsi, a drugi wolnym krokiem zawrócił się ku mieszkaniu kacyka, spoglądając często za siebie i żałując, że nie miał pod ręką konia i dzidy, przy których pomocy z łatwością byłby rozpędził całą hałastrę napastników.

Wróciwszy do mieszkania kobiet, Luis zastał tam już trwogę; spłoszone żony kacyka zebrały się w gromadę, wymawiając z przerażeniem imię Kaonabo, jedna tylko Ozema była spokojniejszą. Z przybyciem młodzieńca niewiasty garnąć się zaczęły koło księżniczki i łatwo było zrozumieć, iż nakłaniały ją do ucieczki, by nie popadła w ręce Karaiba. Luis domyślił się wtedy, że celem niespodziewanego napadu było porwanie dziewicy i przypuszczenie to powiększyło jego zapał. Ozema, ujrawszy go, przybiegła z załamanymi rękoma; błagające jej spojrzenie wyrażało ufność i nadzieję. Luis w jednej chwili uchwycił miecz, a zastawiwszy się tarczą i wywijając orężem, zapewnił tym sposobem księżniczkę o swej pomocy. Kobiety pierchnęły w mgnieniu oka, szukając schronienia dla siebie i dla dzieci, i Luis znalazł się sam na sam z Ozemą.

Niebezpiecznie było pozostać w mieszkaniu, bo silny oddział nieprzyjaciół wdzierał się już na

wzgórze, w zamiarze ujęcia pięknej zdobyczy; Luis starał się przekonać Indiankę o potrzebie ucieczki. Wtedy Ozema, tuląc się do młodzieńca i drżąc z obawy, zawołała:

- Kaonabo! nie! nie!

Dziewczyna zapamiętała wyraz oznaczający przeczenie, i chciała zapewne tym sposobem objawić nienawiść swoją dla naczelnika Karaibów. Luis ten wstręt przypisywał uczuciu Ozemy dla siebie; nasz bohater bowiem, jakkolwiek pełen rycerskiej szlachetności, był nieco próżny i wysokie miał o sobie wyobrażenie. Wobec jednej tylko Mercedes odstępowała go zwykła buńczuczność.

Opuściwszy siedzibę kacyka, młody hrabia, jako biegły wojownik, szukał obronnego stanowiska i znalazł takie o sto kroków zaledwo od domostw. Góry tworzyły tu zakątek z trzech stron otoczony jakby wałem i punkt ten, przy dzielnej obronie, był prawie niezdołym. Ozema ukryła się za skałą, lecz wiedzioną współczuciem dla Luisa, lękliwie nieraz wychylała głowę.

Zaledwie Luis zajął tę naturalną warownię, gdy kilkunastu dzikich, uzbrojonych w łuki, maczugi i dzidy, stanęło rzędem o paręset kroków. Młodzieniec samą tylko tarczą mógł się zastawiać od pocisków nieprzyjaciół; ale wiedział, że ich strzały, choć rażą z bliska i w nagie wymierzone ciało, w oddaleniu mało są szkodliwe. Nie korzystał więc z bezpiecznego schronienia za skałami, występując w otwarte miejsce, gdzie swobodniej mógł się poruszać.

Szczyściem dla męznego obrońcy sam Kaonabo, ścigając za kobietami, w których gronie spodziewał się Ozemy, nie był wtedy obecny; zapalczywa bowiem odwaga groźnego naczelnika Karaibów byłaby może od razu zakończyła walkę na korzyść przewagi liczebnej. Bez niego napastnicy nie śmieli stanowczo nacierać, ograniczając się tymczasowo do wypuszczenia pojedynczych strzał, które Luis odbijał końcem swego miecza. Pogardliwe to przyjęcie ich zaczepki dziki okrzyk wzbudziło w szeregu nieprzyjaciół.

Powtórny napad bardziej był gwałtowny. Ośmiu Indian, opatrzonych w łuki, napięto jednocześnie cięciwy, a choć pociski o nadstawioną odbiły się tarczę, oblężeniec jednak otrzymał kilka stłuczeń. Już dzicy nowe nakładali strzały, gdy młoda dziewczica opuściła kryjówkę i z założonymi na krzyż rękoma stanęła przed Luisem.

— Ozema! Ozema! zawołali oblegający.

Na próżno Luis zaklinał księżniczkę, aby się usunęła; żadna namowa skłonić jej nie mogła do opuszczenia drogiego sercu swemu obrońcy. Nie chcąc narazić jej życia, Luis rad nierad musiał z nią razem schronić się w bezpieczne miejsce.

Zaraz potem w gromadzie napastników zjawił się wojownik dzikiego wejrzenia, któremu hałaśliwie opowiadać zaczęto dotychczasowe wypadki.

- Kaonabo? zapytał Luis Ozemy.

Dziewczyna czule spojrzała na młodzieńca i potrzęsła głową.

- Nie! nie! odrzekła z żywością; Kaonabo, nie! nie!

Luis zrozumiał, że pierwsza część odpowiedzi znaczyła, iż przybysz nie jest Kaonabo, a druga wyrażała wstręt jej osoby do naczelnika Karaibów.

Narada przeciwników wkrótce była ukończona, i sześciu z nich rzuciło się ku schronieniu obleżonych. Wtedy Luis wyszedł z kryjówki i stanął w obliczu nieprzyjaciela. Dwie dzidy uderzyły w jego tarczę, ale miecz młodziana błysnął w powietrzu, i ręka najbliższego wojownika razem z maczugą padła na ziemię.

Tak zręczne i niespodziewane cięcie przeraziło nacierających, którzy nie znali jeszcze w boju użycia żelaza, i szybka ta manipulacja wydała się im cudem.

W tej chwili okrzyk radości w gronie Indian zapowiedział przybycie posiłków, na których czele tym razem znajdował się sam Kaonabo. Doniesiono mu zaraz o wszystkim, i wojowniczy kacyk widocznie był zdziwiony czynami naszego bohatera. Po upływie kilku minut naczelnik kazał cofnąć się towarzyszom do pewnej odległości i złożąwszy swoją broń, postąpił ku Luisowi z oznakami przyjaźni.

Dwaj przeciwnicy zbliżyli się do siebie z grzecznością i wzajemnym zaufaniem. Karaib zaczął przemowę, z której Luis zrozumiał tylko imię pięknej Indianki. Ozema wyszła także z ukrycia, a rubaszny wielbiciel zwrócił do niej swe słowa, namiętnie często przyciskając rękę do serca. Księżniczka odpowiedziała z pośpiechem osoby co z góry już powzięła postanowienie. Pod koniec, żywo zapłoniona, wskazała na Luisa i rzekła po hiszpańsku:

— Kaonabo, nie! nie!... Luis! Luis!

Z nieopisanym wyrazem groźnego oburzenia naczelnik Karaibów przyjął to oświadczenie na korzyść cudzoziemca. Gniewnie potrząsając rękę powrócił do swoich, i kazał natychmiast ponowić napaść.

Tym razem wypuszczono znów z daleka grad strzał, przed którymi Luis, troszcząc się o życie nie odstępującej go Ozemy, schronić się musiał za skałę. Dowódca poprzedni, któremu Kaonabo wymówił bezskuteczność pierwszego natarcia, chcąc zatrzeć tę zmazę, rzucił się z maczugą ku Luisowi. Pod gwałtownym jego uderzeniem ręka mniej silna byłaby się ugięła, ale bohater nasz, zaprawiony w tylu walkach, wytrzymał je i widząc, że wszystko zależy od stanowczego w tym razie zwycięstwa, jednym zawinięciem miecza głowę Karaiba odłączył od ciała.

Indianie spieszący za dowódcą stanęli jak wryci, lecz Kaonabo z rykiem rozdrażnionego tygrysa, podzegał upadającą ich odwagę, i już ponowić miano napad, gdy nagle z boku zagrzmiął huk strzelby. Dwóch Karaibów padło śmiertelnie rażonych, reszta, mniemając że niebo zesłało swe pioruny na pomoc obleżonym, pierzchnęła w jednej chwili. Podczas gdy nieprzyjaciel w beładnej ucieczce szukał ocalenia, z gęstwiny przyległego lasu wyszedł Sancho, trzymając rusznicę.

Okoliczności były naglące, z poddanych kacyka Mattinao ani jeden nie dotrzymał placu. Dla ocalenia przeto Ozemy nie pozostawało Luisowi jak zwrócić się ku wybrzeżu. Zastawszy kilka łodzi blisko lądu, wszyscy troje wypłynęli na morze, a że wiatr był zachodni, w parę godzin znajdowali się niedaleko okrętów, gdzie wysiedli ukradkiem; Luis bowiem nie zapomniał o zleceniu admirała, by tę swoją wycieczkę przed załogą trzymał w tajemnicy.

ROZDZIAŁ XXIII

Przybywszy w miejsce, z którego widać było okręty, Luis ujrzał z przerażeniem, że „Santa Maria”, którą cztery dni temu w najlepszym zostawił stanie, rozbita, z potrzaskanymi masztami leżała na piasku. „Nina” była wprawdzie nie tknięta, ale młodzieniec uczuł mimowolną trwożę na myśl, że wąty ten statek stanowił odtąd jedyne jego schronienie. Wybrzeże zarzucone było materiałami budowlanymi, a Hiszpanie, wspólnie z krajowcami, pracowali widocznie nad wzniesieniem rodzaju twierdzy. Powierzając Ozemę opiece jednego z Indian, Luis i Sancho pospieszyli do towarzyszy, aby od nich dowiedzieć się co było przyczyną katastrofy.

Kolumb przyjął młodego przyjaciela serdecznie, lecz z głębokim smutkiem. Opowiedziawszy jakim sposobem okręt admirałski uległ rozbiciu, dodał, że „Nina” nie może zabrać wszystkich podróżników, postanowił więc zostawić część załogi w warowni, a z resztą jak najszybciej powrócić do Hiszpanii. Guakanagari okazał się w tej mierze pełnym dobrych chęci, i wszyscy tak byli pracą zaprzątnięci, że nikt nie pomyślał o młodzieńcu, ani nawet o napadzie Karaibów, o którym wieść nie doszła może jeszcze w te strony.

Tydzień po powrocie Luisa spędzono wśród zajęć rozlicznych. Rozbicie okrętu „Santa Maria” nastąpiło w dzień Bożego Narodzenia 1492 roku, a czwartego stycznia „Nina” gotowa już była do drogi powrotnej. W tym czasie raz tylko widział Ozemę i znalazł ją niemą, zasmuconą, podobną do zerwanego kwiatka, którego barwy nie straciły jeszcze piękności, chociaż główka już zwisała. Dopiero trzeciego stycznia wieczorem, gdy się przechadzał pod świeżo ukończoną warownią, Indianka powtórnie zaprosić go kazała przez Sancha. Po przybyciu nasz bohater, ku wielkiemu swojemu zdziwieniu zastał u Ozemy jej brata, młodego kacyka.

Jakkolwiek rozmawiać z sobą nie mogli, umieli przecież wzajemnie się porozumieć. Ozema nie była już smutna, uśmiech wesołości osiadł na jej powabnej buzi, i zdawało się Luisowi, że nigdy nie widział jej równie miłej i ujmującej. Smągła jej postać, wzór prawdziwy wrodzonego wdzięku, opromieniona radością, zaledwo dotykała ziemi, a staranne, jak na Indiankę, i nieco zalotne ubranie, nowego przydawało jej uroku.

Wkrótce Luis dowiedział się o przyczynie tej nagłej zmiany w usposobieniu księżniczki. Brat z

siostrą, po odbytej naradzie, zważywszy grożące niebezpieczeństwo i słabe środki obrony, uznali w ucieczce jedyne ocalenie dla Ozemy. Wiadomo, że admirał miał zamiar zabrać do Hiszpanii pewną liczbę krajowców, a trzy kobiety dobrowolnie już się w tym celu zgłosiły; łatwo więc zgadnąć, że i piękna Ozema chętnie przystała na podróż do Europy. Jedną z niewiast mających towarzyszyć Kolumbowi była krewną i przyjaciółką siostry kacyka Mattinao; wszystko zatem sprzyjało jej zamiarowi, zwłaszcza że drogę do Hiszpanii wyobrażała sobie jako niewiele dłuższą od przeprawy z jednej wyspy na drugą.

Postanowienie Ozemy zarazem ucieszyło i zakłopotало Luisa, który cokolwiek może sam sobie nie dowierzał. Wszelako Mercedes królowała w jego sercu; odtrącał przeto zwątpienie, jako uwłaczające honorowi rycerskiemu, i z silną wolą zachowania wierności oddalonej, udał się do Kolumba dla zasięgnięcia jego rady.

Kolumb zajęty oglądaniem warowni, wysłuchał młodzieńca z przychylnością, lecz pod badawczym spojrzeniem admirała Luis, nie wiedząc sam dlaczego, kilkakrotnie spuścił oczy.

— Siostra kacyka? — rzekł Kolumb nareszcie, dziewczyna szlachetnego urodzenia?

— Tak jest, seniorze, a przy tym tak powabna, iż królowa wysokie z niej poweźmie wyobrażenie o wartości naszych odkryć zamorskich.

- Czy pamiętasz o tym, mości hrabio, że sercu czystemu czyste tylko nieść można ofiary? Donna Izabella jest wzorem monarchiń, żon i matek; anielska jej dusza nie powinna być skalana widokiem niegodnego siebie przedmiotu. Radbym wiedzieć czy młoda Indianka nie stała się czasem ofiarą uwiedzenia.

- Senior, don Christoval, nie powinienes tak źle o mnie myśleć. Ręczę, że ta dziewczyna jest równie niewinna, jak sama Mercedes, której opiece zamierzam ją polecić.

- Zgoda więc, młody mój przyjacielu. „Nina” jest wprawdzie mała, ale się pomieścimy jak będzie można. Kajutę dowódcy przeznaczam dla kobiet, my zaś obędziemy się przez te kilka tygodni. Przyprowadź Ozemę i miej staranie o jej wygodach.

Nazajutrz rano po tej naradzie młoda dziewczyna, zabrawszy co miała z kosztowności, a między nimi zawój otrzymany od Luisa, udała się na okręt. Pożegnanie jej z bratem było tkliwe i rozrzewniające, łagodny bowiem charakter tych prostych dzieci przyrody, nawet wysokiego urodzenia, podlegał wpływowi uczucia rodzinnego. Że jednak rozłączenie miało być krótkie, jak sobie obiecywano, oboje rodzeństwo z najlepszą rozstali się nadzieją.

Kolumb początkowo miał zamiar przed powrotem do Europy dalej posunąć swe odkrycia, lecz strata jednego okrętu i ucieczka drugiego zmusiła go do odroczenia tego planu. Czwartego więc stycznia 1493 roku wypłynął na wschód, trzymając się jeszcze wybrzeża. Jedyńm jego życzeniem było wtedy dosięgnąć Hiszpanii i ponieść wiadomość o wielkim odkryciu. Szczęśliwym

zdarzeniem trzeciego dnia zaraz ujrano z daleka „Pintę”. Marcin Alonzo, nie dopiąwszy swego celu wynalezienia kopalń złota, uznał za stosowne odszukać admirała.

Nie będziemy tu opisywać spotkania obu dowódców. Kolumb przyjął podstępny Pinzona z umiarkowaniem, i wysłuchawszy jego tłumaczeń, dał mu rozkaz przygotowania „Pinty” do powrotu. Wkrótce oba okręty, po nabraniu w jednej z zatok drzewa i wody, ruszyły w kierunku wschodnim, nie odstępując jednak brzegu północnego Hispanioli, czyli małej Hiszpanii, jak Kolumb nazwał tę wyspę.

Tak nadszedł szesnasty stycznia, w którym podróżnicy nasi, żeglując ku północnemu zachodowi, wypłynęli na otwarte morze i stracili z oczu ziemię. Przy dosyć pomyślnym wietrze, zbaczając jednak często z prostego kierunku, wyprawa dziesiątego lutego dosięgła równoleżnika szerokości Palos i weszła w obręb działania wiatrów strefowych. W ciągu podróży „Pinta”, której maszt jeden był uszkodzony, ciągle zostawała w tyle, gdy tymczasem „Nina”, słynna z szybkiej żeglugi przy spokojnym morzu, niecierpliwie rwała się naprzód.

Większa część zjawisk spostrzeżonych w poprzedniej drodze powtórzyła się i teraz, tylko że tuńczyki nie podniecały już nadziei, ani zioła morskie nie budziły trwogi. Przebyto szczęśliwie tę przeszkodę, i po dwóch tygodniach wypłynięto z kręgu wiatrów strefowych. Bieg statków ciągle tyłu podlegał zmianom, że sternicy, nieprzywykli do tak drugiej podróży, stracili zupełnie rachubę i zawzięte nieraz toczyli spory, gdy szło o wytknięcie położenia okrętów.

- Słyszałeś, rzekł Kolumb z uśmiechem do Luisa, rozmowę dzisiejszą Marcina Alonzo, Wincentego Yanez i innych sterników. Częste zmiany wiatru tak dalece zakłopotwały tych poczciwych marynarzy, że gotowi naznaczyć statkom każde w świecie położenie, prócz tego, które zajmują istotnie.

- Naprawdę, senior, nasze bezpieczeństwo, a zarazem przyszłość wielkiego odkrycia od twej wyłącznie zależy wiedzy.

- Prawdę mówisz, Luis; Wincenty Yanez, Sancho Ruiz, Pedro Alonzo, Nino i Bartłomiej Roland, nie mówiąc już o żadnym z dyskutantów „Pinty”, utrzymują, że jesteśmy niedaleko Madery, czyli w odległości stu pięćdziesięciu mil od Hiszpanii, ale poczciwi ci ludzie więcej podobno idą za swym życzeniem, niż za prawdą.

- A ty, senior, don Christoval, w jakimże oddaleniu od Kastylii stawiasz wyprawę?

— Znajdujemy się na dwanaście stopni geograficznych od Wysp Kanaryjskich w kierunku zachodnim, pod szerokością Nafe na brzegach afrykańskich; ale nie chciałbym wyprowadzać ich z błędu. Każdemu z podwładnych moich zdaje się teraz, że mógłby zrobić to samo co i ja; a jednak żaden z nich trafić nie umie do domu.

Dotąd, mimo częstych zmian wiatru, niebo było pogodne. Kilka razy wprawdzie morze silniej się

wzburzyło; te małe przejścia wydały się fraszką dla doświadczonych marynarzy. Kolumb, dokonawszy wielkiego dzieła, zaczął teraz lękać się skrycie, aby owoc jego trudów nie został stracony dla ludzkości. Uczucie jego podobne było do niepokoju jakiego doznaje człowiek, któremu wśród grożących niebezpieczeństw drogi powierzono zakład. Wieczorem 14 lutego straszliwa burza napadła podróżników; wiatr szalał przez całą noc, i nieustraszony admirał, chociaż wobec załogi przybierał twarz pogodną, a nawet wesołą, nie ukrywał już przed Luisem swej obawy. Jednakże znakomity ten człowiek najzupełniejszą zachował przytomność, a jeśli trwożył się w duchu, to nie o siebie, lecz o swe dzieło.

Takie myśli zaprzętały umysł admirała, gdy podczas tej nocy, okropnej siedział z Luisem zamknięty w kajucie. Szum wichru zlewał się z rykiem zapienionych fal w głos jeden groźny i złowrogi. Niekiedy, gdy okręt chwilowo zagrzebany był między zwałami wody, burza zdawała się uciszać i żagle opadały, lecz skoro następna fala uniosła go na swym grzbiecie, stawał się znów igraszką rozhukanych żywiołów. Luis nawet, zwykle obojętny na niebezpieczeństwo, dziwnie jakoś spoważniał. Na zastęp Maurów, choćby najsilniejszych, młodzieniec gotów był zawsze uderzyć bez namysłu, lecz jakże walczyć z żywiołami? Wśród burzy morskiej najodważniejszy człowiek upada na duchu, bo czuje swoją niemoc w porównaniu z potęgą Stwórcy.

- Szkaradna noc, senior - rzekł Luis do Kolumba z udaną obojętnością.

Kolumb westchnął głęboko, podniósł głowę opartą na dłoni i obejrzał się wkoło, jakby czegoś szukając.

- Hrabio de Llera, odpowiedział głosem uroczystym, trzeba nam dopełnić ważnego obowiązku. W tej skrzynce znajdziesz pergamin i materiały piśmienne; wywiążmy się z długu dla ludzkości póki jeszcze czas; bo tylko Bogu wiadomo jak długo żyć nam pozwoli.

Luis nie pobrał na te słowa prorocze, tylko sposepniał jeszcze więcej. Otworzywszy skrzynkę, wydobyl z niej pergamin i rozłożył go na stole. Admirał wziął pióro, podał drugie Luisowi i obaj zaczęli pisać, o ile pozwalało gwałtowne kołysanie okrętu. Kolumb każde słowo powtarzał Luisowi, a ten na oddzielnym kreślił je pergaminie.

Treścią tego dokumentu było opisanie dokonanych odkryć, wskazanie stopnia długości i szerokości Hispanioli i wysp przyległych, oraz krótka wiadomość o wszystkim co widziano. Odbiorcami dokumentu uczynili Ferdynanda i Izabellę, admirał oba pergaminy owinął starannie w płótno; następnie schowali je w wydrążone bryły wosku, zalali szczelnie otwór, a same bryły włożyli w puste baryłki; po czym admirał i Luis, każdy ująwszy po jednej z nich, udali się na pokład. W tej strasznej nocy nikt nie pomyślał o spaniu, i większą część majtków zgromadziła się koło wielkiego masztu, jako jedyne miejsce gdzie nie groziło niebezpieczeństwo od fali bijących na okręt; lecz i tam nawet dosięgały ich bryzgi bałwanów spiętrzonych do niesłychanej wysokości

Zaraz po przybyciu admirała załoga otoczyła go, pragnąc z jego ust usłyszeć słowa pociechy. Niepodobieństwem było objawić tym skołatanim ludziom prawdziwy stan rzeczy; więc Kolumb, rzucając swą baryłkę w morze, powiedział że spełnia ślub religijny. Luis umieścił drugą na spodzie okrętu, w nadziei, iż w wypadku rozbicia wypłynie sama z siebie.

Po wykonaniu tego przezornego czynu Kolumb mógł się zająć koniecznymi rozporządzeniami. Ciemność była tak wielka, że oko z jednego końca pokładu nie zdolne było rozróżnić przedmiotów na drugim. Wincenty Yanez oświadczył admirałowi, iż statek nie może już unieść nawet szczątków żagli jakie mu pozostały.

— Czy widziałeś Marcina Alonzo? zapytał Kolumb, spoglądając z obawą w miejsce gdzie się spodziewał „Pinty”. Dlaczego latarnia okrętowa spuszczone?

- Nie zdołałem utrzymać w burzy jej światła; dotychczas jednak brat mój odpowiadał na sygnały.

- Zapal raz jeszcze latarnię: jest to chwila, w której pocieszyć może obecność przyjaciela, chociażby położenie jego było równie rozpaczliwe jak nasze.

Wzniesiono latarnię, i po niejakiem czasie ujrzano w oddaleniu migające światełko. Powtórzono kilkakrotnie sygnał, i światło odpowiadało, ale z coraz większej odległości, aż wreszcie zupełnie zgasło.

- „Pinta” jest zbyt słaba w masztach, rzekł Wincenty Yanez; brat mój nie może uchwycić wiatru.

- Każ zwinąć przedni żagiel! zawołał Kolumb.

Wincenty Yanez przyzwał kilku majtków, którzy pod jego kierunkiem wykonali rozkaz admirała. Maszt przedni nie bardzo zniesiony był nad pokład; więc zwiniecie żagla nieprzedstawiało wielkich trudności, lecz wymagało rąk silnych i wprawnych. Sancho i Pepe wspięli się na reję, i przy pomocy dwóch towarzyszy wywiązali się z otrzymanego polecenia.

Była to chwila najgroźniejszego niebezpieczeństwa, w której umiejętne tylko sterowanie okrętem ocalić mogło podróżników. Sancho, stanąwszy u steru, okazał wtedy biegłość i niesłychaną siłę, pot spływał z jego czoła wielkimi kroplami, lecz żelazna dłoń starego marynarza skutecznie opierała się burzy. Jednak trwoga ogólna do tego doszła stopnia, że załoga pragnęła uczynić jakiś ślub religijny. W tym celu wszyscy ciągnąć mieli losy na kogo wypadnie pokuta.

— Jesteśmy w ręku Boga, przyjaciele moi, rzekł Kolumb, poddajmy się więc z pokorą Jego woli. Jedna z kartek zawartych w tym kapeluszu oznaczona jest krzyżem; kto ją wyciągnie, przyjmuje obowiązek odbycia pielgrzymki do Najświętszej Panny w Gwadalupie. Jako admirał wasz i grzesznik żałujący, przystępuję pierwszy do losowania.

Kolumb sięgnął do kapelusza, i zbliżywszy wydobytą karteczkę do latarni, ujrzął na niej znak krzyża.

— To dla waszej ekscelencji, senior admirał, zawołał jeden ze sterników. Teraz pozwól abyśmy

powtórnie ciągnęli,znaczając pielgrzymkę do Najświętszej Panny Loretańskiej.

W chwilach niebezpieczeństwa człowiek skłonny jest zawsze do uczuć pobożnych; z zapalem więc wzięto się do nowego losowania, i krzyż tym razem przypadł majtkowi imieniem Pedro de Villa, znanemu z życia niekoniecznie przykładowego.

— Oj, ciężka to i kosztowna podróż, pomruknął majtek; trzeba na to niemałego funduszu.

- Nie kłopotz się, przyjacielu Pedro, odpowiedział Kolumb: trudy cielesne w przyszłym życiu przyczynią ci łaski; koszty zaś podróży ja biorę na siebie. - Burza coraz więcej się rozstroża, mój dobry Bartłomieju Roland!

- Widzę to, senior admirała, i nie bardzo jestem rad, że pokuta wypadła na Pedra. Ślub zakupienia Mszy św. po szczęśliwym powrocie i spędzeniu nocy na modlitwie w kaplicy św. Klary, lepiej nam może posłuży, niż pielgrzymka tego ladaco.

Zdanie Rolanda znalazło poparcie; losowano po raz trzeci, i dziwnym trafem karteczka z krzyżem dostała się znów Kolumbowi. Jednakże niebezpieczeństwo wzrastało, bo okręt, porwany jakby wirem, nie mógł już walczyć z wściekłością rozhukanych bałwanów.

- Nie mamy dość balastu, Wincencie Yanez, rzekł admirał; trzeba wszystkie beczki napełnić wodą morską.

Wykonanie tego rozkazu zajęło kilka godzin, bo z narażeniem tylko życia można było zaczerpnąć wody. Przy silnej wszelako woli i wytrwałości zdołano napełnić kilkadziesiąt beczek, dzięki temu bieg statku stał się pewniejszy. Nade dniem deszcz lunął potokiem, a wiatr, nie tracąc na gwałtowności, z południa przeskoczył na zachód. Przywrócono przedni żagiel, i „Nina” przebiegła mil kilka w kierunku wschodnim.

Ze światłem dziennym nadzieja wstąpiła w serca podróżnych: nie widziano wprawdzie „Pinty”, i uważano ją za zagubioną; lecz niebo rozjaśniło się nieco, a burza zwolniła na tyle, że majtkowie nie potrzebowali już czepiać się lin, aby uniknąć porwania przez fale. Rozpięto drugi żagiel, i okręt szybko płynąć zaczął z wiatrem.

ROZDZIAŁ XXIV

Po kilku godzinach, w znacznym jeszcze oddaleniu, ujrano ziemię; jedni mniemali, że to stały ląd Europy, drudzy, że Madera; Kolumb zaś utrzymywał, iż zbliżają się do jednej z Wysp Azorskich, i rzeczywiście była to wyspa świętej Maryi.

Nie będziemy tu opowiadać szczegółowo wypadków, które nastąpiły po zawinięciu „Niny” do portu; dosyć nadmienić, że Portugalczycy, jak poprzednio tak i teraz, napastowali admirała; lecz wszystkie ich starania spełzły na niczym i 24 lutego Kolumb popłynął do Hiszpanii.

W pierwszych dniach Opatrzność zdawała się sprzyjać podróżnikom, bo stan powietrza był pomyślny i morze spokojne. Od 24 do 26 wieczorem „Nina” zrobiła około stu mil w kierunku Palos; odtąd jednak wiatr stawał się silniejszy, zmuszając admirała do lekkiego zboczenia na północ. Przekonanie o bliskości Europy podtrzymywało nadzieję majtków. W sobotę 2 marca wieczorem już tylko sto mil, według rachuby Kolumba, dzieliło okręt od brzegów Portugalii, ku którym zwrócić się musiano z powodu wiatru południowo-zachodniego.

Nad ranem 3 marca na południu pojawiły się groźne chmury. Admirał stanął na tylnym podwyższeniu skąd rozleglejszą objąć mógł wzrokiem przestrzeń. Oznaki burzy były liczne i złowróżbne. Powietrze, białawym napelnione tumanem, przedstawiało widok kłębiącego się dymu, i zaledwo admirał zauważył to zjawisko, gdy w oddaleniu odgłos, jakby tysiąca kopyt końskich tętniących w cwale o pomost, zapowiedział zbliżanie się wichru. Morze zasyczało, i w jednej chwili burza tak strasznie się rozwścieczyła, jakby duchy piekielne przeszkodzić chciały poniesieniu do Hiszpanii wieści o wielkim odkryciu.

Łoskot podobny do huku kilkudziesięciu razem wystrzałów zapowiedział porwanie żagli. Statek pochylił się na bok, tak dalece, że bałwany dotykały końca masztów; lecz wyszedł szczęśliwie z tego szwanku i zaczął szybko biec z wiatrem.

Był to początek burzy straszniejszej jeszcze od poprzednio opisywanej. W pierwszej chwili trwoga do tego stopnia opanowała majtków, że nic nie przedsiębrali dla zwalczania groźnego niebezpieczeństwa. Okręt nie przestawał posuwać się z wiatrem, a burza unosiła poszarpane szczątki żagli. Postanowiono raz jeszcze przez pobożną ofiarę okupić przebaczenie nieba, i po raz trzeci los padł na Kolumba. Prócz tego cała załoga uczyniła ślub absolutnego postu w pierwszą sobotę po szczęśliwym wylądowaniu.

— Rzecz osobliwa, senior, rzekł Luis do admirała, że przypadek wszystkie niemal pokuty wkłada na ciebie. Musi to być skutkiem twojej głębokiej wiary.

— Powiedz raczej moich grzechów. Dumny powodzeniem, mogłem zapomnieć chwilowo, iż jestem tylko narzędziem Opatrzności, pracownikiem w winnicy Pańskiej, przypisując wielkie dzieło swojej osobistej zasłudze.

— Czy mniemasz, że obecnie grozi nam niebezpieczeństwo?

— Od opuszczenia Palos nie byliśmy ani razu w równie trudnym położeniu. Łąd musi być blisko, a burza coraz bardziej się rozszoła. Szczęście, że dzień niedaleki; miejmy nadzieję, iż z jego światłem pojawi się środek ocalenia.

Zabłyśnął wreszcie pierwszy promień jutrzeńki; bo przyroda, bez względu na wypadki, których widownią jest ziemia i morze, odbywa codzienną swą kolej, wytkniętą od wieków przez Stwórcę wszechrzeczy, dowodząc dumnym mieszkańcom padole tego, że wyższa mądrość czuwa nad

ruchem wszechświata. Wszelako dzień żadnej nie przyniósł zmiany; „Nina”, pchana nieprzepartą siłą wiatru i bałwanów, coraz bardziej zbliżała się do lądu.

O trzeciej po południu znaki sąsiedztwa ziemi stawały się coraz wyraźniejsze, chociaż nic jeszcze nie widziano, prócz zapienionych fal i ponurego nieba, rozjaśnionego niekiedy owym światłem fosforyzującym, co zwykle podczas burzy rozlane jest w powietrzu. Busola tylko wskazywała miejsce zachodu słońca, lecz oko w gęstym тумanie dojrzeć go nie mogło. I znów zapadła ciemność, i znów podróżnicy, razem z dobroczynnym światłem, stracili nadzieję.

- Ta noc, mój synu, jest szczególna, rzekł Kolumb w parę godzin po zachodzie słońca; jeżeli szczęśliwie doczekamy ranka, będzie to dowód łaski Boga.

- A jednak, senior, widzę cię spokojnym.

- Marynarz nie umiejący rozkazywać swemu głosowi i twarzy, rzec się powinien swojego zawodu. Co do mnie jednak, jestem rzeczywiście spokojnym, bo ufam rządzeniu Opatrzności.

- Jeżeli zginiemy, senior admirale, Portugalczycy staną się jedynymi spadkobiercami tajemnicy naszych odkryć; trudno bowiem sądzić, aby Marcin Alonzo ocalał.

- Smucę się tym, mój synu; ale przedsięwziąłem środki zachowania naszym władcom należnego im prawa. Resztę zostawiam Bogu.

W tej chwili usłyszano okrzyk: Ziemia! Wyraz ten, zwykle z radością przyjmowany przez żeglarzy, dla załogi „Niny” zdawał się wyrokiem śmierci. Kolumb i Luis pobiegli na pokład i ujrzeli rzeczywiście ląd w takiej bliskości, iż można było słyszeć huk bałwanów roztrzaskujących skały. Nie uległo wątpliwości, że to było wybrzeże Portugalii; rozbicie zdawało się nieuchronne. Jeden tylko pozostał środek: skrócić okręt na południe i trzymać go przez noc w oddaleniu od brzegów. Zaledwo Kolumb objawił nieodzowność tego ruchu, gdy już Wincenty Yanez zajął się jego wykonaniem.

Dla wykonania zbawczego obrotu potrzeba było koniecznie pomocy żagli; Kolumb dał rozkaz rozpięcia ich na tylnym maszcie. Śmiałe to postanowienie o mało jednak nie zgubiło statku, bo w chwili gdy żagiel nie był jeszcze dostatecznie przytwierdzony, wiatr zadał tak gwałtownie, że omal nie potrzaskał rei. Szarpnięcie było tak silne, jak wtedy, gdy pękła lina kotwicowa; odtąd jednak „Nina”, choć nieustannie zagrożona przez fale, zaczęła oddalać się od lądu.

— Luis! zawołał słodki głos na naszego bohatera, stojącego nieopodal drzwi kajuty kobiecej; Luis, Haiti lepiej — Mattinao lepiej — tu źle, Luis!

Była to Ozema, która opuściła izbę dla przypatrzenia się wzburzonemu morzu. W ciągu podróży Luis miał sposobność nauczenia jej nieco po hiszpańsku, a sam zapoznał się jako tako z narzeczem dzikich; rozmowy ich zatem zwykle w obu naprzemian toczyły się językach.

- Biedna Ozemo! odpowiedział młodzieniec, umieszczając ją tak, aby uderzenia okrętu najmniejszą

sprawiały jej przykrość; biedna Ozemo! musisz żałować Haiti i spokojnego ustronia jej lasów.

- Tam Kaonabo, Luis!

- Niewinna dziecino! Kaonabo nie tak jest straszny, jak wściekłość żywiołów.

- Nie! nie! Kaonabo bardzo zły! - On truje serce Ozemy. - Nie, Kaonabo - nie, Haiti!

- Ozemo, i nad tobą czuwa Opatrzność. Bóg tylko w tej chwili może cię ocalić.

- Co to ocalić?

- Bronić cię, Ozemo, czuwać nad twym bezpieczeństwem.

- Luis broni Ozemy - Ozema tak chce!

- Drogie dziecko, pragnąłbym to z serca uczynić; ale co robić przeciw burzy?

- Co Luis robił przeciw Kaonabo? - Pobił, i musiał uciekać Kaonabo.

- To łatwa była walka dla rycerza uzbrojonego w miecz i tarczę; lecz taką bronią nie poradzi się morzu. Jediną nadzieją naszą jest ufność w Bogu.

— Hiszpanie wielcy! — Ich Bóg także wielki?

— Bóg jest jeden wszędzie, Ozemo, w Hiszpanii i na Haiti. Przypominasz sobie com ci powiedział o miłości Jego i śmierci jaką poniósł dla naszego zbawienia; przyrzekłaś mi wtedy, że przybywszy do mojej ojczyzny przejdiesz na wiarę prawdziwą.

— Ozema zrobi co Luis chce. — Ozema już kocha Boga Luisa.

— Widziałaś krzyż święty, Ozemo, i obiecałaś go uczcić.

— Gdzie krzyż? Ozema nie widzi krzyża na niebie. — Pokaż krzyż Luis! — Ozema czcić będzie krzyż Luisa.

Młodzieniec miał zawieszony na piersi upominek pożegnalny Mercedes; sięgnął więc ręką w zanadrze, wy dobył ukryty klejnot i ucałowawszy go pobożnie, podał takowy młodej Indiance.

— Oto, rzekł, krzyż do którego się modlimy.

— Czy to Bóg twój, Luis? zapytała Ozema ze zdziwieniem.

— Nie Bóg, tylko znak jego widomy, biedna, nieświadoma dziecino!

— Co to nieświadoma? przerwała dziewczyna, której umysł pojętny i bystry nie pomijał żadnej sposobności objaśnienia się.

— Nieświadoma znaczy żeś nie słyszała nigdy o krzyżu i zbawiennym jego wpływie.

— Ozema już teraz nie będzie nieświadoma, zawołała Haitanka, przyciskając krzyż do serca; Ozema kocha krzyż — bo krzyż Mercedes!

Wskutek dość naturalnego przypuszczenia młoda księżniczka, będąc nieraz świadkiem mimowolnego zapału z jakim Luis wymawiał imię ukochanej, mniemała że wyraz Mercedes oznacza wszystko co piękne i wzniosłe.

- Chciałbym rzeczywiście, abyś została pod opieką tej, którą wspominasz; ona twe czyste serce

łatwo na właściwą powiodłaby drogę. Ten krzyż pochodzi od Mercedes, ale to nie sama Mercedes. Kochaj go, Ozemo, i zawieś na szyi, gdyż to cię może obronić w niebezpieczeństwie.

Młoda dziewczica pojęła o co chodzi, tym bardziej że Luis grzecznie jej dopomógł w zawieszeniu krzyża. Z uwagi na zmiany klimatyczne, a bardziej z pobudek przyzwoitości, Kolumb podarował niewiastom szerokie jedwabne suknie. Ozema sądząc, że Luis udarował ją krzyżem, chciała go ukryć w zanadrze, ale nie będąc jeszcze przywykłą do kroju europejskich sukien, nie umiała sobie jakoś z tym poradzić. Luis, machinalnie prawie, dopomógł jej w umieszczeniu klejnotu; jednocześnie gwałtowne uderzenie okrętu zmusiło go wpół objąć dziewczynę. Zachwiana nagłym ruchem, a może ulegając popędowi uczucia, Ozema nie gniewała się bynajmniej za tę śmiałość; pochylona na ramieniu młodzieńca, oparła głowę na jego piersi i wlepiła w jego twarz czule spojrzenie.

- Nie trwóż się, Ozemo, zawołał Luis. Wszystko skończy się dobrze.

- Ozema spokojna - nie potrzebuje Haiti - nie potrzebuje Mattinao - Ozema teraz szczęśliwa, bo ma krzyż.

- Obyś nigdy innych nie znała uczuć, drogie dziecię! ufaj zawsze temu godłu.

— Krzyż Mercedes — Luis, Mercedes — Luis i Ozema zawsze kochać będą krzyż!

Szczęściem może dla jej prostolinijnego rozumowania „Nina” w tej chwili tak gwałtownie została podrzucona, że bohater nasz cofnąć się musiał mimowolnie, a zanim odzyskał równowagę, Ozema powróciła do kajuty.

— I cóż, mój synu? zapytał Kolumb powracając na pokład, czy nasze kobiety bardzo są przerażone? Prawdę mówiąc, ta burza zatrwożyć by mogła nawet serce amazonki.

— Nie zwracają uwagi na niebezpieczeństwo, którego nie znają. Te dzieci przyrody tak silnie w nas wierzą, że przypisują nam możliwość uspokojenia nawet żywiołów. Dałem Ozemie krzyż święty, zalecając jej ufność w to godło chrystianizmu.

— Dobrześ zrobił, bo ocalenie nasze wyłącznie jest w ręku Boga. — Sancho! zwracaj się ile możliwości przodem do wiatru; im dalej będziemy od brzegu, tym dla nas lepiej.

Sancho zapewnił swą gotowość usłuchania rozkazu, i rozmowa na tym się skończyła.

Po bezsennie spędzonej nocy nadszedł wreszcie dzień tak pożądanym; lecz jego światło nie przyniosło podróżnikom pociechy. Gęsty tuman, nawiany przez burzę, zalegał niebo, zniżając do połowy wysokości jego sklepienia, a morze kipiało pianą. Niezadługo z lewej strony okrętu ujrano ciemną wyniosłość, w której majtkowie poznali skały Lizbony. Upewniwszy się o tym osobiście, admirał kazał zawrócić statek ku ujściu Tagu, oddalonemu na mil nie więcej jak kilkanaście; lecz zamiar ten, ze względu na gwałtowność wiatru, z najwyższym połączony był niebezpieczeństwem. Zapomniano już wtedy o zatargach politycznych z Portugalczykami, bo wszyscy wiedzieli, że mają

tylko wybór między portem jakimkolwiek lub rozbiciem.

W godzinę później „Nina” tak blisko dotarła lądu, iż dobre oko mogło rozróżnić na nim ludzi. Była to chwila zawieszenia między zgubą a ocaleniem, między śmiercią a życiem. W miarę jak statek posuwał się ku brzegowi, słyszano huk fali roztrząanych o skałę i widziano bałwany bijące u jej stóp do wysokości dwupiętrowej. Lizbona od strony morza zupełnie jest odsłonięta, a brzegi portugalskie należą do najniebezpieczniejszych w Europie. Szczególnie południowo-zachodnie huragany niejednym corocznie rozbijają tu okręt. Burza, której igraszką stali się nasi podróżnicy, niezmiernie była silną, zwłaszcza że zmienność wiatru stała się powodem niejednostajnego kołysania, tak zgubnego zawsze dla statków małego rozmiaru.

- Dobrze idzie, senior! zawołał Luis; kwadrans jeszcze, a wszystko będzie skończone.

— Masz słuszość, mój synu, odpowiedział Kolumb spokojnie; jeżeli fala rzuci nas na skałę, za kwadrans z kadłuba „Niny” dwie deski ledwo zostaną razem. Żwawo, żwawo, mój dzielny Wincenty Yanez! Możemy teraz zaniechać steru, bo wszystko zależy od żagli.

— To prawda, senior, lecz okręt pędzi z szaloną szybkością.

— Nie lękaj się o to; nie ma tu mielizn, a statek nasz mało się zanurza.

Załoga w uroczystym milczeniu oczekiwała rozstrzygnięcia swego losu, a okręt gnany południowo-zachodnim wiatrem z rąchością strzały zbliżał się ku brzegowi. Kipiące fale, rozprysnięte o twarde grzbiety skał, tworzyły odmet wirowy, grożący pochłonięciem skołatanemu statkowi; ale „Nina” zręcznym obrotem minęła niebezpieczne miejsce, i w kilka minut dosięgła Tagu. Wtedy zwinęto wielki żagiel, a marynarze, pewni już ocalenia, głośno wyrażali swą radość.

Taki był koniec najśmielszej z odbytych dotąd morskich podróży. Kolumb dokonał olbrzymiego wysiłku, i wieść o powodzeniu jego wkrótce rozeszła się po Półwyspie Pirenejskim. Wiadomo jak go przyjęto w Portugalii, a mianowicie w Lizbonie, gdzie zarzucił kotwicę 4 marca. W dziewięć dni później „Nina” opuściła brzegi portugalskie i dnia 15 ze wschodem słońca znajdowała się pod Saltes, po dwustu dwudziestu czterech dniach niebytności.

ROZDZIAŁ XXV

Mimo szlachetnych pobudek Kolumba, mimo wytrwałości i odwagi . jakiej wymagało dokonanie jego dzieła, podróż ta wśród nawału ważnych spraw miejscowych, małe dotychczas obudziła zainteresowanie. Na miesiąc właśnie przed podpisaniem ugody z Kolumbem wydany został słynny edykt dwojga władców względem wygnania Żydów! To wytrzebiecie znacznej części narodu hiszpańskiego samo przez się dostateczne już było do odwrócenia ogólnej uwagi od dzieła tak wątpliwego, jak wyprawa genueńskiego odkrywcy. Koniec lipca 1492 r. ostatecznym był kresem,

w którym prześladowani innowiercy ustąpić musieli z półwyspu; w czasie więc kiedy Kolumb zamierzał wypłynąć z Palos, Hiszpania drżała pod dotknięciem tej klęski narodowej. Podobni do braci swych uciekających niegdyś z Egiptu, Żydzi rojami zalegali gościńce, nie wiedząc gdzie skierować swe tułaczne kroki.

Królewskie stadło opuściło Grenadę w maju. Po dwóch miesiącach pobytu w Kastylii, na początku sierpnia udali się do Aragonii, gdzie przebywali w chwili odpłynięcia wyprawy. W październiku zwiedzili niespokojną Katalonię, i całą zimę spędzili w Barcelonie. Siódmego grudnia nastąpił zbrodniczy zamach na życie króla, któremu zapaleniec jakiś zadał w szyję głęboką ranę. Izabella czuwała przy łożu małżonka z całym poświęceniem przywiązanej kobiety, póki życie jego zdawało się być zagrożone. Później przez parę miesięcy ciągnęło się śledztwo; nic więc dziwnego, że w takich okolicznościach królowa zapomniała o Kolumbie, zwłaszcza gdy Ferdynand dawno już zważył ó skutku przedsięwzięcia śmiałego żeglarsza.

Uroczą wiosną krajów południowych w końcu marca 1493 r. rozwinęła się z całą świetnością pod szczęśliwym niebem Katalonii. Król od kilku już tygodni zaczął zajmować się sprawami państwa, a Izabella, wolna od kłopotów stroskanej małżonki, wróciła do kółka zwykłych domowych zajęć. Nigdy może pożycie jej z dziećmi i powiernikami nie było tak serdeczne. Pierwsze miejsce w rzędzie jej przyjaciółek zajmowała, jak zawsze, markiza de Moya. Podobnie Mercedes cały swój czas poświęcała królowej albo jej dzieciom.

Pewnego dnia w maju, po wieczornym przyjęciu, królowa zgromadziła w swych pokojach grono zaufanych osób. Niedaleko już było północy, a król, swoim zwyczajem, pracował jeszcze w przyległym gabinecie. Oprócz członków rodziny królewskiej oraz donny Beatrix z siostrzenicą, towarzystwo składało się z arcybiskupa Grenady, Luisa de Saint-Angel i Alonza Quintanilla. Dwóch ostatnich przyzwał prałat, dla rozpatrzenia jakiejś sprawy skarbowo-duchownej, wobec dostojnej monarchini. Narada była ukończoną i nastąpiła przyjacielska pogadanka.

— Czy nie masz wiadomości o nieszczęśliwych wygnańcach, księżo arcybiskupie? zapytała Izabella, której tkliwe serce ubolewało nad surowością prawa przeciw Żydom, ogłoszonego z podszeptu spowiedników. Modły moje nie przestają im towarzyszyć, chociaż obowiązek chrześcijański i polityka wymagały ich usunięcia.

— Miłościwa królowo, odrzekł Ferdynand de Talavera, służyć oni będą mamonie pomiędzy Maurami lub Turkami, podobnie jak w Hiszpanii. Niech wasza wysokość nie troszczy się bynajmniej o tych wrogów Zbawiciela, którzy słusznie pokutują za zbrodnie swych ojców, jeśli tylko nazwać to można pokutą. Chciej raczej zapytać, najjaśniejsza pani, obecnych tu przyjaciół Kolumba co się z nim stało i kiedy ujrzymy go z powrotem, w towarzystwie wielkiego chana.

— Nic o tym nie wiem, świątobliwy prałacie, odezwał się Luis de Saint-Angel. Od czasu jak

opuścił Wyspy Kanaryjskie staciliśmy go z oczu.

- Wyspy Kanaryjskie? wtrąciła królowa ze zdziwieniem. Czy macie stamtąd wiadomości?

- Mamy ustne tylko doniesienia, miłościwa pani. Słysząc, że admirał z Gomery, gdzie doznał prześladowania od Portugalczyków, popłynął na zachód; lecz od tej chwili los jego jest nieznan.

- Któż waszej eminencji zaręczył, dodał Quintanilla, że podróżnicy nasi nie powrócą?

- Genuńczyk, który z łaski naszych władców otrzymał tytuł admirała, nie będzie pewnie skłonny do pozbycia się tej godności; odpowiedział prałat z urąganiem. Nikt dobrowolnie nie zrzeka się władzy i znaczenia, zwłaszcza gdy w oddaleniu spokojnie używać ich może.

- niesprawiedliwym jesteś w sądzie o tym człowieku, odparła królowa. Nie wiedziałam o przybyciu jego do Wysp Kanaryjskich, i rada jestem że usłyszała choć tyle. Jakże straszne w tych czasach mieliśmy burze, senior Saint-Angel!

- Tak straszne, miłościwa królowo, że marynarze Barcelony podobnych nie sięgają pamięcią. Nie sądzę jednak, aby Kolumb znajdował się wtedy w obrębie działania huraganów naszego wybrzeża.

— Ręczę, zawołał arcybiskup, że popłynął na brzegi afrykańskie, co spowodować może zatargi z Janem portugalskim.

— O! król! nasz małżonek, rozwiąże tę wątpliwość, przerwała Izabella. Nie mamy od dawna wiadomości o Kolumbie; czy zapomniałeś o nim zupełnie don Ferdynandzie?

— Zanim odpowiem na to zapytanie, rzekł król z uśmiechem, pozwólcie mi wytoczyć sprawę etykiety. Odkąd to wasza wysokość dajesz publiczne posłuchanie po północy?

— Publiczne, senior? Przecież nie ma tutaj nikogo prócz naszych dzieci, donny Beatrix z wychowanicą i kilku wiernych poddanych.

— To prawda, donna Izabello, lecz zapominasz o tych co czekają w przedpokoju.

— Wasza wysokość żartujesz; nikt o tej godzinie żądać nie może wstępu.

— Więc chyba paź waszej wysokości, Diego de Ballesteros, fałszywie mnie zawiadomił. Nie chcąc przerywać wam rozmowy, przybył do mnie z doniesieniem, że jakiś człowiek dziwnej powierzchności domaga się gwałtem widzenia z królową, utrzymując, że spóźniona pora nic nie ma do tego, gdyż Bóg zarówno noc, jak i dzień przeznaczył na użytek człowieka. Kazałem go wprowadzić, i chcę być świadkiem posłuchania.

— Może to zdrada, don Ferdynandzie?

- Nie lękaj się, droga Izabello; ramię moje i oręż obecnych tu rycerzy wystarczy na obronę nas wszystkich. Słyszę już kroki w przyległym pokoju: spodziewam się w każdym razie, że nie okażesz obawy.

Drzwi się rozwarły i Sancho Mundo stanął w obliczu królewskiego stadła. Uderzająca zewnątrzność posłańca Kolumba ubawiła zgromadzonych i wszystkich oczy z ciekawością

zwróciły się na niego. Sancho dla większej okazałości ustroił się w niektóre ozdoby indiańskie, a mianowicie w kilka złotych obręczy; trudno więc było poznać w nim marynarza. Jedna tylko Mercedes, przeczuwając łączność tego człowieka z wyprawą Kolumba, stłumionym okrzykiem zdradziła swoją radość. Królowa spostrzegła mimowolny ten objaw uczucia i domyśliła się prawdy.

- Jestem królowa Izabella, rzekła, a tyś posłaniec Kolumba. Sancho, mimo trudności jakich doznał w otrzymaniu posłuchania, dopiąwszy raz celu był jakby u siebie. Zaczął od przyklęknięcia, jak mu polecił admirał, a że przywykłym już był do palenia i żucia tytoniu, nie zapomniał wsunąć w usta kłaczek ulubionego ziele. Następnie, poprawiwszy ubrania, gotował się do stosownej odpowiedzi.

- Miłościwa królowo! zawołał dość rubasznie, wiadomo każdemu, że jestem Sancho Mundo, rodem z Moguer, jeden z najwierniejszych poddanych waszej królewskiej mości.

— Czy przynosisz wiadomości od don Kolumba?

— Tak jest, najjaśniejsza pani. Don Christoval wysłał mnie z Lizbony, sądząc, że te łoty Portugalczycy nie zwrócą takiej uwagi na biednego marynarza, jak na gońców waszej wysokości o butach z ostrogami. Ciężka to przeprawa, bo między Lizboną a pałacem królewskim w Barcelonie niepodobna znaleźć lichego nawet muła.

— Musisz zapewne mieć listy?

— Tak jest, miłościwa pani; ale dublonów jakoś ubyło mi w drodze. Oberżyci uważali mnie pewnie za granda Hiszpanii, bo niemiłosiernie obeszli się z moją kieszenią.

— Daj temu człowiekowi pieniędzy, senior Alonzo; on pragnie widać zapłaty przed wywiązaniem się z poselstwa.

Sancho niespokojnie przeliczył odebraną kwotę, a potem schował ją w zanadrze.

— Gadaj! zawołał król; i nie śmieję nadal stroić sobie żartów! Ostry głos Ferdynanda większe zrobił wrażenie na starym marynarzu niż łagodne przemówienie królowej.

— Racz wasza wysokość zapytać, a nie omieszkać odpowiedzieć, rzekł pokornie.

— Gdzie przebywa admirał? odezwała się Izabella.

- Był niedawno w Lizbonie, miłościwa królowo; ale teraz znajduje się pewnie w Palos de Moguer.

- Coście robili od czasu opuszczenia Hiszpanii?

- Zwiedziliśmy Cipango i państwo wielkiego chana, w odległości czterdziestu dni od Gomery; jest to kraj przedziwny i bogaty.

- Czy można zaufać twoim słowom?

- Gdybyś wasza wysokość znała Sancho Munda, pewnie byś o tym nie wątpiła. Powiadam waszej miłości i wszystkim osobom tu zebranych, że don Christoval Kolumb popłynął na drugą stronę ziemi, która jest okrągła, jak wiemy teraz z doświadczenia. Zrobił nadto odkrycie, iż gwiazda polarna wędruje po niebie, i zajął w posiadanie wyspy tak wielkie jak Hiszpania, gdzie rośnie złoto,

i z czasem przyjąć się może ziarno Ewangelii.

- Oddaj list, Sancho! Kolumb nie wysłał cię pewnie z ustnym tylko sprawozdaniem.

Majtek rozwinął paczkę złożoną z kilku kawałków płótna i papieru, wydobyl z niej pismo admirała i klęcząc ciągle podał je królowej, która dla odebrania go zmuszona była postąpić parę kroków. Wywiązawszy się tym sposobem z odebranego polecenia, Sancho poprawił się na kolanach, nauczoną będąc przez Kolumba; że wstać nie powinien bez wyraźnego rozkazu, i wyciągnawszy pieniądze, zaczął je znów przeliczać. Tymczasem królowa z natężoną uwagą przebiegała własnoręczny list żeglarza. W ciągu tej czynności wszyscy stali nieruchomo, ze spojrzeniem wlepionym w wyrazistą twarz Izabelli, na której żywe malowało się uniesienie. Dokończywszy czytania, królowa wzniosła oczy ku niebu i składając ręce, jakby w modlitwie dziękczynnej, zawołała:

— Nie ludziom, lecz tobie, Panie, niech będzie cześć i sława za to wielkie odkrycie!

Rzekłszy te słowa, rzuciła się w krzesło i cicho zapłakała. Ferdynand wziął list z rąk małżonki i odczytał go z uwagą. Twarz jego wyrażała zrazu zadziwienie, potem gorącą pożądlwość, nareszcie radość bez granic.

— Seniorowie Saint-Angel i Alonzo de Quintanilla, zawołał, oto wiadomość, która cieszyć was powinna. I ty, świątobliwy prałacie, chociaż dotąd przeciwnik genuńczyka, rad będziesz takowej w interesie Kościoła. Oczekiwania nasze zostały przewyższone, bo Kolumb rzeczywiście dosięgnął Indii, i powiększył tym znakomicie rozległości naszych dzierżaw.

Don Ferdynand nigdy nie okazywał podobnego w mowie zapału; jakoż spostrzegłszy się wkrótce, i ujawszy rękę królowej, zaprowadził ją do swego gabinetu. Opuszczając salę dał znak arcybiskupowi i dwóm obecnym urzędnikom korony, że mają iść za nim.

Niedługo dzieci opuściły również pokój królowej, w którym zostali tylko markiza de Moya i Sancho. Majtek ciągle jeszcze klęczał; ale mało zwracał uwagi na słowa i czyny otaczających go osób, gdyż myślał tylko o zysku dzisiejszego wieczoru.

— Możesz powstać, przyjacielu, rzekła donna Beatrix; ich królewskie wysokości już wyszły.

Sancho podniósł się ociężale, otarł starannie kolana i zaczął rozglądać się wkoło, jak gdyby gwiazdy badał na morzu.

— Musiałeś należeć do wyprawy Kolumba, sądząc z twojego opowiadania?

- Wasza ekscelencja wątpić o tym nie powinna, bo przysięgam, że większą część swego czasu przepędziłem u steru, o kilka kroków tylko od seniora admirała i seniora de Munoz.

- Czy znajdował się z wami jaki senior de Munoz? odrzekła markiza, spoglądając na siostrzenicę wzrokiem porozumienia.

- Tak jest, szlachetna pani, a nadto senior Gutierrez, i jeszcze senior don... mniejsza o to jaki; a

wszyscy trzej nie więcej zajmowali miejsca, niż zwykle jeden człowiek. Ale racz wasza ekscelencja objaśnić mnie, gdzie znajdę na tym dworze wysoko urodzoną damę, imieniem Beatrix de Cabrera, markizę de Moya.

- Ja sama nią jestem, przyjacielu. Może masz do mnie zlecenie od owego seniora de Munoz.

- Dalipan, nie dziwię się już teraz, że są na świecie wielcy panowie i biedni marynarze; toż tutaj ludzie, nim jeszcze gębę otworzę, już wiedzą co mam powiedzieć! Na wszystkich świętych! sędzę że don Christoval nawet, z całym rozumem swoim, nie da sobie rady w Barcelonie.

- Powiedz nam co o Pedrze de Munoz.

- A więc, seniora, przynoszę ukłony od synowca waszej ekscelencji, hrabiego de Llera, który na okręcie posiadał dwa, nazwiska, jedno fałszywe, a drugie nieprawdziwe.

— Miałżeby mój synowiec nie dochować tajemnicy? Czy znał kto więcej jego godność?

— Bez wątpienia, seniora; najpierw on sam, po wtóre don Christoval, po trzecie ja, po czwarte Alonzo Pinzon, jeżeli żyje, co jednak bardzo wątpliwe; nareszcie wasza ekscelencja i ta oto nadobna seniorita.

— Dosyć; spodziewam się, że ogół przynajmniej nie został wtajemniczony, choć trudno pojąć dlaczego mój synowiec zrobił wyjątek na twą korzyść. Czy nie masz listu od niego?

— Seniora, don Luis za późno dowiedział się o mym wysłaniu. Admirał powierzył mu opiekę nad księżętami i księżniczkami indyjskimi; młody więc hrabia mało ma czasu do pisania, inaczej byłby pewnie cały arkusz zapełnił wylaniem uczuć swoich dla tak szanownej damy.

— Księżęta i księżniczki? Co znaczą mój przyjacielu, te szumne tytuły?

— Nic innego, tylko żeśmy przywieźli dostojne te osoby dla złożenia hołdu ich wysokościom. Nie zapuszczamy sieci na małe rybki, wolimy grube poławiać sztuki.

— Nie wiem czy wierzyć mam twoim słowom.

— Bez żadnego wahania, seniora; dodam nawet, że towarzyszy nam dama haitańska tak rzadkiej piękności, iż mogłaby zaćmić najładniejszą Kastylijkę; jest to oko w głowie i serdeczna przyjaciółka don Luisa.

- O kim mówisz? zapytała Beatrix głosem wyniosłym; skąd się wzięła ta księżniczka i jakie jej nazwisko?

- Nazwisko jej, wasza ekscelencjo, jest donna Ozema z Haiti, w którym to kraju brat jej, don Mattinao, piastuje godność kacyka, czyli króla. Seniora Ozema jest następczynią tronu. Don Luis i sługa najniższy waszej ekscelencji złożyli swą wizytę na dworze jej brata.

- To wcale niepodobne do prawdy! Jakżeby mój synowiec mógł wybrać takiego jak ty towarzysza?

- Wolno szlachetnej pani myśleć o tym co się podoba, a przecież to rzecz tak święta, jak że jesteśmy na dworze Ferdynanda i Izabelli. Wiadomo zapewne waszej ekscelencji, iż młody hrabia

liczne odbywał podróże: otóż w jednej z nich poznał Sancho Munda de Moguer, którego odtąd zaszczyca swą przyjaźnią. Gdy don Luis wybierał się odwiedzić kacyka, zażądał swojego towarzystwa. Następnie, gdy król Kaonabo zrobił wyprawę dla porwania księżniczki Ozemy, hrabia de Llera i przyjaciel jego Sancho bronili jej przeciw całej armii Karaibów, i równie świetnie odnieśli zwycięstwo, jak Ferdynand nad Maurami.

— I skończyło się na tym, nieprawdaż, żeście ją sami porwali? Przyjacielu Sancho, zmyślasz śmiało, lecz niezręcznie. Należałoby w istocie za te kłamstwa uczestować cię chłostą.

— Lękam się, seniorka, wtrąciła nieśmiało Mercedes, że w opowiadaniu tego człowieka zbyt wiele, niestety, jest prawdy.

— Nie ma powodu do obawy, piękna seniorito, ciągnął dalej Sancho, nie zmieszany bynajmniej groźbą markizy, bośmy bez szwanku wyszli z tej potrzeby. Dostojna seniorita, której wszystko wybaczam, dlatego że jest ciotką najlepszego przyjaciela mojego, raczy przypomnieć sobie, iż Haitańczycy nie znają użycia strzelby; otóż przy jej pomocy pokonaliśmy Kaonaba. Wszak hrabia de Llera sam nieraz rozbijał całe hufce Maurów.

— Tak jest, odrzekła Beatrix; ale wtedy mój synowiec miał konia, zbroję i oręż, co zwyciężył Alonza de Ojeda.

— Czy rzeczywiście uwieźliście tę księżniczkę? zapytała Mercedes z życzliwością.

— Przysięgam na wszystkich świętych naszego kalendarza, że mówię prawdę. Jest ona piękniejsza od córek królowej, co niedawno wyszły z tej sali.

— Dosyc tego! zawołała Betarix z oburzeniem. Dziwię się bardzo, że don Luis tak zuchwałego użył posłańca. Odejdź stąd i powściągnij swój język, bo nawet łaska admirała nie uchroni cię od kary. Już późno, Mercedes, idźmy na spoczynek.

Sancho sam został w pokoju, i po chwili paż królewski wskazał mu miejsce noclegu. Stary marynarz, pomruczawszy trochę na markizę i przeliczywszy raz jeszcze pieniądze, miał właśnie zająć swe łożo, gdy został przyzwany do Mercedes de Valverde, która przyjęła go z oznakami żywego wzruszenia.

— Odbyłeś długą i przykrą drogę, przyjacielu Sancho, rzekła przerywając milczenie; weź to złoto, jako dowód mojej przychylności.

- Seniorko! zawołał Sancho, spoglądając z udaną obojętnością na dublony złożone w swej dłoni; sądzę, że nie uważasz mnie za prostego najemnika. Zaszczyt, iż jestem posłańcem admirała i mogę rozmawiać z tak pięknymi damami, więcej dla mnie znaczy niż zapłata.

- Ale możesz potrzebować pieniędzy, i nie odmówisz ich przyjęcia kobiecie.

- Na takie wezwanie gotów jestem wziąć choćby dwa razy tyle. Po tych słowach Sancho schował najspokojniej odebraną kwotę, oczekując dalszych rozkazów. Mercedes znajdowała się w

położeniu na jakie narażony jest każdy, co przedsięwzięje rzecz siły jego przechodzące; krótko mówiąc, zapewniwszy sobie środek objaśnienia swych wątpliwości, w stanowczej chwili użyć go nie śmiała.

- Sancho, rzekła wreszcie, towarzyszyłeś admirałowi w tej podróży nadzwyczajnej; chciałabym dowiedzieć się od ciebie jakichś zajmujących szczegółów. Powiedz mi, czy to prawda coś wspomniał o książętach i księżniczkach?

- Taka prawda, jak dzieje pisane, seniorito. Kto był obecny w jakiej bitwie i czyta potem jej opis, ten zaraz pozna różnicę między faktem a opowiadaniem... Znajdowałem się wtedy...

- Mniejsza o twoje przygody, Sancho. Wróćmy raczej do tego, czy istnieje książę Mattinao i księżniczka Ozema, a bardziej jeszcze czy oni z admirałem popłynęli do Hiszpanii.

— Jam tego nie mówił, piękna seniorito; don Mattinao został w swym kraju, i tylko nadobna jego siostra wybrała się z admirałem i don Luisem do Palos.

— Czy don Kolumb i hrabia de Llera tyle mają wpływu, aby skłonić księżniczkę krwi królewskiej do opuszczenia ojczyzny?

— Może to nie zgodne ze zwyczajami Kastylii, Portugalii albo Francji; lecz Haiti jest państwem pogańskim, gdzie księżniczka nie więcej znaczy od naszej szlachcianki. Zawsze jednak co piękna kobieta, to nie brzydka; a przy tym donna Ozema jest tak pojętna, że już szczebiocze po hiszpańsku, jak gdyby się uczyła w Toledo lub Burgos. Ale też don Luis bardzo gorliwym jest nauczycielem; zanim ten diabeł Kaonabo popsuł nam szyki, przez trzy dni był z nią sam na sam w pałacu, i wtedy donna Ozema musiała znaczne uczynić postępy.

— Czy ona chrześcijanka, Sancho?

— Jeszcze nie, seniorito; ale na dobrej jest drodze, bo nosi na szyi krzyż, wprawdzie niewielki, lecz kosztowny, który dostała w podarunku od hrabiego de Llera.

— Co mówisz, Sancho? zawołała Mercedes, zaledwo zdolna ukryć swe wzruszenie.

- Tak jest, seniorito, krzyżyk z kosztownych kamieni, który przedtem nosił sam hrabia.

- Nie były to turkusy oprawne w złoto?

- Mogę zaręczyć za drugie, bo nie znam się na kamieniach; wiem jednak, że są niebieskie, jak błękit nieba Hiszpanii. Donna Ozema nazywa ten klejnot Mercedes, na znak zapewne, że wzywa miłosierdzia Boskiego .

- Widać, że oboje niewiele cenią to godło, skoro wiadomość o nim dostała się aż do ciebie.

- Z przeproszeniem, seniorito; na pokładzie okrętu, przy wzburzonym morzu, stary marynarz więcej trochę znaczy jak w Barcelonie. Przy tym donna Ozema ceni mnie osobiście, z powodu, że ją wybawiłem z rąk Kaonaba; pokazała mi więc swój krzyżyk gdyśmy wpłynęli do Tagu, i przyciskając go do serca, zawołała: Mercedes!

- Czy ta księżniczka ma orszak odpowiedni jej godności?
- Wasza miłość zapominasz, że „Nina” jest małym statkiem, w którym nie ma pomieszczeń dla znacznej liczby kobiet. Zresztą damy haitańskie nie bardzo w tym względzie są wymagające; pod palącym niebem tego kraju łatwo się obejść bez pokojówek, bo nie potrzeba żadnego ubrania. Ostatni ten szczegół obraził skromność dziewczyny; ale ciekawość jej na tyle już była podrażniona, że pragnęła dowiedzieć się wszystkiego.
- Czy don Luis de Bobadilla w tej podróży, jak zawsze, mężnie stawiał czoła niebezpieczeństwu?
- Seniorito mówisz jakby świadek naoczny. Oj, gdybyś go widziała jak kropił Karaibów, broniąc donny Ozemy ukrytej za skałą! To było godne uwielbienia.
- Donny Ozema za skałą?
- Tak jest, seniorito, lecz odważna księżniczka, widząc że strzały sypią się jak grad, nie wysiedziała w ukryciu, tylko stanęła przed hrabią, i tym sposobem wymogła zawieszenie broni; gdyż nieprzyjaciel, rzecz naturalna, nie mógł strzelać do tej, o której posiadanie głównie mu chodziło. Można powiedzieć, że oboje ocalili sobie życie.
- Ona mu życie ocaliła! Luis de Bobadilla, ocalony przez księżniczkę indyjską!
- Nie inaczej, szlachetna pani; dobra to dziewczyna, jeśli wolno tak się wyrazić o wysoko urodzonej osobie. Wasza miłość sama ją pewnie pokochasz.
- Sancho, rzekła Mercedes zapłoniona, czy hrabia de Llera, prócz ukłonów dla markizy de Moya, nic więcej ci nie polecił?
- Nie, seniorito.
- Czyś pewny tego. Sancho? Przypomnij sobie; czy nie wymienił innego nazwiska?
- Żadnego, szlachetna pani. Ktoś wprawdzie, nie pamiętam czy don Luis, czy stary sternik Diego, wzmiankował o jakiejś Klarze, trzymającej gospodę w Barcelonie, gdzie dobre jest wino; ale to pewnie musiał być Diego, bo jakżeby hrabia miał mówić o takiej drobnostce?
- Możesz odejść, Sancho, rzekła Mercedes; zobaczymy się jutro.
- Sancho, rad z ukończenia rozmowy, powrócił do swej izby, nie domyślając się bynajmniej ile złego sprawiły jego słowa, w których prawda z przesadą chaotycznie były splątane.

ROZDZIAŁ XXVI

Wiadomość o powrocie Kolumba i ważnych jego odkryciach szybko rozeszła się po Europie, stanowiąc, ogólnym zdaniem, najważniejsze epoki tej zdarzenie. Przez kilkanaście lat, a mianowicie od czasu odkrycia Oceanu Spokojnego przez Muneza de Balboa, wierzono, że Kolumb, płynąc na zachód osiągnął Indii, i uważano kulistość ziemi za fizycznie udowodnioną.

Cudowne szczegóły tej podróży, żyzność zwiedzanych krajów, bogactwo ich i łagodność klimatu, ciekawostki wreszcie przywiezione przez admirała stanowiły przedmiot niewyczerpany powszechnej rozmowy.

Hiszpania od kilku wieków niesłychane czyniła wysiłki w walce przeciw Maurom; szczęśliwe jej ukończenie było wypadkiem długoletnich zapasów, i niczym się zdawała w porównaniu z aureolą sławy, jaka nagle okoliła odkrycia wschodnie. Słowem, pobożni cieszyli się spodziewanym rozszerzeniem Ewangelii; chciwi marzyli o skarbach nieprzebranych; politycy obliczali korzyści z przyrostu gruntowego; uczeni przewidywali wzbogacenie swych wiadomości; a nieprzyjaciele Hiszpanii z zazdrością spoglądali na jej świetność. Pierwsze dni po przybyciu posłańca Kolumba poświęcone były ogólnej radości. Zaproszono urzędowo admirała, aby przyjechał jak najszybciej, rozkazano przygotowanie powtórnej wyprawy i wszystkie usta brzmiały jego sławą. Po upływie miesiąca genueńczyk w towarzystwie siedmiu Indian przybył do Barcelony, gdzie obsypany został największymi honorami. Oboje królestwo przyjęli go w sali posłuchania na tronie, powitali z miejsca po jego wejściu i kazali mu podać krzesło, który to zaszczyt tylko książętom krwi z prawa był przynależny. Odkrywca opowiedział swą podróż, okazał przywiezione przedmioty i rozwinął możliwe korzyści; po czym wszyscy obecni na klęczkach, pod przewodem chóru kaplicy królewskiej, odśpiewali *Te Deum*. Surowy nawet Ferdynand w tej chwili uroczystej uronił łzę rozrzewnienia.

Długo jeszcze Kolumb był ogniskiem skupiającym promienie chwały i tryumfu. Nie przestawano otaczać go uwielbieniem, aż do drugiej podróży na Wschód, jak się wówczas wyrażano.

W sam dzień przyjęcia admirała don Luis de Bobadilla zjawił się w sali posłuchań, w bogatym stroju granda Hiszpanii. Uważano, że Izabella mile się doń uśmiechnęła, gdy tymczasem markiza de Moya posepną zachowała powagę.

Sancho, który pozostał w Barcelonie do przybycia zwierzchnika i któremu zasługi zjednały dostęp do dworu, zadziwiał wszystkich używaniem tytoniu. Niejeden już z dworzan, pragnąc go naśladować, przykrych nabawił się następstw; co wszakże nie przeszkodziło później szybkiemu upowszechnieniu tej rośliny.

Posłuchanie było skończone, i Sancho razem z tłumem opuszczał salę, gdy jakiś człowiek, już nie młody, lecz szlachetnego wyglądu, zaprosił go na wieczerzę. Stary marynarz, chociaż nie przywykły do podobnych honorów, nie odmówił jednak zaproszeniu. Towarzysz bezzwłocznie zaprowadził go do jednej z sal bocznych pałacu, gdzie kilkunastu młodych z najprzedniejszych hiszpańskich rodów czekało ich przybycia; bo w owym czasie wszyscy dobijali się o sposobność pomówienia choćby z podrzędnym uczestnikiem wyprawy. Sancho przyjęty był z uprzejmością, a towarzysz jego, znany dziś dziejopisarz Pedro Martir, któremu królowa powierzyła wychowanie

młodych paniczów dworskich, z uszanowaniem.

— Usiłowania moje, seniorowie, zawołał Pedro Martir, powiodły się zupełnie. Sam admirał z oficerami wieczerza dziś u króla, lecz ten godny marynarz zaszczyca nas swoją obecnością. Wydzierając go ciżbie, nie miałem nawet sposobności zapytać o jego nazwisko.

Sancho nastroił poważną minę, i wiedząc czego po nim oczekiwano, gotował się pokazać światu jakiej to mądrości nabywa człowiek przez podróż dookoła ziemi.

- Nazywam się Sancho Mundo, seniorowie, rzekł głosem napuszonym; ale radbym mieć przydomek Sancho indyjski, rozumie się, jeśli admirał nie przybierze tego tytułu, bo jego prawa lepsze są od moich.

Przedstawiono następnie majtkowi kilku członków najpierwszych rodzin hiszpańskich, a w końcu całe towarzystwo udało się do sali jadalnej, gdzie przygotowano wspaniałą biesiadę. W ciągu uczty Sancho, oddany całkiem rozkoszom gastronomicznym, głębokie zachował milczenie. Raz tylko, zagadnięty przerwał je, położył widelec i rzekł uroczyście:

- Seniorowie, jadło jest darem Bożym; kto więc przeszkadza w jedzeniu, uwłacza poszanowaniu dla Stwórcy. Don Christoval podziela to zdanie, i wszyscy jego podwładni poszli za przykładem wielebnego zwierzchnika. Jak tylko skończę, odpowiadać będę chętnie na wasze zapytania.

Po odniesieniu wetów Sancho odsunął się trochę od stołu i tymi słowy zagaił rozmowę:

- Jestem człowiek nieuczony, seniorowie; ale com widział, tom widział. Marynarz może mieć swoje zdanie tak dobrze, jak doktor z Salamanki. Zapytajcie mnie, proszę, gotów jestem odpowiedzieć.

— A więc, odezwał się Pedro Martir, zyczylibyśmy usłyszeć szczegóły tej podróży. Objaśnij senior, które z widzianych zjawisk uważasz za najciekawsze.

— Podług mnie nic nie wyrównuje zboczeniu gwiazdy polarnej, odrzekł z żywością Sancho. To ciało niebieskie uważano dotąd za równie nieruchome, jak katedra sewilska, teraz wiadomo, że krząta się po niebie, na kształt starej kumoszki roznoszącej plotki sąsiadom.

— To rzecz cudowna! zawołał Pedro Martir, nie wiedząc jak przyjąć te wyrazy. Ale może to było złudzenie?

— Zapytaj don Christovala, senior; on zauważył to zjawisko, a później razem wyciągnęliśmy stąd wniosek, że nie ma na świecie nic stałego.

— Pomówię o tym ze szlachetnym admirałem. Lecz oprócz tej gwiazdy, mości Sancho, coś widział godnego uwagi?

Sancho myślał jeszcze nad odpowiedzią, gdy wszedł don Luis de Bobadilla. Młodzież przywitała go przyjacielsko, a Pedro Martir postąpił ku niemu kilka kroków.

— Pragnąłem, rzekł, zaszczytu obecności twojej, hrabio, jakkolwiek od dawna nie zostajesz pod

moim kierunkiem, to przypuszczam, że tak gorący zwolennik podróży rad będziesz posłuchać opowiadania o cudownym odkryciu don Kolumba. Szanowny ten marynarz, obdarzony zaufaniem admirała, zezwolił na przyjęcie naszej skromnej wieczerzy. Przedstawiam ci, mości Sancho, don Luisa de Bobadilla, hrabiego de Llera, który niemało także tułał się po morzu.

- Wiem o tym, odparł Sancho, oddając z uszanowaniem lekki ukłon Luisa, i cieszę się bardzo, że go poznaję. Jeżeli wasza ekscelencja będzie kiedy w okolicach Moguer, to racz nawiedzić chałupę starego Sancho Munda.

- Najchętniej to uczynię, odpowiedział Luis z uśmiechem. Lecz nie przerywam rozmowy tak zajmującej w chwili mojego przybycia.

- Dobrze wszystko zważywszy, odezwał się Sancho poważnie, po ruchu gwiazdy polarnej najwięcej mnie uderzyło, że w Cipango nie ma dublonów. Trudno pojąć dlaczego w kraju, gdzie tyle jest złota nie biją wcale pieniędzy.

Pedro Martir i uczniowie jego roześmiali się z tego wniosku.

- Pomińmy to pytanie, raczej polityczne niż gospodarcze, zawołał Martir; ale coś widział szczególnego w sposobie życia tamtejszych mieszkańców?

- Pod tym względem wyspa kobiet najwięcej zasługuje na uwagę. U nas niewiasty zamykają się w klasztorach, a w Indiach całe wyspy zajmują w posiadanie.

— Prawdaż to? zapytało kilka głosów, czy rzeczywiście odkryliście taką wyspę?

— Widzieliśmy ją w oddaleniu i kontent jestem żeśmy tam nie wysiedli; bo moim zdaniem w Moguer aż nadto jest kumoszek. Odkryliśmy potem rodzaj chleba rosnącego na ziemi. Dalipan, smaczna to potrawa; nieprawdaż, senior de Llera?

— Mości Sancho, skoroś rzucił zapytanie, to chciej sam na nie odpowiedzieć. Czyż mogę sądzić o płodach Cipango, kiedy nie byłem dalej jak w Kandii?

— To prawda, senior hrabio zapomniałem, iż temu tylko co widział godzi się mówić, a drudzy powinni słuchać i wierzyć.

— Czy Indianie używają mięsa? zapytał jeden z obecnych.

— Tak jest, senior, pożerają się wzajemnie. Wprawdzie ani ja, ani don Christoval nie byliśmy nigdy proszeni na te biesiady, ale podług dokładnych obliczeń na wyspie Bohio spożywają corocznie tylu ludzi, ile w Hiszpanii wołów.

Słuchacze wydali okrzyk przerażenia, a Pedro Martir z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Co myślisz o ptakach przywiezionych przez admirała? ciągnął dalej rozmowę.

- Znam je, senior, a mianowicie papugi; to stworzenia tak mądre, że mogłyby odpowiedzieć na wszystkie zapytania wasze.

- Żartujesz, mości Sancho, odparł uczone z uśmiechem; ale nic to nie szkodzi: puść wodze

wyobraźni, i jeśli nie możesz oświecić, zabaw nas przynajmniej.

- Bóg świadkiem, seniorowie, iż chciałbym z serca wszystko dla was uczynić; ale z natury tak jestem w prawdzie zamiłowany, że zmyślać zupełnie nie umiem. Trudno nie wierzyć swoim oczom; byłem w Indiach i patrzyłem na wszystkie cuda tego kraju. Między innymi napotkaliśmy morze podobne do łąki, z którego wybrnęliśmy tylko cudem.

Młodzieńcy spojrzeli na swego nauczyciela, chcąc wyczytać z jego twarzy wyrok o słowach marynarza, lecz Pedro Martir, jakkolwiek światły, sam nie wiedział co myśleć o tym wszystkim.

- Jeżeli pozwolicie, seniorowie, wtrącił Luis, zaspokoję waszą ciekawość. Wiadomo wam, że jestem w przyjaznych z don Kolumbem stosunkach. Po swoim powrocie czcigodny admirał objaśnił mnie o wszystkim co dotyczy jego podróży; gotów więc jestem powtórzyć co od niego słyszałem.

Ogólny poklask przyjął te wyrazy, i młodzieniec, z zapalem naocznego świadka, rozpoczął świetną opowieść wyprawy, przerywaną częstokroć głośnym uwielbieniem słuchaczy.

Niewinny ten wybieg Luisa dobrze mu posłużył. Wymowną łatwość z jaką posłyszane, jak mniemano, przytaczał rzeczy, uważano za niemałą zaletę. Pedro Martir, którego zdanie wielką miało powagę i młodzi uczniowie jego głosili wszędzie sławę hrabiego de Llera.

Uwielbienie dla Kolumba tak było powszechne, iż na każdego co w bliższym zostawał z nim zetknięciu spływała przez to samo cząstka czci ogólnej. Ponieważ widywano Luisa w towarzystwie odkrywcy, zapomniano o lekkomyślnych jego postępkach, myśląc tylko o tym, że człowiek tak wielki zaszczyca go swą przyjaźnią. Tym sposobem Luis de Bobadilla doznał już następstw pomyślnych ze swojego przedsięwzięcia, a od woli jego zależało podnieść je do wysokości tryumfu, objawieniem osobistego udziału w dziele Kolumba.

Zobaczymy o ile ta zasługa poparła go w oczach pięknej Mercedes de Valverde.

ROZDZIAŁ XXVII

Dzień przyjęcia Kolumba nappełnił ruchem Barcelonę, a serce królowej Izabelli szczerym zadowoleniem. Ona główną była sprężyną tego przedsięwzięcia, a teraz w wielkości otrzymanych wypadków znajdowała nagrodę swych starań.

Wieczorem, złożywszy Bogu modlitwę dziękczynną i zajrzawszy do dzieci, królowa wzięła lampę, wyszła na korytarz i zastukała lekko do drzwi przyległego pokoju. Gdy wewnątrz głos kobiecy zaprosił ją do wejścia, władczyni Kastylii po upływie sekundy znajdowała się sam na sam z wierną przyjaciółką swoją, markizą de Moya. Skinienie odwiedzającej wskazało donnie Cabrera, że na ten raz zaniechać powinna wszelkiego ceremoniału; ulegając przeto życzeniu królowej, powitała ją

jakby rówieśniczkę.

— Byłam dziś tak radośnie zajęta, markizo, córko moja, rzekła Izabella, stawiając na stole srebrną lampeczkę, że mało nie zapomniałam o ważnym obowiązku. Synowiec twój, hrabia de Llera, po swoim powrocie tak jest skromny, iż nie domaga się nawet należnych mu pochwał za uczestnictwo w dziele Kolumba.

- Wiem, seniora, że Luis przebywa w Barcelonie; o skromności zaś jego niech sądzą osoby bezstronniejsze ode mnie.

- Uważam go za młodzieńca pełnego nadziei, i przyszedłam rozmówić się z tobą względem młodego Bobadilla i twojej wychowanki. Teraz, gdy twój synowiec tak świetny dał dowód odwagi i wytrwałości, nic nie przeszkadza związkowi dwojga serc kochających. Wiadomo ci, że Mercedes dała mi słowo, iż nie rozrządzi swoją ręką bez mojego zezwolenia: otóż zamierzam tej jeszcze nocy uszczęśliwić ją oświadczeniem, że pragnę jak najprędzej donnę Valverde powitać hrabiną de Llera. Wybrałam się do ciebie w tak niezwykłej godzinie, bo chciałabym, aby wszyscy w tej chwili podzielali moją radość. - Gdzież jest Mercedes?

- Opuściła mnie przed przybyciem waszej wysokości; ale mogę ją przywołać natychmiast.

- Wolę ponieść jej sama tę radosną wiadomość, rzekła królowa, kierując się ku drzwiom. Wyprawiamy się, jak Kolumb, bez zewnętrznej wystawności, by udzielić twej wychowance wieści tak dla niej pożądanej.

Po opowiadaniu admirała te korytarze i galerie wyobrażam sobie jako szlaki nieznanego Atlantyku.

— Dałby Bóg abyś wasza wysokość nie uczyniła odkrycia równie zadziwiającego jak podróż genueńczyka! Co do mnie, nie wiem sama ile w tym prawdy.

— Pojmuję to, moja droga; ostatnie wypadki wszystkich nas olśniły, odpowiedziała królowa, nie rozumiejąc znaczenia słów przyjaciółki. Idźmy zachwycić serce niewinnej dziewczyny, która uległym znoszeniem przeciwności zasłużyła sobie na szczęście.

Donna Beatrix westchnęła, lecz nic nie odrzekła. W tej chwili weszły do małego salonu obok sypialni Mercedes i zastały tam pokojówkę, która żywo pobiegła uprzedzić swą panią o przybyciu dostojnego gościa, Izabella jednak, poufała zawsze w obejściu z osobami kochanymi uchyliła drzwi sypialni, zanim dziewczyna mogła wyjść na jej . spotkanie.

— Moje dziecko, rzekła siadając z uśmiechem życzliwości, przyszedłam dopełnić świętego obowiązku; uklęknij tu przy mnie i wysłuchaj mnie jak matki.

Mercedes zajęła wskazane sobie miejsce, a monarchini czule objęła jej głowę, przytulając do fałdów swej sukni.

— Jestem z ciebie zadowolona, moja córko, ciągnęła dalej królowa, i zwracam ci otrzymane przyrzeczenie; jesteś odtąd panią swoich czynów.

Mercedes lekko tylko drgnęła, lecz zachowała milczenie.

- Nie odpowiadasz moje dziecię? Więc pragniesz, aby kto inny zajął się twoim szczęściem? Niech i tak będzie! - Dowiedz się przeto, że . jako królowa twoja i przyjaciółka chcę, abyś została małżonką Luisa de Bobadilla, hrabiego de Llera.

- Nie, miłościwa pani! nigdy! nigdy! szepnęła dziewczyna głosem stłumionym od wzruszenia.

Izabella ze zdziwieniem, ale bez gniewu, spojrzała na markizę de Moya, znając bowiem charakter Mercedes, nie przypuszczała z jej strony dziwactwa ani zmienności.

- Wytlumacz mi to, jeśli możesz, Beatrix, zawołała wreszcie. Miałabym tak być nieszczęśliwą, że zamiast uradować to dziecię, boleśnie podrażniłam jej uczucia?

- Nie, nie, seniora! wyłkała Mercedes, ściskając konwulsyjnie kolana królowej; wasza wysokość nie chcesz i nie możesz dotknąć nikogo, bo jesteś pełną dobroci.

- Cóż więc wywołać mogło tę nagłą zmianę wyobrażeń?

- Niestety, seniora, serce mojej wychowanki pozostało niezmiennie; niestałość w miłości cechuje tylko mężczyzn.

Pogodne oko Izabelli zabłysło oburzeniem.

— Czy podobna, rzekła z życzliwością, aby poddany Kastylii naigrywać się miał z niewinnej dziewczyny, a zarazem i ze swej królowej? Miałżeby on uchybić słowu rycerskiemu? Dziwię się twojemu spokojowi, markizo, bo wiem, że nie lubisz ukrywać swoich uczuć.

— Luis, szlachetna pani, jest synem mego brata; ta okoliczność w części gniew mój rozbraja.

— Ależ stworzenie tak młode, piękne i pełne szacownych przymiotów nie mogło być porzucone bez ważnego powodu.

— Zwyczajnie, najjaśniejsza królowo, odpowiedziała markiza z goryczą; lekkomyślny mój synowiec przywiózł z sobą jakąś księżniczkę indyjską...

— Księżniczkę, mówisz? Admirał przedstawił nam wprawdzie Indiankę tego stopnia, lecz ona nie może współzawodniczyć z donną Mercedes de Valverde.

— Ach, miłościwa pani! Indianka o której mówisz ani równać się może z Ozemą. Gdyby wdzięki osobiste usprawiedliwić mogły niewiarę, z trudnością zaiste przyszłoby potępić Luisa.

— Skądże ją znasz, Beatrix?

— Luis przyprowadził ją do pałacu, gdzie Mercedes życzliwie ją przyjęła.

— Seniora! zawołała Mercedes; Luis mniej winnym jest jak się zdaje. Piękność Ozemy i ułomność moja spowodowały jego niewiarę.

- Piękność Ozemy? Powtórzyła z wolna królowa; miałaby ona być tak powabną, że zaćmić zdoła ozdobę dziewcząt kastylijskich?

- Wasza wysokość zna mężczyzn, wtrąciła Beatrix; oni lubią odmianę i chętnie się poddają

urokowi nowości. Na św. Jakuba! Andrzej de Cabrera niemało w tym względzie nagrzeszył, a podobno i wasza miłość...

- Wstrzymaj się, markizo, przerwała królowa. Don Andrzej dobrym jest mężem i poddanym; co zaś do króla, pamiętam zawsze, że jest ojcem moich dzieci i monarchą. Ale wracając do Ozemy; mogę ją zobaczyć, Beatrix?

- Rozkaż tylko najjaśniejsza pani, a stanie się zadość twej woli. Ozema jest stąd niedaleko; czy mam ją przyprowadzić?

- Nie, Beatrix, winnam uwzględnić jej urodzenie. Uprzedź ją, Mercedes, o moich odwiedzinach.

Młoda Indianka od czasu przybycia do Barcelony, znaczne zrobiła postępy w znajomości języka hiszpańskiego; pojęła więc łatwo, że ma oglądać uwielbianą monarchnię, o której Luis i Mercedes tylokrotnie jej wspominali. Ozema jednak wyobrażała sobie Izabellę jako władczynię całego chrześcijaństwa, gdyż dla niej Luis i Mercedes byli już osobami dostojności królewskiej.

Jakkolwiek Izabella przygotowaną była ujrzeć kobietę niezwyklego powabu, to wdzięk wrodzony, ruch pełen szlachetności i wymowne oblicze Ozemy głębokie na niej uczyniły wrażenie. Indianka przywykła już zupełnie do odzieży europejskiej, a otrzymawszy od Mercedes kilka kosztownych ozdób, umiała nimi podwyższyć swą naturalną piękność. Zawój Luisa, jako klejnot najdroższy, otaczał jej ramiona, a krzyż Mercedes błyszczał na piersi.

— To dziwne, Beatrix, rzekła królowa, podczas gdy Ozema pełnym uszanowania pokłonem witała ją z oddalenia; któżby przypuścił, iż tak ponętna istota nie wierzy w Boga i Zbawiciela? Ale choć umysł jej pograżony jest w pomroce niewiadomości, pewna jestem, że nieskażone bije w niej serce.

— Niewątpliwie, seniora. Kochamy ją też szczerze, pomimo że się stała niewinnym powodem udręczenia dla biednej Mercedes.

— Księżniczko, zawołała królowa, postępując ku stojącej nieruchomo Ozemie; witam cię JW moim kraju! Admirał słusznie postąpił nie wystawiając cię na ciekawość ogólną. Dowód to jego roztropności i poszanowania dla krwi panujących.

— Admirał! powtórzyła Ozema; admirał Mercedes! Izabella Mercedes! Luis Mercedes!

— Co to znaczy markizo! Dlaczego księżniczka imię twej wychowanki z innymi łączy imionami?

— Miłościwa pani, ona mniema, że wyraz Mercedes oznacza doskonałość; przydaje go więc do wszystkiego co pragnie pochwalić.

Jak szczególne to wyobrażenie! Ale myśl ta nie mogła zrodzić się przypadkowo. Jeden tylko synowiec twój, Beatrix, znał imię Mercedes; on musiał przedstawić je księżniczce jako godło doskonałości.

- Seniora, rzekła Mercedes, zakwitając słabym rumieńcem nadziei; seniora, miałyby to być prawda?

- Czemu nie, moje dziecię? Za szybko osądziłyśmy tę sprawę, biorąc poszlakę niestałości za dowód.

- To niepodobna, seniora! Ozema tak go kocha!

- Skądże wiesz, moja miła, że księżniczka żywi dla hrabiego inne uczucie, prócz wdzięczności za to, iż ją powiodł na drogę zbawienia? Tu jakieś zachodzi nieporozumienie, Beatrix!

- Wątpię, najjaśniejsza pani, bo łatwo jest przeniknąć serce Ozemy. Niewinne to stworzenie, nie umiejące ukryć swoich myśli, zaraz prawie po przybyciu wyznało nam swoją miłość dla Luisa, miłość gorącą jak jej rodzinne niebo.

- Czyż podobna, seniora, dodała Mercedes, zostawać w bliższych z nim stosunkach, poznać piękne przymioty jego duszy, a nie pokochać go szczerze?

— Mówisz o pięknych przymiotach, odparła królowa; ależ on ciebie zdradza. To wcale nie po rycersku, moje dziecię.

— Miłościwa pani, nieśmiało odrzekła Mercedes, której uraza osobista ustąpiła przed chęcią obronienia ukochanego; księżniczka opowiedziała nam jak Luis wybawił ją z rąk napastnika, kacyka Kaonabo, i nachwalić się nie mogła jego męstwa.

— Odejdź stąd, Mercedes; pomódł się do Najświętszej Panny, i szukaj w spoczynku zapomnienia swych cierpień. Beatrix, chciałabym pomówić z księżniczką na osobności.

Markiza i Mercedes wyszły jednocześnie, zostawiając Ożenię sam na sam z królową. Widzenie się ich, z powodu trudności językowych, trwało przeszło godzinę. Młoda Indianka, nie będąc przywykłą do tajenia swych uczuć, nie umiała ukryć przed Izabellą stanu swego serca, gdyby nawet możliwość takiego postępuku wchodziła w zakres jej pojęć; to serce proste i niewinne nie znało jeszcze obłudy, i wkrótce królowa dowiedziała się wszystkich jej tajemnic.

— Księżniczko, rzekła Izabella, wysłuchawszy jej opowiadania; rozumiem co chcesz wyrazić. Kaonabo jest naczelnikiem sąsiedniego wam szczepu; on żądał abyś została jego żoną, aleś ty odmówiła. Wtedy Kaonabo chciał gwałtem dopiąć swego celu; lecz hrabia de Llera...

- Luis, Luis! przerwała niecierpliwie dziewczyna; nie hrabia tylko Luis!

- Dobrze, moje dziecię; ale hrabia de Llera i Luis de Bobadilla to jedna przecież osoba. A więc Luis, skoro tak sobie życzysz był w pałacu twego brata i zwyciężył groźnego kacyka. Później brat cię nakłonił do opuszczenia czasowo Haiti, don Luis został twym opiekunem i powierzył cię tu staraniom swej ciotki.

Ozema skinęła głową na znak przyświadczenia, i rzeczywiście pojęła wyrazy królowej, bo chodziło o rzeczy z którymi dokładnie była obeznana.

- A teraz, księżniczko, ciągnęła dalej Izabella, pozwól mi przemówić z otwartością matki. Czy kochasz na tyle don Luisa, abyś dla niego zapomnieć mogła o kraju rodzinnym i przybrać inną

ojczyznę?

- Ozema nie rozumieć co to przybrać, szepnęła zakłopotana dziewczyna.

- Chciałabym się dowiedzieć czy pragniesz być żoną Luisa de Bobadilla.

Wyrazy mąż i żona należały do najpierwszych których znaczenie Indianka poznała: uśmiechnęła się więc niewinnie, pokraśniała i skinęła głową potakująco.

— Masz więc nadzieję poślubić hrabiego, bo niewiasta tak skromna nie wyznałaby swej miłości bez dostatecznej przyczyny.

— Tak, seniorka! Ozema żona Luisa.

— Chcesz powiedzieć, że spodziewasz się nie za długo z nim połączyć?

— Nie, nie! Ozema teraz żona Luisa; Luis już poślubił Ozemę!

— Niepodobna! zawołała królowa, spoglądając badawczo na Indiankę; ale w otwartym jej oku nie było ani śladu skrytości lub wybiegu. Jednakże Izabella, nie dowierzając sama sobie, na rozmaite sposoby powtórzyła to samo pytanie i zawsze jedną otrzymywała odpowiedź.

Wychodząc, królową uściskała księżniczkę i zaniósła gorące do Boga życzenie o pokój tej młodej duszy, przerzuconej nagle z pierwotnej prostoty obyczajów na łono nieznannej społeczności. W powrocie do swych pokojów spotkała markizę de Moya, oczekującą niecierpliwie wyniku rozmowy.

— Gorzej jest, Beatrix, jak sobie myślałam, rzekła Izabella z westchnieniem; wiarołomny twój synowiec poślubił Indiankę, która w tej chwili jest jego prawowitą żoną.

— Szlachetna pani, to musi być pomyłka. Luis nie śmiałby do tego stopnia naigrywać się z nas wszystkich.

— Markizo, córko moja, myślę, że wygodniej było hrabiemu polecić ci swą małżonkę, jak obcą. Nie jestem w błędzie, bądź tego pewna. Wypytywałam Ozemę najtroskliwiej, i wątpliwości moje znikły wobec jej odpowiedzi.

- Najjaśniejsza pani, czyż chrześcijanin może wejść w związek małżeński z poganką?

- Ozema musiała przyjąć chrzest święty, bo mówiąc o twym synowcu spoglądała ciągle na krzyżyk, który nosi na szyi.

- A godło to, miłościwa królowo, Mercedes ofiarowała lekkomyślnemu kochankowi w chwili rozstania!

- Świat, moja droga, tyle dla mężczyzn ma powabów, że niczym dla nich poświęcenie kobiety. Błagajmy Najwyższego, aby twej wychowance udzielił siły do zniesienia próby, na jaką wola Jego wystawia jej młodociane serce.

Donna Beatrix, żegnając królowę, dotknęła ustami jej ręki; lecz Izabella uściskała przyjaciółkę i tkliwy na jej czole złożyła pocałunek.

- Żegnam cię, droga Beatrix, rzekła, jeżeli na świecie są ludzie niestali, przynajmniej ty do nich nie należysz.

Po tych słowach królowa i markiza de Moya udały się każda do swych pokojów, nie wiedząc wszakże czy znajdą pożądaną spoczynek.

ROZDZIAŁ XXVIII

W dniu następnym po tej rozmowie kardynał Mendoza urządził dla Kolumba wspaniałą biesiadę. Najpierw panowie dworu zebrali się w zamiarze uczczenia admirała, przyjmowanego wszędzie z królewskimi niemal zaszczytami. Genuńczyk w podobnych uroczystościach zachował skromną choć pełną godności postawę, ale oczy wszystkich z zajęciem zwrócone były na niego, każdy jego wyraz chwymano chciwie i ścigano się w głośnym dlań uwielbieniu.

Biesiadnicy oczekiwali naturalnie, że Kolumb podzieli się szczegółami tej podróży. Było to trudne zadanie dla odkrywcy, bo stawiało go w konieczności wspomnienia o własnych czynach, o rozumie swym i nauce, nieskończenie wyższej od nauki współczesnych. Admirał jednak umiał zręcznie ominąć ten szkopuł, podkreślając głównie tę stronę przedsięwzięcia, z której zaszczyt spływał na Hiszpanię i jej władców.

Pomiędzy zgromadzonymi znajdował się Luis de Bobadilla, zaproszony przez kardynała ze względu na stanowisko jakie zajmował w społeczeństwie i na przyjazne stosunki łączące go z admirałem; bo w owych dniach upojenia postępowanie Kolumba było jakby modłą, do której stosowali się wszyscy, nie pytając sami siebie dlaczego. Luis, w poczuciu, że uczynił to, czego nikt z równych mu położeniem byłby nie śmiał uczynić, przybrał wyraz szlachetnej powagi, zgodnej ze statecznością swych postępów. Przypomniano sobie sprawozdanie młodzieńca z podróży Kolumba u don Pedra Martir, i już w wyobrażeniu ogólnym postać jego zespolona była z tajemniczą wyprawą. Dzięki takiemu usposobieniu, bohater nasz zbierać zaczął owoce swego czynu, w sposób którego nie przewidział. Jakże często tak bywa na świecie, iż ludzie jedni drugich potępiają albo wynoszą za rzeczy zupełnie urojone.

- Piję zdrowie jego ekscelencji, zawołał Luis de Saint-Angel, wznosząc puchar do góry. Hiszpania zawdzięcza mu największe z odkryć i każdy mieszkaniec tego kraju uczyć powinien wysoką jego zasługę.

Spełniono zdrowie admirała, który w kilku wyrazach objawił swoją wdzięczność.

- Senior kardynale, ciągnął dalej poborca dochodów kościelnych; świetny to tryumf dla religii chrześcijańskiej, jeśli zważymy ile umysłów zbłąkanych wejdzie na drogę zbawienia, bo Rzym nie zaniecha pewnie stosownych ku temu środków.

— Masz słuszość, kochany Saint-Angel, odrzekł kardynał; Ojciec Święty zrobi wszystko co do niego należy. Poznanie prawdziwego Boga wyszło ze Wschodu, a teraz wiara, oczyszczona objawieniem, powróci na miejsce gdzie była jej kolebka, ale powróci przez Zachód, nieznaną dotąd drogą.

Jakkolwiek na pozór pomiędzy uczestnikami biesiady najszczerza panowała zgoda, to ułomność ludzka i tu wyszła na jaw, a zazdrość, najpowszechniejsza z ziemskich namiętności, niejedno nurtowała serce. W kole biesiadników zasiadał szlachcic hiszpański imieniem Juan d'Orbitello, którego denerwowało szafowanie tyłu pochwałami na korzyść cudzoziemca.

— Czy wasza eminencja mniemasz, zawołał, że Opatrzność nie byłaby znalazła środka dla dopięcia swych celów, gdyby usiłowania don Kolumba spełzły na niczym?

— Nikt z nas, senior, nie śmie w tym względzie ograniczać potęgi Stwórcy, odpowiedział z powagą kardynał; ale człowiek nie powinien roztrząsać wyroków Najwyższej Mądrości.

— To prawda, senior kardynale, odparł d'Orbitello, zmieszany nieco napomnieniem prałata; nie taki też był mój zamiar. Pragnąłbym tylko wiedzieć, czy don Christoval uważa się za wyłącznie przeznaczonego do spełnienia tego dzieła.

- Czułem zawsze w sobie jakąś siłę tajemniczą, odezwał się Kolumb z uroczystą powagą, w której widziałem głos nieba, i sądzę że moje usiłowania były Bogu przyjemne, a ludziom pożyteczne.

- Przypuszczasz więc, senior admirale, że w Hiszpanii nie ma drugiego człowieka, co z równym powodzeniem dokonałby wyprawy do Indii?

Śmiałość tej jakby zaczepki zwróciła uwagę, i wszyscy z ciekawością wyczekiwali odpowiedzi Kolumba. Odkrywca przez chwilę zachował milczenie; potem wyciągnął rękę, wziął jajko ze stojącego przed sobą półmiska i rzekł uprzejmie:

- Czy umie kto z was, seniorowie, ustawić jajko na końcu?

Pytanie to niezmiernie zdziwiło obecnych; jednakże wśród śmiechu i żartów wzięto się do próby. Lecz nadaremnie: z odjęciem palców jajko natychmiast upadało.

- Na św. Łukasza! senior don Christoval, to rzecz niepodobna do wykonania, zawołał Juan d'Orbitello.

- A jednak łatwą będzie dla wszystkich, i dla ciebie senior, gdy was nauczę sposobu.

To mówiąc Kolumb lekkim uderzeniem o stół spłaszczył koniec jajka, które na obszernej spoczawszy podstawie, utrzymało się w równowadze. Powszechny poklask przyjął tę trafną naukę, a Juan d'Orbitello, zawstydzony, zaprzestał dalszej szermierki.

W tej chwili wszedł do sali posłaniec królowej i szepnął słów kilka admirałowi, a następnie don Luisowi de Bobadilla.

— Królowa przyzywa mnie do siebie, senior kardynale, rzekł Kolumb, wybacz więc wasza

eminencjo, że powołany obowiązkiem opuszczam to zgromadzenie.

Kardynał wypowiedział kilka ceremonialnych słów i odprowadził gościa do podwojów. Admirał opuścił salę, a za nim podążył niebawem hrabia de Llera.

— Gdzie idziesz, Luis? zapytał Kolumb młodzieńca. Czemu porzucasz biesiadę, jaką znaleźć chyba można tylko w pałacu królewskim?

— Na św. Yago! wątpię, mój mistrzu, sądząc po zwyczajach naszego króla, aby stół jego równie był smaczny i obfity; ale stawić się muszę na rozkazy donny Izabelli, i serce moje przeczuwa, że powołano nas obu w drogiej dla mnie sprawie. Zapewne królowa, przed zezwoleniem na związek mój z donną Mercedes, chce zapytać waszą ekscelencję o zachowanie się moje w podróży.

— W ostatnim czasie tak byłem zajęty, że nie miałem nawet sposobności zapytania cię, Luis, o zdrowie donny Valverde. Kiedyż ona nagrodzi twoją stałość?

— Nie wiem rzeczywiście co na to odpowiedzieć. Od powrotu naszego trzy razy tylko widziałem Mercedes i znalazłem ją pełną dobroci, jak zawsze; lecz ciotka moja zimniejszą była niż zwykle, i zbywała mnie półsłówkami gdym nalegał o przyspieszenie związku. Zdaje się, że pragnie wprzód zasięgnąć zdania jej wysokości.

— Nie wątpię mój młody przyjacielu, że istotnie nas powołano w tym celu; trudno inaczej wytłumaczyć tak nagle i przeciwne zwyczajom dworskim poselstwo.

Młodzieniec oddawał się tej myśli z przyjemnością, i wszedł do pokojów królowej, tak lekko i radośnie, jak gdyby stanąć już miał z ukochaną na ślubnym kobiercu. Po krótkim oczekiwaniu obaj znaleźli się przed monarchinią.

Izabella miała u siebie tylko markizę de Moya, Mercedes i Ozemę. Na pierwszy rzut oka Kolumb i Luis spostrzegli, że zaszło coś niezwykłego. W twarzach osób obecnych łatwo było wyczytać jakiś przymus nienaturalny: królowa usiłowała przybrać właściwą sobie słodycz oblicza, lecz czoło jej było nachmurzone. Twarz donny Beatrix nosiła piętno smutku, i Luis uważał, że ona odwraca się od niego, jakby mocno zagniewana. Śmiertelna bladość powlekała piękne rysy Mercedes; oczy jej były w ziemię wlepione i cała postać wyrażała nieśmiałość i upokorzenie. Jedna tylko Ozema zachowywała wrodzoną swobodę: ożywione jej spojrzenie niewinną malowało radość, a ujrawszy Luisa, którego po przybyciu do Hiszpanii raz tylko widziała w Barcelonie, wydała stłumiony okrzyk zachwyty.

Izabella postąpiła kilka kroków na spotkanie Kolumba, a gdy ten chciał przyklęknąć, wyciągnęła doń rękę.

- Nie przystoi, senior, rzekła, aby człowiek tak zasłużony podobne składał nam hołdy; jestem królową twoją, lecz bardziej jeszcze przyjaciółką. Kardynał Mendoza niełatwo mi pewnie wybaczy, że go pozbawiam przyjemności twojego towarzystwa.

— Jego eminencja i szlachetni biesiadnicy mają nad czym w tej chwili rozmyślać, odpowiedział don Christoval z uśmiechem, i bardzo pewnie radzi z pozbycia się mej osoby. Lecz nawet w razie przeciwnym nie wahałbym się opuścić ich grona, dla usłuchania rozkazu waszej wysokości.

— Nie wątpię o tym, senior; dziś jednak chcę z tobą pomówić o rzeczach bardziej osobistych niż publicznych. Donna Beatrix poleciła mej opiece tę młodą Indiankę, której powaby i przymioty korzystne o tym odkryciu dają wyobrażenie. Jakie jej pochodzenie i co ją skłoniło do opuszczenia rodzinnego kraju?

— Urodzenie Ozemy, miłościwa pani, pośrednie jest między królewskim a szlacheckim; co się zaś tyczy przybycia jej do Hiszpanii, o tym don Luis de Bobadilla najlepiej waszą wysokość objaśni.

— Nie, senior, chciałabym wszystko z twoich własnych ust usłyszeć; z hrabią de Llera później będzie rozprawa.

Kolumb zdziwiony tą odpowiedzią, pośpieszył uczynić zadość żądaniu królowej.

— W Haiti, rzekł, są kacykowie pierwszego i drugiego rzędu, czyli wielcy i mali. Guakanagari, o którym wspomniałem waszej miłości, jest wielkim kacykiem, Mattinao zaś, brat Ozemy, jego hołdownikiem. Don Luis znajdował się u kacyka Mattinao w chwili napadu Kaonaba, naczelnika Karaibów, zamierzającego porwać młodą księżniczkę, która obecnie ma zaszczyt zostawać pod opieką waszej wysokości. Hrabia postąpił jak przystało szlachetnemu rycerzowi kastylijskiemu; pogromił nacierających i ocalałą ofiarę ukrył na okręcie. Postanowiliśmy zabrać ją do Hiszpanii, już aby...

— Wiem o tym wszystkim, senior, ale chciej mnie objaśnić dlaczego Ozema nie znajdowała się w gronie swych rodaków podczas przyjęcia twego w Barcelonie?

- Don Luis życzył sobie, aby księżniczka pod jego strażą opuściła Palos, a ja podzielałem zdanie młodzieńca, że nie wypada wystawiać jej na spojrzenia ciekawych.

- Było to słuszne po części, ale nie bardzo roztropnie, wtrąciła królowa; tym sposobem Ozema przez kilka tygodni zostawała sam na sam z hrabią de Llera.

- Tak jest, miłościwa pani, do chwili kiedy don Luis powierzył ją staraniom markizy de Moya.

- Jak mogłeś być tak niebaczny, admirale?

- Seniora!... zawołał Luis, nie będąc już panem siebie.

- Milcz, młodzieńcze, rzekła królowa nakazująco, dopóki nie będziesz pytany. Czy nie uznajesz słuszności mej uwagi, don Kolumbie?

- Najjaśniejsza pani, pytanie waszej wysokości i jego powody są dla mnie zagadką. Przekonany jestem o prawości młodego hrabiego; wiedziałem, że serce jego od dawna już zajęte; zresztą, miłościwa królowo, zaprzątnięty będąc ważniejszymi sprawami, nie pomyślałem nawet o rzeczy tak mało znaczącej.

- Pojmuję to, admirale, i tłumaczę cię przed sobą; jednak zbłądziłeś zbyt dużym zaufaniem w stateczność lekkomyślnego młodzieńca. Teraz, hrabio de Llera, kolej przypada na ciebie. Czy potwierdzasz słowa admirała?

— Niewątpliwie, seniora; don Christoval niezdolny jest do wybiegów. Dom Bobadillów, najjaśniejsza królowo, nie wykroczył nigdy przeciwko honorowi.

— Być może; lecz choćby jakiś członek twojej rodziny zgrzeszył złą wiarą, to z drugiej strony (mówiąc to królowa rzuciła okiem na markizę) wydała ona serca, których szlachetne przymioty godne są najwznioślejszych wzorów starożytności. Nie myślałeś, hrabio, w tych czasach o związku małżeńskim?

— Myślałem, seniora, licząc na najłaskawsze waszej królewskiej mości zezwolenie.

— Niestety, Beatrix, zawołała Izabella, przewidywania moje aż nadto były zasadne; niewinne to stworzenie zostało uwiedzione; bo niepodobna przypuścić, aby poddany Kastylii śmiał w mojej obecności mówić o zamierzonym związku z panną dostojnego rodu, wiedząc, że już należy do innej. Największy nawet rozpustnik nie urągałby w ten sposób Kościołowi i monarchini.

— Miłościwa pani, wtrącił Luis, wasza wysokość przemawiasz surowo, lecz w sposób zagadkowy. Odważę się zapytać czy te wyrzuty mnie dotyczą?

— Nie inaczej, młodzieńcze? Daremnie się zastawiasz pozorem niewinności; sumienie własne wskazuje ci całą niegodziwość twego czynu.

- Seniora, nie jestem aniołem jak Mercedes, ani świętym; ale, na honor rycerski, nie wiem o co tu chodzi. Racz wasza wysokość wyjawić, o jaką oskarżono mnie zbrodnię.

- O podstępne uwiedzenie przez udany ślub niewinnej panny lub sztychowanie ze swej królowej, z którą mówiłeś o małżeństwie, rozrządziwszy już swoją ręką.

- A ty, moja ciotko, ty Mercedes, czy także uznajecie mnie winnym?

- Tyle mamy dowodów, że trudno zaiste nie wierzyć w twą przewrotność, odpowiedziała zimno markiza.

- A ty, Mercedes?

- Nie, Luis, odrzekła dziewczyna z zapalem, wykraczającym z granic powściągliwości, jaką zwykle zachować umiała w swych wyrazach; nie, Luis, nie posądzam cię o przewrotność lub podłość, lecz o lekkomyślność. Znadto dobrze znam twoje serce, abym przypuścić mogła rozmyślnie z twojej strony wiarołomstwo.

- Dzięki za to Bogu i Najświętszej Pannie! zawołał młodzieniec, chociaż nic z tego nie rozumiem.

— Czas już zakończyć tę sprawę, Beatrix, rzekła królowa; idźmy prosto do celu. Przystąp tu Ozemo, i niech świadectwo twoje usunie wszelką wątpliwość.

Młoda Indianka usłuchała rozkazu, nie wiedząc sama dobrze czego od niej wymagają. Rozmowa,

której była świadkiem żywo ją zajmowała; lecz Mercedes tylko, z bystrością właściwą sercom kochającym, spostrzegła ożywioną grę jej twarzy, ilekroć królowa czyniła wyrzuty Luisowi lub gdy ten odpowiadał.

— Księżniczko, ciągnęła dalej Izabella, mówiąc powoli i z przyciskiem, aby Indianka łatwiej ją rozumiała; czy jesteś małżonką Luisa de Bobadilla?

— Ozema żona Luisa, odrzekła zapłoniona; Luis mąż Ozemy.

— To dosyć jasno, don Kolumbie, a zawsze tę samą daje odpowiedź. — Gdzież Luis cię poślubił i jakim sposobem?

— Luis poślubił Ozemę religią hiszpańską; Ozema poślubiła Luisa miłością i obowiązkiem, jak robią w Haiti.

— To rzecz nadzwyczajna, seniora, wtrącił admirał; jeżeli wasza wysokość pozwolisz, starać się będę o zgłębienie tej tajemnicy.

— Czyń jak ci się podoba, odparła obojętnie królowa; co do mnie, pewną jestem swego.

— Hrabio de Llera, zapytał Kolumb z powagą, czy jesteś istotnie małżonkiem księżniczki Ozemy?

- Przenigdy, szlachetny admirał. Jestem jej przyjacielem, lecz nie myślałem nigdy o związku z kimkolwiek na świecie, oprócz Mercedes.

Słowa te wymówione były głosem prawdy i szczerości.

- Czy łudziłeś ją kiedy przyrzeczeniem swej ręki?

- Nie senior; szanowałem ją zawsze jak siostrę, w dowód czego dosyć jest przytoczyć, że ją powierzył staraniom swej ciotki i umieścił obok Mercedes.

- Podzielałam w tym jego zdanie, miłościwa pani, i mogę zaręczyć, że Luis zachowywał zawsze należne słabszej płci względy.

- Przeciw tym pięknym słówkom, senior, i przeciw tej cnotce sumiennej, stawiam zeznanie Ozemy, niezdolnej zaiste do kłamliwych wybiegów. Ty, droga Beatrix, przyznasz mi słuszność.

- Sama nie wiem co myśleć, najjaśniejsza królowo. Luis niejednego dopuścił się błędu, lecz nigdy nie uchybił honorowi. Rada bym bliżej jeszcze wy badać Ozemę.

- Dobrze mówisz, odrzekła Izabella, w której uczucie gniewu ustępować zaczęło wobec wymagań słuszności; sprawiedliwość wkłada na nas obowiązek podania oskarżonemu sposobności oczyszczenia się z winy. Hrabio de Llera, pozwalam ci wypytywać Ozemę stosownie do swego uznania.

— Seniora, nie wypada rycerzowi walczyć z kobietą, zwłaszcza z cudzoziemką, odpowiedział Luis nieśmiało. Poważam się przeto błagać waszą wysokość, abyś koniecznie w tym względzie badanie zleciła komu innemu.

— Ponieważ do mnie należy przykry obowiązek sądu, rzekła królowa spokojnie, więc się podejmę

i śledztwa. Utrzymujesz, księżniczko, że jesteś małżonką don Luisa; czy to małżeństwo nastąpiło przed kapłanem.

Ozema tyle już słyszała o religii chrześcijańskiej, że wyrazy dotyczące jej obrządków niemal wszystkie były jej znane, chociaż miały dla niej znaczenie tajemnicze i nieokreślone. Pojęła więc pytanie królowej, i przyciskając rękę do serca, odrzekła z właściwą sobie prostotą:

— Luis poślubił Ozemę krzyżem chrześcijan. Luis myślał, że umrze. Ozema także i Luis dał krzyż Ozemie, a Ozema poślubiła go sercem, jak czynią kobiety w Haiti.

— To widoczne nieporozumienie, wynikające z różnicy języka i zwyczajów, zawołał Kolumb. Wiem, że don Luis w czasie burzy grożącej niebezpieczeństwem, w pobożnym celu ofiarował księżniczce krzyż, który nosił na szyi; nieświadomość Ozemy w tym niewinnym darze upatrzeć mogła godło małżeństwa.

— Czy w celu jedynie zbawienia i obrony ofiarowałeś jej, hrabio, ten datek? zapytała królowa.

- Tak jest, seniora. Wobec nieuniknionej prawie śmierci chciałem pocieszyć to serce osieroczone, pozbawione światła świętej naszej wiary, a nie mając nic innego pod ręką, oddałem jej godło męki Zbawiciela, godło odkupienia, jako najskuteczniejszą obronę we wszelkiej dolegliwości.

- Czyś nie nadużył nigdy jej zaufania?

- Gardziłem zawsze obłudą, miłościwa pani, i wyznam, otwarcie jak na spowiedzi, w czym zawiniłem jak sądzę. Piękność i prostota obyczajów Ozemy, i podobieństwo jej do Mercedes, silnie mnie zajęła. Lecz serce moje nie było już wolne. Porównanie Mercedes i Ozemy przemawia na korzyść Mercedes. Otaczałem ją czułą troskliwością, bez ujmy dla Mercedes. Jeżeli więc zgrzeszył, to przez to tylko, że nie zwalczał skłonności jaką ku mnie powzięła Ozema; ale jej nigdy nie ubliżył, ani słowem ani czynem.

- Beatrix, wyznanie jego zdaje się prawdziwe. Znasz lepiej ode mnie swego synowca i wiedzieć powinnaś czy zasługuje na wiarę.

- Ręczę sumieniem za jego niewinność, miłościwa pani. Serce Luisa nie zna obłudy, i cieszę się niewymownie, iż cofnąć nam wolno potępiający go wyrok. Ozema, posłyszawszy o ślubnych obrządkach, i znając cześć chrześcijan dla krzyża, mniemała, nieboga, że Luis ją poślubił.

— Być może, iż tak jest rzeczywiście, rzekła królowa łagodnie. Starajmy się wyprowadzić z błędu to niewinne stworzenie; a że tu chodzi o uczucia niewieście, tylko kobiety powinny być obecne. Ustąpcie, seniorowie, i dajcie mi słowo rycerskie, iż nie wspomnicie nikomu o dzisiejszej rozmowie. Jutro, hrabio de Llera, objawię swą wolę względem ciebie i Mercedes.

Po tych słowach Izabelli Kolumb i Luis opuścili posiedzenie, a królowa z kobietami długą jeszcze prowadziła rozmowę, której treść przytaczamy.

ROZDZIAŁ XXIX

Zostawszy sama z markizą de Moya, Mercedes i Ozemą, Izabella zaczęła mówić o mniemanym małżeństwie z oględną troskliwością, lecz w sposób jasny i stanowczy. Ponowione pytania objaśniły ją wkrótce, jakim sposobem młoda Indianka stała się ofiarą tak dziwnej i smutnej w następstwach pomyłki. Pełna zapału i ufności Ozema mniemała, iż hrabia podziela jej uczucia. Od pierwszego zaraz widzenia odgadła instynktem kobiecym, że korzystne na nim zrobiła wrażenie; w przekonaniu więc, że doznaje wzajemności, oddała się bezwzględemu złudzeniu, do którego niemało także przyczyniła się nieznamość języka i rycerska o nią troskliwość naszego bohatera.

Do tylu powodów przypadkowych dodajmy jeszcze usiłowania Luisa w wyłożeniu jej zasad chrystianizmu i pomieszanie pojęć we wrażliwym umyśle dziewczyny. Ozema przypuszczała, że Hiszpanie Boską cześć oddają krzyżowi; widziała go we wszystkich uroczystościach religijnych; widziała, że przed nim klękają, że rycerze całują krzyż rękojeści swego miecza; admirał wznieść kazał to godło w zajęтым przez siebie kraju; słowem wyobraźnia jej upatrywała w krzyżu jakiś zadatek miłości i wiary. Podziwiała często błyszczący na piersi Luisa klejnot, a że w Haiti ceremonia ślubu odbywała się przez zamianę kosztownych podarunków, mniemała przeto, że odbierając krzyżyk, została żoną tego, który jej wręczył ów drogocenny przedmiot.

Szczegółów tych dowiedziała się królowa zaledwie po godzinie umiejętnego badania, gdyż Ozema, z otwartością dziecięcia nie tajiła żadnej ze swych myśli. Pozostawał jeszcze najtrudniejszy obowiązek zniszczenia jej złudzeń. W ostrożnych słowach Izabella wyjaśniła jej, że hrabia dawno już kocha Mercedes i jest jej narzeczonym. Skutek tego objaśnienia był straszny i przeraził królową, która nigdy nie widziała tak gwałtownego wybuchu namiętności.

Kolumb i młody Bobadilla przez tydzień nie wiedzieli co zaszło. Luis odebrał wprawdzie nazajutrz kilka zachęcających słów pisanych ręką ciotki, a Mercedes odesłała mu krzyżyk; resztę jednak zostawiono jego domysłowi. Siódmego dnia dopiero młodzieniec został przyzwany do markizy.

Wszedłszy do salonu ciotki, Luis nie zastał tam nikogo. Zbytnią cierpliwość nie była nigdy grzechem naszego bohatera: po półgodzinnym oczekiwaniu, zmierzyszy kilkaset razy pokój długimi krokami, miał właśnie zawołać służącego i kazać mu powtórnie zawiadomić markizę o swym przybyciu, gdy niespodziewanie drzwi boczne uchyliły się i stanęła przed nim Mercedes.

Na pierwszy rzut oka Luis zauważył, że w sercu dziewczyny toczy się gwałtowna walka. Ręka jej, którą całował z zapalem, zadrżała pod jego dotknięciem, a twarz płonęła i bladła na przemian. Z bolesnym uśmiechem wskazała mu fotel, zajmując sama miejsce na małym taborecie.

— Zaprosiłam cię na tę rozmowę, Luis, rzekła Mercedes, stawszy się panią swojego wzruszenia, bo tak między nami pozostać nadal nie może. Posądzono cię o niewierność, o zawarcie związku

małżeńskiego z Ozemą...

— Ale ty, droga Mercedes, nie uwierzyłaś temu oskarżeniu?

— Znam cię i wiem, że don Luis Bobadilla nie zapałby się nawet błędu; mniemane przeto małżeństwo uważałam zawsze za bajeczne.

— Dlaczegoż się więc odwracasz? Dlaczego spuszczasz oczy, zamiast pocieszyć mnie słodkim ich wejrzeniem?

Mercedes milczała przez chwilę, nie wiedząc czy będzie dość silną na wykonanie powziętego zamiaru; potem, uzbroiwszy się w odwagę, rzekła głosem słabym i przerywanym:

— Wysłuchaj mnie, Luis, cierpliwie; niewiele ci mam powiedzieć. Opuszczając Hiszpanię, dla wzięcia udziału w chwalebnej wyprawie, kochałeś mnie szczerze, kochałeś mnie tylko jedną. Rozstaliśmy się z zapewnieniem wzajemnej wierności; a odtąd codziennie błagałam Boga na klęczkach o wasze powodzenie.

— Nie dziwię się teraz Mercedes, żeśmy szczęśliwie dokonali dzieła. Wstawiennictwo twoje nie mogło być bezskuteczne.

— Nie przerywaj mi, senior, proszę cię o to na wszystko. Do dnia powrotu waszego miotana byłam niezwykłym niepokojem: mimo udręczeń oczekiwania, przyszłość w świetnych przedstawiała mi się barwach. Przybycie dopiero posłańca admirała rozwiąło te ułudne nadzieje i wykryło smutną rzeczywistość. Dowiedziałam się wtedy, iż hołdujesz wdziękom Ozemy, żeś życie naraził dla jej ocalenia.

- Na św. Łukasza! czyżby ten nędznik Sancho śmiał poddać w wątpliwość uczucia moje dla ciebie?

- Nie potępiaj go, Luis, bo powiedział prawdę. Tym sposobem, dzięki Najwyższemu, przygotowana byłam na wszystko, a ujrawszy Ozemę usprawiedliwiam nawet twą niestałość. Mogłeś oprzeć się jej piękności; lecz poświęcenie bez granic, niewinna prostota i skromność Indianki mimo woli cię usidłały.

- Mercedes!

- Powiadam ci, Luis, że nie mam do ciebie żalu. Gdyby mnie cios podobny spotkał po zostaniu twą żoną, byłabym może zgnębiona, nieszczęśliwa: dziś klasztor przede mną otwarty. Nie przerywaj mi, proszę, dodała Mercedes z łagodnym uśmiechem. Nie umiałeś panować nad sobą; powab nowości, dziecięca zalotność Ozemy podbiła twoje serce. Przyjmuję z pokorą to zesłanie Opatrzności, w przekonaniu, że tak jest najlepiej, że wyrok Boga, zamiast krótkich rozkoszy ziemskich, wieczne przeznaczył mi zbawienie. Co mówię! nie będę nawet obraną z przyjemności doczesnych, bo znajdę takowe w modlitwie za ciebie i Ozemę.

— Wszystko to jest lak dziwne, Mercedes, a zarazem przykre i niesłuszne, że nie wiem rzeczywiście co myśleć.

— Wszakże cię nie obwiniam! Przymioty zewnętrzne Ozemy dostatecznie twą słabość usprawiedliwiają, bo mężczyźni w swych uczuciach idą raczej za skłonnością zmysłową, niż za sercem. Haitanka (mówiąc to Mercedes żyw/o się zapłonila) mogła cię wabić niewinną zalotnością, której użycie wzbronione jest chrześcijance. Ozema cierpi w tej chwili, mówią nawet, że chora niebezpiecznie; ale do ciebie należy przywrócić jej życie. Jedno twe słowo, Luis, uszczęśliwi tę młodą istotę; powiedz, że ją poślubisz skoro przyjmie chrzest święty, a wkrótce rumieniec zdrowia zakwitnie na jej ślicznej twarzy.

— Mówisz to, Mercedes, tak spokojnie i stanowczo, jak gdybyś własne wyrażała życzenie!

— Postanowienie moje jest stałe; idź za popędem serca, a na mnie nie zważaj zupełnie.

Luis z zadziwieniem spojrział na pannę, której oczy, wbrew słowom, najtkliwsze wyrażały przywiązanie; potem powstał z siedzenia i zaczął szybko przechadzać się po izbie, jak gdyby ruchem ciała chciał stłumić boleść duszy. Ochłonawszy nieco, powrócił na miejsce, i biorąc rękę Mercedes, powiedział:

- Zbyteczne rozmyślanie nad przedmiotem nader prostym zmieniło twoje zdanie, Mercedes. Ozema nigdy nie posiadała mego serca; czułem dla niej ulotną tylko przychylność. Gdybym ciebie nawet nie znał, nie mogłaby ona zapewnić mego szczęścia; lecz wobec czystej miłości jaką pałam ku tobie, związek z nią byłby dla mnie wyrokiem potępienia.

Na te słowa promień radości rozświecił rysy Mercedes; ale chwilowe to wrażenie wkrótce przeminęło.

- Godziż się tak postąpić z Ozemą? rzekła głosem wyrzutu. Czyż owa przychylność ulotna nie dawała jej otuchy, a tym samym czy honor nie nakazuje ci spełnienia wzbudzonych nadziei?

- Najdroższa moja! gdybyś wiedziała jak często pamięć o tobie wspierała mnie w położeniu, gdzie łatwo było zapomnieć o głosie obowiązku, wtedy umiałabyś ocenić różnicę między prawdziwą miłością a tym uczuciem, o którym z taką wspominasz goryczą.

- Luis, nie powinnam cię słuchać! Słodkie to dla mnie słowa, lecz niepodobna gubić człowieka, co z narażeniem własnego niebezpieczeństwa bronił twego życia.

- I ty byś to na miejscu Ozemy uczyniła.

— Chciałabym pewnie, ale kto wie czy bym mogła, odpowiedziała Mercedes zapłoniona.

— Ozema we własnej broniła mnie sprawie; ty byś mnie zasłoniła bez względu na okoliczności.

Mercedes zamyśliła się; spojrzenie jej, pod wpływem namiętych zapewnień ukochanego, odzyskało część swego blasku, i czułość brała górę nad zwątpieniem.

— Pójdźmy do Ozemy, rzekła wreszcie; widząc ją cierpiącą, zdasz sobie sprawę ze swych uczuć; cokolwiek jednak postanowisz, bądź pewnym mojego zrozumienia.

Luis przycisnąć chciał do serca płaczącą, lecz ona z lekka go odtrąciła. Po chwili oboje weszli do

pokoju Ozemy, gdzie zastali królową i admirała.

Młodzian zdrzął, widząc na twarzy Indianki ślad trawiącego ją cierpienia. Rumieniec ustąpił sonej bladości, oko świeciło blaskiem gorączkowym. Ujrawszy go, zakryła twarz rękoma; jak dziecko wstydzące się wyznać swoje myśli. Luis z uszanowaniem pochwycił rękę Ozemy, i dotknął jej ustami z braterską tkliwością.

Na koniec królowa przerwała uciążliwe dla wszystkich milczenie.

— Nakłoniliśmy, rzekła, księżniczkę do przyjęcia dziś chrztu świętego. Arcybiskup robi potrzebne w tym względzie przygotowania, i dzięki Najwyższemu, dusza jej będzie zbawioną.

— Wasza wysokość troskliwa jesteś zawsze o dobro osób powierzonych jej opiece, zawołał Luis, kłaniając się nisko, dla ukrycia łez rozrzewnienia. Lękam się tylko czy nasz klimat na zdrowie Indian nie wywiera zgubnego wpływu; bo mówią, że stan pozostałych w Sewilli i Palos jest także bardzo niebezpieczny.

- Prawdaż to, admirał?

- Tak jest, niestety, miłościwa pani; lecz pamiętano o ich zbawieniu; Ozema ostatnia z rodaków przyjmuje Najświętszy Sakrament.

- Seniora, wtrąciła markiza z wyrazem zdziwienia, nadzieje nasze są złudne. Księżniczka oświadczyła stanowczo, że zanim sama przyjętą zostanie w poczet chrześcijan, pragnie być świadkiem ślubu Luisa i Mercedes.

- To myśl ulotna, o której zapomni po przybyciu arcybiskupa.

- Wątpię, najjaśniejsza pani; bo chociaż Ozema zwykle jest słodka i uległa, tym razem upiera się przy swoim.

Królowa przystąpiła do chorej i długo z nią rozmawiała. Luis tymczasem zbliżył się do Mercedes, a kilka jego słów, wymówionych półgłosem, upewniło ją o trwałej miłości, którą miał do niej.

Po upływie kwadransa paź dworski, otwierając drzwi od kaplicy, oznajmił obecnym, że arcybiskup ukończył przygotowania.

— To dziecko obstaje przy swoim żądaniu, rzekła Izabella do markizy, i nie wiem jak temu zaradzić. Okrucieństwem byłoby pozbawić ją dobrodziejstwa wiary; a jednak niepodobna wymagać, aby synowiec twój i Mercedes tak nagle przystąpili do ślubu.

— Co do Luisa, miłościwa królowo, nie wątpię o jego gotowości; idzie tylko o zjednanie panny.

— Zgrzeszymy może przyspieszając zbytecznie ten obrządek. Młoda chrześcijanka przed zawarciem małżeństwa powinna przygotować się modlitwą.

— A jednak, seniora, ileż to osób przystępuje do ołtarza bez żadnych przygotowań. Pamiętam nawet chwilę, w której Ferdynand Aragoński i donna Izabella Kastylijska nie uważali na podobne formalności.

— Masz zwyczaj, Beatrix, wspominać dni mej młodości, ilekroć pragniesz przeprowadzić nierozważny jaki zamiar. Czy sądzisz rzeczywiście, że wychowanka twoja przystanie na pomysł Ozemy?

— Nie mogę tego przewidzieć, seniora, wiem tylko, że jeśli w Hiszpanii jest kobieta gotowa w każdej chwili przyjąć Przenajświętszy Sakrament, to najpierw wasza wysokość, a potem Mercedes.

— Daj pokój, Beatrix! Pochlebstwa źle brzmią w twoich ustach. W tym względzie żadna z nas pewną być siebie nie może. Ale niech donna Mercedes wejdzie do mego gabinetu; rozmówię się z nią sam na sam.

Po tych słowach królowa opuściła Ozemę, a za nią nieśmiało postąpiła Mercedes. Gdy obie były bez świadków, panna ze łzami rzuciła się na kolana i uściskała stopy monarchini. Po przejściu dopiero tej słabości chwilowej powstała, czekając przemówienia Izabelli.

- Spodziewam się, moja córko, rzekła królowa, że czasowe nieporozumienie między tobą a hrabią de Llera zupełnie już usunięte. Polegaj na doświadczeniu swej opiekunki i na moim; bo my w tej sprawie bezstronnymi jesteśmy sędziami. Don Luis kocha cię; dla młodej zaś Indianki ulotną co najwyżej czuł skłonność.

- Wiem o tym, seniora z własnego wyznania Luisa.

- Przykre to było przejście: ale lepiej teraz niż później. Lekarze wyrokują, że Ozema niedługo pożyje.

- Ach! miłościwa pani, jakże smutno musi być umierać pośród obcych, w kwiecie młodości i z sercem złamanym nieodwzajemnioną miłością!

- A jednak, Mercedes, jeśli niebo pozwoli jej przejrzeć przed zakończeniem doczesnej pielgrzymki, śmierć będzie dla niej zbawieniem. Istota tak młoda, niewinna i szczerą, której zbywa tylko na właściwym pokierowaniu, dostąpi niezawodnie królestwa niebieskiego. Ale potrzeba jej przyjęcia na łono naszego Kościoła.

— Jego eminencja arcybiskup wkrótce, jak sądzę, dopełni obrządku chrztu świętego.

— Zależć to będzie od ciebie, moja córko. Wysłuchaj mnie z uwagą i objaw swoją wolę.

Królowa nadmieniła następnie o żądaniu Ozemy, lecz z taką oględnością, że dziewczyna, jakkolwiek zmieszana, dosyć jednak spokojnie przyjęła tę niespodzianą wiadomość.

— Donna Beatrx rzuciła pomysł, którego wszakże po jej dojrzałej rozwadze nie pochwalam. W zamiarze osłodzenia ostatnich chwil młodej Indianki, radziła, aby Luis ją poślubił. Co myślisz o tym, moje dziecię?

— Senior, gdybym wierzyła, jak niedawno jeszcze, że Luis kocha księżniczkę tą miłością, bez której małżeństwo staje się katuszą, sama bym o to na klęczkach błagała waszą wysokość, bo pragnę przede wszystkim jego szczęścia; ale w obecnym stanie rzeczy byłoby to znieważeniem

sakramentu.

— Tak samo i ja rozumiem; nie mówmy więc o tym. Pozostaje nam tylko rozstrzygnąć drugie zapytanie. Czy zezwalasz, moja córko na życzenie Ozemy?

Mimo jej przywiązania do ukochanego, tak nagle dopełnienie obrządku ślubnego przeciwne było jej uczuciu. Namowa królowej, lękającej się odpowiedzialności przed Bogiem, gdyby Ozema umarła poganką, usunęła wszystkie wątpliwości. Gdy wyraziła zgodę Mercedes, zawiadomiono o tym markizę, a królowa z narzeczoną spędziła godzinę na modlitwie. Przygotowane duchowo, lecz nie myśląc o marności stroju światowego, udały się następnie do kaplicy, gdzie przeniesiono także Ozemę. Przez wzgląd jedynie na powagę ołtarza i kapłana, markiza przypięła pannie młodej białą zasłonę.

Kilkanaście dostojnych osób znajdowało się już w kaplicy, a gdy narzeczeni przystąpić mieli do ołtarza; król wszedł pośpiesznie, trzymając w ręce wstęgę honorową, którą zawiesił na szyi Luisa.

- Teraz, szlachetny młodzieńcze, rzekł z uroczystą powagą, przyjm moje życzenia, i obyś zawsze pamiętał o powinnościach względem Boga, jak dotąd wiernie pełniłeś obowiązki poddanego.

Przystąpiono niezwłocznie do obrządku ślubnego, w obecności króla i Kolumba. Izabella nie opuściła łoża Ozemy, w której twarzy wyrażała się walka przyjaźni z miłością. Po odbyciu ceremonii król z dworzanami opuścili kaplicę, i pozostały tylko osoby wtajemniczone w wypadki dni poprzednich.

- Gdzie krzyż? zapytała Ozema, gdy Mercedes szła ją uściskać. - Daj krzyż Ozemie. - Luis mnie poślubił krzyżem.

Mercedes sama odebrała krzyż od małżonką i wręczyła go Indiance.

- Teraz Ozema chce prędko być chrześcijanką, zawołała księżniczka, przytulając do piersi otrzymany klejnot.

Na znak udzielony przez królową arcybiskup rozpoczął obrządek, i wkrótce Izabella cieszyć się mogła przekonaniem, że dusza młodej cudzoziemki nie ulegnie potępieniu.

- Czy Ozema teraz chrześcijanka? zapytała nowo ochrzczona z prostotą dziecinnej nieświadomości.

— Otrzymałaś, moja córko, zapewnienie łaski najwyższego, odpowiedział prałat. Powinnaś obecnie szukać pociechy w modlitwie.

— Chrześcijanin nie ma żony poganki? Chrześcijanin poślubia chrześcijankę?

— Mówiono ci to nieraz; Ozemo, rzekła królowa, że Kościół nie pozwala na małżeństwo między chrześcijaninem a poganką.

— Chrześcijanin poślubia kobietę, którą kocha najlepiej?

— Bez wątpienia; inaczej obraziłby Boga zmyśloną przysięgą.

— Tak też myśli Ozema; ale trzeba poślubić drugą żonę, tę którą potem kocha się najlepiej. — Luis

wziął Mercedes za pierwszą żonę; — Ozema będzie druga. — Ozema teraz chrześcijanka, więc nie ma grzechu.

Izabella westchnęła, a Mercedes, rzewnymi zalewając się łzami prosiła Boga o zesłanie swego światła na duszę biednej cierpiącej. Wszelako arcybiskup uważał się w obowiązku sprostowania błędnych jej wyobrażeń.

— Żadnemu chrześcijanowi, rzekł głosem surowym, nie wolno dwóch żon jednocześnie pojmować w małżeństwie; sama myśl o tym ciężkim jest występkiem. Nie możesz być drugą żoną hrabiego, dopóki pierwsza zostaje przy życiu.

— Ozema chce być żoną Luisa, chociażby ostatnią ze wszystkich.

— Powtarzam ci, że to nigdy nastąpić nie może. Uwagi twoje znieważają ten święty przybytek. Ukorz się, nieszczęsna, albo...

- Dostyc arcybiskupie, przerwała markiza de Moya. Ta którą napominasz stanęła przed obliczem sędziego, który pewnie nie odmówi jej pobbłazania. Ozema już nie żyje!

Rzeczywiście młoda Indianka, zatrwożona groźną przemową prałata, uwikłana w nieprzystępnych dla siebie pojęciach chrystianizmu, zgnębiona wiadomością, że nie może połączyć się z ukochanym, Bogu oddała ostatnie tchnienie; lecz martwe jej lice nosiło jeszcze piętno sprzecznych namiętności, jakie nią miotaly przed śmiercią.

Taki był koniec pierwszej z owych istot niewinnych, które odkrycie Kolumba wydrzeć miało potępieniu. Izabella, boleśnie tym wypadkiem dotknięta, przeczuwała już wtedy, że śmierć Ozemy jest wróżbą przyszłego spaczenia świętych zasad Zbawiciela, poprzednikiem srogich zawodów, na jakie pobożna jej gorliwość miała być narażoną.

ROZDZIAŁ XXX

Rozgłos podróży Kolumba dziwnym urokiem otoczył morskie wyprawy. Nie uważano ich już za niegodne ludzi wyższego urodzenia, i wycieczki po oceanie weszły niejako w modę. Panowie, których posiadłości graniczyły z Morzem Śródziemnym lub Atlantykiem, na małych statkach krążyli nieopodal brzegów, przesadzając się w wystawności i przepychu; słowem duch epoki był zupełnie marynarski. Współubieganie się Portugalczyków pobudzało: czynność Hiszpanów, i przyszło na to, że młodzieńców, którzy domowej pilnowali strzechy nazywano piecuchami, nie szczędząc im przycinków, jakie dawniej spotykały przedsiębiorczych właśnie podróżników.

W końcu września 1493 roku na cieśninie rozdzielającej Europę od Afryki i łączącej Morze Śródziemne z niezmierną przestrzenią Oceanu Atlantyckiego płynęło kilka okrętów, w różnym celu i kierunku, z których jeden bliżej nas obchodzi. Był to statek niewielkich rozmiarów, pod

malowniczym trójkątnym żaglem, sunący w promieniach wschodzącego słońca, na kształt ogromnego ptaka, co z rozpiętymi skrzydłami spieszy do gniazda. Zewnętrzne jego rozmiary nosiły cechę smaku i wykończenia. Na tylnej części kadłubu widać było napis: Ozema; a sam właściciel, hrabia de Llera, z młodą małżonką znajdował się na pokładzie. Luis, zaprawiony w częstych morskich podróżach, osobiście wydawał rozkazy, chociaż Sancho Mundo, dowódca tytułarny, krzątał się między majtkami z przybraną powagą zwierzchnika.

- Dalej dzieci! zawołał były sternik „Pinty”, przytwierdzić dobrze tę kotwicę; bo mimo pomyślnego wiatru nie można zaufać wybrykom Atlantyku. W podróży z don Kolumbem wyjście nasze pod żaglem było nader szczęśliwe, a jednak piekielny mieliśmy powrót. Donna Mercedes, jak widzicie, dzielnie się trzyma na morzu, i nikt powiedziec nie zdoła jak daleko popłyniemy. Mówię wam, bracia, że w służbie takiego pana czekają nas zaszczyty i bogactwa; pamiętajcie tylko mieć zawsze dzwonki, gdyż one zwabiają złoto, jak dzwon katedry sewilskiej pobożnych chrześcijan.

- Mości Sancho, odezwał się Luis, niech jeden z majtków wlezie na przednią reję i niech rozpozna morze w kierunku północno-zachodnim.

Słowa te przerwały gawędę Sancha, który pilnował wykonania rozkazu. Gdy majtek był na szczycie, Luis zapytał go co widzi. — Senior przy ujściu Tagu ocean pokryty jest żaglami. Czy możesz je zliczyć?

— Widzę ich szesnaście; a teraz oto wynurza się siedemnasty.

— A więc przybывamy w porę, moja droga! rzekł Luis radośnie, zwracając się do Mercedes; będę mógł raz jeszcze uścisnąć dłoń admirała przed powtórnią jego wyprawą do Indii. I ty zapewne jesteś tym ucieszona?

— Przyjemność twoja, Luis, jest moją przyjemnością.

— Droga Mercedes, to chętnie towarzyszenie mi w podróży tak ściśle nas połączy, że tylko w tobie żyć będę i zrobisz ze mnie co sama będziesz chciała.

— Dotychczas rzecz ma się przeciwnie, odpowiedziała hrabina; ty więcej masz szans nakłonienia mnie do tułaczki, niż ja zatrzymania cię w domu.

— Miałażby ta wycieczka być przeciwną twojemu życzeniu? zapytał Luis.

— Nie, drogi mężu; tym razem spełnienie twych życzeń osobistą sprawią mi przyjemność. Ileż silnych i nieznanych odbieram tu wrażeń!

Po upływie pół godziny z pokładu „Ozemy” ujrzano okręt admirałski, a zanim jeszcze słońce stanęło w zenicie, statek Luisa wpłynął w szeregi floty. Admirał, dowiedziawszy się o przybyciu młodej pary, pośpieszył odwiedzić ich osobiście, i ze szczerą przyjąty został radością.

Trudno zaiste większą wyobrazić sobie sprzeczność, jak powtórnią tę wyprawę w porównaniu z pierwszą. Niegdyś Kolumb odpływał samotny, prawie nieznan, z trzema źle opatrzonymi

statkami; dziś mnóstwo żagli snuło się po morzu i admirał otoczony był wyborem szlachty hiszpańskiej.

Jak tylko rozeszła się wiadomość, że hrabina de Llera obecną jest na statku „Ozema”, spuszczone zewsząd łodzie i Mercedes na morzu znalazła się otoczoną jakby na dworze królowej Izabelli. Dwie damy z jej orszaku dopomagały hrabinie w przyjmowaniu szlachetnych kawalerów cisnących się tłumnie na pokład. Przez całą godzinę scena ta, pełna ruchu i wesołości, ożywiała mały statek, a czyste i wonne powietrze oceanu większego przydawało jej uroku.

- Hrabino, rzekł jeden z rycerzy, nieszczęśliwy kiedyś pretendent do ręki Mercedes, okrucieństwo twoje, jak widzisz, przywiodło mnie do rozpacz, i chronię się przed nim aż na drugą świata połowę. To szczęście dla don Luisa, że nie należał do pierwszej wyprawy; bo którażby Kastylijka wzgardziła ręką towarzysza don Kolumba?

- Być może, odpowiedziała Mercedes; wolę jednak, aby mąż mój nie oddalał się bardzo od brzegu, chociażby dlatego tylko, że wtedy mogę mu wszędzie towarzyszyć.

— Seniora, odezwał się Alonzo de Ojeda, don Luis zwyciężył mnie na turnieju; ale dziś ja go przewyższam, jeśli nie w szczęściu, to w zasłudze.

— Dostyc zaszczytu dla mego męża, że raz pokonał tak dzielnego rycerza.

— Ależ hrabino, gdyby don Luis popłynął z nami i wrócił po roku, zadziwiwszy swym męstwem poddanych wielkiego chana, to jeszcze byś go lepiej pokochała.

— Admirał, senior, i tak go szanuje; w tej chwili poufną w mej kajucie toczą rozmowę, a podobnego zaszczytu don Christoval nie wyświadcza lada komu.

— Ta przyjaźń don Kolumba dla hrabiego, wtrącił odrzucony wielbiciel, już w Barcelonie ogólną zwracała uwagę. Zapewne dawniej spotkać się musieli na morzu.

— Przebóg! zawołał śmiejąc się, Ojeda, jeżeli spotkanie admirała z don Luisem było tego rodzaju co ze mną, to nic dziwnego, że w dobrej mają się pamięci.

Podczas gdy na pokładzie w ten sposób lekko i wesoło dowcipna szła pogadanka, hrabia de Llera z Kolumbem poważniejszą w kajucie prowadzili rozmowę.

- Don Luis rzekł admirał, znasz mą przychylność dla siebie, i ja wzajemnie pewny jestem twojego poważania. Obecna wyprawa niebezpieczniejszą jest od pierwszej; bo wtedy byłem przedmiotem pogardy i litości, dziś przeciwnie opuszczam Hiszpanię ścigany przewrotnością zawistnych. Skryci nieprzyjaciele będą mnie tu podkopywać; i ci nawet co w oczy płaszczyli się przede mną, spotwarzą i oczernią moje imię. Zostawiam wszakże kilku gorliwych przyjaciół, a mianowicie Ojca Juana Pereza, Luisa de Saint-Angela, Alonza de Quintanilla i ciebie. Liczę na was, nie w celu dostąpienia zaszczytów, lecz w interesie prawdy i słuszności.

- Senior, o ile słabe me siły pozwolą, stawać będę gorliwie w twej obronie.

- Byłem o tym przekonany, Luis, odpowiedział Kolumb, ściskając przyjaźnie rękę młodzieńca. Fonsca, który teraz tyle ma wpływu, nie bardzo dla mnie przychylny. A także twój imiennik szkodzić mi będzie przy każdej sposobności .

— Znam go, senior; to zakała naszego domu.

— Lecz ma znaczenie u króla, którego zjednać koniecznie należy.

— Niestety, senior! król coraz bardziej skłania się ku podszeptom pochlebców. Liczę tylko na donnę Izabellę; choć zresztą i moja ciotka stać może za armię posiłkową.

— Bóg wszystkim zrządzi i grzechem byłoby zwątpić o jego sprawiedliwości. A teraz, Luis, słówko jeszcze o tobie. Opatrzność powierzyła ci szczęście kobiety, jakich mało zaiste na świecie. Komu Bóg znaleźć pozwoli dobrą i cnotliwą żonę, tego serce codziennie wzbierać powinno wdzięcznością; bo ze wszystkich skarbów doczesnych posiada najobfitszy, najczystszy i najtrwalszy, byle tylko umiał go uszanować. Żona twoja równie jest rozsądna jak cnotliwa; niechże wzgląd na nią miarkuje twą nierozwagę; niech czystość jej będzie twym wzorem, a miłość przewodnikiem.

Admirał udzielił Luisowi swego błogosławieństwa i czule pożegnał Mercedes. Łodzie jedna po drugiej opuszczając zaczęły statek, przesyłając z daleka znaki pożegnalne. Chwil kilka jeszcze, a flota odpłynęła na południowy zachód, w kierunku krainy, którą wówczas uważano za Indie. Przez godzinę jeszcze statek pozostał w miejscu, i młode stadło śledziło wzrokiem oddalających się przyjaciół; potem, rozpiąwszy żagle, szybko sunął ku Palos.

Wieczór był prześliczny, a powierzchnia oceanu, gładka i spokojna, miała wygląd ogromnego zwierciadła. Na tylnym pokładzie stał rozłożony namiot, w którym hrabiostwo zwykle przesiadywali; zewnętrzna jego powłoka składała się z płótna napuszczonego smolą, lecz w środku kosztowne makaty pokrywały jego ściany, tworząc salonik pełen wykwintności i wdzięku. Od strony pokładu schronienie to było zamknięte; od morza zaś wspaniała zasłona ukryć mogła małżonków przed wzrokiem ciekawych. W tej chwili uchylone jej fałdy pozwalały obojgu bując swobodnie oczami po niezmiernej przestrzeni i przyjrzeć się słońcu zachodzącemu w barwie purpury.

Mercedes spoczywała na kanapce, spoglądając ku morzu, a Luis u stóp jej przebierał palcami po strunach gitary.

- Smutna jesteś, Mercedes, rzekł, pochylając się ku małżonce.

- Słońce zapada nad ojczyznę biednej Ozemy, drżącym głosem odpowiedziała Mercedes; okoliczność ta i widok bezgranicznego oceanu, uzmysłowienie wieczności, przypominają mi śmierć Indianki. Istota tak dobra i niewinna nie będzie zapewne potępiona przed sądem Najwyższego, choć ciemnota pojęć i namiętność nie dozwoliły jej przeniknąć tajemnic naszej

wiary.

- Wolałbym, moja droga, abyś o tym tak często nie myślała; modlitwy twoje i msze odprawiane za jej duszę powinny cię były uspokoić.

— Czy prosiłeś admirała, rzekła Mercedes ze łzami, o czuwanie nad bratem Ozemy?

— Nie zapomniałem o tym, mój aniele i pewny jestem, że don Kolumb wywiąże się z przyrzeczenia. Pomnik dla młodej Indianki już jest ukończony; możemy żałować jej straty, lecz nie ma powodu oplakiwania tych, którzy doczesną pielgrzymkę na wieczny zamienili żywot. Ja sam, gdybym nie był twym mężem, zazdrościłbym może jej doli.

— Serce moje, Luis, z rozkoszą przyjmuję tę myśl tak dla mnie pochlebna; lecz jestże ona prawdziwą? Szczęście jakiego doznajemy we wzajemnej miłości, w połączeniu na zawsze swego losu, niczym jest obok miłości królestwa niebieskiego, której właśnie pragnę dla Ozemy.

— Nie wątp o tym, Mercedes; odbierze ona nagrodę niewinności i cnoty. Ale na honor! jeśli dusze zbawione doznają choć połowy tego szczęścia, jakim bije moje serce, gdy ciebie tulę w ramionach żałować ich nie ma powodu.

— Nie mów tego, Luis! każemy w Sewilli, Burgos i Salamance odprawić jeszcze Msze święte za jej duszę.

— Jak chcesz, moja droga; niech je odprawiają co rok, co miesiąc, co tydzień, byleś ty tylko była spokojna.

Mercedes wdzięcznie się uśmiechnęła, i rozmowa małżonków stała się nieco swobodniejsza. Godzina upłynęła na owej pogadance szczerej i wylanej, właściwej tylko sercom prawdziwie kochającym. W chwili gdy słońce zanurzyło się w morzu Sancho oznajmił, że zarzucono kotwicę.

— Przybyliśmy do brzegu, hrabio, niedaleko Palos, o jakie sto sążni od miejsca, z którego don Christoval w roku zeszłym odpłynął do Indii. Czólno gotowe do przewozu, seniora, a na wybrzeżu naszym, choć nie ma wspaniałych pałaców i tłumów; wasza miłość znajdziesz jednak Palos, kościół św. Klary i warsztat okrętowy, z trzech powodów miejsce godne wspomnienia: po pierwsze, że z jego portu wypłynął Kolumb, po drugie święta Klara nas ocaliła w niebezpieczeństwie, skutkiem pobożnych ofiar złożonych u stóp jej ołtarza; po trzecie wreszcie warsztat, gdzie zbudowano okręt admirała.

- I dla innych jeszcze nader ważnych powodów; nieprawdaż, poczciwy mój Sancho? dorzucił śmiejąc się hrabia.

- Tak, wasza miłość, i dla innych jeszcze nader ważnych powodów. Czy seniora rozkaże wylądować?

Mercedes zezwoliła, i po upływie dziesięciu minut oboje małżonkowie znajdowali się już na brzegu, w tym właśnie miejscu, z którego przed rokiem odpłynęła wyprawa Kolumba. Ożywiona

rozmowa kilku kobiet zwróciła ich uwagę, i wkrótce przekonali się, przedmiotem jej była podróż do Indii.

- Dziś, rzekła jedna z niewiast głosem podniesionym, don Christoval opuścił Kadyks. Dla tak wielkiej wyprawy jak obecna, port nasz był za mały. Możecie mi wierzyć, bo mąż mój, jak wiadomo, ważny piastuje urząd na okręcie admiralskim.

- Szczęśliwaś, sąsiadko, że tak wielki człowiek zaszczyca go swoją łaską, odezwało się kilka głosów.

— Jakżeby mogło być inaczej? Pepe towarzyszył mu w pierwszej podróży i zawsze okazywał przywiązanie. „Moniko, moja dobra Moniko”, mówił do mnie admirał po powrocie, „dzielny z twego męża marynarz! Jestem z niego zadowolony, i myślę mianować go starszym na okręcie”. Takie były jego słowa, i Pepe mój pełni dziś obowiązki starszego przy boku admirała.

Luis, postąpiwszy kilka kroków, pozdrowił gorliwe grono i objawił życzenie usłyszenia szczegółów pierwszej podróży. Monika, jak łatwo było przewidzieć, w bogato ustrojonym rycerzu nie poznała seniora Munoz, i chętnie przytoczyła wszystko co wiedziała, a nawet więcej jeszcze. Rozmowa z tą kobietą nowym dla młodzieńca stała się dowodem, ile stanowczą i zupełną była zmiana sądu względem Kolumba, w niższych nawet klasach społeczeństwa.

— Słyszałem wiele, zapytał w końcu, o niejaki Pinzonie, który podobno dowodził na jednym z okrętów wyprawy: cóż się z nim stało?

— Umarł, senior. Odpowiedziała Monika. Ten człowiek dawniej u nas był poważanym; lecz teraz stracił honor razem z życiem. Wiarołomny względem admirała, zagryzł się, jak mówią, widząc w porcie „Ninę”, bo myślał, że sam zbierze wszystkie zaszczyty i korzyści.

Luis, pożegnawszy Monikę, puścił się z żoną w dalszą drogę ku miastu.

— Oto kościół świętej Klary, rzekła Mercedes. Chciałabym, mój drogi, podziękować Bogu za szczęśliwy twój powrót, i błagać Go o powodzenie dla Kolumba.

Małżonkowie weszli do kościoła i przyklękli przed wielkim ołtarzem; bo w owym czasie najdzielniejsi wojownicy nie wstydzili się jeszcze ukorzyć publicznie wobec Najwyższej Istoty. Po spełnieniu tej pobożnej powinności młode stadło opuściło wybrzeże, udając się z powrotem na okręt.

Nazajutrz rano statek „Ozema” popłynął do Malagi, i małżonkowie, wysiadłszy na ląd, pośpieszyli do Valverde, głównej posiadłości donny Mercedes. Zostawmy ich tam w użyciu szczęścia, jakie sercom pocziwym zapewnia miłość czysta.

Hiszpania później wydała wielu im podobnych; lecz jedna tylko „Ozema” zabłysła jak gwiazda, światłem łagodnym, lecz nikłym. Życie jej było krótkie, a imię zaginęło w falach potoku dziejowego.